

WERONIKA WIERZCHOWSKA

Kiedy jest nam tylko dobrze
to nie zawsze dobrze...

Do
nie tak

Prószyński i S-ka

WERONIKA WIERZCHOWSKA

Ta
nie tak

Prószyński i S-ka

Rozdział 1

Budzik brutalnie wyrwał ją ze snu. Wyłączyła irytujące urządzenie szybkim wytrenowanym ruchem, aby hałas niepotrzebnie nie obudził Kamila. Blanka zawsze wstawiała pierwsza. Potrzebowała więcej czasu, by zebrać się do pracy, przygotować zdrowe drugie śniadanie, bo oboje nie cierpieli żarcia ze stołówki, i ogarnąć się w łazience na tyle, żeby móc się pokazać ludziom. Robiła też kawę i niosła mu ją do łóżka – to był taki codzienny miły gest na rozpoczęcie dnia.

Usiadła i dopiero wtedy sobie uświadomiła, że już nie musi tak szybko uciszać budzika. Miejsce Kamila na łóżku było zimne i puste, a jego część pościeli nietknięta i równo ułożona. Wyprowadził się w piątek, tak na rozpoczęcie weekendu. Precyzyjnie to zaplanował, tego była pewna. Zawsze działał w sposób przemyślany i bezwzględny. Nie spodziewała się jednak, że jego zimne wyrachowanie obróci się kiedyś przeciw niej. Ciekawe, czy zrobił to w piątek zgodnie z zasadami korporacyjnymi, stosując socjotechnikę wyuczoną na szkoleniach i mityngach z trenerami kariery? Właśnie w piątki najlepiej jest wyrzucać ludzi z pracy, by w weekend przetrawili poniżenie, a ich gniew na firmę się wypalił. Wtedy w poniedziałek rozpoczęliby dzień nie od planowania zemsty, ale od poszukiwania nowej pracy. Czyżby ten sam trik zastosował wobec niej? W weekend miała się wypłakać, a w poniedziałek rozpocząć szukanie nowej miłości?

Kamil wpadł po pracy zabrać swoje rzeczy, głównie ubrania, książki i ulubiony kubek. Aż dziwne, że przez siedem lat wspólnego mieszkania zgromadził tak mało osobistych przedmiotów. Zostawił jej wszystko, co wspólnie kupili – meble, ozdoby i sprzęt elektroniczny, a nawet kuchenny. Miał w nosie rupiecie, zależało mu tylko na tym pieprzonym kubku. No i jeszcze na domu, który budował. Miał uwić w nim dla nich gniazdko, gdzie będą mogli w spokoju odpoczywać poza miastem. Zabrał klucze i dziennik budowy, nawet jej nie informując, że przejmuje nieruchomość. Machnęła na to ręką, niech go cholera, razem z jego domem i nową kochanką.

Blanka powlekła się do łazienki i spojrzała w swoje odbicie. Ze zgrozą spostrzegła, że ma upiornie podkrążone i przekrwione oczy. Wcale nie wyglądała tak z powodu niewyspania i przepłakania całej nocy, bo nie uroniła ani jednej łzy, a spała jak zabita. Wygląd zombie zawdzięczała dwóm wypitym w samotności butelkom wina. W samotności, bo jedyna przyjaciółka, Ada Milewska, nie mogła wesprzeć jej swoim towarzystwem. Uczepiła się nowego faceta i gdy ten zaproponował jej wspólny wypad nad jeziora, wyjechała z nim, bez chwili wahania porzucając przyjaciółkę w potrzebie. Trudno mieć o to do niej pretensję, facet był naprawdę przystojny i sprawiał wrażenie porządnego gościa, nie jakiegoś wariata, których Ada przyciągała niczym magnes. Blanka wybaczyła jej zatem tę próbę ułożenia sobie życia, chociaż w głębi duszy oczekiwała, że przyjaciółka będzie trzymała ją za rączkę i ocierała łzy. Ada tyle razy przeszła porzucenie, że nie robiło to na niej większego wrażenia, ale dla Blanki był to jednak wielki debiut. Żyła z Kamilem jak dobre małżeństwo, choć przez siedem długich lat nie zdążyli wziąć ślubu. Zapomniała już, jak to jest być samej.

Krople do oczu trochę pomogły, tak samo makijaż. Wcześniej wzięła prysznic i połknęła dwie aspiryny.

I tak krok po kroku doprowadziła się do ładu, choć do pracy wyszła już spóźniona. W dodatku musiała pognać do tramwaju, czego też od lat nie praktykowała. Zwykle jeździła z Kamilem jego służbowym wozem. Wiózł ją pod samą firmę, gdzie na parkingu czekało na niego menedżerskie miejsce. Tak się bowiem składało, że pracowali razem, a dokładnie – Kamil był bezpośrednim przełożonym Blanki.

Weszła do gmachu z duszą na ramieniu. Nie miała pojęcia, co takiego naszykował dla niej niedawny kochanek. Tego, że coś przyszykował, była bowiem pewna. Skinęła głową znudzonemu strażnikowi, który odprowadził ją wzrokiem. Czowała jego spojrzenie, pełne współczucia czy może raczej pogardy? Trudno powiedzieć, w każdym razie wszyscy pracownicy już z pewnością doskonale wiedzieli, że laska kierownika w końcu utraciła pozycję. Może część koleżanek przyjęła to z autentycznym współczuciem, ale Blanka zdawała sobie sprawę, że inne mniej lub bardziej otwarcie się z niej śmiały i cieszyły z jej życiowej porażki. Trudno było im się dziwić. Niestety, Blanka nigdy nie dawała powodów do tego, by ją szczerze lubiły. Bez najmniejszych skrupułów wykorzystywała pozycję konkubiny szefa, co siłą rzeczy budziło zawiść i niechęć do jej osoby.

Wydawało się jej, że nigdy z Kamilem nie przesadzali z nepotyzmem. Kiedy się jednak zastanowiła, jak musiało to wyglądać z boku, aż nią wstrząsnęło. Czy była ślepa? Chyba raczej zadufana w sobie, skoro sądziła, że wszystko jest w porządku.

Doktora Kamila Nachowiaka poznała w Zakładzie Chemii PAN, gdy przyjęto ją na doktorat. Starszy od niej kilka lat naukowiec o ugruntowanej pozycji, który przygotowywał właśnie habilitację, z własnej inicjatywy wziął ją pod swoje skrzydła. Od razu zaimponował młodej chemiczce, był opiekuńczy i czuły, ale też dominujący, bardzo męski i zdecydowany. Szybko zostali parą. Kamil dbał o to, by praca naukowa poszła jej szybko i sprawnie, część eksperymentów zrobił za nią i przygotował całą dokumentację do jej pracy doktorskiej. Kiedy znalazł dodatkową robotę poza instytutem, natychmiast pociągnął Blankę za sobą. Po jakimś czasie objął kierownictwo zakładu w firmie i dopilnował, by jego dziewczyna też się w niej znalazła, i to z pensją trzy razy wyższą niż ta, którą mogłaby uzyskać na uczelni jako adiunkt.

W firmie też się nie przepracowywała, co musiała teraz ze skruczą przyznać. Kamil pilnował, by dostawała zadania niewymagające specjalnego wysiłku, jako szef zawsze wystawiał jej najwyższe oceny na kwartalnych podsumowaniach i przyznawał wysokie premie uznaniowe. Wszystko to musiała kłuć w oczy całą załogę, szczególnie nagrody i uznanie, które Blanka dostawała za rutynowo przeprowadzone analizy i robienie zwykłych raportów z badań. Pozostali musieli harować w pocie czoła i gęsto się tłumaczyć z każdego niepowodzenia czy opóźnienia. Doktor Nachowiak był bowiem pobłażliwy wyłącznie wobec swoich ulubieńców, czyli dla kochanki oraz asystentki Joasi, sekretarki, którą można by nazwać śliczną, gdyby nie szpecił jej nieco rozbieżny zez i okulary z grubymi szklami.

Rozmyślając z rosnącą pokorą nad swoją dotychczasową karierą, opartą wyłącznie na jechaniu na plecach Kamila, oraz nad swoją wyniosłą postawą wobec koleżanek i kolegów z pracy, Blanka otworzyła drzwi kartą magnetyczną i powędrowała przez korytarz do szatni. Była spóźniona już ponad godzinę. Wcześniej zdarzało się to, gdy Kamil miał gorszy dzień, ale wtedy oboje przyjeżdżali spóźnieni. Nie musieli się z tego tłumaczyć, bo niby komu? Dział HR w osobie dwóch pań siedzących w gabinecie na ostatnim piętrze nie zajmował się kontrolowaniem godzin pracy menedżerów. Natomiast zarząd firmy pokładał w kierownikach, a zatem i w doktorze Nachowiaku, pełne zaufanie i nie interesował się tym, co się dzieje w poszczególnych zakładach. Liczyły się wyłącznie efekty pracy. Zlecenia wykonane w terminie, do tego bezbłędnie i na najwyższym poziomie.

Blanka założyła biały fartuch i pomaszerowała do labu. W jasno oświetlonym pomieszczeniu szumiała pracująca aparatura, jaśniały włączone monitory komputerów i brzęczało radio. Unosił się zapach alkoholu, widocznie niedawno któryś z pracowników coś dezynfekował. Za szybą, w części biurowej, gdzie przygotowywano dokumentację, nikogo nie zastała. Biurka były puste, choć na jednym stała

niedopita kawa. Znaczą wszyscy wywędrowali całkiem niedawno.

– Zebranie! – wrzasnęła, łapiąc się za głowę.

Zapowiadano je od tygodnia, ale przez problemy osobiste całkiem wyleciało Blance z głowy. Do tej pory nie musiała się kłopotać zapamiętywaniem takich rzeczy, nawet nie wpisała sobie spotkania do terminarza w telefonie. Kamil często zwalniał ją z obecności w posiadówkach, na których obsztorcował, motywował i zagrzewał do pracy załogę. Zwykle po prostu rozdysponowywał na zebraniach zadania na nadchodzący okres i wyznaczał cele do realizacji. Takie tam korporacyjne pranie mózgów, by zmusić ludzi do harowania dłużej i szybciej. Kto by się przejmował podobnymi bzdurami?

Teraz jednak wiele się zmieniło. Powinna być na spotkaniu, jak każdy pilny pracownik. Już nie była gwiazdą, chyba że upadłą. Ruszyła więc do sali konferencyjnej, po drodze mijając boks, w którym pracowała sekretarka szefa Joasia Kowalska. Dziewczyna siedziała przy komputerze i pilnie stukwała w klawiaturę. Blanka zmierzyła ją jadowitym spojrzeniem. Starła się pohamować emocje, zapanować nad gniewem, ale przyszło jej to z wielkim trudem. Udało jej się tylko powstrzymać przed odezwaniem się do dziewczęcia. Joasia spojrzała na nią przez swoje mocne szkła, a może gdzieś obok, trudno powiedzieć przez tego zeza.

– Ślepa flądra – syknęła pod nosem Blanka. – Kameleonica w pinglach jak denka od słoików! Obyś zdechła...

Dziewczyna zupełnie ją zignorowała, tym razem nawet nie udając przychylności. I pomyśleć, że do tej pory były sojuszniczkami, stojącymi po tej samej stronie barykady. Z jednej strony była załoga, z drugiej one dwie i szef. Joasia do tego stopnia się spoufaliła, że traktowała Blankę jak starszą siostrę, robiła jej herbatki i przynosiła do biurka, by przy okazji pogadać o babskich sprawach. Pytała o rady, zwierzała się i dzieliła najnowszymi plotkami. Niedawno Blanka domyśliła się po nieco przygaszonym zachowaniu dziewczyny, że coś się z nią dzieje, i zapytała wprost, czy nie ma jakichś problemów.

– Zakochałam się chyba, i to w chłopaku przyjaciółki – przyznała zezowata ślicznotka. – I nie wiem, co robić. Jak wybrnąć z tej sytuacji, by kogoś nie skrzywdzić?

Blanka pocieszyła ją i z uśmiechem oznajmiła, że rozumie jej rozterki, ale Joasia nie powinna mieć skrupułów. Najważniejsze to zabiegać o swoje szczęście. Człowiek ma życie takie, na jakie sobie zapracował. I nie ma co oczekiwać na dary losu, na to, że wszystko się samo ułoży. Powinna walczyć i na nic się nie oglądać. Skoro kocha jakiegoś szczęściarza, to niech mu to okaże i się nie przejmuje konkurentką.

Nawet przez myśl jej nie przeszło, że gówniara ma na myśli Kamila, a owa przyjaciółka to właśnie Blanka. Powinna wcześniej spostrzec, że dzieje się coś złego, przeanalizować to, ile czasu ta dwójka spędza razem. Doktor Nachowiak coraz częściej bowiem zabierał asystentkę w teren, na spotkania i konferencje. Tylko że był od niej starszy niemal dwadzieścia lat! Ona była tylko chudą zezowatą pokraką, niemal jeszcze dzieckiem!

Blanka znów spojrzała na dziewczynę, która zastygła z posagową miną. Trzeba jej przyznać, że trzymała nerwy na wodzy, i choć się bała rozwścieczonej baby, której odbiła faceta, nie dała tego po sobie poznać. W dodatku wcale nie jest taką pokraką. Te wielkie okulary nawet dodają jej uroku, a do zeza można się przyzwyczaić lub wysłać ją na operację korekcyjną. W dodatku ma piękne lśniące blond włosy i długie nogi, a dziś założyła bluzkę z kuszącym dekoltem.

Blanka poczuła, że policzki zapalają się jej rumieńcami. Pchnęła drzwi sali konferencyjnej, by wśliznąć się do środka. I prawie się zderzyła z wychodzącym mężczyzną. Wysoki chudzielec w rozchełstanej wygniecionej koszuli omal jej nie stratował. Uśmiechnął się przepaszająco, ale nie raczył powiedzieć nawet słowa, tylko beczelnie przestawił ją w bok jak przedmiot i poszedł sobie. Blanka poczuła od niego przykry słodki zapach.

Padlina? – pomyślała z odrazą.

Miała ochotę wrzasnąć na chudzielca, że co to ma być, czemu śmiał jej dotknąć! Łapy przy sobie, śmierdzielu! – dodała tylko w myślach i odwróciła się do zebranych. Większość spojrzała na nią, ale zasadniczo bez specjalnego zainteresowania. Nie umknęło uwadze Blanki, że dwie wydry z jej labu, Basia i Patusia, spojrzały na siebie porozumiewawczo i uśmiechnęły się złośliwie. Zatem już zdążyły ją obgadać, a teraz będą za plecami się z niej wyśmiewały. Praca w takich warunkach zapowiada się nieciekawie. Co za upadek!

Ledwie usiadła, a Kamil zakończył zebranie, dziękując wszystkim za dobrą robotę i życząc zapału do dalszej pracy. Blanka przyjrzała mu się uważnie, w środku gotując się jednocześnie z żalu, gniewu i rozpaczy. Na szczęście nie wybuchnęła ani płaczem, ani wściekłością. Jak przystało na introwertyczkę, dusiła w sobie wszelkie uczucia, starając się nie uwalniać ich na zewnątrz.

Kamil Nachowiak był postawnym, eleganckim mężczyzną po czterdziestce. Jeszcze nie zaczął się starzeć, ale nie wyglądał już na młodzieńca. Prawdziwy dominujący samiec w kwiecie wieku. Widać było, że zestarzeje się w sposób godny, jeszcze przez długi czas pozostając atrakcyjnym mężczyzną. To dzięki latom dbania o zdrowie, dietom pilnowanym przez Blankę i treningom uprawianym często wspólnie. I pomyśleć, że już nigdy nie pojedą na konie, na kajaki czy choćby na głupią wycieczkę rowerową. Teraz będzie mu towarzyszyła młoda seksbomba w mocnych okularach. Aż chciało się wyć.

– Doktor Blewa w końcu dotarła – zauważył chłodno. – Proszę chwilę zostać. Skoro nie raczyła pani pojawić się w pracy punktualnie, będę musiał poświęcić trochę swojego czasu.

Ile ja ci czasu poświęciłam, draniu? – pomyślała, ale nic nie odpowiedziała.

Siedziała nieruchomo, czekając, aż wszyscy wyjdą. Kamil niespiesznie odłączył laptop od konferencyjnego rzutnika. Widocznie wystąpienie wspomagała prezentacja. Ciekawe, czy to Joasia ją zrobiła? Wczoraj, gdy Blanka zalewała się w pestkę, oni siedzieli w nowym domu, pachnącym świeżością i nowymi meblami. W domu, który Kamil wybudował dla niej, a nie dla tej blond laski! Pewnie zezowata cholera robiła mu tę prezentację, a on masował jej plecy. Potem... ech, lepiej o tym nie myśleć!

– Wprowadzamy pewne zmiany organizacyjne – powiedział bez wstępów. – Szefostwo Gen-Toksu oczekuje wzrostu efektywności pracy przy jednoczesnym obniżeniu kosztów. Wiesz zresztą, jak jest, akurat tobie nie muszę chyba sadzić tych głodnych kawałków korporacyjną nowomową. Ma być szybciej i taniej, czyli ta sama śpiewka co zawsze. Na całym świecie i we wszystkich branżach jest tak samo. Zarząd wynajął nowych strategów, którzy mają pchnąć firmę ku większej kasie. Poprzestawiali kwadraciki obrazujące zespoły i zakłady, przesunęli kompetencje i podległości służbowe. Wyleci kilku niepotrzebnych kierowników niższego stopnia, wejdzie nowy system ocen i nagród, ble, ble, ble. Do tego Gen-Toks zatrudnia ponad setkę zewnętrznych ekspertów, naukowców z państwowych instytutów i uczelni. Mamy zmniejszyć ich liczbę, a z biegiem czasu zupełnie z nich zrezygnować. Sama wiesz, ile taki profesorek sobie życzy za podpisanie ekspertyzy, którą robią za niego adiunkci, doktoranci lub nawet studenci. Chrzanić tych pazernych starych dziadów. Zarząd zdecydował, że mamy stopniowo przejmować ich obowiązki, podkupując uczelnianych naukowców i zatrudniając ich u nas. Nie będzie to łatwe, bo ci lepsi wcale się nie palą do porzucania ciepłych posadek na uczelniach. Ale nie będę cię tym zanudzał. Coś słabo wyglądasz, wszystko w porządku?

– W porządku? – jęknęła. – Porzuciłeś mnie dla młodej lali, w dodatku dla swojej sekretarki. To jak motyw z jakiejś gównianej telenoweli! Jak się możesz pytać, czy wszystko w porządku?

– Myślałem, że już to sobie wytłumaczyliśmy. Nie ma sensu unosić się gniewem – odparł lodowatym tonem.

Patrzył przy tym beznamiętnie, jakoś obco, z milczącą groźbą. Wiedziała, że teraz zupełnie nic dla niego

nie znaczy. Wyrzucił ją ze swojego życia, zastąpił młodszym egzemplarzem. Lepiej będzie, jeśli się z tym pogodzi i nie próbuje mu czegokolwiek utrudniać. To właśnie mówiło to jego beznamiętne zimne spojrzenie – odpuść lub cię zniszczę. Poczwała strach, skuliła się na krześle.

– Zmiany organizacyjne wchodzi z początkiem miesiąca – kontynuował. – Pewne kroki przedsięwzięliśmy jednak od razu. Będzie rozwijany dział zoologiczny, moim zdaniem niepotrzebnie, ale ktoś w zarządzie widocznie lubi zwierzątka. Niech tam. Na początku powstanie interdyscyplinarny zakład podległy mojemu, ale zachowujący sporą samodzielność. Znaczący ja jestem szefem, ale nie zamierzam ingerować w jego pracę. Na razie będzie się składał z dwóch osób. Z lidera i członka zespołu. Liderem jest nowy pracownik, spadochroniarz z PAN-u. Zostałaś wyznaczona jako konieczne mu wsparcie. Potrzebuje bowiem chemika toksykologa, który zajmie się robieniem analiz i sporządzaniem raportów. W związku z tym twoje kompetencje i obowiązki się nie zmieniają, zostajesz tylko przesunięta do nowej komórki. To właściwie awans.

– Awans? – bąknęła.

– Tylko nie w górę, a jakby to powiedzieć, hm... W bok!

– Awans w bok – stwierdziła z rezygnacją.

A więc Kamil się jej zwyczajnie pozbywa. Nie będzie mu się pałętała w okolicy gabinetu i zatruwała załogę złością i pretensjami. Nie będzie jątrzyła i uprzykrzała życia Joasi. Nie będzie obciążała jego sumienia i przypominała mu o ohydnej zdradzie, którą ją skrzywdził. I tak miała szczęście, że pod pretekstem restrukturyzacji zwyczajnie nie wywalił jej na bruk.

– Kiedy zaczynam?

– Po wyjściu z tej sali. Opróżnisz biurko, pudła przyniesie pan Czesio i przeprowadzi cię do nowego labu – odparł, wsuwając laptop pod pachę. – Pewnie twój lider już czeka z robotą, zatem się pospiesz.

– Gdzie ten nowy lab? – spytała, zastanawiając się, czy to nie na ostatnich piętrach gmachu, w których dopiero co pokończono remonty.

– Pan Czesio cię zaprowadzi. A teraz idź już, nie mam czasu. – Skinął na nią ponagląco. – I naprawdę źle wyglądasz, jakbyś się czymś struła. Może chcesz wziąć wolne i pójść do lekarza?

– Nic mi nie jest – odparła ze złością. – Czuję się jak nowo narodzona.

* * *

Pan Czesio nie powiódł jej jednak do windy, ale pchając wózek z pudłami wypełnionymi sprzętem biurowym i laboratoryjnym, pomaszrował dziarsko na sam koniec korytarza, by zjechać pochylnią na najniższy poziom techniczny umieszczony do połowy pod ziemią.

– Suterena – pomyślała Blanka. – Laboratorium w suterenie. Wspaniały ten awans w bok.

Nie odezwała się jednak, tylko szła za technikiem z podniesioną głową, ściskając pod pachą służbowy laptop. Korytarz, rozświetlony czerwcowym słońcem wpadającym przez okna, został z tyłu. Blanka wkroczyła w ponury świat piwniczny skąpany w trupio białym świetle jarzeniówek. Minęli jedne stalowe drzwi, za którymi szumiały jakieś maszyny, sprężarki do wytwarzania nadciśnienia i próżni, pompy i piec od ciepłej wody. Przeszli dalej, mijając kolejne wrota, tym razem od magazynu próbek, odczynników i diabli wiedzą czego jeszcze. Zapowiadało się na to, że Kamil upchnął nową pracownię w najciemniejszym i najodleglejszym lochu. Blanka była przekonana, że Basia i Patusia już się pokładają ze śmiechu, wiedząc, dokąd szef odesłał nałożnicę, która utraciła względy.

Pewnie zrobił to, licząc, że Blanka się załamie, podda, złoży wypowiedzenie i zupełnie zniknie z jego życia. Będzie miał czyste ręce i spokojne sumienie, przecież nie wyrzucił jej, sama odeszła, by w końcu rozpułnąć się w niebycie.

– Niedoczekanie – mruknęła pod nosem, czując narastającą złość.

Nie cierpiała bycia ofiarą. To się zupełnie kłóciło z jej charakterem. Nie należała do osób o dominującej osobowości, ale też nie znosiła, gdy ktoś nią pomiatał, próbował podporządkować czy też wykorzystywać. Kamil tymczasem traktuje ją jak śmiecia, którego można wywalić do piwnicy, gdzie po cichu zarosnie pajęczynami. Nie pozwoli na to, o nie!

– Co pani mówiła? – spytał Czesio, facet około pięćdziesiątki, który ubierał się wyłącznie w przybrudzony roboczy kombinezon.

– Nic – wycedziła. – Daleko jeszcze?

– To tamte drzwi. – Wskazał blaszane wrota zamykające korytarz.

Słumiła cisnące się na usta przekleństwo. Kamil nie mógł jej chyba bardziej poniżyć, niż zsyłając do ostatniego lochu, na samym dnie. Może to nie był jego pomysł, ale Joasi? Wyszło wszak, że jest podstępna żmija i nie zawaha się przed niczym. Ciekawe zatem, czy to koniec upokorzeń, czy jeszcze coś wymyślili? Kim był ów lider, szef nowej komórki organizacyjnej? Można się było wszystkiego spodziewać, firma zatrudniała fachowców w najróżniejszych dziedzinach. Blanka wiedziała tylko, że jej nowy partner, czy raczej nieformalny przełożony, jest zoologiem lub czymś takim. Tego tylko brakowało, nie miała najmniejszej ochoty pracować z laboratoryjnymi zwierzętami. Choć jednak w firmie nie było zwierzętarni, dotychczas też żaden z zakładów nie starał się o pozwolenie na eksperymenty na zwierzętach. Wszystko się jednak zmieniało.

Gen-Toks był specyficznym przedsiębiorstwem, czerpiącym zyski z badań laboratoryjnych i ekspertyz, głównie kryminalnych. Najwięcej roboty miał wchodzący w skład firmy Zakład Biologii i Genetyki, nieustannie przeprowadzający testy na ustalenie ojcostwa oraz na zlecenie prokuratury, identyfikujący ślady biologiczne zostawione na miejscach przestępstw. To ostatnie zlecały Gen-Toksowi także biura detektywistyczne i prywatne osoby. W ofercie firma miała bowiem tak zwane testy na zdradę, pozwalające przyłapać małżonka na niewierności, i to z naukowym udowodnieniem winy. Blanka pracowała w Zakładzie Toksykologii, zarabiającym głównie na zleceniach prokuratury, sądów i policji. Jej dział zajmował się zarówno identyfikacją narkotyków, jak i badaniem dowodów rzeczowych, wszelkiego rodzaju próbek z miejsc przestępstwa lub pobranych od podejrzanych. Potem sporządzano z tego ekspertyzy kryminalistyczne, których używano w czasie śledztw lub procesów. Firma miała atest Polskiego Towarzystwa Medycyny Sądowej i Kryminologii, do tego współpracowała z licznymi państwowymi placówkami badawczymi i nieustannie rywalizowała z Instytutem Ekspertyz Sądowych. Zarząd oczekiwał rosnących wpływów, choć rynek, na którym działał Gen-Toks, był dość ograniczony. Nic dziwnego, że starali się poszerzyć ofertę. Ale czemu akurat o zwierzęta?

Wzruszyła ramionami i pchnęła drzwi, by wpuścić Czesia z wózkiem. Nie kwapiła się, żeby wcześniej zapukać, więc zupełnie zaskoczyła mężczyznę, który był w środku. Wysoki chudzielec, który tak ją zdenerwował w sali konferencyjnej, podskakiwał na jednej nodze, tyłem do wchodzących, w samych gaciach i koszulce. Drugą nogę próbował wcisnąć w nogawkę białego kombinezonu. Odwrócił się i widząc kobietę, chyba się nieco speszył, bo szarpnął ubranie tak mocno, że z trzaskiem rozerwał je w kroku.

– A niech to – mruknął, ściągając zniszczony kombinezon.

Podszedł do niej i uśmiechając się nieśmiało, wyciągnął rękę na powitanie.

– Zatem to pani! – Wyglądał na zadowolonego. – Doktor Blewa, jak sądzę? Będziemy razem pracowali, bardzo się cieszę. Jestem Patryk Ulatowski, do niedawna z Instytutu Zoologii PAN. Próbowałem się wcisnąć w to cholerstwo przed wyruszeniem w teren, ale to chyba głupi pomysł. Przecież po zebraniu próbek będę musiał zdjąć ten kombinezon, czyli rozebrać się przy ludziach. Tak bez spodni chyba nie wypada, prawda? Lepiej będzie, jeśli pojedę w ubraniu i wciągnę na nie strój ochronny na miejscu, choć

jest dziś bardzo słonecznie i ciepło.

– Och, gorący mamy czerwiec tego roku! – zauważył oczywiste pan Czesio, który wprowadził wózek i przyglądał się z ciekawością zagraconemu pomieszczeniu.

Blanka zignorowała głupie wywody Ulatowskiego i również się rozejrzała po swoim nowym miejscu pracy. Pomieszczenie było duże, z dwoma stojącymi naprzeciw siebie biurkami. Lab zaopatrzone w dygestorium, czyli zabudowany stół laboratoryjny z wyciągiem, kilka regałów i szafę, ale większość miejsca zajmowały pudła, niektóre pootwierane. W jednych widać było książki i segregatory, w innych plastikowe pojemniki. Blanka podeszła do nich, pociągając nosem. To od nich śmierdziało padliną i tym właśnie smrodem ciągnęło też od Ulatowskiego.

– Coś się tu panu zepsuło. – Wskazała palcem pojemniki.

– To pożywka dla moich milusińskich – przez upał szybciej się rozłożyła. Nie miałem czasu jej wymienić, bo okazało się, że jest zebranie, a teraz dostałem pilne wezwanie i muszę jechać – stwierdził, wciągając spodnie. – Obawiam się, że jeśli nie zrobię tego do południa, eksperyment pójdzie w diabły. Zgniłe mięso w pewnym momencie zaczyna wydzielać amoniak, który zabija większość larw...

– Larw? Hoduje pan owady? – Blanka poczuła nieprzyjemny niepokój. Nie cierpiała robali, najbardziej pajaków, ale larwy też nie budziły w niej sympatii.

– Proponuję, byśmy przeszli na ty, przecież będziemy ze sobą spędzali dużo czasu – powiedział z uśmiechem. – Owady? Owszem, jestem entomologiem, po doktoracie na Weterynarii Sądowej.

– Ale jak to owady? Po co, u licha, potrzebny ci chemik do hodowli owadów? Ja się na tym zupełnie nie znam! – zaczęła panikować, że zgrozą patrząc na pojemniki z zepsutym mięsem. Teraz była pewna, coś się w nich ruszało!

– A ja zupełnie nie znam się na chemikaliach. I właśnie dlatego nas połączono, mamy wzajemnie się uzupełniać – wyjaśnił krótko i ruszył w kierunku biurka. Podniósł stojącą na nim wielką torbę i zarzucił ją sobie na ramię. – Nasza pracownia będzie się zajmowała entomotoksykologią. To całkiem nowa dziedzina wiedzy, która bada występowanie toksyn w tkankach owadów nekrofagicznych.

– Co? Nekrofagicznych? Znaczą żywiących się trupami, tak? – jęknęła Blanka.

Ale Kamil ją załatwił! Choć to może pomysł Joasi? Wstrętna, mściwa suka! Ale co Blanka jej zawiniła, czym zasłużyła sobie na tak straszliwą zemstę? Zesłać ją do lochu, w którym panoszy się wariat hodujący robale żrące zwłoki, to przecież nieludzkie!

– Ładniutkie, nadałyby się na ryby – powiedział Czesio, który tymczasem przycupnął przy pudłach i podniósł jedno, by nim potrząsnąć. – Tłuste i duże, na przynętę w sam raz! Ma pan tego więcej? Nie odstąpiłby pan słoika z tymi robaczkami?

Patryk podeszedł do technika i wyjął mu pudełko z rąk, robiąc przy tym nadąsaną minę. Delikatnie postawił pojemnik na regale i czule poklepał przykrywkę.

– To larwy muchówek z gatunku ścierwic – wyjaśnił. – Wyrosną na piękne szare muchy z bardzo kosmatymi nóżkami. Są obiektami eksperymentu, tak jak wszystkie pozostałe owady. Nie wolno ich męczyć ani dotykać bez mojego pozwolenia. Dziękujemy już panu za pomoc, do widzenia.

Odprowadził zaskoczonego Czesia do drzwi i niemal siłą wypchnął na korytarz. Blanka tymczasem biła się z myślami. Może jednak zrezygnować z pracy, rzucić to wszystko w diabły i wyjechać w Bieszczady? Tyle bohaterek powieści kobiecych znalazło tam szczęście, może i jej się uda?

Doktor Ulatowski znów złapał torbę, potem się zawahał, pochylił nad kolejną. Spojrzał uważnie na Blankę stojącą ze zmarszczonym czołem. Podał jej drugą torbę i wetknął w rękę coś, co wyglądało na przyrząd do łapania motyli. Widziała go jako małą dziewczynka w bajkach dla dzieci. To chyba pan Kleks ganiał po łące, wymachując charakterystyczną siatką na długim kijku.

– Co to jest? I po co mi to? – spytała, domyślając się odpowiedzi.

- Siatka entomologiczna, a to czerpak. W torbie masz zestaw pęset, próbek i słoiczków na próbki. Ja wezmę resztę sprzętu. Pomożesz mi.
- Jedziesz łapać robale, OK, to twoja działka. Ale powtarzam po raz drugi, ja się na tym nie znam!
- To się poznasz. Mamy się wspierać. Po powrocie, w ramach rewanżu, pomogę ci przygotować próbki do badań, nic się nie martw. Razem robota pójdzie sprawniej i przy okazji oboje się czegoś nauczymy – rzekł lekkim tonem. – No chodź, bo na nas czekają. Policja jest tam już od rana, jeśli się nie pospieszymy, wszystko zadepczą i poniszczą, wypłoszą też wszystkie owady.
- Kiedy ja... – bąknęła Blanka. – Jak to policja? Mamy jechać na miejsce zbrodni? Czekaj, ja jestem od badań laboratoryjnych. Nie zbliżam się nawet do miejsc przestępstw, wszelkie próbki dostajemy z Zakładu Medycyny Sądowej, przygotowane przez patologa.
- To się teraz trochę zmieni. Ale nie martw się, nie będziesz musiała kroić nieboszczyka. Nas interesują wyłącznie owady. Idziemy!
- Nie oglądając się za siebie, ruszył do wyjścia. Blanka stała chwilę, bijąc się z myślami. Mogłaby teraz rzucić torbę na ziemię, pójść do gabinetu Kamila i założyć mu siatkę entomologiczną na łeb. Trzasnąć drzwiami i w ten sposób zakończyć karierę. Tylko pewnie i tak by ją wyśmiano. Dała się pokonać, i to tak łatwo, oddając pole jakiejś zezowatej Joasi.
- Dobrze, idę! – rzuciła. – Tylko zostawię torebkę. Masz dla mnie kombinezon?
- Mam kilka zapasowych w torbie – odparł Ulatowski i zamknął za nimi drzwi.

* * *

Wóz Patryka był starym rupieciem, terenowym pudłem marki Suzuki, które dawno nie widziało ani mechanika, ani myjni samochodowej. Mimo to jeździło, zaskakująco sprawnie radząc sobie w warszawskich korkach. W końcu wydostali się na obwodnicę i pomknęli w kierunku Poznania, by zjechać z trasy na wysokości Pruszkowa. Samochód nie miał klimatyzacji, więc Blanka otworzyła okno, żeby się nie ugotowali. Ciepły wiatr z hukiem wpadający do środka uniemożliwił rozmowę, i całe szczęście, bo nie miała najmniejszej ochoty na zaprzyjaźnianie się z nowym kolegą. Wielkolud o rozwichrzonej czuprynie wydawał się jej raczej odpychający. Wiedziała, że to irracjonalne, ale podświadomie czyniła go współodpowiedzialnym za swój ostateczny upadek. Zdawała sobie sprawę, że był tylko narzędziem w rękach Kamila i Joasi, pionkiem użytym do tego, by ją poniżyć, ale i tak nie mogła się przemóc, by choćby odpowiedzieć na jego uśmiechy. Siedziała z nadąsaną miną, wystawiając twarz na wiatr.

Minęli Komorów z jego eleganckimi willami poukrywanymi za wysokimi murami, potem ogródki działkowe i w końcu dotarli na kompletne zadupie, w którym domki tkwiły porzucane z rzadka na zalesionych parcelach. Przed jedną z nich na podjeździe stały radiowozy. Dla przybyłych nie było miejsca, więc Patryk wjechał swoim czołgiem między drzewa. Zgasił silnik i odwrócił się do Blanki.

– Zdajesz sobie sprawę, że wzywają mnie tylko w szczególnych przypadkach? – spytał z filuternym uśmiechem. – Gdy lekarz nie jest w stanie określić dokładnego czasu zgonu, bo nieboszczyk jest w zbyt zaawansowanym stadium rozkładu. Widoki i zapachy nie będą zatem należały do przyjemnych. Mam tu maski przeciwpylowe, do których wkładam wacik z kilkoma kroplami olejku miętowego. To potrafi zupełnie sparaliżować zmysł węchu, nie pomaga jednak na widok. Jadłaś śniadanie? Nie będzie ci szkoda go zwrócić?

Zrozumiała, że żartuje. Próbował wywołać w niej przerażenie, skłonić do protestów lub próśb o zostawienie w samochodzie, a może nawet do hysterii. Czy to jakaś inicjacja? Sprawdza, jak bardzo miękką babkę dostał do zespołu? Może jest po prostu zwykłym dupkiem, dziwakiem niestroniącym od

okazji do pokazania wyższości i poniżania słabszych?

– Nie musisz się troszczyć o mój żołądek i powonienie – powiedziała. – Daj mi kombinezon i wysiadaj, bo chcę się spokojnie przebrać.

Miejsca w kanciastym blaszanym pudle nie było wiele, ale i specjalnie przebierać się Blanka nie musiała. Od kilku dni panowały upały, więc miała na sobie bawełnianą przewiewną bluzkę z długim rękawem i spodnie z dzianiny, a na nogach zwykłe sandały. Wciągnęła zatem na to kombinezon i wyskoczyła z wozu. Po przejściu kilku kroków poczuła, że zaczyna się pocić. Ubiór ochronny wykonano z tworzywa sztucznego, nieprzepuszczającego wilgoci, przez co człowiek szybko zaczynał się w nim gotować.

Patryk zdążył się przebrać i zataszczyć sprzęt przed domek. Na schodkach siedział w niedbalej pozie mężczyzna o znudzonej twarzy, bez jakiegokolwiek przyjemności palący papierosa. Zdawało się, że nawet cierpi z tego powodu, choć może też przez upał. Ulatowski przywitał się z nim i zaczął rozmawiać, czekając na Blankę. Kiedy ta w końcu podeszła, w oczach mężczyzny pojawił się błysk zainteresowania.

– Pozwól, Blanko, to aspirant Orzechowski z dochodzeniówki – przedstawił ją Patryk. – Jacku, pozwól, to doktor Blewa, toksykolog.

Ubrany po cywilnemu policjant skinął jej niedbale głową i wstał, by zaprowadzić ich na tyły domostwa.

– Prokurator pewnie już pojechał? – spytał Patryk.

– Zakręcił się tylko, zobaczył, co i jak, i się zmył – przyznał aspirant Orzechowski. – Doktor też obejrzał tylko trupa, wpisał się w protokół i pojechał. Czekaliśmy już tylko na was, chcemy w końcu zabrać ciało. Wystarczająco długo tu leżało.

– Podejrzewacie morderstwo? – wtrąciła Blanka.

– Nieee, raczej nie. – Policjant machnął ręką, odganiając niesforną muchę. – Co za cholery! Pełno tu tego przez nieboszczyka.

Ulatowski pokiwał głową i odebrał od Blanki siatkę do łapania owadów, szykując się do akcji. Tymczasem znaleźli się w zadbanym ogrodzie, pełnym kwiatów i starych drzew owocowych. W jego dalszej części widać było dwóch policjantów w mundurach, z których jeden fotografował miejsce znalezienia zwłok. Blanka w końcu poczuła nieprzyjemny zapach przebijający się przez woń kwiatów. Przystanęła odruchowo, a na jej twarzy pojawił się grymas obrzydzenia. Policjant spojrział na nią z ciekawością, która szybko zamieniła się w kpinę. Jego mina zdradzała, co myślał – baba robi w majtki od samego zapachu trupa.

– Czekaj, już starczy. – Ulatowski również się zatrzymał. – Nie musisz tam podchodzić, tylko cię sprawdzałem. Zdałaś egzamin, nie robiłaś fochów, nie spanikowałaś, znaczy, że masz jaja. Zostań tutaj i przygotuj pojemniczki na okazy. Muszę wybierać owady żerujące na zwłokach i w okolicy. Trzeba będzie je uspić i poopisywać. Porobisz etykiety zgodnie z formatką. Zaraz dam ci numer sprawy, pewnie pan aspirant go zna.

W pierwszej chwili poczuła ulgę, ale mina Orzechowskiego ją wkurzyła i wyparła samozadowolenie. Nie będzie jakiś prostacki gliniarz się z niej naśmiewał.

– Nie jestem twoją laborantką, tylko partnerką – oznajmiła zimno. – Idę z wami, chcę wszystko obejrzeć. Daj mi tylko tę maseczkę przeciwsłoneczną.

Orzechowski wzruszył ramionami i poprowadził ich dalej. Przedstawił technikowi kryminalnemu, który ubrany w kombinezon, podobnie jak przybyli, siedział w cieniu i kończył swój protokół. Blanka jednak nie zwróciła na niego uwagi, patrzyła w miejsce, nad którym stał fotograf. Ciało leżało na szczęście twarzą do ziemi, to ją uspokoiło. Najbardziej bała się tego, że nie znieś widoku ludzkiej facjaty w stanie rozkładu, że naprawdę zwymiotuje i zrobi z siebie widowisko na oczach tych wszystkich

zblazowanych macho. Orzechowski wyglądał bowiem, jakby miał za chwilę zasnąć ze znużenia.

– Co to, ciało leży między ulami? – ożywił się doktor Ulatowski.

Blanka też je dostrzegła, pomalowane w jaskrawe barwy skrzynie ze spadzistymi daszkami, przycupnięte wśród owocowych krzewów. Nieboszczyk leżał w okręgu, które tworzyły, z szeroko rozłożonymi rękami. Blanka zbliżyła się za pozostałymi, dociskając maseczkę do twarzy i inhalując się olejkiem miętowym. Aspirant przypalił kolejnego papierosa, kaszlnął i pomachał gwałtownie rękoma, odganiając owady.

– Spokojnie, tylko je drażnisz – upomniął go z naganą Patryk.

– A idźże w cholerę z tym latającym paskudztwem – warknął policjant. – Pszczółki pieprzone! To właśnie one zabiły tego grubasa. Patrzcie, obok leży maska pszczelarska. Facet mieszkał sam, hobbystycznie uprawiał ogródek i hodował pszczołki. Skoro padł trupem od ukąszeń, musiał być uczulony na pszczeli jad. Pewnie któraś dostała mu się pod maskę i go dziabnęła. Zaczął się miotać i sprowokował do ataków następne pszczołki. Jad zaczął działać, uszkodzony poczuł duszności, zdarł maskę, by złapać oddech, i padł trupem. Gotowe, sprawa rozwiązana!

– Nie miał rodziny? To pewnie dlatego znaleziono go po dość długim czasie. – Blanka pokiwała głową.

– Wielki facet, naprawdę kawał chłopa. Miał dość ciekawy styl, nosił różowe spodnie.

– Pewnie pedał. – Orzechowski wzruszył ramionami.

Blanka starała się nie przyglądać zbyt uważnie odsłoniętym częściom ciała nieboszczyka. Skóra już zdążyła nabrać paskudnej barwy i dobrały się do niej owady. Wokół unosiło się mnóstwo much i pszczoł. Patryk rzucił partnerce torbę z pojemnikami, a sam zabrał się do roboty. Machał ostro i energicznie siatką, jakby kosił niewidzialną trawę. Wcale nie tak łapał motyle pan Kleks.

– I hawajska koszula – dodała Blanka, przyglądając się nieboszczykowi, zamiast zająć się przygotowaniem pojemniczków na okazy. – Znam jednego profesora, który się tak ubiera. Na oficjalne spotkania potrafi założyć marynarkę, ale na przekór konwenansom przynajmniej koszulę musi mieć na przykład fioletową, a do tego krawat w palmy. Jest szefem mojej przyjaciółki...

– Ten też był profesorem. – Policjant spojrzał na nią uważniej. Wyciągnął z kieszeni notatnik i chwilę go kartkował. – Jan Reckert.

Blanka zamarła z pojemniczkami w obu rękach. Jeszcze raz spojrzała na trupa, a potem na policjanta.

– O Jezu, to naprawdę on? – jęknęła.

– Wszystko na to wskazuje – przyznał aspirant. – Do niego należał dom. Zgłoszenie otrzymaliśmy od miejscowej policji. Szpital zgłosił zaginięcie profesora i lokalny dzielnicowy przyjechał zobaczyć, czy nie ma go w domu. No cóż, dobrze go pani znała?

– Spotkałam kilka razy, kiedyś zamieniłam parę zdań, ale na służbowe tematy. Robiliśmy analizy chemiczne na zlecenie szpitala, a profesor czasem pisał dla firmy opinie – powiedziała, znów nie mogąc oderwać spojrzenia od ciała. – Moja przyjaciółka była jego podwładną. Och, lubiła szefa, był ponoć równym facetem.

– Miał jakichś wrogów? Utrzymywał ciekawe znajomości? Kochanki, może kochanków?

– Nie mam pojęcia. – Pokręciła głową.

– Trudno, nieważne. Niech prokurator się tym zajmie – burknął aspirant i zatrzasnął notatnik. – Zresztą i tak na razie wygląda to na śmierć naturalną. Pewnie nie będzie żadnego śledztwa. No i jak tam, długo jeszcze?

Ostatnie pytanie skierował do zasapanego i spoconego Patryka, który wręczył Blance zawiązaną siatkę pełną brzęczącej zdobyczy.

– Załatw je octanem etylu, w torbie znajdziesz spryskiwacz. Potem powyjmuję uśpione okazy. Teraz przygotuj mi próbówki, a ja pincetą zdejmę owady pełzające i larwy z ciała – oznajmił, ocierając pot

wierzchem dłoni. Potem uśmiechnął się do policjanta. – Jeszcze z pół godziny i będziecie mogli go wziąć. Później jeszcze będę musiał zebrać owady z ziemi pod nim i pobrać próbki gleby...

– Po co? – zdumiała się Blanka.

– Larwy niektórych gatunków, gdy już się najedzą, zakopują się, by się w spokoju przepoczwarzyć – odparł z dumą w głosie, jakby mówił o swoich dzieciach. Blanka stwierdziła, że entomolog chyba jednak ma coś nie po kolei w głowie. Sprawiał wrażenie podnieconego i uradowanego. – Musimy zebrać wszystko, co chodzi, pełza i lata.

– Złapałeś też pszczoły – zauważył Orzechowski.

– One także lubią żerować na nieboszczykach, ale dobrze skruszały. Piją płyny, które wyciekają w czasie gnicia...

– Dość! – Policjant uniósł rękę. – Więcej nie chcę wiedzieć.

Blanka też starała się o tym nie myśleć, nie wyobrażać sobie, co teraz się działo wewnątrz i na zewnątrz profesora Reckerta. Jak bogate i różnorodne życie tętniło na ciele martwego naukowca.

– Badając larwy i dorosłe owady, określisz czas zgonu – podsumowała. – Ale po co nam pszczoły?

– Sprawdzimy, co jadły, i na tej podstawie ustalimy, czy profesor nie został otruty! – odparł z entuzjazmem Patryk. – A teraz zabierz się w końcu do etykietowania probówek, bo każę ci wyciągać larwy z ucha tego nieszczęśnika.

Blanka zrobiła groźną minę i miała już mu odpyskować, że rozkazywać to on może co najwyżej swojej żonie i że nie jest żadnym jej przełożonym, ale liderem zespołu, co właściwie głównie znaczy! Powstrzymała się jednak, bo wielkolud uśmiechnął się i mrugnął znacząco. Zaczynała się domyślać, co oznaczają te jego durnowate miny – po prostu dziwak miał upodobanie do żartów, zresztą wyjątkowo kiepskich. Machnęła zatem ręką i zabrała się do pracy. Będzie musiała się przyzwyczaić do współpracy z wariatem, bo jednak nie zamierzała się poddawać i rezygnować. Po pierwsze, utrże nosa Kamilowi i jego kochance, po drugie, zadania w nowym dziale wydają się niezwykle ciekawe. Od lat nie czuła zainteresowania robotą, wykonując rutynowo te same czynności. Przynajmniej to zmieniło się na lepsze.

Rozdział 2

Przez kolejne dni upał nie ustępował, a w piątkowy wieczór wyładował się w ulewnej burzy. Blanka jechała akurat w odwiedziny do ojca. Od śmierci żony pan Blewa mieszkał sam i córce wypadało od czasu do czasu sprawdzić, jak sobie radzi. Emerytowany żołnierz nie potrzebował jednak babskiej opieki, był całkiem samodzielny i zupełnie sprawny zarówno fizycznie, jak i umysłowo. Mieszkanie zawsze miał wysprzątane, i to tak, że niejedna perfekcyjna pani domu mogła pozazdrościć. W łódówce stały poustawiane równo produkty, nawet buty w przedpokoju lśniły czystością, prężąc się w zgodnym szyku niczym kompania reprezentacyjna na warcie honorowej.

Blanka wpadła na klatkę schodową po szalonym biegu z przystanku. Uciekała nie tylko przed deszczem, ale i piorunami, które waliły wściekle, a ich basowe gromy wstrząsały całym miastem. Zatrzymała się zdyszana i wstukała numer mieszkania na domofonie, by ostrzec ojca o swoim przybyciu. Wtedy ktoś położył jej rękę na ramieniu i szarpnął brutalnie. Podskoczyła ze strachu i obróciła się, unosząc zaciśnięte pięści w boksterskiej postawie obronnej. Torebka zsunęła się po ramieniu do łokcia.

– Dobra pozycja, reakcja też niezła – pochwalił ojciec, wyszczerzając się w uśmiechu. – Ale nie okazałaś zdecydowania. Trzeba było walnąć mnie łokciem na oślep, to dałoby ci czas, by sięgnąć po broń.

– Tato, do cholery, przestraszyłeś mnie! – syknęła.

Kapitan wojsk desantowych w stanie spoczynku, Tomasz Blewa, miał na sobie zupełnie przemoczony dres. Sześćdziesięciolatek był krzepkim, umięśnionym mężczyzną, bez śladów tłuszczu, za to z nabrzmiałymi na czole żyłami. Blanka domyśliła się, że ćwiczył, pewnie biegał, i dostrzegł ją przypadkiem. Nie mógł się pohamować, by nie zabawić się kosztem córki. Podszedł do niej, jak przystało na dawnego komandosa, bezszelestnie niczym cień. Po minie widać było, że niezwykle go to ucieszyło.

– Przestraszyłem? I dobrze, trzeba być nieustannie czujnym. Bandytów nie brakuje w tym mieście, a ty szlajasz się po nim wieczorami. Twój chłop to miękka klucha, która zesra się w gacie, widząc byle łobuza. Musisz być gotowa, by radzić sobie sama.

– Już nie mój ten chłop... – bąknęła.

– Oho! – mruknął kapitan i wziął ją pod ramię, by wprowadzić na klatkę.

Wjechali windą na piętro i weszli do mieszkania. Oczywiście wszystko było w nim, jak zwykle, pedantycznie poukładane i lśniące czystością. Blanka zamknęła się w łazience, by doprowadzić się do ładu, miała dziś jeszcze spotkanie z Adą. Był piątkowy wieczór, zaczynał się weekend, najlepsza okazja, by wyjść z domu.

– Skrzywdził cię? – spytał tata, wręczając jej kubek z herbatą.

– Jeśli chodzi ci o to, czy mnie uderzył, to nie – odparła.

– Byliście razem naprawdę długo, myślałem, że w końcu wyjdiesz za niego i urodzisz mi wnuczka. Mam jeszcze akurat tyle sił, by wyszkolić malca na prawdziwego mężczyznę.

Blanka parsknęła śmiechem, wyobrażając sobie ojca musztrującego maleńkiego chłopczyka.

Oczywiście całe życie marzył o synu, ale żona urodziła mu tylko jedną córkę, a potem zaczęła chorować. Oficer wojsk desantowych nie był kompletnym wariatem i nie próbował przerobić dziecka na swoje podobieństwo, ale i tak od małego Blanka chodziła na lekcje judo i karate, przymusowo na basen, a gdy podrosła, to na krav magę. Na osiemnaste urodziny staruszek opłacił jej kurs spadochronowy, na szczęście na tym jego wojskowy fiś się kończył. Nie musztrował córki, nie zmuszał do absurdalnej dyscypliny i porządków. Ciepła przesadnie też nie okazywał, ale wiedziała, że jest dla niego ważna. Czula, że od kiedy wyprowadziła się z rodzinnego domu, naprawdę bardzo cieszył się z każdej jej wizyty.

Poświęciła mu zatem całą godzinę, popijając herbatę i zwierzając się z kłopotów, szczegółowo opowiedziała o zmianach w życiu i nowym współpracowniku. Ojciec słuchał i kiwał głową, marszczył brwi i robił groźne miny.

– Trzeba dotkliwie odpłacić Kamilowi za to, jak cię potraktował – oświadczył zimno. – Powinien naprawdę pożałować tego, co zrobił, powinien cierpieć. Czy mam się tym zająć?

– Oszalałeś, tato? Nie! W nic się nie miesza – zażądała kategorycznie. – Sama sobie poradzę.

– Dobrze, nie będę się wtrącał w twoje życie. Pamiętaj o mnie jednak, jestem zawsze gotów cię wesprzeć – powiedział z powagą. – Tym nowym, robakologiem, też mogę się zająć, chociaż go postraszyć. Od razu daruje sobie głupie żarty i zaczniesz traktować cię z szacunkiem.

– Nie! Obiecuj, że się nie wtrącis!

– Słowo harcerza! – Ojciec uniósł dwa złączone palce. – Kiedy byłeś w ubikacji, sprawdziłem twoją torebkę. Nie nosisz żadnego z moich prezentów. To głupie!

Przekląła w myślach swoje roztargnienie. Wiedziała, że ojciec robi to w trosce o nią, i zawsze idąc w odwiedziny do staruszka, wrzucała do torebki dary od niego – gaz pieprzowy, paralizator elektryczny i teleskopową pałkę zwaną batonem.

– Bardzo mnie rozczarowujesz! Ale już wiem, czemu przyjęłaś postawę bojową, nie sięgając do torebki po broń – powiedział, wstając. – Czy to takie ciężkie? Tak bardzo ci przeszkadzają te drobiazgi? Patrz, co zabieram nawet na treningi.

Położył nogę na stole i podwinął nogawkę, odsłaniając przypiętą do łydki kaburę z małym rewolwerem. Blanka pokręciła głową z naganą.

– Tato, na litość boską, przecież nie masz pozwolenia na broń! Co będzie, jeśli cię z tym przyłapią? Jeszcze pójdziesz siedzieć!

– E tam! Działolisz! Kiedyś każdy oficer miał dożywotnie prawo do noszenia munduru i broni. I tak powinno być! – Wstał energicznie i wyszedł z pokoju, by zaraz wrócić, niosąc w dłoni błyszczący czarnym metalem przedmiot. To był stalowy kastet ozdobiony różową kokardą.

– Miałem dać ci go na urodziny – powiedział z niewinnym uśmiechem. – Ale skoro chodzisz bezbronna, dostaniesz to wcześniej.

Przewróciła oczami, ale po chwili ucałowała staruszkę. No cóż, był dziwakiem, tego nie dało się ukryć. Zaczął świrować po śmierci mamy, ale na szczęście było to skrzywienie stosunkowo niegroźne. Dobrze, że nie popadł w alkoholizm, jak wielu byłych żołnierzy. Na wszelki wypadek szybko schowała kastet i zmieniła temat, przechodząc na zdrowie ojca, a potem zaczęła wypytywać o sąsiadów i dalszą rodzinę. W końcu wymknęła się i pognęła do tramwaju, by pojechać na spotkanie z Adą.

* * *

W pubie oczywiście było tłoczno, duszno i hałaśliwie, na szczęście działał przy nim ogródek, gdzie przynajmniej można było złapać haust świeżego powietrza. Blance już dawno zbrzydły podobne miejsca, wolałaby coś spokojniejszego, jakąś miłą restaurację, w której nie śmierdziało aerozolem z e-

papierosów i nie ryczała rozbawiona młodzież. Puby były dobre dla studenciaków i młodych orków z Mordoru przy Domaniewskiej, czyli dla rozpoczynającego karierę korporacyjnego narybku. Blanka była już za stara na podobne towarzystwo i jego rozrywki. Niestety, Adzie ciągle się wydawało, że ma dwadzieścia pięć lat, a nie o dziesięć więcej, jak było w rzeczywistości.

Przyjaciółka już na nią czekała przy długim stole, na którego drugim końcu siedziało kilku młodzieńców w modnych fryzurach. Pewnie mają before party i zaraz ruszą w szaleńczy rajd po nocnych klubach – rzeczowo oceniła ich Blanka, by natychmiast przestać na nich zwracać uwagę. Skupiła się na Adzie, ubranej w dziewczęcą jasnoniebieską sukienkę do kolan i błyszczące buty na wysokim obcasie. Blanka na dzisiejsze spotkanie założyła dzinsy, białą bluzkę i szary żakiet z czarną oblamówką. Tak czy inaczej, obie niespecjalnie pasowały do towarzystwa, co wytknęła Adzie w pierwszym nadarzącym się momencie.

– Spokojnie, umówiłam nas z facetami w restauracji po drugiej stronie Nowego Świata – ta odparła z uśmiechem. – Chciałam po prostu z tobą chwilę pogadać nieco swobodniej.

– Z jakimi facetami nas umówiłaś? – oburzyła się Blanka.

– Siedź, nie miotaj się tak. To niespodzianka. Wiem, że gdybym ci wcześniej powiedziała, nie zgodziłabyś się lub po prostu się nie pojawiła. Zrozum, musisz jak najszybciej otrząsnąć się po porzuceniu, najlepiej znaleźć sobie nową sympatię. Wiem, co mówię, sama bywałam porzucana i porzucałam dziesiątki razy. Jeśli będziesz siedziała na tyłku i wzdychała z rozpaczy, szybko zamienisz się w zgorzkniałą starą pannę. Prawda jest jednak taka, że po prostu chwilowo zostałam singielką, i tego się trzymajmy.

– Ale co ty gadasz? Ja nie jestem tobą, nie muszę całej swojej energii poświęcać na szukanie chłopca. Wyobraź sobie, że posiadanie faceta to nie jest najważniejsza rzecz pod słońcem! – Blanka mocno się zirytowała, choć właściwie nie mogła mieć przyjaciółce za złe, że ta chce dla niej jak najlepiej i po swojemu próbuje zaradzić potrzebie.

Ada, wbrew pozorom i wyglądowi kojarzącemu się z plastikową lalą, nie była idiotką. Co prawda, włosy farbowała na ekstremalny blond, usta malowała na różowo, potrafiła przyczepić sobie sztuczne rzęsy i tipy, ale poza dziwactwem tyńczącym się infantylnego wyglądu była całkiem normalną kobietą, w dodatku świetnie wykształconą. Skończyła medycynę i od kilku lat pracowała w Klinice Onkologii i Chorób Wewnętrznych Centrum Onkologii. Pisała artykuły do pism medycznych, kończyła pracę doktorską o metodach leczenia raka żołądka i uchodziła za bardzo obiecującą lekarkę, w przyszłości mogącą zająć wysokie stanowisko w zarządzie instytutu. Karierę utrudniały jej tylko sprawy sercowe, przez które skupiała uwagę na życiu osobistym, a nie na rozwoju zawodowym.

– Nie gorączkuj się tak. Potraktuj to jako rozrywkę, dobrze? – Ada nie sprawiała wrażenia przejętej wybuchem przyjaciółki. Pociągnęła przez słomkę łyk drinka. – Umówiłam nas tylko z moim nowym i jego kumplem. Nic wielkiego i nic zobowiązującego. Ten koleś nazywa się Piotr Pachczyński i tak jak mój Adaś jest z wykształcenia lekarzem. Obaj pracują w Dziale Produktów Strategicznych tej samej firmy farmaceutycznej jako monitorzy badań klinicznych, CRA¹. To brzmi dumnie, prawda? Znaczy, że spędzimy wieczór z dwoma przystojniakami, dobrze zarabiającymi i na poziomie, to chyba nic strasznego?

– Twój poprzedni też dobrze zarabiał jako menedżer sprzedaży w firmie samochodowej. Aresztowali go za malwersacje, z tego, co pamiętam, a zanim to się stało, oczyścił ci konto z oszczędności – przypomniała Blanka. – Och, przepraszam, myślałam, że już się z tym pogodziłaś...

– Pogodziłam. – Ada wściekle dźgnęła słomką plasterek limonki pływający w drinku. – Ale nie zapominałam. Odwdzięczę mu się, jak tylko wyjdzie z paki. Na razie niech tam gnije, my się dziś zabawimy z korporacyjnymi medykami. Sprawdzimy, czy nie za wielkie z nich sztywniaki!

Blanka uśmiechnęła się do przyjaciółki, miała już coś na końcu języka, ale zadzwonił jej telefon. Dzwonił Patryk, więc z ciekawości odebrała.

– Słuchaj, czy w próbkach ciała nieboszczyka wykryłaś apitoksynę? – zapytał bez wstępów, nawet się nie interesując, czy przypadkiem nie przeszkadza.

– Ale po co ci to teraz? Jest piątkowy wieczór, dochodzi dwudziesta!

– Już tak późno? Trochę się zasiedziałem – bąknął. – To jest ta apitoksyna czy nie, bo nic nie rozumiem z twojego raportu.

– Pff... Od czego tu zacząć? Wiesz, nie da się tak po prostu powiedzieć, czy w tkankach, które dostałam od patologa, jest apitoksyna, czy nie. Po pierwsze, korzystam ze spektrometru mas, a nie ze szklanej kuli, po drugie, to urządzenie nie działa tak jak zabawki w amerykańskim serialu o laborantach z CSI. Apitoksyna, czyli jad pszczeleli, to mieszanina wielu związków, w tym wielkocząsteczkowych peptydów. Nawet jeśli nieboszczyk został ukąszony wiele razy, do jego krwiobiegu dostały się mikrogramowe ilości tych substancji. Wykryć je w rozkładającej się tkance to tak, jakby szukać kropli trucizny w oceanie...

– To nic nie znalazłaś?

– Znalazłam prawdopodobnie tertiapin, charakterystyczny peptyd z jadu pszczelego. To właśnie on może, nawet w mikrodawkach, powodować śmierć osób uczulonych. Tylko głowy sobie nie dam uciąć, że to jest właśnie ten związek. W tkankach zmarłego jest jakaś substancja, która defragmentuje się, dając piki masowe aminokwasów wchodzących w skład tertiapinu, poza tym na widmie jest też pik główny o masie szukanego peptydu.

– O Boże, nie możesz jaśniej?

– Nie. – Blanka zatkała sobie drugie ucho, bo młodzież siedząca po sąsiedzku roześmiała się chórem.

– Czy zatem zmarły został ukąszony, czy nie?

– Raczej został, ale na razie w próbkach zwłok znalazłam tylko jeden składnik jadu pszczelego. Ten najbardziej śmiertelny.

– A gdzie pozostałe składniki?

– Zmetabolizowały się? Nie wiem. – Blanka machnęła do zniecierpliwionej Ady. – Słuchaj, muszę kończyć. O co ci właściwie chodzi?

– W glebie wykopanej spod nieboszczyka nie znalazłem ani jednej larwy czy też poczwarki muchówek. Żadnego owada żerującego na zwłokach – odparł z wyraźnym podnieceniem w głosie.

– Co to znaczy?

– Że zmarły mógł umrzeć gdzie indziej i został przyniesiony do ogrodu stosunkowo niedawno. Jeśli jeszcze się okaże, że nie zginął od ukąszeń...

– To może być morderstwo – dokończyła Blanka.

W tym momencie Ada wyrwała jej smartfon z ręki.

– Pani doktor jest bardzo zajęta, proszę zadzwonić w poniedziałek! – oznajmiła do telefonu i przerwała połączenie.

Blanka syknęła ze złości, ale przyjaciółka odsunęła się, wymachując smartfonem poza zasięgiem jej rąk.

– No wiesz! Rozmawiałam w sprawie śmierci twojego szefa! – oburzyła się.

– Przykro mi, profesor był miłym facetem, ale teraz liczy się tylko nasza podwójna randka. Oddam ci telefon, jeśli obiecasz, że nie będziesz teraz zajmowała się pracą.

– OK – skapitulowała Blanka.

Dwaj lekarze, którzy porzucili praktyki, by rozwijać kariery w korporacji farmaceutycznej Aver, okazali się naprawdę atrakcyjnymi facetami. Chłopak Ady, niejaki Adam Moczydło, miał czarny trencz, nowoczesny i elegancki prochowiec, ekstrawagancko założony bezpośrednio na koszulę z krawatem. Jego kumpel Piotr ubrał się w tweedową marynarkę, równie modną, choć nie tak wymyślną. Obaj sprawiali wrażenie pochodzących ze sfer zdecydowanie wyższych niż mężczyźni, z którymi Blanka miała zwykle do czynienia. Gdzie było niechlujnym i niedbającym o powierzchowność naukowcom z Gen-Toksu do tych opalonych muskularnych playboyów! Na pierwszy rzut oka widać też było, że obaj dbają nie tylko o powierzchowność, ale i o zdrowie, z pewnością korzystają z usług osobistych trenerów i nie stronią od kosmetyczki i pewnie stylistki. Blanka poczuła się nieswojo, bo nawet dość narcystyczny Kamil nie przesadzał aż tak bardzo z dbaniem o urodę. Na szczęście obaj panowie nie okazali się nadętymi i zachwyconymi wyłącznie sobą dupkami, lecz wesołymi i zdystansowanymi do siebie dżentelmenami.

Rozpoczęło się trochę sztywno i Blanka się obawiała, że wieczór ograniczy się do nużącego tkwienia przy stoliku i zjadania kolejnych maleńkich i drogich, choć przynajmniej smacznych, potraw. Na szczęście Adam szybko rzucił kilka żartów, które rozładowały atmosferę, a wypity aperitif dodatkowo rozluźnił towarzystwo. Ada szczebiotała jak ostatnia idiotka, ale jej trajkotanie zasadniczo nie było pozbawionym sensu potokiem słów, ale serią szpitalnych anegdot. Na tyle zabawnych, że dało się z nich śmiać w sposób niewymuszony.

Piotr Pachczyński był chyba trochę młodszy od Blanki, co wprawilo ją w zakłopotanie, które zresztą wzrosło, gdy spostrzegła, że mężczyzna przygląda się jej nader uważnie, a całe jego zachowanie wskazuje na zainteresowanie jej osobą. Aż wyszła do toalety i przejrzała się uważnie w lustrze. Właściwie była całkiem atrakcyjną kobietą, jeszcze przed czterdziestką. Może faktycznie uległ jej urokowi, kto wie? W każdym razie Kamil zagotowałby się, gdyby spotkał ją w towarzystwie przystojniaka. Właściwie mały romans nie byłby taki zły w jej sytuacji, może faktycznie pozwoliłby się otrząsnąć i przerwać pasmo porażek i ponizeń?

Po powrocie uśmiechnęła się do Piotra i zapytała, jak tam w Averze z warunkami w pracy, bo ponoć w korporacjach często panuje bardzo nerwowa atmosfera.

– Owszem, presja nie ma końca, próbuje się wycisnąć z nas, ile się da, ale wszystko z pełną kulturą i szacunkiem – odparł dość powściągliwie. – Nie ma mowy o jakimkolwiek mobbingu, groźbach ani zastraszaniu. Każdy ma jednak świadomość, że najślabi prędzej czy później znikną, a szanse na rozwój są jedynie dla najlepszych, gotowych do poświęceń i ciężkiej pracy. W sumie nie ma na co narzekać. Zasady są jasne i każdy jest ich świadom.

– Zatem pchacie się po drabinie kariery wyłącznie z własnej woli, w pogoni za marchewką nikt was nie szturcha w zadek? – spytała zaczepnie.

– Zgadza się. Dla forsy i awansów gotowi jesteśmy zdeptać tych na niższych szczeblach, ale robimy to z klasą, w białych rękawiczkach, bez zawiści, podkładania świń i zdrad. Czysta, uczciwa walka – przyznał z nieodgadnioną, poważną miną. – Mamy wprowadzić określone produkty na rynek lub zwiększyć ich sprzedaż i to robimy, nie oglądając się na ofiary.

– Przerażasz mnie – powiedziała, czując chłód.

– Żartowałem, nie jesteśmy kolesiami od sprzedaży, ale monitorami badań klinicznych. Nie musimy nikogo niszczyć. Tylko pilnujemy terminów, procedur i czytamy wyniki eksperymentów. W zasadzie straszna nuda.

Adam parsknął, a Ada zawtórowała mu chichotem. Piotr mrugnął do Blanki i uśmiechnął się łobuzersko. Dziewczyna odetchnęła, on tylko żartował, udawał korporacyjnego rekina. Ktoś o takim uśmiechu nie mógłby być potworem. Szybko postanowiła zmienić temat, ale wtedy Adam zauważył, że choć w ich firmie niby bardziej przedmiotowo traktuje się pracownika, lecz za to byłoby

niedopuszczalne, żeby jeden z menedżerów po prostu znikł na kilka tygodni i nikt nie próbował z nim nawiązać kontaktu, jak miało to miejsce z szefem Ady.

– To nie tak, że nikt się nie zaciekał, czemu profesor nie pojawia się w szpitalu. Po prostu on nie utrzymywał z kolegami z pracy kontaktów towarzyskich, z nikim się nie przyjaźnił – odparła blondynka, poprawiając niesforną grzywkę. – No i był profesorem, prócz praktyki szefował Działowi Badań Klinicznych, w którym zresztą ja też jestem zatrudniona, często jeździł na konferencje, jakieś wypadki chyba sponsorowane przez firmy, dla których robiliśmy testy. Nikt nie wiedział, kiedy może się pojawić w szpitalu, i to łącznie z jego sekretarką. To w końcu ona, po dwóch tygodniach nieobecności szefa, zdecydowała się podnieść alarm. I tak minęło kolejnych kilka dni, nim szpital raczył zgłosić jego zaginięcie na policję.

– I co się okazało? – zaciekał się Piotr.

– Jej spytaj. – Ada wskazała przyjaciółkę. – Ponoć widziała go na własne oczy. Jest w zespole biegłych sądowych, zajmujących się tą sprawą.

Wszyscy spojrzeli na Blankę, która wzruszyła ramionami.

– No jestem – przyznała. – I w związku z tym nie mogę o tym gadać, gdzie i z kim popadnie. Wybaczcie, sami wiecie, co znaczy przestrzeganie tajemnicy służbowej. Po prostu nic nie wolno mi powiedzieć, ale nie martwcie się, wiele nie straciliście. Nie ma w tej sprawie nic mroźnego krew w żyłach.

– Ale skoro nie możesz o tym opowiadać, to jakaś tajemnica w tej sprawie jednak jest – zauważył Piotr, spoglądając na nią uważnie. – Podejrzewacie, że ktoś go załatwił? Gość miał dostęp do wielu tajnych badań robionych na zlecenie firm farmaceutycznych, w tym i naszej. Może handlował wynikami na boku, między konkurencyjnymi korporacjami? Hę, jak myślicie?

– Nie prowadzę śledztwa, jestem tylko ekspertem od toksyn. Ja nawet nie interpretuję wyników badań, które robię, to nie moje zadanie – odparła Blanka.

– Hej, dajcie spokój. To nie miejsce i czas na opowieści o nieboszczykach i truczkach – dodała Ada. – Napijmy się!

Stało się zgodnie z jej życzeniem. Piotr zamówił butelkę wina. Kiedy pili po kolejnym kieliszku, Adam stwierdził, że trzeba coś zrobić z tak pięknie rozpoczętym wieczorem, i zaproponował wypad do fajnego klubu. Obiecał, że nie będzie w nim potwornego hałasu i tłumu naćpanej ani pijanej młodzieży. Dla Ady nie miało to większego znaczenia, byle tylko w tym klubie nie grali muzyki jazzowej, której nie cierpi. Blanka nie stawiała żadnych warunków, bo właściwie nie miała zupełnie nic przeciwko spędzeniu kilku kolejnych godzin w towarzystwie dwóch przystojniaków.

Odwiedzili w sumie cztery kluby, by z ostatniego wyjść o trzeciej w nocy. Właściwie to Blanka wymknęła się z niego, trzymając pod ramię promieniejącego zadowoleniem Piotra. W pierwszym klubie tylko rozmawiali, w drugim trochę potańczyli, w trzecim już szaleli, jakby mieli po naście lat, w czwartym wyłącznie się do siebie tulili. W końcu przystojniak szepnął jej do ucha, żeby pojechali do niego. Pokręciła odmownie głową.

– O nie, to nie wypada! Dopiero co się poznaliśmy. – Pogroziła mu palcem. – Pojedziemy do mnie – szepnęła.

Zostawili Adę wczepioną w ślaniającego się na nogach Adama i wyruszyli na poszukiwanie taksówki. Już świtało, a miasto spowijała mleczna mgła powodująca, że wszystko wyglądało nierealnie i tylko na poły materialnie, jakby świat był ze snu. Mocno wstawiona i oszołomiona wydarzeniami Blanka stwierdziła, że wiozący ich pojazd z milczącym, ponurym kierowcą jest jak z wiersza o zaczarowanej dorożce.

– Zaczarowana taksówka, zaczarowany taksówkarz... eee, zaczarowany koń? – wyszeptwała. Piotr zachichotał.

Wbiegli schodami na trzecie piętro, przemknęli na sam koniec korytarza, gdzie Blanka miała mieszkanie. Dziewczyna grzebała chwilę w torebce, by wyciągnąć pęk kluczy. Piotr w tym czasie stał za nią i muskał ustami jej szyję. Czuła jednocześnie gęsią skórę i rosnące podniecenie. W końcu znalazła klucz i próbowała wetknąć go do zamka. Nie zdążyła. Pchnięte drzwi same się uchyliły z nieznacznym zgrzytem. Chwilę stała skamieniała, patrząc na rozerwaną futrynę z wyłamanym łozem zamka.

– O cholera – syknęła. – Chyba się do mnie włamano.

Piotr odsunął ją, zasłaniając własnym ciałem.

– Nie wchodź, mogą być w środku – szepnął. – Mają łom, sądząc po tym, co zrobili z drzwiami. Trzeba uważać. Cofnijmy się i wezwijmy policję.

– Zaraz, zaraz – wycedziła Blanka, znów grzebiąc w torebce.

Miarka się przebrała. Zbyt wiele przykrości ostatnimi czasy zniosła, za dużo ciosów od życia naraz. Porzucenie, degradacja w pracy i jeszcze to! W dodatku włamywacze popsuli jej zabawę, świetnie zapowiadający się romans. Nie przejdzie nad tym do porządku dziennego, skopie dupę każdemu złodziejowi, który wpadnie jej w ręce.

Wreszcie znalazła czarny kastet, prezent od taty, ozdobiony nadal różową kokardą. Wsunęła broń na rękę, rzuciła Piotrowi torebkę i wśliznęła się do środka. Niedoszły kochanek wszedł za nią, przyciskając torebkę do piersi. Blanka zacisnęła pięść z kastetem i uniosła ją do brody, by w razie czego zadać szybki prawy prosty lub się zasłonić. Kokarda załaskotała ją w nos. Rychło się okazało, że nie musiała wysuwać pazurków, mieszkanie było puste.

Złodzieje wybebeszyli szafy, wywalając ich zawartość na podłogę, przewrócili regał z książkami i potłukli wazonik z ceramiki Bolesławiec, który Blanka z Kamilem przywieźli z wyprawy na Dolny Śląsk. Prócz tego znikł telewizor, którego i tak od dawna nawet nie włączała, oraz dwa laptopy, jej osobisty i zostawiony przez Kamila.

Policja przyjechała po dwóch godzinach, spisała protokół, obejrzała miejsce przestępstwa i nie stwierdziła istnienia jakichkolwiek śladów. Znaczyło to, że za kilka tygodni Blanka dostanie list z oświadczeniem o umorzeniu postępowania z powodu niezalezienia sprawców.

Mieszkanie na razie zaplombowano, wobec czego Piotr odwiózł ją do ojca, bo ich miłosny zapal w międzyczasie zupełnie ostygł. Blanka zwała się ciężko na łóżko w swoim pokoiku z czasów panieńskich i zasnęła jak zabita.

¹ CRA – Clinical Research Associate, monitor badań klinicznych, stanowisko osoby zajmującej się kontrolowaniem badania.

Rozdział 3

Patryk podrygiwał w rytm tętniącej muzyki, niemal tańcząc przed regałem pełnym pojemników z owadami i larwami. Blanka patrzyła na niego z ponurą miną, siedząc przy swoim biurku. Cholerny entomolog przyniósł do pracy miniwieżę i od rana katował koleżankę swoją ulubioną muzyką. Najlepiej mu się pracowało przy czymś energetycznym, z głośników zatem dudniła ostatnia płyta Chemical Brothers, straszliwie hałaśliwe i napastliwe techno. Blankę to wprowadzające w trans dudnienie stopniowo zaczynało doprowadzać do szału, czego Ulatowski nie raczył zauważyć. Krzątał się przy swoich owadach, jedne karmiąc, inne uśmiercając, by ponadziemiać je na szpileczki i umieścić w małych pudełeczkach. Inne suszył i ucierał na proszek, który w precyzyjnie ponumerowanych fiolkach trafiał potem do rąk Blanki, by mogła poddać go analizom.

Entomolog wyjaśnił, że bada wpływ pewnych substancji na tempo rozwoju owadów. Obrał sobie taki temat habilitacji i dogadał się z szefostwem Gen-Toksu, uzyskując pozwolenie na kontynuację prac. Motywem przewodnim doświadczeń wyznaczył alkaloidy roślinne, jeszcze zbyt mało udokumentowane, a zatem stanowiące wdzięczny i obszerny temat do badań. Sprawdzał więc, co będzie, jeśli poda larwom mięso zwierzęcia otrutego nikotyną lub opium. Jak zareagują poszczególne gatunki much? Będą rosły szybciej, pomierają czy zwolnią rozwój? To może mieć kluczowe znaczenie przy badaniu owadów, które żywiły się nieboszczykami narkomanów lub ludzi otrutych.

Wszystko to może i ciekawe oraz potrzebne naukom kryminalistycznym, ale dlaczego musiał przy pracy słuchać techno?

W końcu nie wytrzymała, zgrzytając zębami, wstała i wyszła z labu. Wysoki entomolog o potarganej czuprynie zasadniczo nie był specjalnie męczący ani upierdliwy, ale jakoś na dłuższą metę nie mogła go znieść. Wyczuwała w nim jakąś trudną do sprecyzowania sztuczność. Jakby wszystkie jego żarty i gesty były wcześniej precyzyjnie zaplanowane i następnie odgrywane. Irytowało ją wszystko, co robił, nawet to, że próbował być wobec niej uprzejmy i pomocny. To zresztą jeszcze bardziej ją wkurzało. Wszelkie rycerskie gesty ze strony wielkoluda, który wszak był narzędziem służącym do jej poniżania i upodlania, wydawały się nie na miejscu. Ciągłe po części obwiniała go za to, co ją w ostatnich czasach dotknęło. Mógł się nie pchać do firmy i nie robić Kamilowi okazji do zeszmacenia Blanki, mógł w ogóle się nie urodzić!

Pomaszerowała do znajdującego się na tym samym podziemnym poziomie magazynu odczynników, próbek i materiałów. Magazynier był akurat na miejscu i razem z panem Czesiem coś przestawiał i układał na półkach. Przyjmowaniem, rozmieszczaniem, a w końcu wydawaniem substancji zajmował się Krzysztof Koziół, dwudziestokilkuletni technik w okularach i z kosią bródką. Zwykle, żeby pobrać jakiś produkt z magazynu, wystarczyło wysłać do technika maila i spokojnie poczekać, aż przyniesie zamówienie, ale Blanka skorzystała z okazji, by wyrwać się z labu i nawiedzić chłopaka osobiście.

Teraz wpychał jakieś pudła na najwyższy regał i nie kwapił się, by zauważyć stojącą w drzwiach Blankę. Ta po wejściu rzuciła głośne „Cześć!”, ale została zignorowana. Do niedawna coś takiego byłoby

niepodobieństwem. Krzyś skakał wokół niej na jednej nodze, wszystko, czego sobie życzyła, w mgnieniu oka podsuwając jej pod nos. Od kiedy straciła pozycję, wszystko się zmieniło, spadła w hierarchii na sam dół, w dodatku nie tylko w hierarchii, ale i fizycznie. Nie zasługiwała już nawet na to, by się jej ukłonić. Stała więc i czekała cierpliwie, trawiąc kolejne poniżenie. Miała ochotę zadusić wszystkich, a w pierwszej kolejności Kamila i tę dziwkę Joasię. Wiedziała, że to tej zezowatej podstępnej żmii zawdzięcza większość razów, które dostała ostatnio od życia.

– Hej! Dzień dobry! – wrzasnęła w końcu.

Krzyś spojrział na nią przez ramię i poprawił okulary. Nie odpowiedział, ale odstawił pudło i podszedł do niej niespiesznie.

– Wydadz mi to, proszę. – Podsunęła mu kartkę z zapisanymi numerami CAS i nazwami odczynników.

Chciała pobrać próbki oczyszczonych toksyn, które przechowywane były jako wzorce do analitycznych oznaczeń i identyfikacji. Zamierzała nastrzyknąć na chromatograf kolejne składniki jadu pszczelego i porównać sygnały z tymi dawanymi przez próbki krwi i tkanek zmarłego profesora Reckerta. Krzyś mruknął coś niegrzecznie, jakby „zara” – i znikł między regałami. Blanka domyślała się, że magazynier podobnie traktował większość jej kolegów i koleżanek, po prostu grzeczny był tylko dla tych faktycznie stojących wyżej na firmowej drabinie.

Czesio, pracownik fizyczny od wszystkiego, miał aparycję wyłysiałego misia. Jego brudny kombinezon z trudem opinał się na brzuchu, a jowialną twarz wieńczył zaczerwieniony nos. Łatwo można było zgadnąć, jakiej pasji oddaje się w wolnych chwilach, którą zresztą pewnie łączył z wędkowaniem.

– Pani Blanko, czy mogłaby pani poprosić tego emontologa o pudełko tłustych larw? On mnie chyba nie lubi, a dla pani z pewnością jest miły – powiedział, podchodząc do przybyłej, by rozmową umilić jej czas oczekiwania. – Teraz, w czerwcu, łatwo wykopać lub nałapać robali, ale on ma tam w pudełkach takie wspaniałe muszyska. Zielone, żółte i czarne. Jestem pewien, że ryba będzie na nich piekielnie brała...

Zgodziła się i obiecała, że zapyta Patryka o jakieś niepotrzebne okazy w stadium larwalnym. Czesio zaczął ją w nagrodę zabawiać historiami z życia „góry”, wskazując porozumiewawczo na piętra nad ich głowami. Na szczęście jego opowieści rychło przerwał Krzyś, który wróciwszy, rozłożył ręce.

– Nie ma – oznajmił. – Nie wiem, co się stało, ale zwyczajnie nie ma. Sprawdziłem w systemie, tertiapinu powinien być cały pojemniczek, dziesięć gramów, tak samo hialuronidazy, sekapiny i apaminy. Zostały po nich puste miejsca na półce, a w programie magazynowym mam, że od wprowadzenia na stan nikt ich nie brał.

Blanka uniosła brwi ze zdumienia. Bałagan zdarzał się wszędzie i może zwyczajnie chłopak nie odnotował, że ktoś pobrał odczynnik i przechowuje go u siebie pod dygestorium? Choć zaklinał się, że nic takiego nie miało miejsca, i sprawiał wrażenie wyraźnie przestraszonego. Tylko jego karta magnetyczna działała na te drzwi i tylko on miał dostęp do odczynników. Jeśli jakiś zgubił, będzie musiał poważnie się tłumaczyć. Próbki substancji wzorcowych do oznaczeń były koszmarnie drogie i podlegały ścisłemu rozrachunkowi.

– Na co komuś składniki jadu? – mruknęła pod nosem, wracając do labu.

Patryk na czworakach zbierał z podłogi rozsypane niechcący larwy. W tle niepokojąco brzmiała piosenka Brothersów *Taste of Honey*, w której wysokie elektroniczne brzdąknięcia przeplatały się z basowym buczeniem i brzęczeniem pszczół. Blanka nie zamierzała pomagać koleździe w łapaniu pełzających uciekinierów, usiadła za biurkiem i zabrała się do pisania raportu z dotychczasowych badań.

Piętnaście minut po przesłaniu pliku z raportem zostali wezwani na dywanik. Polecenie stawienia się w gabinecie przesłała asystentka kierownika, przeklęta na wieki Joasia, oznaczając maila chorągiewką „pilne”. Nakazywała im obojgu pojawienie się ASAP u Kamila, znaczy w podskokach, rzucając w cholerę całą robotę. Blanka zamierzała zignorować wezwanie, udając, że nie dostrzega go w skrzynce pocztowej, ale Patryk przypadkowo zerknął w swój komputer i wyprężył się przed nim na baczność, salutując i trzaskając obcasami. Małpowanie świadczyło o jakimś tam poczuciu humoru, może nie najwyższych lotów, ale zawsze. Musiała parsknąć śmiechem na ten widok, wielkolud był naprawdę niezgrabny, a ruchy miał komicznie zamaszyste. Chyba najlepiej nadawał się do biegania po łące i wymachiwania siatką entomologiczną.

Pomaszerowali zatem oboje na górę. Blanka z bojową miną i zaciśniętymi pięściami, a Patryk z niewinnym uśmiechem. Jeszcze nie posmakował, co znaczy praca w korporacji i jak bardzo różni się od posadki w państwowym instytucie. Choć właściwie w dzisiejszych czasach te różnice powoli się zacierały. Tak czy inaczej, doktor Ulatowski sprawiał wrażenie mającego w nosie menedżerów i ich pilne wezwania.

Na korytarzu minęli idące z kubkami kawy Basię i Patusię. Obie uśmiechnęły się do Blanki, ale nie próbowały z nią rozmawiać. Widocznie nałożnica szefa, która popadła w niełaskę, była ogólnie tabu. Potwierdziła to jeszcze reakcja jednego z kolegów, Romka Suwińskiego, który wyszedł na korytarz, ale widząc nadchodzącą Blanę, natychmiast cofnął się do pokoju. Czyżby jakiegokolwiek rozmowy i spoufalanie się z „odrzuconą” uchodziło za niestosowne, a może nawet niebezpieczne? Ach, tak! Joasia siedząca w przeszklonym boksie miała oko na cały korytarz. Żmija pewnie teraz była głównym tyranem, pilnującym tego, kto z kim i o czym.

Blanka spojrzała na nią z góry, starając się wyrazić spojrzeniem i miną całą pogardę oraz nienawiść, jaką czuła do młodszej i, co tu kryć, zgrabniejszej konkurentki. Choć konkurentkami już raczej nie były, Blanka nie zamierzała starać się o względy Kamila. Ten zimny sukinsyn nie zasługiwał na jej uwagę.

Siedział za biurkiem i nerwowo skubał się po brodzie. Od razu zauważyła, że był zdenerwowany, a może nawet wystraszony. Działo się coś złego. Czyżby dostał burę od zarządu? Coś schrzanił? Albo chodziło o nieszczęsny, bardzo ważny projekt dla Avera, dużej firmy farmaceutycznej? Od początku były z tym jakieś problemy, choć Kamil nigdy jej nie wtajemniczył w szczegóły. Blanka poszukała w myślach sytuacji, w których tak bardzo się denerwował. Zawsze dotyczyły jego kariery i zagrożeń z nią związanych.

– Co to ma być? – spytał, wskazując monitor komputera, jakby stojący w drzwiach mogli dostrzec, co na nim ma. – Ten bełkot ma być raportem?

– Wstępną oceną – odparła Blanka. – Domagałeś się natychmiastowych wyników, a tylko takie możemy przedstawić na tym etapie badań.

– Prokuratura nie płaci firmie za steki bzdur z jakimiś mętными domysłami! – wypalił. – Ma być czarno na białym, krótko i rzeczowo. Badania wskazują to i to, nieboszczyk umarł tyle i tyle temu, najpewniej w takich a takich okolicznościach. A co ja tu mam, spójrzmy. Ble, ble, ble, być może, prawdopodobnie, brak jednoznacznych danych, hm... O tu! W otrzymanej od patologa treści żołądka, próbce wątroby i mózgu nie stwierdzono rutynowo oznaczanych trucizn. W wycinkach skóry i próbce krwi obwodowej stwierdzono obecność tertiapinu i jego metabolitów. Świadczy to prawdopodobnie o ukąszeniach owadów z grupy *Apidae*, to jest pszczołowatych. Co to ma znaczyć „prawdopodobnie”? To skąd, kurwa, się wziął w jego skórze i krwi jad pszczele, jeśli nie z ukąszeń? Może profesor był prawdziwym twardzielem i zamiast jeść miód, żuł pszczoły, co? I gdzie są liczby? Tabelka ze składem krwi i stężeniem toksyny? Przecież patolog nie mógł określić powodu zgonu ze względu na stan zwłok i tylko ta ekspertyza ostatecznie poświadczy, że profesor został zabity przez własne pszczoły.

– Kiedy Blanka mówiła, że nie da się kategorycznie stwierdzić, bo w próbkach brakuje innych składników jadu... – wtrącił Patryk.

– Tak? To pan doktor już się zna na toksykologii? Spójrzmy, co za bzdury pan powypisywał, bo to druga część tego pseudoreportu. Oceniono czas ekspozycji zwłok na światło dzienne, rozmieszczenie drzew i krzewów oraz dane uzyskane z serwisu pogodowego IMGW. Szacując na tej podstawie rozwój znalezionych żywych dorosłych owadów i ich postaci larwalnych, liczbę jaj i poczwerek oraz stan zwłok wskazujący na drugi etap rozkładu, czas od śmierci wynosi około dziesięciu dni. Znaleziono przedstawicieli następujących gatunków stawonogów, i tu ładna tabelka z łacińskimi nazwami. No dobra, trudno się czegoś czepić.

– Każdy etap rozkładu cechuje się specyficzną fauną zasiedlającą zwłoki. Do tego rozkład temperatur na przestrzeni ostatnich... – dorzucił Patryk.

– Najlepsze jest jednak na końcu. – Kamil uciął mu w pół słowa. – W próbkach gleby pobranych spod zwłok nie stwierdzono obecności larw i poczwerek muchowatych. Świadczy to, że zwłoki leżały w miejscu znalezienia nie dłużej niż kilka, kilkanaście godzin. Co proszę? Co to ma znaczyć?

– Nieboszczyk został przyniesiony w miejsce znalezienia krótko przed przybyciem policji – oświadczył Patryk, wzruszając ramionami. – Może ktoś napuścił na niego pszczoły, a gdy profesor zmarł, przechowywał gdzieś jego ciało, by przenieść je do ogródka dosłownie w ostatniej chwili? To by mocno podważało poprzednią ocenę czasu zgonu, bo nie wiadomo, w jakich warunkach wcześniej były przetrzymywane zwłoki.

– I takie coś mam dać prokuratorowi? Ktoś nosił zgniłego, toczonego przez czerwie grubasa i przekładał go z miejsca na miejsce? Do tego nie wiadomo, czy właściwie nieboszczyk zmarł od ukąszeń, choć we krwi ma jad pszczeli? – Kamil znów nerwowo potarł brodę.

Patrzył na stojących przed biurkiem z ponurą, zagniewaną miną. Blanka rozejrzała się po gabinecie. Krzesła dla interesantów gdzieś znikły, oczywiście żeby zmusić ofiary do stania w obecności przełożonego i uczynić ich mniej ważnymi, skłonić do pokory i pokazać, gdzie ich miejsce.

– To jakaś kpina, a nie raport. Gen-Toks może po czymś takim stracić zlecenia, a tego byśmy sobie nie życzyli. Profesor wykonywał różne pilne i ważne prace dla wpływowych zleciodawców. Tak się składa, że firmy, które go opłacały, zlecają też zadania i nam, do tego naprawdę dobrze płacą. Jeśli dojdzie do śledztwa o zabójstwo, co może przyjść prokuratorowi do głowy po przeczytaniu waszego raportu, zacznie się niepotrzebne węszenie, przeglądanie dokumentów, nad którymi pracował profesor, drażnienie, co i dla kogo robił, kto mu płacił i za co. Brzydki cień może paść na naszych i profesora kontrahentów. Tak się składa, że najważniejszy z nich to firma farmaceutyczna, dla której dobre imię, tak zwany wizerunek jest niezwykle cenny. Z pewnością nie chce być zamieszana w jakieś śledztwa w sprawie o morderstwo. I my nie chcemy, by doszło do tego przez jeden nieprzemyślany, napisany na kolanie raport. Czy to jasne?

– Chcesz, byśmy zatuszowali sprawę – bąknęła Blanka.

– Chcę, by wykonała pani swoją pracę, jak należy, doktor Blewa. Niepokoi mnie pani nastawienie – odparł lodowatym tonem, patrząc na nią w taki sposób, że aż ciarki przebiegły jej po plecach. – Na miejsce, które pani zajmuje, czekają dziesiątki obiecujących, młodych naukowców. Chętnych do pracy, zaangażowanych i pełnych zapału. Proszę przemyśleć swoje zachowanie i stosunek do firmy oraz obowiązków.

Blanka poczuła, że nie może przełknąć śliny, jakaś gula rosła jej w gardle. Jeszcze chwila i wybuchnie płaczem. Jak on mógł ją tak traktować? Nawet nie czuła nienawiści do tego drania, a zwykły żal. Chciał się jej pozbyć i zwolnić przy nadarzającej się okazji. Nie odeszła sama, to będzie ją gnoił na każdym kroku. Zniszczy ją, chyba że mu ulegnie i będzie całkowicie posłusznie i w ciszy siedziała w ciemnej

norze, do której ją zesłał.

– Niech pan nie będzie taki kategoryczny, szefie – rzucił Patryk. – Przecież nie szukamy sensacji, chcemy tylko wykonać pracę najlepiej, najwnikliwiej, jak się da.

– Wydaje mi się, że próbujecie się popisać, zwrócić na siebie uwagę. Szukacie dziury w całym, by wyjść na wybitnych ekspertów. Jednak nie czas i miejsce na to – odparł Kamil, odchylając się w tył na krześle. – Nie pozwolę, byście budowali sobie renomę, nie bacząc na dobro zakładu i całej firmy. Wywalcie z raportu niejasności i durne dywagacje. Profesor zmarł na skutek ukąszeń, co potwierdza analiza próbek pobranych ze zwłok. Owady świadczą, że stało się to dziesięć dni przed znalezieniem. Koniec i kropka. Podpisaną przez was ekspertyzę widzę na biurku najdalej za dwie godziny. Pospieszcie się zatem. I proszę, myślcie następnym razem nad tym, co robicie.

Wyszli z gabinetu, przy czym Patryk uprzejmie puścił Blankę przodem, i nie miała okazji trzasnąć drzwiami, na co liczyła. W ramach wyładowania złości znów zmierzyła nienawistnym spojrzeniem Joasię i pokazała jej język. Gówniara odpowiedziała tym samym, a potem uśmiechnęła się pogardliwie. Cała jej postawa promieniała zadowoleniem i poczuciem zwycięstwa. Blanka się zagotowała i zamaszystym gestem przejechała sobie palcem po szyi, udając podrzynanie gardła. W tym momencie usłyszała syknięcie Romana, wyglądającego z labu. Weszła do środka, rzucając Patrykowi, że zaraz przyjdzie.

– Ale się porobiło, co nie? – mruknął, pochylając się ku niej i przysuwając nieco zbyt blisko.

– No, porobiło się. Ale co konkretnie, bo ostatnio dużo paskudnych rzeczy mi się porobiło? – stwierdziła oschle i cofnęła się o krok.

– Ze zleceniem dla Avera. Wiesz, badanie próbek z kostnicy i jakichś wzorców, które nam przysyłali kurierem, zawsze w walizce zamkniętej na szyfr. To w związku z nimi przyjeżdżał ten zaginiony profesor. Teraz się okazało, że coś się nie zgadza w wynikach, ktoś pokasował dane. Aver domaga się raportu, a tego nie da się sklecić bez danych, które mógł mieć jeszcze tylko profesor. On koordynował dostarczanie próbek i odbierał wyniki – oznajmił z przejęciem Romek. – Wiesz, co to znaczy? Twojemu byłemu facetowi pali się ziemia pod nogami. To poważne zlecenie, za dużą kasę. Lepiej, by szybko dało się odtworzyć badania, bo Kamil może stracić stołek. Hi, hi!

– Fajnie – przyznała z satysfakcją.

– Wiedziałem, że się ucieszysz. – Romek mrugnął porozumiewawczo. – A co tam w nowym dziale? Jaki jest ten weterynarz od robaków?

– Duży, niezgrabny i trochę roztargniony – odparła bez zastanowienia. – Raczej niegroźny. Chwila, nie boisz się ze mną rozmawiać? Joasia ma nas na oku.

– Zaryzykuję. Możliwe, że dni panowania tej pary są policzone.

Faktycznie, zagrożenie musiało być duże, skoro Romek zdecydował się na publiczną rozmowę z osobą obłożoną przez szefa infamią. Suwiński należał do gatunku śliskich spryciarzy, potrafiących lawirować pomiędzy frakcjami i znaleźć się zawsze po wygranej stronie. Był ostrożny, nigdy zbyt kategorycznie się nie deklarował, szczególnie w chwilach konfliktowych, za to sprawiał wrażenie sympatycznego i życzliwego dla wszystkich wojujących grup. Romek był tylko specjalistą, bez ambicji sięgnięcia po władzę lub pięcia się w korporacyjnej hierarchii, przynajmniej takie sprawiał wrażenie i na takiego pozował. Blanka pamiętała, że identyfikował się raczej z załogą, z szeregowymi pracownikami, ale czasem w trakcie spotkań sam na sam z Kamilem bez pardonu donosił na kolegów, udowadniając, że zawsze jest wierny władzy. Blanka podejrzewała, że rozmowa z nią może być tylko prowokacją, by wyciągnąć cokolwiek, z czym mógłby pójść do szefa. Możliwe, że po jej wyjściu od razu powędruje do gabinetu Kamila, zmywając z siebie podejrzenie o przyjaźnienie się z wyklętą konkubiną.

Uśmiechnęła się, przyjmując maskę życzliwej koleżanki, w środku jednak musiała walczyć z wypęłzającą na twarz odrazą. Romek ciągle się przysuwał, opowiadając plotki z labu. O tym, że Patusia

ze swoim chłopem chodzi do kliniki leczenia niepłodności i jest już zdecydowana na zapłodnienie in vitro. O tym, że przyjaciółka Basia próbuje wybić jej to z głowy, bo to nienaturalne i nie po bożemu. Basia jest bowiem niezwykle kościółkowa, od czasów liceum chodzi na spotkania inteligencji katolickiej i co roku bierze urlop, by zasuwać na piechotę do Częstochowy. Poza tym Krzyś i pan Czesio popijają chyba po kryjomu w pracy pod pretekstem porządkowania i ewidencjonowania magazynu. Krysia z analityki zrobiła sobie kolejny tatuaż, tym razem na brzuchu, i zamierza zrobić piercing na języku. Informatyk Gruby wziął dziś urlop na żądanie, że niby przebalował i ma kaca, ale tak naprawdę żona przyłapała go z jakąś dziwką i wyrzuciła z domu. Najlepszą opowieść zostawił jednak na koniec. Jedna ze sprzątaczek weszła do kibla na ostatnim piętrze i zastała w nim księżową Halinkę klęczącą przed dyrektorem pionu strategicznego, wiceprezesem Malinowieckim. Oczywiście z jego penisem w ustach. Romek nie zapomniał dodać, że dyrektorowi dwa tygodnie temu urodziło się dziecko.

Wszystkie te tajemnice, zdradzane konfidencjonalnym tonem, miały sprowokować Blanę do podobnych zwierzeń. W ramach rewanzu opowiedziała zatem Romanowi o tym, że Patryk zapomniał o jednym pojemniku z larwami, a te spokojnie się przepoczwarzyły. Kiedy entomolog otworzył pudełko, ze środka wyleciała jakaś setka małych muszek, które musieli wspólnie wytłuc. To była jedyna sensacja z jej nowego działu. Roman sprawiał wrażenie rozczarowanego, ale musiał się obejść smakiem. Blanka spytała, która godzina, po czym, narzekając na brak czasu, pobiegła do windy.

* * *

Po powrocie do domu rozboleła ją głowa. Wysłała tylko SMS-a do Piotra, że dziś nie ma sił się z nim spotkać. No cóż, przepadła okazja do ciekawej randki, ale nie wyobrażała sobie, jak mogłaby się cieszyć spotkaniem, będąc wrakiem człowieka. Zbyt wiele wydarzyło się ostatnimi dniami i psychiczne oraz emocjonalne wyczerpanie przełożyło się na fizyczną zapaść. Miała ochotę zagrzebać się w pościeli, i to mimo upału, a potem spać i o niczym nie myśleć, niczego nie czuć, o niczym nawet nie śnić. Po prostu się wyłączyć i odchorować, odzyskać siły.

Przystojny doktor Pachczyński będzie musiał poczekać, aż się pozbiera. Lepiej, by nie oglądał jej w takim stanie. Zmęczonej życiem, spacyfikowanej, chorej kobiety na skraju kompletnego załamania. W takiej chwili przydałoby się, co prawda, wsparcie męskiego ramienia, ale z Piotrem byli dopiero w okresie reklamowym, na etapie zalotów, prezentowania się z jak najlepszej strony. Nie wchodziło w grę pokazywanie mu się z podkrążonymi oczami i obłądnym wzrokiem. Facet był zarobiony i z trudem wygospodarował dla niej ten wieczór, ale trudno. Będzie musiał poczekać.

Zdecydowała się wypić herbatę przed wskoczeniem do wanny, a potem do łóżka. Kiedy czekała na zagotowanie wody, wrócił tata. Od dnia włamania nadal mieszkała u niego w starym socjalistycznym bloku z wielkiej płyty, w którym spędziła dzieciństwo i młodość. Za oknem tętniło życiem paskudne, coraz bardziej zatłoczone Bemowo, ale i tak czuła się tu bardziej swojsko i u siebie niż w mieszkaniu, które kupiła na początku drogi przez życie u boku Kamila. Nie spieszyło się jej do powrotu do tego zbrukanego, wprawdzie przez wieloletniego partnera, a teraz przez włamywaczy, miejsca. Nie mogła się jednak od niego całkiem uwolnić, wiązał ją z nim kredyt, i to we frankach szwajcarskich, który wzięła, by nabyć to nieszczęsne lokum. Prędzej czy później i tak musi zniknąć z rodzinnego domu, bo trudno na dłuższą metę wytrzymać w kwaterze pedantycznego oficera.

– Wszystko załatwione! – oznajmił podekscytowany pan Blewa. – Byłem tam od rana, posprzątałem mieszkanie na błysk. Nie znajdziesz śladu po złodziejach. Ekipa budowlana pojawiła się przed południem, wyjęli framugę i wstawili nową, razem z porządnymi drzwiami. Będziesz miała system antywłamaniowy i dwa podwójne zamki. Nikt się do ciebie nie wedrze, chyba że wysadzi drzwi

w powietrze.

– Jutro, tato. Przeprowadzę się jutro.

Podszedł i przytulił ją do piersi. Ostatnim razem zdobył się na taką poufałość w dniu śmierci mamy. Blanka poczuła od niego zapach potu i ulubionej wody kolońskiej. Stary żołnierz nic a nic się nie zmieniał. Oczywiście drzwi wstawiał razem z ekipą remontową, a całe mieszkanie wyszorował na czworakach, nie szczędząc wysiłku.

– Nie musisz się spieszyć – oznajmił. – Możesz tu mieszkać, jak długo chcesz. To przecież twój pokój, zawsze będzie tu dla ciebie miejsce.

– Odpocznę jeszcze dzień i jutro wrócę do siebie – oświadczyła.

– Boisz się?

Uśmiechnęła się i przecząco pokręciła głową. Oznajmiła tylko, że jest po prostu przemęczona i zwyczajnie się jej nie chce. Kiedy nalewała herbatę, ojciec jednak nie ustępował.

– Chodzi o Kamila? Dopieka ci, drań? Może jeszcze o to włamanie też ma pretensje?

– O dziwo, nawet nie. Gdy mu o tym powiedziałam, sprawiał wrażenie przejętego. Wyglądał nawet, jakby miał wyrzuty sumienia, że mnie zostawił samą, ale przecież on nie ma sumienia. Chyba mu było szkoda skradzionego laptopa, bo były na nim jakieś służbowe dokumenty. Nie wiadomo, w czyje łapy wpadną.

Ojciec bez słowa pokiwał głową i odprowadził wzrokiem idącą do pokoju córkę. Usiadł przed telewizorem, ale go nie włączył. Nasłuchiwał, czekając, aż Blanka pójdzie do kąpieli, a potem z westchnieniem ulgi położy się do łóżka. W tym czasie ciągle rozmyślał.

Jeszcze tak niedawno była panienką z liceum, która godzinami okupowała łazienkę, pindrząc się przed lustrem. Właściwie niewiele czasu minęło, od kiedy mama szykowała ją co rano do przedszkola. Mała szczerbata cholera, która skakała tacie na plecy, gdy tylko usiadł z gazetą. Doskonale też pamiętała trzymane na rękach niemowlę, patrzące na niego w skupieniu wielkimi niebieskimi oczyma. Krew z jego krwi. Jedyne, co zostawi po sobie światu.

I teraz to oczko w jego głowie cierpiało przez jakichś nienasyconych skurwysynów. Zwykłe ludzkie gnidy, z jakimi sam stykał się przez całe życie. Zawsze starał się je rozdeptywać, ale właściwie różnie bywało. Zdarzyło mu się użerać z przełożonym, którego nie dało się ruszyć, a który był zwykłą świnią o mocnych plecach w postaci brata piastującego generalski stołek w sztabie głównym. Drań przeszedł na generalską emeryturę i nie udało się na nim odegrać. W czasie służby Blewa spotykał wielu sadystów wykorzystujących podległość służbową do męczenia słabszych, donosicieli piszących na kolegów epistoły wytykające ich skrzywiony światopogląd lub wydumane braki umiejętności, a wreszcie zwykłych szubrawców o złodziejskim lub szczurzym charakterze. Jakoś sobie radził, był przecież silnym mężczyzną, oficerem czerwonych beretów, a to zobowiązywało.

W czasie misji pokojowej w Bośni przyłapał jednego z sierżantów na wykorzystywaniu dwunastoletniej żebraczki, czekającej przed bramą posterunku na ochłapy, i nie zawahał się pokazać mu, że błądzi, za pomocą pięści i kopniaków twardymi wojskowymi buciorami. W Iraku to samo zrobił z wartownikiem, który upił się na służbie i pozwolił podejść pod bramę fortu obwiązanej materiałami wybuchowymi zamachowcowi. Uważał, że w niektórych wypadkach użycie przemocy jest nie tylko usprawiedliwione, ale i konieczne. Istniał po prostu pewien gatunek ludzi, do których inny rodzaj przekazu nie docierał. Rozumieli jedynie siłę, a nauczyć ich czegoś mógł wyłącznie doznany ból i strach.

Ból. Sam bardzo posmakował go jeszcze w dzieciństwie. Dziadek Blanki nie żałował pasa, wychowując syna. Był palaczem w kotłowni jednej z warszawskich fabryk, ze zmiany wracał do domu śmierdzący wódką i umazany węglowym miałem. Niczym czarny demon wpadał w szał i z byle powodu prał żonę oraz syna. Groził im śmiercią, kilka razy doprowadził żonę do utraty przytomności, dusząc ją

i waląc jej głową o ścianę lub stół. Znęcał się nad nimi aż do chwili, gdy syn zrozumiał, że ten zionący wodą potwór nie jest już nawet człowiekiem. To tylko zbiór mięśni poruszany zdegenerowanym przez alkohol mózgiem. Zniszczył więc potwora, spychając w ciemność z wysokich schodów i zostawiając, by lodowata zimowa noc dokończyła dzieła.

Od tamtej pory nie raz walczył z bestiami w ludzkich skórach, choć do przemocy posuwał się jedynie w ostateczności, gdy bezmiar popełnionych przez zwyrodnialca niegodziwości osiągał pewien graniczny poziom. Siedząc przed wyłączonym telewizorem i nasłuchując równego oddechu córki, doszedł do wniosku, że nadeszła pora, by po raz ostatni użyć swoich umiejętności, póki jeszcze dysponuje siłą i sprawnością. Musi wymierzyć karę sukinsynowi, który skrzywdził jego córkę. Zrobi to zarówno dla niej, jak i dla siebie. Męczyła go bowiem bezsilność i bierne przyglądanie się szamotaninie Blanki, która nie radziła sobie ze spadającymi na głowę niepowodzeniami.

Zło dojrzało do tego, żeby je zniszczyć. Kapitan Blewa nie wahał się ani chwili dłużej. Musiał wziąć sprawy w swoje ręce, wymagało tego dobro dziecka. Otworzył więc szafę i po cichu ubrał się w czarny strój, zapewniający swobodę, bojówki i bluzkę z długimi rękawami. W kieszenie spodni powtykał potrzebne narzędzia. Wśliznął się do pokoju córki i po raz pierwszy od lat pocałował śpiącą w czoło. Potem ruszył w pogrążone w nocy miasto.

Rozdział 4

Wtorek był słoneczny, ale już nie tak gorący. Na niebie pojawiły się chmurki i w końcu dało się oddychać. Blanka szła do pracy z przyjemnością, rozkoszując się porankiem. Dziś założyła sukienkę, przez co czuła się dziewczęco i lekko. Solidny sen przyniósł jej ulgę i spokój, przestała się nawet dręczyć wizją utraty pracy. Gdyby Kamil doprowadził do jej zwolnienia i straciłaby dochody, rychło stałaby się niewypłacalna i bank zająłby jej niespłacone mieszkanie. O pracę nie było wszak łatwo, szczególnie dla profesjonalisty w specyficznym fachu. Jako toksykolog mogła liczyć na pracę w policji lub w szpitalu, to i to było jednak zdecydowanie zbyt mało płatne, by mogła się utrzymać, jednocześnie spłacając kredyt. Tylko w jej obecnej firmie płacili całkiem nieźle.

Odetchnęła, spychając w niepamięć ponure myśli. Szła do Gen-Toksu na piechotę, przez parki i wzdłuż zatłoczonych ulic. Specjalnie wyruszyła z domu sporo wcześniej, nie budząc chrapiącego ojca, bojąc się trochę, by się nie spóźnić i nie dać Kamilowi kolejnego pretekstu do ochrzynu. Pewnie Joasia obserwuje jej godziny wyjść, czatując na każde potknięcie. Zwolnienie dyscyplinarne mogło jednak opierać się na nieprzestrzeganiu regulaminu pracy. Wywalenie na bruk bez trzymiesięcznej odprawy byłoby ostatecznym dobitkiem konkurentki. Blanka nie mogła dać zezowatej wywołce aż takiej satysfakcji.

O dziwo, dotarła na miejsce ponad pół godziny przed czasem. Skinęła wartownikowi, który tym razem odpowiedział uśmiechem, beczelnie zerkając na jej gołe łydki. No cóż, właściwie ciągle była całkiem zgrabną babką. Musiała pamiętać, by w związku z tym wysłać maila Piotrowi. Trzeba go przeprosić za odwołaną randkę i umówić kolejną.

Weszła do labu w suterenie, gdzie ze zdumieniem zastała jakiegoś chłopca siedzącego przy biurku Patryka. Malec miał może dziewięć, dziesięć lat i zajmował się graniem na telefonie. Spojrzał tylko przelotnie na intruzkę, nie kwapiąc się nawet, by powiedzieć „dzień dobry”.

– Hm, witam! – wyręczyła go Blanka. – Z kim mam przyjemność? Będziesz z nami pracował? Czemu zatem nie zabierasz się do czyszczenia pojemników na owady?

– Błeee, nie cierpię robactwa – oznajmił, z niechęcią wyłączając grę. – To pupilki taty. Przez to, że trzymał je w domu, musiał się wyprowadzić. Mama nie mogła znieść, że w lodówce wiją się popakowane w torebki i pudełeczka larwy. Któregoś razu wylazły z zamknięcia i zjadły mięso na obiad. Czy raczej nadgryzły, nieważne. To były chrząszcze obumierki, które najczęściej spotyka się na cmentarzach. Jedzą ludzkie zwłoki. Gdy tata powiedział to mamie, ta kazała mu się pakować i zabierać razem z padliną i robalami.

– Jestem Blanka. – Wyciągnęła rękę na powitanie, uśmiechając się szeroko.

– Maciek – powiedział chłopiec i odpowiedział uśmiechem.

Był podobny do ojca, ale znacznie ładniejszy i wdzięczniejszy. Może z racji wieku i łagodniejszych rysów twarzy, które być może odziedziczył po matce. W każdym razie okazał się kontaktowym i gadatliwym chłopcem, który rychło zainteresował się bateriami próbowek, automatycznymi pipetami i mieszadłem magnetycznym, czyli sprzętem używanym na co dzień przez Blanę.

Pokazała mu, jak dozuje się pipetą, i pozwoliła pobawić się nią i kolorowymi eppendorfkami, popularnymi w labach jednorazowymi fiolkami. Przyglądając się chłopcu, ze wstydem skonstatowała, że właściwie nie raczyła należycie zapoznać się ze współpracownikiem i właściwie nic nie wie o Patryku prócz tego, że jest pasjonatem owadów i lubi dziwną muzykę. Okazało się tymczasem, że ma rodzinę, w dodatku jest ojcem, co nieco ją zaskoczyło.

– Tata zaraz przyjdzie – powiedział Maciek, odkręcając jedną z butelek z odczynnikami.

Powąchał jej zawartość i wykrzywił się z obrzydzenia. Blanka wyjęła mu ją z rąk i pogroziła palcem. Wcześniej wspomniała, żeby nie dotykał chemikaliów. Część z nich była toksyczna, niektóre żrące.

– Wczoraj zaczęły się wakacje. Wyjeżdżam na kolonie, ojciec odwiezie mnie na miejsce zbiórki. Miał tylko jeszcze wpaść do mechanika, bo jego smok coś niedomaga. Olej mu cieknie czy coś tam – wyjaśnił chłopak, odstawiając butelki, ale nie spuszczaając z nich oka. Wyraźnie przyciągały go etykiety oznaczone trupimi czaszkami. – Mam nadzieję, że zdąży, bo autokar odjeżdża za godzinę. Będzie siara, jak cała ekipa utkwii w oczekiwaniu na spóźnionego Ulatowskiego. No i mama znów staruszka zjedzie. I tak już nawet nie pozwala mu wejść do mieszkania, musi mnie odbierać z klatki schodowej i na nią odstawiać.

– To przykre – bąknęła Blanka, uświadomiwszy sobie, że nie tylko ona ma osobiste problemy.

– Strasznie się pozarli, mówię pani – dodał Maciek. – Od Gwiazdki tata z nią nie rozmawia. Mieli już rozprawę w sądzie. Z jednej strony trochę słabo, że jestem synem rozwodników, ale z drugiej może być ciekawie. Raz tu, raz tam. Prezenty to od jednego, to od drugiego...

– Hej, nieładnie tak mówić. – Blanka zmarszczyła brwi. – To wcale nie jest zabawne stać się obiektem walki rodziców, powodem do ich rywalizacji.

– Wiem – odparł ponurym tonem. – Oho, chyba słyszę ojca.

Na korytarzu rozległy się jakieś podniesione głosy, w tym Patryka. Po chwili wielkolud wpadł do labu i zatrzęsął z hukiem drzwi.

– Co za ludzie! Ten gruby cymbał w brudnym kombinezonie, jak mu tam?

– Pan Czesio – rzuciła Blanka.

– Naopowiadał, jakie to wspaniałe larwy i muchy trzymam w pracowni, i teraz kolejny dureń nęka mnie o przynętę na ryby. Czy każdy w tej firmie jest wędkarzem, czy co? Teraz męczył mnie ten drugi fizyczny, magazynier.

– Krzyś – podsunęła Blanka.

Patryk westchnął, wyraźnie zirytowany. Blanka już wcześniej zdążyła się zorientować, że entomolog traktuje swoje eksperymentalne i badawcze hodowle bardzo poważnie. Z pewnością nie pozwoliłby nikomu bawić się swoimi owadami.

– Widzę, że się poznaliście – zauważył już uspokojony. – Mam nadzieję, że przyprowadzanie dzieci do laboratorium nie jest jakimś straszliwym pogwałceniem regulaminu?

– Ależ jest – odparła z uśmiechem Blanka. – Nikt się jednak nie dowie. Zabierajcie się już może, co? Autokar niedługo odjedzie.

– Racja! – przyznał Maciek.

Wymykanie się z firmy w czasie godzin pracy też nie należało do czynów tolerowanych, ale Patryk jako nowy może się zasłaniać nieznajomością surowych regulaminów. Zresztą uwaga Joasi z pewnością nie była skupiona na nim, ale na Blance. Ta zatem wyprawiła obu w drogę i w końcu usiadła do komputera, by w spokoju sprawdzić pocztę. Z niezadowoleniem znalazła maila od Kamila, na szczęście nieoznakowanego jako pilny.

Cześć.

Jutro wyjeżdżam z Joasią na konferencję do Kazimierza. Wracamy w czwartek. Czy mogłabyś do tego

czasu zabrać z domu swoje rzeczy? Joasia zapakowała je w pudła, które stoją w korytarzu na dole. Zdaje się, że masz klucze. Po zamknięciu drzwi zostaw je, proszę, w donicy na werandzie. Dziękuję.

K.

Dał jej zatem całe dwa dni na przewiezienie rzeczy, łaskawca. Na szczęście nie było tego dużo, bo dom był ledwie ukończony i zdążyła przewieźć tam raptem trochę książek, robocze ciuchy do prac porządkowych i szlafrok. Sama myśl, że dotykała tych rzeczy przeklęta na wieki Joasia, działał jej jednak na nerwy. Ale humor szybko wrócił Blance do dawnego poziomu, gdy uświadomiła sobie, że przez całe dwa dni nie będzie szefostwa, zatem miała spokój od szczucia i szukania na nią haków.

Wstępny raport oddany, mogła się więc skupić na zamówieniu nowych wzorców trucizn, które zaginęły z magazynu, a potem porobić nastrzyki z próbek owadów przygotowanych przez Patryka. Zarzuciła więc fartuch, włączyła miniwieżę, tym razem podłączając do niej pendrive'a z ostatnią płytą Daft Punk, i zajęła się przygotowywaniem roztworów. Potem powędrowała z próbkami na górę, by skorzystać ze spektrometru MS sprzężonego z chromatografem gazowym. Jej pozytywny nastrój musiał oddziaływać także na innych, bo dziewczyny z analityki przywitały ją bez wrogości, a nawet same zaczęły zagadywać. Choć może to skutek tego, że nie było kierownika oraz jego harpii i nie musiały się bać?

Patryk zdążył dowieźć syna na czas i wyekspediować go na wakacje. Zmieniając podłoża larwom, czemu towarzyszył dość przykry zapach psującego się mięsa, zwierzył się Blance, że od jakiegoś czasu ma ochotę zamordować matkę Maćka. Żona entomologa tak jak on skończyła weterynarię, ale specjalizowała się w małych zwierzętach. Razem z przyjaciółką, taką samą jak ona wredną suką, prowadziła przychodnię weterynaryjną na Ursynowie. W małżeństwie początkowo im się układało, ale z czasem zaczęło się psuć. Jolka była wycacaną lalą oczekującą, że jej mężczyzna będzie opiekuńczym, ale i dominującym samcem alfa, który przynosi do domu liczne łupy. Znacząco dużo zarabia, najlepiej jako szef kliniki wete lub coś takiego. Skromny, roztrzepany naukowiec skupiony na swoich badaniach kompletnie nie pasował jej do roli wymarzonego męża.

– W końcu na szkoleniu w Orzyszu poznała przystojnego chirurga, obiecującego specjalistę od stawów kolanowych psów. – Patryk kończył tę porcję zwierzeń. – Z dnia na dzień stałem się zbędny, a właściwie niewygodny. Zaczęły się awantury, których głównym motywem były moje hodowle. To one niby są przyczyną rozpadu małżeństwa, a raczej moje zbytne upodobanie do owadów. Rozwód będzie zasądzony wyłącznie z mojej winy. To, że od miesiący spotyka się i sypia z kolesiem od psych łap, nie ma oczywiście żadnego znaczenia. Jeśli nie chcę stracić syna, muszę zgodzić się na jej warunki. Sądy zwykle stają po stronie matek i jeśli będę fikał, Jolka doprowadzi do tego, że zabronią mi kontaktów z dzieckiem. Zrobi ze mnie nieczułego wariata, skupionego na muchach zamiast na rodzinie.

Blanka w jednej chwili poczuła sympatię do wielkoluda. Już nie był upierdliwcem, który jest narzędziem służącym do jej ponizania, ale stał się kolegą z pracy. Należało mu się wsparcie i solidarność, oboje znaleźli się w trochę podobnej sytuacji. To zbliżało. I tak jakoś zupełnie naturalnie poprosiła go, by po pracy zawiózł ją pod Warszawę, do domu Kamila. Musiała zabrać z ich niedoszłego gniazdka swoje rzeczy. Zgodził się bez zastanowienia. Obecnie cała jego aktywność sprowadzała się do siedzenia do późna w labie, bo poza owadami właściwie nie miał prywatnego życia. Z przyjemnością zatem poświęci jedno popołudnie na pomoc koleżance w przeprowadzce.

Jego smok po spotkaniu z mechanikiem odzyskał sprawność i bez grymaszenia przewiózł ich przez miasto. Wydostali się na trasę prowadzącą do Sochaczewa, minęli Babice i skręcili w kierunku lasu. Domek znajdował się na skraju wsi leżącej w otulinie Puszczy Kampinoskiej, w zaskakująco spokojnym miejscu jak na taką bliskość stolicy. Patryk zatrzymał terenówkę przed bramą i od razu skierował się na pobliską łąkę, by poobserwować bezkręgowce, które na niej żyły.

Blanka pomknęła po wybrukowanym granitową kostką typu „melanz” podjeździe, wbiegła po schodach z antypoślizgowej ceramiki i przekręciła klucz w drzwiach z dębu kanadyjskiego. W tym czasie Patryk padł na kolana, bo znalazł śliczną gąsienicę motyla. Wyciągnął z kieszeni lupę i zastanawiał się właśnie, w który to z ponad trzech tysięcy gatunków motyli występujących w Polsce przepoczwarzy się to stworzenie. Wtedy usłyszał przeraźliwy krzyk. Poderwał się na równe nogi, spoglądając w kierunku domu kierownika.

Blanka wyszła tyłem ze środka. Odwróciła się do kolegi z pobladłą i wykrzywioną grozą twarzą.

– Chodź tu szybko – powiedziała. – Musisz to zobaczyć.

* * *

Joasia siedziała w korytarzu na podłodze, opierając się plecami o dwa tekturowe pudła. Głowę miała odchyloną w tył, a w jej zmasakrowanej szyi ziała okropna rana. Całą jasną sukienkę zezowatej dziewczyny pokrywała zaschnięta krew. Materiał oblepił jej piersi, duże i młodzieńczo jędrne, co Blanka zauważyła trochę wbrew sobie. Bardziej zapamiętała, że jej martwa już konkurentka nie nosiła stanika niż wyraz jej twarzy.

Patryk, minawszy koleżankę, pochylił się nad zabitą, przyglądając się jej z uwagą. Kroki stawiał ostrożnie, patrząc pod nogi. Wyraźnie starał się uważać, by nie zdeptać śladów. Blanka nie miała do tego głowy, była zbyt wstrząśnięta. Przyglądała się chwilę zabitej, a potem szybko przeszła do głównego salonu. Zatrzymała się w wejściu i jęknęła ze zgrozy.

– Hej! Nie łaź tam sama! – odezwał się Patryk. – O cholera. Wyjdź stąd lepiej!

Blanka zachwiała się i omal nie przewróciła. Entomolog jednak w porę ją podtrzymał. Oboje patrzyli na leżącego z rozrzuconymi rękoma Kamila. Niedawny partner Blanki ubrany był w rozerwaną na piersi i podziurawioną kulami pidżamę. Twarz miał okrwawioną i poranioną.

– Zabójca przyszedł późnym wieczorem, dokładną godzinę szybko ustali patolog. Nasz udział jest tym razem zbędny – stwierdził rzeczowo Patryk. – Wyjdź stąd i zadzwoń na policję. Albo nie, lepiej ja to zrobię. Mam numer do aspiranta Orzechowskiego, wezwiemy zatem od razu dochodzeniówkę.

Blanka pokręciła przecząco głową, nie mogąc oderwać spojrzenia od Kamila. Czuła, że na więcej ruchów i tak się nie zdobędzie. Jeszcze chwila i zemdleje. Jej niedawny kochanek patrzył na nią nieruchomym mętnym spojrzeniem. Wiązał ją w ten sposób, hipnotyzował. Jego wykrzywiona, zmasakrowana twarz przyciągała jej wzrok z niedającą się powstrzymać siłą. I krew, wszędzie krew. To wszystko wyglądało nierzeczywiście, jak senny koszmar. Przecież takie rzeczy się nie zdarzają! Jeszcze niedawno z nim rozmawiała, kilka tygodni temu kochali się i przytulali. Potem, co prawda, ją porzucił i próbował zniszczyć, ale nie zasłużył na coś tak okropnego.

– Hej! Wszystko w porządku? Mam z tobą wyjść? – Patryk stanął przed nią, zasłaniając zwłoki. Położył dłonie na jej ramionach.

– Nie trzeba – wydusiła z wysiłkiem. Słowa nie chciały przejść przez zaciśnięte gardło. – A ty czemu tu chcesz zostać?

– Poszukam owadów – odparł. – Dużo krwi, a las w pobliżu. Musiała tu przylecieć masa muchówek. Wiesz, że niektóre z nich są tak czułe, że przybywają na miejsce zbrodni jeszcze w czasie agonii ofiary, gotowe do składania jajeczek? Ech, chyba nie powinienem tym razem. Przepraszam, chodźmy stąd lepiej.

– Dobra już. – Odsunęła się, uwalniając z objęć kolegi. – Jestem profesjonalistką, nic mi nie jest. Po prostu przeżyłam z tym facetem szmat czasu. Trudno jest, po zastaniu go w takim stanie, przejść nad tym bez emocji. A co do owadów, to po twarzy pełza mu coś obrzydliwego.

Patryk natychmiast doskoczył do nieboszczyka, wyciągając z kieszeni lupę. Zagwizdał z podziwem.

– Masz dobre oko! To coś bardzo ciekawego! Duża larwa, jakieś dziesięć milimetrów długości. Bardzo ciekawe i bardzo dziwne – oznajmił entuzjastycznie.

– Doprawdy? – mruknęła.

Robiło się coraz bardziej nieprzyjemnie, bo szok zaczął Blance mijać i do jej świadomości docierały bodźce, których wcześniej nie zarejestrowała. Po pierwsze, w powietrzu unosił się paskudny zapach śmierci, krwi i strachu. Po drugie, słyszała brzęczenie much, co w tych okolicznościach było nieznośne. Wszystko zaczęło ją swędzieć. Zrobiła kilka kroków w tył, ale ciągle patrzyła na zmarłego i pochylonego nad nim kolegę.

– Chodź tu, malutki – mruknął Patryk, palcami zdejmując owada z ust Kamila. – Skądś się tu wziął?

Widok wijącej się wielkiej larwy w dłoni entomologa był dla Blanki czymś, co przepełniło szalę. Odwróciła się na pięcie i zatykając dłonią usta, rzuciła się biegiem do drzwi. Przeskoczyła obok leżącej niczym popsuta lalka Joasi i wypadła na zewnątrz. Zdołała dobiec do najbliższych krzaków, gdy jej zołądek nie wytrzymał.

* * *

Wieczorny wiatr, przyjemnie chłodny i odświeżający, uspokajająco szumiał w koronach drzew. Blanka siedziała na werandzie, przy drewnianym stoliku, który kiedyś sama wyszukała na targu staroci. Planowała, że w letnie dni razem z Kamilem będą tu wypijali poranną kawę lub wieczornego drinka, patrząc na słońce i słuchając wiatru, świerszczy i innych głosów puszczy. Zamiast tego popijała wodę z butelki podanej przez jednego z policjantów i słuchała rozmów funkcjonariuszy badających miejsce zbrodni.

Dawali jej spokój, dopóki na miejsce nie przyjechał aspirant Orzechowski wraz z prokuratorem i oficerem śledczym. Cała trójka przyszła do Blanki w towarzystwie Patryka i to on dokonał krótkiej prezentacji.

– Pan prokurator Andrzej Kłępa. – Wskazał na eleganta w garniturze, noszącego okulary w cienkich oprawkach. Mężczyzna sprawiał wrażenie energicznego i wysportowanego, był starannie uczesany w modną fryzurę z uniesioną grzywką, do tego nosił wypielęgnowaną bródkę. Patrzył bystro i uważnie, natychmiast uklonił się grzecznie i podał Blance dłoń.

– Komisarz Krystian Leda, który będzie prowadził śledztwo. – Patryk wskazał kolejnego przybysza, noszącego się po cywilnemu grubasa z wąsami. Gliniarz uśmiechnął się, prezentując pozółtkłe zęby, i skinął Blance głową. Ubrany był w pogniecioną koszulę i od lat niemodną marynarkę. Przerzedzone włosy miał przetłuszczone, do tego czesał się z przedziałkiem.

– Aspiranta Orzechowskiego już znasz. – Na koniec Patryk skinął na wiecznie znudzonego mężczyznę o właściwie całkiem niebrzydkiej, ale smutnej twarzy. Tym razem policjant ubrany był w mundur, choć czapkę gdzieś zostawił.

Kłępa spytał, czy może się dosiąść, po czym wybrał krzesło dla siebie, a ostatnie wolne wskazał komisarzowi. Patryk i Orzechowski musieli stać, ten drugi zresztą natychmiast oddalił się między krzewy, by zapalić papierosa.

– Biegły sądowy, doktor Ulatowski, już nam o pani opowiedział. Proszę przyjąć moje kondolencje – zaczął prokurator. – Choć właściwie zdaje się, nie byliście już parą ze zmarłym, przepraszam, zapomniałem nazwiska...

– Kamilem Nachowiakiem – dokończyła Blanka. – Nie byliśmy. Zostawił mnie dla tej dziewczyny, która leży w korytarzu, opierając się o pudła z moimi rzeczami. Właśnie przyjechałam je zabrać.

– Śliczną panienkę wybrał sobie pan profesor Nachowiak – wtrącił komisarz Leda. – To musiało być

bolesne. Zostać porzuconą dla młodej, atrakcyjnej laleczki.

– Joasia była jego sekretarką. To historia stara jak świat. Stary cap rzuca kobietę, z którą był od lat, i wiąże się z młodszą. Podstarzali menedżerowie oczywiście wybierają swoje asystentki. I owszem, nie należało to do najprzyjemniejszych wydarzeń, które mnie w życiu spotkały. Poza tym Kamil nie był profesorem, lecz doktorem habilitowanym.

– Tak, z pewnością – przyznał Leda. – Trudno się połapać w tych naukowych stopniach. Dla mnie wszyscy jajogłowi to profesory. Zatem nie życzyła im pani dobrze?

– Nie, nie życzyłam – odparła coraz bardziej poirytowana Blanka.

Ta rozmowa szybko zaczęła przypominać przesłuchanie, i to z nią w roli podejrzanej. Chyba Patryk też się zorientował, że robi się wściekła, bo próbował coś powiedzieć, ale prokurator go ubiegł.

– Zostawmy teraz to, czy pani lubiła kochankę swojego byłego partnera, czy nie. To nieistotne – oznajmił. – Zdaje się, że nie byliście małżeństwem z doktorem Nachowiakiem?

– Żyliśmy w konkubinacie – odparła.

– Bez umów dotyczących majątku? No tak, raczej bez, przecież nikt tego nie robi – sam przyznał. – Kto zatem odziedziczy ten dom?

– Należał do Kamila i został zbudowany wyłącznie za jego pieniądze – oznajmiła Blanka po chwili namysłu. – Nigdy nie łączyliśmy wydatków, prowadziliśmy oddzielne finanse. Wie pan, Kamil był bardzo czuły na tym punkcie, ale to nie było najważniejsze. Chodziło właściwie o kredyt, który wzięłam w innym banku. To skomplikowane... Przez to wszystko dom dziedziczy jego rodzina, zdaje się, że będzie to młodszy brat. Mieszka w Szczecinie, jest dentystą.

– Mhm – przytaknął prokurator i natychmiast to sobie zanotował. – Czy pan doktor Nachowiak był ubezpieczony? Miał wykupioną polisę na życie?

– Nic mi o tym nie wiadomo. Miał polisę zdrowotną, obejmującą wypadek śmierci, ale czy ja wiem... Och, rozumiem, do czego pan zmierza. Tak, w tej polisie byłam wskazana jako osoba, której wypłacane jest świadczenie w razie jego śmierci. Chyba że zdążył to zmienić...

– Ale jeśli nie zdążył, zostanie pani wsparta dość okągłą sumką. – Komisarz Leda uśmiechnął się niezbyt przychylnie. – Dyrektor z dobrej firmy pewnie był odpowiednio ubezpieczony, prawda? Na dwieście, trzysta tysięcy?

Blanka przełknęła ślinę, czując rosnący strach. Nie podobało się jej, do czego zmierza ta rozmowa.

– Panowie, to chyba nie wypada. W takiej chwili – bąknął Patryk. – Pani Blewa jest jeszcze w szoku. Przyznacie, że to, co można zobaczyć w tym domu, robi wstrząsające wrażenie.

– Oczywiście – przyznał prokurator. – My jednak tylko ustalamy fakty. Chyba lepiej będzie to zrobić tu i teraz, zamiast ciągać panią po komisariatach albo nawiedzać w domu. A właściwie, gdzie pani mieszka? Skoro doktor Nachowiak rozstał się z panią i przygotował rzeczy do zabrania, to pewnie ma już pani inne lokum?

– Tak. W tym domu zresztą nigdy nie mieszkałam, nie zdążyliśmy się przeprowadzić przed ostatecznym zakończeniem budowy – odparła, starając się uważać na słowa, by nie palnąć czegoś podejrzanego. – Mieszkaliśmy z Kamilem u mnie, w kawalerce na Woli. Mieliśmy się tu przeprowadzić latem, wtedy sprzedałabym tamto mieszkanie. Ciągle mam za nie niespłacony kredyt, o którym wcześniej wspomniałam.

– Pewnie ubezpieczenie na życie Nachowiaka pokryje hipotekę? – rzucił Leda, paskudnie się uśmiechając pod wąsem.

Blanka spojrzała na niego z niechęcią, a właściwie z jawną wrogością. Nie zamierzała już dłużej pozować na pokorną i słabą kobietkę. Wąsaty grubas zwyczajnie ją wnerwiał. Co ma znaczyć to impertynenckie sugerowanie, że Blanka dorobi się na śmierci byłego kochanka?

– Ubiegły wieczór i noc spędziła pani w swoim warszawskim mieszkaniu? – spytał prokurator.

– Niezupełnie. Ostatnio włamano się do mnie i na czas naprawy drzwi zamieszkałam u ojca, na Bemowie. Spałam u niego.

– Pani ojciec może potwierdzić, że noc spędziła pani w jego mieszkaniu?

– Tak, oczywiście.

W końcu śledczy jej podziękowali i wrócili do wnętrza domu porozmawiać z technikami kryminalistycznymi, którzy kończyli zabezpieczać ślady, fotografować i mierzyć miejsce zbrodni. Patryk poszedł za nimi, wyraźnie ciekawy. Blanka cierpliwie czekała, aż kolega zorientuje się, że pora odwieźć ją do miasta. Czas mijał. Powoli zbliżała się noc, świerszcze i żaby hałasowały na całego, a słońce opuściło się już za linię drzew. Wreszcie entomolog przypomniał sobie o koleżance i przybiegł do niej, czochrając się po głowie.

– Wybacz mój brak delikatności – wypalił skonfundowany. – Z pewnością ciągle jesteś wstrząśnięta i wolałabyś jak najszybciej opuścić to miejsce. Czemu od razu o tym nie pomyślałem! Jestem czasem taki roztargniony. Najlepiej mną potrząsnąć, można też kopnąć, bym oprzytomniał.

– Zdaje się, że jesteś typem, który traci kontakt ze światem, w chwili gdy coś go zainteresuje. Już zdążyłam to zauważyć i przyjąć do wiadomości – uspokoiła kolegę.

– Zgadza się. Moją żonę doprowadza to do szału. Och, właściwie moją byłą żonę i już nie doprowadza, a doprowadzało – odparł z uśmiechem. – Czasem bała się zostawić mnie z małym Maćkiem, żebym nie zapomniał o dziecku i nie zajął się swoją robotą. Jestem durniem, a może właściwie wariatem. Pocięszam się tylko, że ponoć takie zachowanie jest typowe dla wybitnych umysłów, mistrzów w swoich dziedzinach.

– Jasne – przytaknęła Blanka, ruszając do samochodu.

Kiedy wsiadła, Patryk jeszcze chwilę przewalał jakieś rupiecie w bagażniku. W końcu też się usadowił, w rękę trzymając pudełko na okazy. Pokazał zdobycz Blance.

– To ta larwa, którą dostrzegłaś na Kamilu – wyjaśnił. – Musiałem ją przełożyć do pudełka. Odwiozę cię do domu, a potem wpadnę do firmy. Muszę jak najszybciej umieścić znalezisko w terrarium z pożywką. Wychodujemy sobie ten okaz, poczekamy, aż się przepoczwarzy, dzięki czemu będę mógł określić, jaki to właściwie owad.

– Czemu aż tak bardzo cię zaintrygował? – spytała bardziej przez grzeczność niż z ciekawości. Ciągle bowiem miała przed oczami zmasakrowanego Kamila i nie mogła za bardzo skupić się na czym innym.

– Jest wielka, ma jakieś kilka dni – odparł. – Owady dobrały się do ciał raptem kilkanaście godzin temu. Zdążyły tylko złożyć jajeczka w otwartych ranach, larwy się z nich jeszcze nie wykluły. Skąd się zatem wziął ten okaz? W dodatku tylko jeden? To będzie jakaś duża mucha, hm...

– Przypełzł? – rzuciła.

– Skąd? Larwy kręcą się tylko w miejscu, w którym się wykluły, i jedzą jak najwięcej. Nie wędrują w poszukiwaniu żywności, bo nie muszą. Jaja są składane wyłącznie w miejscach z pożywką. W zgniłych liściach, odchodach, padlinie...

– Aha. Może zatem coś ją przyniosło?

– Najwidoczniej. Tylko co? W jaki sposób larwa przywędrowała do tego domu? – zastanawiał się Patryk, uruchamiając samochód.

Już po chwili kołysali się na dziurawej wiejskiej drodze, by w końcu wyjechać na trasę. Blanka odetchnęła z ulgą. Chciała jak najszybciej wyrzucić z głowy to, co widziała, zapomnieć o tym koszmarze. Niestety, nie była w stanie. Ciągle czuła krew, w piersi cisnęła ją groza, momentami wręcz zapierająca oddech. Nie wytrzymała i spytała Patryka, co ustalili policjanci, co właściwie zaszło.

– To się stało późnym wieczorem, gdzieś około dwudziestej trzeciej. Kamil był już w pidżamie, Joasia

jeszcze krzątała się w kuchni. Ktoś zadzwonił lub zapukał do drzwi. Dziewczyna otworzyła. Może czuła się bezpieczna lub знаła napastnika? Wszedł do środka, dziewczyna cofnęła się w głąb korytarza, ciągle stojąc przodem do intruza. Możliwe, że wyciągnął broń i mierzył do niej od wejścia, dlatego się cofnęła. Wystrzelił jeden raz, trafiając ją w gardło. Skonała w parę chwil w miejscu, w którym upadła. Morderca nie poświęcił jej więcej uwagi, w salonie dopadł Kamila. Bił go po twarzy jakimś twardym przedmiotem. Może w gniewie, może od początku zamierzał wymierzyć mu karę lub uzyskać od niego informacje, na przykład o miejscu przechowywania kosztowności lub kodów pin do kart bankomatowych, możemy jedynie zgadywać. Przesłuchanie nie trwało długo, bandzior dostał to, co chciał, lub po prostu zrezygnował. Wypalił Kamilowi dwa razy w pierś, niemal przystawiając lufę do ciała.

– Skąd tam tyle krwi?

– Pociski przeszły na wylot, wrywając w plecach ofiary duże dziury i rozrzucając krew oraz tkankę na ściany. Rana Joasi też była straszna. Od razu wiadomo, że zabójca posługiwał się dobrej jakości bronią, z pewnością nie żadnym samopalem.

– Przyszedł z myślą, by ich zabić? To nie był zwykły napad rabunkowy, ale wyrok wykonany przez zawodowca? – spytała, czując, że groza zaczyna się nasilać.

– Trudno powiedzieć. – Patryk wzruszył ramionami. – Na razie nie wiadomo, czy właściwie coś zginęło. Radzę ci, byś przestała o tym myśleć. Zadręczanie się i zastanawianie nic nie da, lepiej zostawić tę robotę policji.

– Łatwo ci powiedzieć. – Westchnęła. – Przecież gdyby Kamil mnie nie porzucił i nie wymienił na młodszą, to właśnie ja leżałabym w korytarzu z niemal oderwaną głową.

Patryk nie odpowiedział, bo trudno było się nie zgodzić. Blanka wbiła ponure spojrzenie w okno. Wjeżdżali właśnie na obwodnicę pełną pędzących samochodów. Przed nimi nocne niebo jaśniało nad Warszawą łuną świateł. Mroczna wioska ze swą krwawą tajemnicą została gdzieś z tyłu. W ciemności.

Rozdział 5

Nie udało się jej wszystkiego opowiedzieć ojcu, bo nie zastała go w domu. Trening o tak późnej porze był trochę dziwny, ale Blance nie przychodził do głowy inny powód zniknięcia staruszka. Przecież jego życie prywatne od śmierci matki niemal nie istniało. Choć były szanse, że spotkał się dziś wieczór z emerytowanymi kolegami. Raz na kilka miesięcy umawiali się w kantine oficerskiej przy Filtrowej, wojskowej knajpie ukrytej dyskretnie na tyłach starego biurowca należącego do MON-u. Korzystając z przywilejów starych wojaków, siedzieli tam długo po zamknięciu, pijąc i gadając. Nawet nie wszyscy grzali wódkę, niejeden z oficerów ze względów zdrowotnych musiał się ograniczyć do ciepłej herbaty.

Blanka nie martwiła się zatem o ojca, zresztą trudno się martwić o byłego czerwonego bereta, który ciągle trzymał formę i zawsze unikał kłopotów. Wzięła prysznic i wskoczyła do łóżka, starając się nie myśleć o koszmarze. Jednak i tak przez całą noc przewalała się z boku na bok, dręczona niespokojnymi snami i strachem. Rankiem wstała zmęczona i psychicznie wyczerpana, jakby przez całą noc zmagala się ze zmorami.

Ojciec spał jak zabity, nie ruszył się nawet, gdy stuknęła kubkami w kuchni, robiąc kawę. W końcu pomknęła do firmy, z niepokojem, ale i ciekawością. Co teraz będzie z ich działem? Wszak niespodziewanie stracili szefa. Czy właściwie policja pofatygowała się już, by poinformować o tym zarząd? Było jednak za wcześnie, nikt nie wiedział o tym, co zaszło, ludzie zachowywali się normalnie, co sprawdziła, udając się i do analityki, i do jadalni, gdzie zwykle huczało od plotek. Blanka obserwowała załogę, ale nikt nie sprawiał wrażenia choćby trochę podnieconego. Patusia i Basia przywitały się z nią i nawet zamieniły kilka słów, upewniwszy się wcześniej, że nikt ich nie widzi. Znaczyło to, że ciągle boją się kierownika. Pociuszająca za to w ich zachowaniu była troska i współczucie. Darowały już Blance to, że była nałożnicą szefa i bezczelnie swoją pozycję wykorzystywała. Teraz stała się jedną z nich, pokrzywdzoną przez los i wrednych samców ofiarą, której należy się choćby odrobina wsparcia i ciepłe słowo. Patusia nawet zaproponowała, że zrobi jej dobrej herbaty, którą przywiozła z wakacji na Cejlonie. To był gest wręcz przyjacielski. Blanka podziękowała, nagle wzruszona odrobiną ciepła, którego właściwie nigdy nie zaznała od koleżanek z pracy.

Romek Suwiński za to już nie udawał przychylności, widocznie nie spodziewał się żadnych profitów z tej znajomości. Udawał, że nie dostrzega koleżanki, zajęty rozmową z grubym informatykiem Markiem. Nie wiadomo, czy się autentycznie przyjaźnili, czy Romek grał, by zdobyć jego przychylność. To zresztą nie miało dla Blanki specjalnego znaczenia, nieustanne towarzyskie roszady i zagrywki nigdy jej nie pociągały. Wróciła na dół, do lochu, tam, gdzie nadal było jej miejsce.

Patryk zachowywał się, jakby wczorajszego wieczoru nie zaszło nic specjalnego. Starannie wymieniał podkłady w pojemnikach, w których hodował owady, nucąc przy tym pod nosem w takt zupełnie do niego nieprzystającej muzyki techno, która znów leciała z głośników miniwieży. Blanka nie podchodziła do kolegi, po pierwsze, by mu nie przeszkadzać, a po drugie, żeby nie musieć wachać smrodów i oglądać wijących się larw.

– Cholera, coś mi się nie zgadza – oznajmił nagle. – Przystawiałaś klatki?

– Oszalałeś? Miałabym z własnej woli dotykać twoich pełzających i bzyczących skarbów? – odparła. –

Czegoś nie możesz znaleźć?

– Nie zgadza mi się numeracja. Pudełka zawsze układałam zgodnie z kodowaniem eksperymentów, żeby zawsze łatwo odnaleźć to, co trzeba. A tu nagle coś mi nie pasuje. Ech, chyba jednak się zgadza! Sam musiałem to przestawić. Wczoraj wieczorem przyjechałem z tą larwą i zabrałem się do roboty, będąc ledwo żywy ze zmęczenia. Przepraszam za zawracanie głowy.

Blanka wzruszyła ramionami i wróciła do pracy. Wypełniała akurat kolejne sprawozdanie z analiz, gdy przyszedł nowy mail, błyskając czerwoną chorągiewką pilnego powiadomienia. Otworzyła go, czując jednocześnie ciekawość i niepokój. W dodatku od razu zauważyła, że wiadomość wysłała pani Bożenka, asystentka zarządu.

– Oj, chyba się zaczyna – powiedziała głośno. – Mam za pół godziny stawić się na rozmowie u Malinowieckiego.

– To jakiś dyrektor?

– Menedżer wyższego szczebla, wiceprezes i szef pionu badań czy czegoś tam. Nie śledzę dokładnie, bo na stołkach na górze często następuje „nieoczekiwana zmiana miejsc”, aż trudno nadążyć. Zresztą teraz i tak miały być kolejne zmiany, diabli wiedzą, jaki teraz ten goguś ma tytuł. Tak czy inaczej, zasiada w zarządzie.

– Piękny i młody półbóg czy raczej stary, znudzony życiem satrapa? – spytał Patryk, nie przerywając obsługiwania swoich owadów.

– Coś pomiędzy – burknęła Blanka, przypominając sobie wieści zasłyszane od Romka. Ponoć wiceprezes został niedawno przyłapany w ubikacji z księgową, w pozycji jednoznacznej. Nie podzieliła się jednak tą plotką z Patrykiem, była zbyt niesmaczna. – Facet ma po pięćdziesiątce, ale jest bardzo zadbany. Elegancki bywalec salonów odnowy i klubów treningowych. Trochę o aparycji Blake’a Carringtona z *Dynastii*, tyle że bardziej energiczny, szczuplejszy i mniej sztywny.

– Podstarzały playboy – podsumował Patryk.

– Zupełnie inny niż profesorowie i dyrektorzy z państwowych instytutów, szefowie, z którymi dotychczas miałeś do czynienia. Tamci są jeszcze z innej epoki, zapleśniałe, postkomunistyczne dziadki rozpaczliwie trzymające się stołków. Malinowiecki jest na wskroś nowoczesny. Światowiec, korporacyjny menedżer czerpiący wzorce z zupełnie innej półki niż akademicy w niemodnych garniturach.

– Rozumiem. Z pewnością spodobałby się mojej Joli. – Entomolog się uśmiechnął. – Pewnie koleś lubi dużo młodsze panie, prawda? Musisz się mieć na baczności. Chyba że zamierzasz kontynuować karierę, korzystając z wszelkich dostępnych metod, łącznie z urokiem osobistym? Zatem leć do łazienki zrobić się na bóstwo, masz mało czasu!

Rzuciła w niego długopisem, który akurat trzymała w ręku. Roześmiał się, a ona pogroziła mu palcem. Sama jednak też nie mogła powstrzymać rozbawienia. Wyobraziła sobie, że jest nałożnicą kolejnego szefa, tym razem stojącego wyżej niż Kamil. To było tak absurdalne i nieprzystające do tego, co czuła, że musiała parsknąć śmiechem. Przy okazji obiecała sobie, że już nigdy nie zwiąże się z kimś podobnym Kamilowi, z własnym przełożonym, w dodatku pozbawionym skrupułów, ambitnym draniem.

* * *

Malinowiecki czekał na nią w swoim gabinecie, i to nie sam. Na fotelu obok, pochylony nad tabletem, siedział Eugeniusz Idzik, prezes i założyciel Gen-Toksu. Szef szefów z zawodu był lekarzem neurologiem, ale praktykę porzucił dla własnej firmy już lata temu. Dobiegający sześćdziesiątki szpakowaty jegomość

z brzuskiem nie wyglądał na rekina biznesu, ale raczej na jowialnego, sympatycznego kierowcę taksówki lub pana z mięsnego. Przynajmniej tak zawsze kojarzył się Blance. Dygnęła przed nim grzecznie, a on uśmiechnął się i wstał, by podać jej rękę. To samo, z pewnym ociąganiem, zrobił Malinowiecki. Po chwili nawet wyszedł zza biurka i podsunął przybyłej krzesło. Usiadła, coraz bardziej speszona.

– Mieliśmy dziś wizytę policji – oznajmił pan Gienio, jak żartobliwie nazywała prezesa załoga. – Właściwie nie policji, lecz prokuratury. Pofatygował się do nas niejaki Kłępa, zastępca prokuratora rejonowego skądś tam. Wiesz, w jakiej sprawie, bo to ponoć ty znalazłaś ciała. Hm... Śmierć Kamila to wielka strata dla nas wszystkich, z której długo nie będziemy się mogli otrząsnąć. Wybitny fachowiec, wielce zasłużony dla firmy, dobry kolega i tak dalej. Naprawdę bardzo wszystkim przykro, że stało się coś takiego, ale, jak to mówią, *show must go on*. Karawana idzie dalej...

– Toksykologia prowadzi kilka ważnych projektów, można powiedzieć, że strategicznych dla całej firmy. Nie wolno nam ich przerwać ani dopuścić do opóźnień, te prace wymagają przypilnowania, koordynacji – wtrącił Malinowiecki. – Potrzebujemy kogoś, kto do czasu znalezienia następcy Kamila przejmie obowiązki kierownika działu. Kogoś, kto zna załogę i specyfikę pracy, potrafi zarządzić i poradzi sobie z wymogami, nie ugnie się pod presją czasu i stresu. Jako długoletnia partnerka życiowa Kamila właściwie żyłaś częścią jego życia i pomagałaś mu w ogarnianiu działu. Wiesz, co mam na myśli? Po prostu znasz ludzi i dział, poradzisz sobie.

– To na jakiś czas, aż znajdziemy nowego menedżera – dodał prezes. – Nie rzucimy cię samą na głęboką wodę, zawsze możesz zgłosić się do Józia po pomoc.

Blanka spojrzała na Malinowieckiego, nawet nie wiedziała, że ma na imię Józef, jakoś to jej umknęło. Przystojny wiceprezes dostrzegł jej spojrzenie i uśmiechnął się, błyskając idealnymi białymi zębami. Cały błyszczał niczym postać z reklamy, nierzeczywisty ideał, a nie prawdziwy człowiek.

– Zgadzasz się, Blanka? – Pan Gienio pochylił się ku niej, również się uśmiechając, ale nie w wystudiowany sposób jak jego kompan, tylko bardziej swojsko i sympatycznie.

– Ja? – bąknęła niczym ostatnia idiotka.

Jak to, do jasnej cholery?! – wrzasnęła w myślach. – Mam zostać kierowniczką w miejsce Kamila? Ludzie nazwą mnie hieną. To przecież tak, jakbym sama go załatwiła, by się zemścić za porzucenie i zająć jego miejsce. Gadaniu nie będzie końca. Już sobie wyobrażam te spojrzenia i komentarze za plecami. Tylko tego mi brakowało.

– Nie mamy nikogo innego. – Prezes zrobił zbolałą minę. – Tylko ty jesteś w stanie opanować dział i pociągnąć projekty. Chodzi szczególnie o jeden, wymagający specjalnego wysiłku i uwagi. Domyślasz się, o czym mówię?

– Zlecenie dla Avera? – palnęła.

Trudno było się nie domyślić. Większość prac wykonywali dla prokuratury, zastępując lub wyręczając, a czasem zwyczajnie podbierając zlecenia Instytutowi Ekspertyz Sądowych. Często też badali próbki narkotyków dla policji lub szpitali, zdarzały się jednak czasem bardziej intratne zlecenia z firm i przemysłu. To, że udało się podpisać kontrakt z firmą farmaceutyczną, było długo i radośnie komentowane. Gen-Toks mógł w końcu zarobić, i to porządnie. Kamil aż zacierał ręce i cieszył się jak dziecko z każdego wyjazdu do biur Avera. Prócz giftów w postaci kalendarzyków, pendrive'ów i notatników przywoził dużo nadziei i optymizmu. Niestety, jeśli chodziło o samą robotę dla tej korporacji, Blanka miała bardzo szczątkową i mętną wiedzę. Zwyczajnie się tym nie interesowała, rutynowo wykonując swoje analizy.

– Bardzo nam zależy na wywiązaniu się z umowy. Za każdy dzień zwłoki w dostarczeniu sprawozdania do CRA mogą naliczyć nam kary – dodał Malinowiecki. – Nie wiem, jak bardzo Kamil cię wprowadził w zagadnienie, bo zadania dla Avera są ściśle tajne. Szczegóły znajdziesz w dokumentach, które prześlę

ci po rozmowie. Chodzi mniej więcej o to, że jesteśmy odpowiedzialni za monitoring chemiczny w trakcie doświadczeń z nowym lekiem na raka, a właściwie kilkoma jego wersjami, znajdującymi się w trzeciej fazie testów klinicznych. Aver prowadzi te badania w warszawskim szpitalu, a my jesteśmy podwykonawcą. Nowy lek, zanim trafi do produkcji i na rynek, musi przejść szereg testów. Począwszy od badań na liniach komórkowych przez próby na zwierzętach, a skończywszy na ludziach. Seria eksperymentalnych leków onkologicznych produkcji Avera trafiła do Centrum Badań Klinicznych, z którym i my współpracujemy. Prócz analizy próbek samych leków badamy też krew oraz wycinki tkanek pacjentów, którym są podawane. Po prostu pełna kontrola chemiczna i toksykologiczna badania klinicznego należy do nas.

– Rozumiem. To musi być duży i kosztowny projekt – zauważyła.

– I to bardzo. Badania na ludziach są zawsze kosztowne – przyznał prezes.

– W czym problem? Nie nadążamy z analizami? – spytała Blanka coraz bardziej zaintrygowana.

– Nadążamy. Badania są prowadzone dwutorowo. Częścią medyczną zajmuje się szpital, a my częścią toksykologiczną. Medycy sprawdzają, czy lek ma działanie terapeutyczne, i obserwują pacjentów, a my kontrolujemy, czy nie jest nazbyt toksyczny, nie powoduje zbyt drastycznych działań ubocznych, nie zatrzuwa organizmu.

– Zatrzuwa? – zdziwiła się Blanka.

– Wiesz, to są leki onkologiczne, one zawsze mają silne działania uboczne. Muszą być bardzo agresywne, by niszczyć komórki rakowe. Zwykle przy tym uszkadzają co innego. Nie ma to znaczenia, jeśli z całej terapii pacjent wychodzi wyleczony – wyjaśnił spokojnie prezes.

– To nieistotne, sprawy związane z ocenami, czy lek jest lekiem, czy ściemą, nas nie dotyczą. My mamy rzetelnie porobić badania i przedstawić wyniki. Bez interpretacji, od tego jest CRA, pracownik Avera, który otrzymuje od nas wyniki – oznajmił Malinowiecki, stukając palcem w ekran tabletu odebranego z rąk prezesa. – Problemem od początku była współpraca ze szpitalem. Szef badań klinicznych, profesor Reckert, miał nam przysyłać próbki krwi pacjentów, którym podawano lek, i czasem wycinki tkanek, ale on zawalił nas setkami preparatów. Przekopaliśmy się przez to bez gadania i dociekania, czemu tego jest aż tyle, Kamil wszystko jakoś opanował. Sprawozdanie mieliśmy przedstawić za dwa tygodnie, ale niestety profesora spotkał przykry wypadek... Sama zresztą wiesz, słyszałem, że byłaś z entomologiem na miejscu znalezienia zwłok profesora. Szpital do tej pory próbuje zlokalizować i zebrać wyniki jego pracy, ale coś zwlekają. Dogadaliśmy się z CRA, że w takim wypadku przedstawimy działania toksykologiczne osobno. I tu pojawia się problem. Na służbowym serwerze, w katalogu, w którym miały być zapisywane wszystkie dane, ich nie ma.

Prezes pokiwał głową i bezradnie rozłożył ręce jak sprzedawca, któremu jest przykro, że z półek w jego sklepie nagle zniknął towar, ale on jest przecież bezsilny. Blanka w zamyśleniu oblizwała usta. Więc to dlatego Kamil był ostatnimi dniami taki podenerwowany.

– Może obrabiał je na laptopie? – rzuciła. – Dziwne tylko, że nie zostawił kopii na serwerze.

– Hm, sam mu przykazałem, żeby zachował dyskrecję – bąknął Malinowiecki. – Serwer ma zaszyfrowany i obwarowany zabezpieczeniami sektor dla tajnych dokumentów, ale zasugerowałem, by trzymał wszystko na zewnętrznej pamięci. Aver nalegał, by wszystko odbyło się w całkowitej dyskrecji, szczególnie gdy pojawią się problemy z tymi lekami.

– Jakie problemy? – spytała Blanka już całkiem porwana historią.

– Na przykład zbyt drastyczne efekty uboczne – rzucił niechętnie Malinowiecki. – Aver nie chce, by cokolwiek wyciekło i dowiedziała się o tym konkurencja albo, nie daj Boże, media.

– I takie efekty się pojawiły? – drążyła dziewczyna.

– Trzeba byłoby spytać profesora, ale on już nikomu i tak nic nie odpowie. To zresztą nieistotne –

podsumował wiceprezes. – Skupisz się na odnalezieniu sprawozdania z toksykologii na komputerze Kamila i je dokończysz.

– Chyba nic z tego – wykrztusiła Blanka, czując, że gardło zaciska się jej z emocji. – Przedwczoraj włamano się do mojego mieszkania i skradziono dwa laptopy. Mój i Kamila.

Zapadła cisza. Prezes patrzył na nią, mrugając, Malinowiecki zastygł nieruchomo niczym jaszczurka. Jego mózg musiał pracować teraz na zwiększonych obrotach.

– Wyprowadził się do kochanki, ale nie zabrał laptopa ze służbowymi danymi? – powiedział w końcu.

– Czy on upadł na głowę?

– Może się zakochał? – rzucił prezes. – Ale czy to był jedyny komputer, którym się posługiwał?

– Nie, jeszcze jeden laptop ma w pracy. Zostawia go na biurku, zabiera tylko na służbowe wyjazdy. Może tam miał te dokumenty? – zastanawiała się Blanka. – Ale czy to nie dziwne, że nagle wszystko wokół tych badań się wali?

– Masz na myśli śmierć profesora i Kamila? – spytał prezes.

– I włamanie – dodała. – Przecież to wygląda, jakby komuś zależało, by wszelkie wyniki badań związanych z tymi lekami znikły, tak samo jak ludzie, którzy znali wyniki.

– To zbyt kategoryczne wnioski – obruszył się Malinowiecki. Aż wstał i podszedł do okna, poprawiając nienagannie skrojony garnitur. – Przecież to mógł być zbieg okoliczności. Śmierć profesora była wypadkiem, Kamil padł ofiarą napaści rabunkowej, a włamanie też chyba nie jest niczym nadzwyczajnym w tym kraju. Nie opowiadaj bzdur, tylko się skup na odnalezieniu dokumentacji. Możliwe, że część znajduje się w poczcie Kamila, na jego pracowniczym komputerze lub na pendrivie leżącym w biurku. Zamiast wymyślać jakieś intrygi, skup się na pracy. Od tej chwili masz na głowie cały dział jako pełniący obowiązki kierownika.

Blanka wstała i dygnęła niezgrabnie. Prezes pomógł jej w niezręcznej sytuacji i również się poderwał, by pogratulować awansu, życzyć sukcesów i otworzyć przed nią drzwi.

Powędrowała na dół do laboratorium z wielkim mętlikiem w głowie i buzującym w brzuchu niepokojem. Gdzieś tam w głębi pełzał również strach.

* * *

Ukryła się w lochu, który chyba już trochę zdążyła polubić, ale nie na długo miała w nim spokój. Stało się to, czego się obawiała. Malinowiecki rozesłał po załodze najpierw maila z informacjami o śmierci Kamila i Joanny, a piętnaście minut później z nominacją Blanki, gratulacjami i życzeniami sukcesów. Ależ to raziło i prowokowało do plotek! Można było sobie łatwo wyobrazić, jak huczało na górze, w laboratoriach. Pewnie zakotłowało się niczym w wiosce Smerfów atakowanej przez Gargamela. Gdyby skupiła się wystarczająco mocno, poczułaby drżenia budynku od szalejących plotek, okrzyków oburzenia i podnieconego szemrania w każdym kącie.

– Nie zamierzasz się przeprowadzić do gabinetu Kamila? – spytał Patryk.

– Chcesz się mnie pozbyć?

– Wręcz przeciwnie, byłoby przykro zostać tu samemu. No, chyba że podeślesz mi z góry jakąś fajną analityczkę w zastępstwie – odparł, nie kryjąc uśmiechu.

– Wszystkie są męzałkami – odparła, mimowolnie się uśmiechając. – Pewnie i tak by ci to nie przeszkadzało, ale niestety na górę się nie wybieram. Źle bym się tam czuła. Poza tym jakby to wyglądało? Kamil dopiero co został zamordowany, a ja już bym mościła się na jego miejscu? Jak czarna wdowa czy tam modliszka. I tak pewnie wzięli mnie na języki. Aż boję się pójść po komputer z jego biurka. Chyba poczekam, aż załoga pójdzie do domu, i wtedy przetrzęsnę gabinet Kamila.

– Jeśli chcesz, mogę pójść z tobą – rzucił niedbale.

– Nie mogłabym ci tego zrobić. Wyobrażasz sobie, jakby to wyglądało? Morderczynie szefa nie dość, że przejęła jego stanowisko, to już sprowadziła sobie gacha. Zupełnie zrujnowałoby ci to opinię...

– W nosie mam opinię. Szczególnie tych dumnych sikorek w białych fartuszkach – prychnął. – Naprawdę chyba mają za mało pracy i zmartwień, skoro znajdują czas na nieustanne plotkowanie. Co to w ogóle jest to wpychanie nosa w nie swoje sprawy i komentowanie wszystkiego?

– Po prostu życie. To się akurat nie zmienia niezależnie od profilu firmy i stopnia zarobienia pracowników. Jeśli są kobiety, to jest i gadanie. A jeśli są kobiety i mężczyźni razem, to dodatkowo są intrygi, romanse i zdrady. Taka już jest ludzka natura – odparła filozoficznie Blanka, opierając głowę na rękach wspartych łokciami o blat biurka. – I nie można lekceważyć relacji towarzyskich. Odpowiadają nie tylko za atmosferę w pracy, ale i mogą w robocie przeszkadzać albo ją ułatwiać. Powinieneś dbać o reputację, mówię ci. Ja swoją całkiem zmarnowałam...

Ktoś załomotał w blaszane drzwi pracowni i nie czekając na zaproszenie, powoli je otworzył. Do środka wsunęła się głowa Romka Suwińskiego. Najbardziej śliski ze wszystkich pracowników Gen-Toksu uśmiechnął się promiennie do Blanki i spytał, czy może z nią porozmawiać.

Oho! Zaczyna się – pomyślała. – Romuś dowiedział się o zmianie władzy i natychmiast bada sytuację. Sprawdza, czy uda mu się coś ugrać.

Pozwoliła mu wejść, ale gość zmieszał się na widok Patryka, który patrzył na niego wyczekująco, w dodatku bez cienia życzliwości. Podszedł jednak do biurka Blanki niczym petent w urzędzie.

– Chciałem ci pogratulować awansu – powiedział, jednocześnie obracając się tak, by stanąć tyłem do Patryka. – I zapewnić, że masz wśród załogi przyjaciół, którzy gotowi są wesprzeć cię w potrzebie. Wiesz, o co mi chodzi. Każdy szef potrzebuje dodatkowych uszu i oczu, szczególnie za swoimi plecami...

– Świetnie... – bąknęła. – Znaczący chcesz informować mnie o problemach załogi, tak? Powiadamić o wszystkim, co dotyczy pracowników, a o czym nie wiem, choć powinnam?

– Dokładnie! Przecież zdajesz sobie sprawę, że dawniej robiłem to dla Kamila. Tak na marginesie, szkoda faceta, ale cóż. Takie jest życie – oznajmił, rozkładając ręce. – Umarł król, niech żyje król! Gotów jestem służyć nowemu władcy. Nigdy nie ukrywałem, że jestem konformistą, przecież wiesz. Wolisz, bym meldował ci się sam, czy chcesz mnie wzywać na audiencje?

– Eee, nie wiem – jęknęła.

– Jako stary kapuś powinieneś mieć więcej wyczucia – odezwał się Patryk, kładąc dłoń na ramieniu Romka. Zbliżył się tak niepostrzeżenie, że chemik aż drgnął ze strachu. – Blanka dopiero przejęła obowiązki szefa, jeszcze nie przyjmuje donosów. Wezwie cię w stosownym czasie, teraz nie ma do tego głowy. Tam są drzwi.

Roman odepchnął jego rękę i natarł na znacznie wyższego entomologa, robiąc groźną minę. Patryk nie cofnął się jednak nawet na krok. Uśmiechnął się groźnie.

– Uważaj, dryblasie – wycodził Romek. – Robienie sobie wrogów w nowym miejscu pracy to nie najlepszy pomysł. Szybko możesz zapłacić za pychę i chamstwo.

Odwrócił się i wyszedł, na koniec trzasnąwszy drzwiami. Entomolog rozłożył ręce i uśmiechnął się niewinnie do Blanki.

– On ma rację, powinieneś bardziej liczyć się ze słowami – powiedziała. – Donosiciele są i byli, ale dziś nie wypada nazywać ich po imieniu. To nie kapowanie na kolegów, ale dzielenie się informacjami. Wszystko dla dobra zakładu i firmy, by zwiększyć sprawność zarządzania i stworzyć dodatkowy kanał komunikacyjny. Nie zapominaj, że panują tu korporacyjne zwyczaje i zasady. Nawet świństwa mają swoje gładkie nazwy i chronią je wewnętrzne procedury i przepisy.

– No to nie wiem, czy kiedykolwiek dostosuję się do korporacyjnych klimatów. Hipokryzja

i zamordyzm pomieszane są tu w jedno lśniące i pomalowane w ładne kolory gówno – burknął. – Trudno będzie je przełknąć.

– Twoje muchy je jedzą, i to nieupiększone – odparła. – Jeśli chcesz przetrwać, musisz tak jak one się dostosować.

Blance zadzwoniła komórka, przerywając tę dziwną rozmowę. Sięgnęła po nią, czując niepokój. To, co prawda, mógł dzwonić Piotr, ale intuicja podpowiadała jej, że dzisiejszy dzień nie przyniesie niczego dobrego. I nie myliła się, to dzwoniła sąsiadka ojca, wszystkowidząca i słyszająca pani Józia. Staruszka miała już chyba z osiemdziesiątkę, ale ciągle zachowywała pełną czujność, stojąc na straży spokoju osiedla. Zawsze w oknie lub przed blokiem, pogrążona w rozmowach ze spotkanymi sąsiadami, nieustannie panowała nad tym, co się dzieje, kto z kim i o czym. Blanka nie zdziwiła się zatem, że babcia ma jej numer telefonu. Pewnie miała kontakty do wszystkich mieszkańców i ich rodzin.

– Pana Tomasza właśnie zabrała policja – oznajmiła zaskoczonej Blance. – Nie chcieli mi powiedzieć, o co chodzi, czemu niepokoją dzielnego żołnierza, ale i tak nie pozwoliłam się spławić. Aresztowaniem kierował gruby wąsacz w poplamionej marynarce. Kiedy go przycisnęłam, przedstawił się jako komisarz Leda. Zabrali pani tatę do aresztu śledczego na Białołęce.

– O Jezu...

– To samo powiedziałam – przytaknęła pani Józia. – Nawet za komuny nikogo tak z bloku nie wyciągali, skutego kajdankami, poszturchując i popędzając. Umieśnione draby w czarnych kominiarkach, z wielkimi strzelbami w łapach, jakby przyszli polować na niedźwiedzia, a nie aresztować emerytowanego żołnierza. Zupełny brak szacunku. Kto to widział!

Blanka podziękowała jej nieskładnie i się rozłączyła. Siedziała chwilę nieruchomo, zbierając myśli. W końcu Patryk zapytał, co się stało.

– Muszę jechać, dowiedzieć się, co zrobili z tatą – powiedziała bez ładu i składu. Złapała torebkę i zerwała się z krzesła. – Tylko on mi został.

Patryk złapał ją za ramiona i potrząsnął. Delikatnie, ale stanowczo.

– Oprzytomniej, dziewczyno. Powiedz, co się stało, może będę mógł coś dla ciebie zrobić.

Pokiwała głową i szybko zrelacjonowała, co się dzieje, tym razem w sposób bardziej składny i w miarę jasny. Patryk przytakiwał, słuchając cierpliwie, na koniec uspokoił ją i obiecał, że wszystkim się zajmie. Do jutra świat się nie zawali i obowiązki kierowniczkę mogą poczekać. zaproponował nawet, że zawiezie ją na Białołękę swoim gruchotem. Odmówiła, za to poprosiła go, by został na straży w firmie. Zostawiła włączony i zalogowany komputer i kazała mu sprawdzać pocztę, a w razie czego ją telefonicznie powiadomić. Na koniec wręczyła Patrykowi swoją kartę magnetyczną.

– Powinni już włączyć na nią uprawnienia kierownika, znaczy, że karta otwiera wszystkie drzwi w zakładzie – powiedziała. – Gdybyś był tak miły i używając jej, wszedł do gabinetu Kamila. Ja nie mam odwagi się tam pojawić. Zabierz laptop i wszelkie dokumenty dotyczące się Avera, które rzucą ci się w oczy. Przynajmniej jutro rano będę miała je tutaj do dyspozycji i nie będę musiała kłopotać się ich poszukiwaniem ani traceniem czasu na zabawianie załogi rozmowami.

– Nie ma sprawy – przytaknął, wrzucając kartę do kieszeni fartucha. – Pędź!

Popędziła.

Rozdział 6

Dotarcie na miejsce zajęło jej blisko półtorej godziny jazdy komunikacją miejską, i to z dwiema przesiadkami. Przed bramą więzienia, bo tym właściwie był areszt, stanęła zgrzana, spocona i spragniona. Przebijanie się przez miasto w upalny dzień nie należało do przyjemności, choć w tramwaju nawet działała klimatyzacja. Niestety, w autobusie już szwankowała i Blanka musiała wytrzymać ostatnie dwadzieścia minut w dusznym pojeździe, nagrzanym od słońca niczym piec i śmierdzącym spalinami oraz potem pasażerów. Następnie szła rozgrzanym chodnikiem wzdłuż ciągnącego się w nieskończoność wysokiego muru zwieńczonego kulami kolczastego drutu. Było to przygnębiające i stopniowo zabijające w niej pewność siebie.

Miała zamiar zrobić awanturę i żądać uwolnienia staruszka, ale zanim dotarła na miejsce, doszła do wniosku, że działa w sposób nieprzemyślany i nadto porywczy. Powinna poszukać kontaktu do jakiegoś prawnika i działać za jego pośrednictwem lub wcześniej choćby zadzwonić do aresztu. Ewidentnie dała się porwać emocjom, w panice nakazującym jej ruszać ojcu z odsieczą. To nie było mądre.

Na dyżurkę weszła już nie tylko wymęczona upałem, ale i spokorniała. Grzecznie poprosiła wartownika o informacje na temat aresztowanego ojca. Jakikolwiek informacje, choćby potwierdzenie tego, że tu trafił i nie dzieje mu się nic złego. Gdyby jeszcze udało się dowiedzieć, o co właściwie chodzi i co mu się zarzuca, byłaby bardzo wdzięczna. Dyżurny kazał jej czekać, bo nie była to ani pora odwiedzin, ani miejsce do udzielania poufnych wiadomości. W korytarzu prócz niej siedziały dwie dziewczyny, na pierwszy rzut oka z marginesu. Obie miały permanentny makijaż i włosy zafarbowane na kruczą czerń, a do tego skórę brązową od chemicznego samoopalacza. Jedna z nich była w zaawansowanej ciąży, druga nerwowo żuła gumę. Obie patrzyły na przechodzących mundurowych służby więziennej z palącą nienawiścią. Łatwo było się domyślić, że starały się o widzenie z wybrankiem jednej z nich. Blankę tak zafascynował ich wygląd i zachowanie, że na chwilę zapomniała, po co przyszła.

– O, jak miło, że sama pani wpadła. Nie będę się musiał fatygować przez to rozpalone miasto – zagrzmiął nagle niski głos.

Drgnęła wystraszona, spoglądając szeroko otwartymi oczami na stojącego przed nią komisarza Ledę. Grubas uśmiechał się z zadowoleniem. Czuć było od niego kwaśny zapach potu, poza tym kropelki obficie zraszały mu czoło. Wydał się nagle Blance nadzwyczaj obrzydliwy, ale stanowił jedyne źródło informacji o ojcu, zatem powstrzymała złość i niechęć. Wstała z krzesła i najgrzeczniej, jak się dało, poprosiła o wyjaśnienia. Gliniarz ujął ją za ramię i pociągnął ze sobą w głąb pawilonu. Zakratowane drzwi otworzył przed nimi jeden z wartowników. Dwie dziewczyny odprowadziły ją spojrzeniami pałającymi zazdrością.

– Czy kontaktowała się już pani z ubezpieczycielem w sprawie odszkodowania za śmierć Kamila Nachowiaka? – spytał komisarz, jeszcze zanim dotarli do gabinetu.

– Nie, nie miałam czasu.

– Ale ja się skontaktowałem – oznajmił z zadowoleniem. – Profesor czy tam doktor Nachowiak miał

polisę na życie na sto pięćdziesiąt tysięcy złotych. Pani jest jedyną osobą, której te pieniądze się należą. Ładny grosz, trzeba przyznać.

– Znów pan do tego wraca? – spytała oburzona.

– Bo to wspaniały motyw – odparł Leda, wprowadzając ją do pomieszczenia wyposażonego jedynie w stół i stojące z obu jego stron krzesła.

Drzwi za nimi huknęły i trzasnęły zamykającym się zamkiem. Blanka drgnęła, coraz bardziej wystraszona. Wcale nie była w gabinecie, lecz w sali przesłuchań. Droga stąd mogła prowadzić nie na wolność, ale prosto do celi. Nagle doktor Blewa zatęskniła za dusznym autobusem, rozpalonym miastem i w ogóle wszystkim, co było za murami tego okropnego miejsca.

– Wiem też, dlaczego zadbała pani, by nie dziedziczyć domu – dodał Leda. – Chałupa, choć piękna i na działce pod lasem, jest obciążona hipoteką. Pani konkubent wybudował ją na kredyt, który jest niespłacony. Jego brat zatem odziedziczył nie tylko wspaniałą rezydencję pod Warszawą, ale i dług w wysokości dwustu dwudziestu tysięcy franków szwajcarskich. Piękny ruch, pani doktor! Tylko pogratulować!

– O czym pan mówi, do diabła? – syknęła ze złością, choć zimna groza zaczęła pełznąć z jej piersi, by zacisnąć swoje lodowate łapska na gardle.

Komisarz odsunął krzesło i wskazał je ręką, zapraszając w ten sposób, by usiadła. Nie zaproponował nic do picia, za to zwałił się ciężko na miejsce z drugiej strony stołu i wyciągnął z kieszeni paczkę papierosów. Blanka usiadła sztywno, starając się udawać, że zupełnie nie przeszkadza jej smród dymu, który po chwili wypełnił pomieszczenie.

– Wiem już, co pani zaplanowała ze swoim staruszkiem – oznajmił grubas. – Wykorzystaliście okazję, by się zemścić na Nachowiaku i jeszcze na tym zarobić. Oboje, pani i dawny kochanek, mieliście osobne kredyty...

– To prawda. Właśnie z ich powodu nie zdecydowaliśmy się na małżeństwo – przyznała. – Gdybyśmy się pobrali, Kamil przyjąłby również mój dług. Straciłby w ten sposób zdolność kredytową. Dla banku pozostawaliśmy więc formalnie obcymi ludźmi, dzięki temu Kamil ciągle zachowywał wysoką zdolność i mógł wziąć sporą pożyczkę na budowę.

– Oszukaliście bank?

– Można to tak nazwać, ale nie przesadzajmy. Po prostu wykorzystaliśmy sytuację, by wziąć jak największy kredyt, a właściwie dwa osobne – przyznała niechętnie. To nie był jej pomysł, tylko Kamila. Liczył na to, że ze swoim uposażeniem szybko poradzi sobie z dwoma kredytami. – Braliśmy te pożyczki w czasach, kiedy banki szczerze je rozdawały. Nikt nie podejrzewał, że dojdzie do kryzysu i kosmicznego wzrostu notowań franka...

– Dwa frankowe kredyty z pewnością zaczęły wam ciążyć. Po rozstaniu pani został jeden z nich, ale nie będąc już nałożnicą szefa, szanse na spłatę nawet tego nie wyglądały różowo, prawda? Groźba utraty posady i brak nagród oraz premii, hm... Ale znalazła pani świetne rozwiązanie! Śmierć Kamila załatwiła sprawę. Pies drapał obłożony hipoteką dom! Za kasę z ubezpieczenia spłaci pani swoją kawalerkę i zostanie wolna, a utrata czci stosownie pomszczona – oznajmił z podziwem Leda.

– To przerażające – bąknęła. – I opierając się na tych podejrzaniach, aresztował pan moją tatę?

– Opierając się na faktach i dowodach – odparł. – Ktoś widział pani ojca wychodzącego w nocy i wracającego nad ranem. Znaleźliśmy przy nim dwie sztuki nielegalnej broni, mały rewolwer i pistolet wojskowy PW-84. Pamiątka z wojska? Ta druga broń miała opróżniony do połowy magazynek i śmierdziała na kilometr palonym prochem. Pan kapitan Blewa walił z niego ostatnimi czasy. Nietrudno się domyślić do kogo, prawda? Do łobuza, który skrzywdził jego córusię. Przy okazji te kilka pestek załatwiło sprawę jej finansowych kłopotów. Czy to nie cudowne?

Blanka zbladła. Próbowwała przełknąć ślinę, ale w gardle zupełnie jej zaschło. Zacharczała tylko, opanowała się i poprosiła o wodę. Zrozumiała, że szybko tego miejsca nie opuści.

– Prokurator nie zdecydował jeszcze o aresztowaniu pani – oznajmił grubas, stawiając przed nią plastikowy kubek z wodą. – Jest to jednak kwestią czasu, godzin, minut? Może pani uprzedzić ruch prokuratury i od razu się przyznać. Sąd z pewnością potraktuje to jako okoliczność łagodzącą. Przyznanie się do winy i okazanie skruchy to nie byle co. Mało tego, przecież właściwie samodzielnie i z własnej inicjatywy zgłosiła się pani na policję. To znacząco złagodzi wyrok, a nam wszystkim oszczędzi niepotrzebnej szarpaniny i nerwów.

Blanka westchnęła, po czym jednym przechyleniem opróżniła kubek. Woda była ciepła i mdła.

* * *

Patryk jak zwykle dał się porwać pracy, a konkretnie identyfikacji gatunków owadów, do których należały larwy złapane na ciełe profesora Reckerta. Zdążyły się one przepoczwaryć i już jako dorosłe okazy bzycały ochoczo w pudełkach. Należało je teraz uśmiercić, by móc w spokoju przyrządzić z nich preparaty. Pracownię wypełnił zatem zapach octanu etylu, najpowszechniej używanego do eutanazji much. Entomolog szybko doszedł do wniosku, że wszystkich okazów nie rozpozna tradycyjnymi metodami, poza tym szkoda na nie czasu. Przygotował więc próbki do wysłania do PAN-u, gdzie zaprzyjaźnieni biolodzy oznaczą mu owady, wykorzystując metodę barkodingu DNA, czyli badając markery genetyczne.

Krzątaninę umilił sobie muzyką, ale tym razem już nie techno. Do precyzyjnej, wymagającej skupienia roboty wolał coś bardziej stonowanego. Z głośników brzmiały zatem kolejne albumy Milesa Davisa, a trąbka legendarnego jazzmana idealnie zgrywała się z bzycczeniem nekroforów. Tak bardzo porwały go automatyczne czynności, że o istnieniu reszty świata doktor Ulatowski przypomniał sobie późnym popołudniem. Spojrzał na zegarek i dopiero po chwili odetchnął. Nie musiał dziś odbierać syna ze szkoły – po pierwsze, nie był jego tydzień do opieki nad dzieckiem, po drugie, trwały wakacje i Maciek bawił się na koloniach.

Bez pośpiechu zatem popakował próbki w torebki strunowe, które niedbale wrzucił do reklamówki. Zebrało się tego kilka garści, wypadało kupić coś dziewczynom z PAN-u w ramach rewanżu za analizy. Chyba że biolodzy z Gen-Toksu też są w stanie wykonać mu te badania. Pokręcił jednak głową, pewnie nie mieli baz danych z markerami owadów, bo i po co?

– Pora zabrać laptop – odhaczył w pamięci jeszcze jedno zadanie.

Pogasił światła, zarzucił torbę śniadaniową na ramię, wepchnął pod pachę reklamówkę z próbkami i już miał wyjść, gdy w związku z Kamilem przypomniał sobie o larwie znalezionej na jego ciełe, tej, która próbowała wpełznąć nieboszczykowi do ust. Wygrzebał z cieplarki pudełko, w którym siedziała, i zajrzał do środka. Znikła. Widocznie zagrzebała się w pożywkę i zamieniła w poczwarkę. Może za dzień lub dwa wyjdzie jako dorosły owad.

W końcu energicznie pomaszerował korytarzem. Uśmiechał się do siebie, zadowolony z przepracowanego dnia. Poza tym złapał się na myśleniu o Blance, o tym, jak odgarnia z czoła niesforny kosmyk i uroczo się przy tym uśmiecha. Aż poczuł przyjemne ciarki na plecach. Jutro znów ją zobaczy, to mile połechtalo jego libido. Ciekawe, jak będzie ubrana? To nawet bardziej interesujące niż gatunek muchy, w który przeistoczy się poczwarka. Może Blanka wstrzeli się w tę obcisłą białą bluzkę, w której tak pięknie rysował się jej biust? I wąskie dzinsy kuszaco opięte na tyłeczku, hm...

Zerknął na uchylone drzwi magazynu odczynników, ale nie poświęcił im specjalnej uwagi. Może magazynier coś porządkuje po godzinach? Cholera go wie! Ważniejsze było, co można wymyślić, by

błysnąć przed Blanką i ją oczarować. Może zwyczajnie zaoferować jej swoją pomoc? Taka propozycja powinna wywołać uśmiech na jej ustach, choć na chwilę.

Ciągle w nastroju samozadowolenia dotarł do windy i wjechał na piętro. W Zakładzie Toksykologii światła zostały już pogaszone, ale nawet nie zamierzał szukać włącznika. Czerwcowe noce były najkrótsze w roku i mimo dość późnej pory korytarz i laby oświetlało słońce dopiero chylące się ku zachodowi. Patryk dotarł zatem bez problemów do gabinetu szefa i przyłożył do czytnika kartę otrzymaną od Blanki. Mignęło zielone światełko i wrota do skarbca stanęły otworem. Doktor Ulatowski omiół spojrzeniem pomieszczenie i zabrał się do szybkiego przeszukania. Najpierw biurko. Zgarnął z niego laptop i zapakował do swojej skórzanej torby śniadaniowej. Potem szuflady. Papierów w nich nie było, tylko biurowe drobiazgi, najróżniejsze gadzety z logo różnych firm, masa długopisów, wiecznych piór i taśmy klejącej, miniaturowy wentylator i lampka do klawiatury na port USB, a także cały pęk pendrive'ów z godłami różnych kooperantów Gen-Toksu. Patryk już miał zatrzaskać szufladę, ale zgarnął garść gadżecików i wrzucił je do reklamówki z próbkami. Kamilowi już one do niczego, a analityczki z PAN-u z pewnością się ucieszą. Dziewczyny lubią kolorowe drobiazgi.

Potem zabrał się do regałów z segregatorami. Dwa oznaczone logo Avera wetknął do torby. Dużo tego nie było, widocznie większość dokumentacji krążyła między firmami w postaci cyfrowej. Takie czasy!

Otworzył szafę i aż zagwizdał. Półki zapełniały poustawiane równo przenośne dyski pamięci. Na szczęście z paseczkami przyklejonymi do obudów. Sześć sztuk z logo Avera również trafiło do torby. Każdy zawierał po terabajcie danych, zatem Blanka będzie miała co robić, przeglądając ich zawartość. Nawet jeśli dokumenty są posegregowane, może jej to zająć sporo czasu. No cóż, może oferta pomocy w ogarnięciu tego wszystkiego ją ucieszy i stanie się pretekstem do zostania razem po godzinach? Nic tak nie zbliża ludzi jak wspólna praca i problemy.

Zadowolony z siebie zarzucił torbę na ramię i wepchnął wymiętą reklamówkę pod pachę. Wyszedł z gabinetu i zatrzaskał drzwi, to samo zrobił z tymi prowadzącymi do zakładu. Nacisnął guzik windy. W międzyczasie zjechała na dół, widocznie ktoś ją wezwał. Może strażnik zainteresował się tym, kto jeszcze jest w robocie?

Patryk ziewnął przeciągle, czekając, aż winda wróci na piętro. Wydawało mu się, że kątem oka uchwycił jakiś ruch w pogrążonym w półmroku korytarzu, ale nie pofatygował się i nie odwrócił głowy. Był zbyt zmęczony upałem i całym dniem w labie, by zwracać uwagę na przywidzenia.

I wtedy usłyszał szelest materiału za plecami. Piknęła lampka w drzwiach windy, sygnalizując, że zaraz się otworzą. Patryk obrócił się na pięcie i w tym momencie świat eksplodował mu w błysku bólu. Coś ciężkiego z ogromną siłą spadło na jego czoło. Runął w tył i z dudnieniem uderzył plecami w ciągle jeszcze zamknięte drzwi windy. Nic już jednak nie widział ani nie czuł.

Rozdział 7

Deszcz siąpił od bladego świtu, a może zaczął padać wcześniej. Blanka nie była w stanie tego stwierdzić, choć nie spała niemal całą noc. Momentami zapadała w nerwową drzemkę przerywaną blokowymi odgłosami – spuszczeniem wody przez sąsiada, krokami na klatce schodowej, szczekaniem psa sąsiadki. Zrywała się wtedy i nasłuchiwała, czy przypadkiem ktoś nie majstruje w zamku jej mieszkania. Sięgała wówczas po żelazny kastet ukryty pod poduszką i starała się uspokoić trzepoczące w piersi serce.

Minęły dwa dni od ataku na Patryka, ale ciągle nie mogła się otrząsnąć z szoku. W pracy snuła się po labie półprzytomna ze strachu, wpadła w stan jakiegoś otumanienia, który uniemożliwił jej skupienie się, wzięcie w garść i zajęcie codziennymi sprawami. Odwiedziła kolegę w szpitalu, ale to jej też nie uspokoiło. Całe szczęście Patryk odzyskał przytomność i nawet ją poznał. Niestety, nic nie pamiętał z chwili ataku. Lekarz twierdził, że entomolog przeżył tylko dlatego, że oberwał w czoło, najtwardszą część czaszki. Gdyby zamachowiec trafił go w potylicę, z pewnością pogruchotałby kości i zmiażdżył mózg. Patryk mógł już wstać z łóżka, ale musiał zostać kilka dni na obserwacji. Zanosiło się, że w pracy będzie jeszcze przez jakiś czas zdana wyłącznie na siebie.

To nie praca ją tak stresowała, ale świadomość, że prawdopodobnie grozi jej niebezpieczeństwo. Choć może już nie powinna się bać? Napastnik zabrał Patrykowi torbę z laptopem i twardymi dyskami, zatem dokumentacja zgromadzona przez Kamila ostatecznie przepadła. Wszyscy, którzy coś wiedzieli o wynikach badań dla Avera, nie żyli, a wszelkie wyniki znikły bez śladu. Blanka nie musiała więc już się obawiać, przecież w pojedynkę i bez materiałów nie stanowiła zagrożenia. Szczególnie że nawet nie miała pojęcia, przeciw komu mogłaby działać. Kto stał za tym wszystkim?

Powinna się teraz skupić na tym, jak pomóc uwięzionemu ojcu i samej uniknąć oskarżenia o współudział w zabójstwie Kamila. Była przekonana, że tata nie miał nic wspólnego ze śmiercią Nachowiaka, że zrobił to ten sam drań, który dopadł profesora Reckerta, Patryka i który włamał się do jej mieszkania. Tylko jak przekonać do tego policję? Komisarz Leda nie chciał nawet jej wysłuchać, obstając przy swojej wizji – morderstwie celem przejęcia ubezpieczenia. Na szczęście Blance pomogła Ada, która zorganizowała jej prawnika.

Koleżanka ze szpitala, w którym pracowała Ada, korzystała z jego pomocy w sprawie oskarżenia o błąd w sztuce i spowodowanie śmierci pacjenta. Gość był dobry i nawet nie interesował się tym, czy Blanka naprawdę coś miała na sumieniu. Zabronił jej rozmawiać z Ledą i broń Boże do czegokolwiek się przyznawać. Na szczęście przed tym udało się jej samej powstrzymać. Domyśliła się, że komisarz próbuje ją sprowokować do zeznań, bo nie dość, że nie ma dla niej nakazu aresztowania, to w dodatku żadnych podstaw, by go zdobyć. Wyłącznie z tego powodu była jeszcze na wolności i mogła działać.

Właśnie! Musi działać!

Zerwała się z łóżka i pobiegła pod prysznic. Dość mazgajenia się i dygotania w kącie, kulenia pod kołdrą i nasłuchiwania szmerów niczym strachliwy zajaczek w swojej norce. Jeśli nie zacznie czegoś

robić, to się do niej dobrać. Nieważne, kto pierwszy – mordercy czy policja.

Trzeba walczyć, bić się i nie rezygnować. Tak jak nauczył ją ojciec, jak wpajali trenerzy sztuk walki i spadochroniarstwa. Musi wyjść przeciw swojemu strachowi z podniesioną głową i uderzyć, wszak najlepszą obroną jest atak. Pozwoliła się zastraszyć i stłamsić, jakby była byle słabowitą lalunią z labu. Mylą się. Oni wszyscy. Grubi i pyszałkowaci gliniarze oraz dranie gotowi zabijać ludzi dla wyników badań. Jeszcze nie wiedzą, z kim zadarli, nie zdają sobie sprawy, co rozpętali!

Wciągnęła T-shirt w barwne plamy przypominające nieco wojskowy kamuflaż, w szafie znalazła skórzaną kurtkę z czasów studenckich i od lat nieużywane martensy. Założyła ciemne okulary, i to mimo że ranek był pochmurny. Włosy spięła w kucyk, wrzuciła kastet do kieszeni i naprzód!

Na parkingu przed biurowcem czekało puste miejsce dla kierownika toksykologii, ale Blanka nadal podróżowała komunikacją miejską i nie korzystała z tego przywileju. Nawet nie czuła żalu z tego powodu, wiedziała, że jest szefową tylko tymczasowo, i nie było sensu przyzwyczajać się do luksusów. Poza tym nie miała samochodu ani nawet skuterka.

Ukloniła się strażnikowi, który tym razem uśmiechnął się na jej widok i niemal wyprężył na baczność. Na korytarzu minęła pana Czesia, ubranego w swój brudny kombinezon i kręcącego się bez celu w pozoracji pracy. Tym razem nie próbował zagaic ją o larwy na ryby, widocznie Patryk ostatnio potraktował go ostro i ostatecznie wybił z głowy pomysł używania jego owadów do głupot.

– Czy butle z gazem nośnym były w tym tygodniu wymieniane? – spytała surowym tonem, patrząc na jowialnego grubasa przez ciemne okulary. – Nie? To proszę się tym zająć. Nie chcę słyszeć skarg dziewczyn, że nie da się robić chromatografii, bo nie ma gazu. A potem proszę roznieść butle z rozpuszczalnikami i zająć się pustymi butelkami. Chyba nie muszę panu organizować pracy, co? Nie chcę widzieć, że co chwila przyłazi pan do Krzysia na ploty!

Obróciła się na pięcie i pomaszerowała dalej. Nie chciała wyzywać się na słabszych, poniżanie podwładnych nie miało sensu, poza tym było zwyczajnym świństwem. Pamiętała również, że lada dzień wróci na swoje zwykłe stanowisko i technicy mogą się na niej odgrywać za piłowanie i gonienie do roboty. Miała to jednak w nosie. Potrzebowała impulsów, które nadadzą jej pęd i odpowiednią siłę przebicia. Musiała poczuć się kobietą silną i twardą, wojowniczką, która nie boi się skrytobójców i dzielnie stawia czoło przeciwnościom. Dla wprawy zatem, po drodze do labu, zajrzała do magazynu odczynników i postawiła do pionu rozwalonego na krześle Krzysia. Magazynier wylegiwał się, surfując po Internecie na służbowym komputerze, a na jej widok nawet nie pofatygował się, by wstać. Musiała podnieść głos i palcem wskazać mu brudy do uprzątnięcia i nierozpakowane pudło z odczynnikami. Odprowadził ją ponurym spojrzeniem, zaciskając pięści. Blanka spiorunowała go jeszcze wzrokiem i pomaszerowała do siebie.

Postanowiła iść za ciosem i udać się na górę, na obchód pracowni i porozmawiać z załogą, zaznaczyć swoje władztwo. Pewnie dziewczyny już bimbały na całego i od rana oddawały się plotom lub przesiadywały na kawusi w jadalni. Jeśli nie czują bata, szybko następuje rozprężenie i drastyczny spadek wydajności. Niestety, muszą czuć na sobie spojrzenia kierownika lub choćby mieć świadomość, że są kontrolowane i każda zostanie rozliczona z roboty. Blanka nawet się zawahała, czy może wezwać kapusia Romana i wyciągnąć z niego, co się dzieje na górze, ale zrezygnowała.

Zarzuciła biały fartuch, by wyglądać profesjonalnie, i już miała ruszyć do boju, gdy jej spojrzenie padło na reklamówkę leżącą na biurku Patryka. To były próbki przeznaczone dla analityczek z PAN-u, pakunek, którego napastnik w czasie ataku nie zagarnął. Blanka westchnęła i podeszła do zapomnianej torby, którą miała zająć się już wczoraj. Trzeba zawieźć te próbki, Patryk nawet dał jej namiary na pracownię, w której pracowały zaprzyjaźnione biolożki.

Zerknęła też na jego stanowisko pracy, dygestorium częściowo zastawione plastikowymi pojemnikami

na owady. Na szczęście niemal wszystkie poddał eutanazji i nie musiała karmić obrzydliwych stworzonek. Wiedziała, że trochę żywych trzyma w lodówce, w tym jaja i uśpione larwy, ale tam nie zamierzała zaglądać. Całe to towarzystwo wytrzyma jakoś do powrotu ich władcy ze szpitala.

Jej uwagę przyciągnął jednak ruch w najbliższym z pudełek. Coś tam bzycało i tłuło w przezroczystą pokrywę w daremnej próbie przebiccia się na wolność. Blanka podeszła i przeczytała etykietę: „Okaz nr 1 znaleziony na ciele Kamila Nachowiaka”. Dalej Patryk wypisał datę, temperaturę, a nawet to, że pogoda była bezwietrzna, a niebo bezchmurne.

– A więc wyklułeś się, draniu – mruknęła, z ciekawością zaglądając do naczynia. To przecież ona dostrzegła tę straszliwą larwę na zwłokach swojego kochanka.

Blanka zatem z ciekawością popukała w pokrywę pudełeczka. Stworzenie wewnątrz w odpowiedzi załomotało wściekle w ścianki i zmęczone usiadło na pożywce, prezentując się w całej okazałości.

To była duża mucha, chyba ze trzy razy większa od zwykłej domowej kuzynki. W dodatku miała intensywne żółte zabarwienie i mnóstwo włosków, które opalizowały w blasku słońca, nadając owadowi metaliczny połysk.

– Żłota mucha. – Blanka westchnęła z podziwem.

* * *

– Muszę cię rozczarować, nie jest złota – oznajmił spokojnie Patryk.

Rozmawiali przez telefon, wcześniej Blanka wysłała mu MMS z fotografią owada. Wcale niełatwo było go ująć, bo ruszał się dość żwawo i pstrykadełko w smartfonie nie było w stanie ustawić na nim ostrości. Musiała zrobić kilkadziesiąt powtórzeń, a potem powiększyć to, co wyszło, ale efekt i tak nie należał do zadowalających.

– Wiem przecież, tylko tak wygląda. Błyszczysz się i sprawia wrażenie niezwykle dostojnego robala – odparła. – Królewska mucha, prawda? To jakiś rzadki owad?

– I znów muszę cię rozczarować. To pospolita muchówka z gatunku *Scathophaga stercoraria*, po polsku cuchna nawozowa – odparł.

– Uch, trochę rozczarowująca nazwa. – Blanka westchnęła, odstawiając pudełko. – Więc nie ma w niej nic dziwnego? Nie jest jakoś nietypowa? Nie podsunie nam śladu?

– Trudno powiedzieć. Wybacz, nie mogę się jeszcze skupić. Ciągłe chce mi się rzygać i we łbie mnie łupie, jakby nieustannie ktoś walił młotem...

– Biedactwo – powiedziała szczerze i bez zastanowienia. – Tak mi przykro.

– Powiedziałaś biedactwo? Naprawdę? – ożywił się entomolog. – Czekał, już pamiętam, co mnie zastanawiało w tym owadzie. To, skąd na nieboszczyku wzięła się jedna larwa. Nie zdążyłaby się wykluć i urosnąć, coś ją musiało przynieść. Możliwe, że przywędrowała na zabójcy. Może miał ją na ubraniu? Cuchny szczególnie lubią nawóz i w nim się wykluwają. Morderca może pracować przy bydle, w jakimś gospodarstwie, jako gość od przerzucania gnoju... Hm, to chyba nam nie pomoże.

– Zastanowię się.

– Miałem w lodówce całe pudełeczko tych larw – odezwał się Patryk. – Mój szef z poprzedniej roboty pisał o tych muchówkach pracę. Karmił je mięsem królików otrutych różnymi specyfikami, a potem sprawdzał, jak wpływa to na rozwój owadów. Wyprowadzając się do Gen-Toksu, zgarnąłem z pracowni przypadkowo jedno z jego pudełek, razem ze swoimi okazami. Kiedy się zorientowałem, wrzuciłem je do lodówki. Miałem mu je odwieźć przy okazji, może zabrałabyś je razem z próbkami dla dziewczyn? Schłodzone larwy powinny spać, raczej się nie przeistoczyły w dorosłe osobniki. Stoją na wierzchu, w różowym pojemniku.

– Dobra. Zaraz poszukam – odparła. – Kładź się teraz i śpij.

– Jasne. Pa!

– Cmok!

– Dobrze słyszałem? Właśnie przesłałaś mi buziaka? – spytał zaintrygowany.

Rozłączyła się, nie odpowiadając. Uśmiechnęła się za to do siebie. Ewidentnie wpadła w oko wielkoludowi. To było miłe, podnosiło jej samoocenę. Cholewki do niej smalił już nie tylko Piotr z Avera, ale i właściwie całkiem przystojny entomolog. Szkoda, że tak słabo rokował. Po pierwsze, po przejściach z Kamilem nie zamierzała nigdy więcej mieć romansu w pracy, w dodatku z tymczasowym podwładnym, a po drugie, Patryk był zbyt kopnięty i roztrzepany. Dziwak i nerd! Na takich szkoda było czasu.

Sprawdziła lodówkę, ale nie znalazła różowego pojemnika. Dla pewności przetrząsnęła pudełka w szafce i pod dygestorium. Wkurzyła się przy tym tylko. Cholerny bałaganiarz wetknął gdzieś te robale i zapomniał gdzie. Kilka dni temu przecież się awanturował, że ktoś mu poprzestawiał pojemniki, zrobił bałagan w pracowni. Kto by grzebał w tych śmierdzących...

Zastygła zgięta wpół przed szafką, z pudełkami w obu rękach. A co, jeśli faktycznie ktoś tu grzebał? Przecież zamachowiec wtargnął na teren firmy i zaatakował Patryka, mógł też wleźć do labu i szukać danych w laboratorium. Odstawiła pudełka i sięgnęła po smartfon, żeby zadzwonić do Patryka.

– Słuchaj, ten twój szef to czym konkretnie karmił króliki? – spytała bez wstępów.

– Te od złotych much? Dragami. Różnymi, jakie udało mu się zdobyć. Ale po co...

– A konkretnie tę partię, którą wyniosłeś? Czym zatruto mięso, które zjadły złote muchy?

– Metamfetaminą. Ostatnio jest coraz modniejsza, choć u nas trudniej dostępna – odpowiedział. – Szef podejrzewał, że podobnie do amfetaminy i kofeiny przyspieszy rozwój owadów, ale po co...

Rozłączyła się. Sięgnęła po pudełko ze złotą muchą i tryskawkę z octanem etylu.

– To nie będzie bolało, złoty robaczku – przeprosiła i uśmierciła owada.

* * *

Dziewczyny poderwały się od komputerów, gdy nowa szefowa niczym burza wparowała do labu. Patusia w panice wylała sobie kubek kawy na kolana. Blanka dostrzegła, jak dziewczyna w panice próbuje zamknąć przeglądarkę w komputerze. Zamiast pisać raport, oglądała stronę sklepu z perfumami. P.o. kierowniczka udała, że nic nie zauważyła, i bez wstępów przeszła do rzeczy. Zażyczyła sobie natychmiastowego dostępu do spektrometru UPLC-MS, znaczy sprzężonego z chromatografem cieczowym.

Wokół natychmiast zakotłowało się od gotowych do pracy. Dziewczyny w locie zakładały fartuchy, wszystkie w jednej chwili stały się dramatycznie zajęte i zarobione po uszy. Basia zameldowała, że trzy maszyny są w trakcie przemywania kolumn, bo rankiem zostały włączone programy kondycjonujące sprzęt. Jak spod ziemi pojawił się Romek, proponując skorzystanie z jego sprzętu gotowego do użycia.

Blanka pomaszzerowała do boksu chemika, stukając martensami o podłogę. Zasiadła przed komputerem sterującym spektrometrem i zaczęła przeszukiwać dysk z zapisanymi programami analiz. Odnalazła te, które sama ułożyła dla próbek owadów, i wybrała odpowiedni. Otworzyła „karuzelę”, wyglądający trochę jak okrągły magazynek rewolweru dozownik na próbki, który w trakcie analiz obracał się w kółko, by maszyna mogła pobierać nastrzyki z kolejnych fiolek. Blanka załadowała do „karuzeli” trzy przygotowane próbki z roztartą oraz przeekstrahowaną muchą i w końcu odpaliła sprzęt.

Romek stał nad nią i trajkotał zadowolony z siebie, ale Blanka go nie słuchała. Ultraszybki chromatograf przepuścił próbkę przez kolumnę w kilka minut, spektrometr zbombardował rozdzielone

składniki mieszaniny polem o dużym potencjale, powodując jonizację związków chemicznych. Już po chwili komputer wyrzucił na monitor to, co podał mu detektor, i Blanka ujrzała widmo z setkami pików i zygzaków. Złapała za myszkę i zaczęła szybko segregować i porządkować chaos. Odpaliła w osobnym oknie bazę danych, w której odszukała metamfetaminę, a potem kazała Romkowi iść do diabła. Kiedy wykonał polecenie, nałożyła na siebie widmo wzorca i badanej próbki. Część sygnałów idealnie się pokrywała. Blanka zapisała analizę i zrzuciła ją na pendrive'a, jeden z reklamowych gadżecików, wyciągniętych z reklamówki z próbkami Patryka.

Pożegnała pracowników machnięciem ręki i pognąła do windy. Zjechała na dół i ukryła się w swoim lochu. Tu czuła się bezpieczna. Przynajmniej nie miała za plecami kolegów i koleżanek, z których każdy mógł być szpiegiem. Drżącą ręką wyjęła smartfon i zadzwoniła do Patryka.

– Nie, wcale nie spałem. Nie masz za co przepraszać – powitał ją zaspanym głosem. – Czym sobie zasłużyłem na kolejny telefon od pani doktor Blewy?

– Mamy w firmie mordercę – oświadczyła uroczyście.

* * *

– Ktoś próbował cię zabić? – Patryk zachowywał całkowity spokój.

– Owszem, dwa dni temu. Zasadził się na mnie, ale napatoczyłeś się ty. Dostałeś po łbie w zastępstwie – odparła i przyciskając telefon ramieniem do ucha, zabrała się do zdejmowania fartucha.

– To wiem, jakiś drań czekał, aż wejdiesz do gabinetu Kamila i wyniesiesz z niego komputer i dyski. Trafilo na mnie, widocznie taka karma, opatrność lub zwyczajny przypadek – skwitował. – Wiemy, że mamy w firmie sukinsyna gotowego rozwalić człowiekowi łeb. Dowiedziałaś się czegoś jeszcze?

Blanka rzuciła fartuch na wieszak i zaczęła wciągać skórzaną kurtkę.

– Słuchaj, co zrobiłam. Załatwiłam tę złotą muchę i wrzuciłam ją na UPLC, a wynik porównałam z wzorcem metamfetaminy. Nasza cuchna przez całe życie była na ostrym haju, jej trupek ciągle zawierał ślady narkotyku – oznajmiła triumfalnie. – To znaczy, że larwa, którą znaleźliśmy na ciele Kamila, pochodziła z twojej hodowli. Morderca przetrząsnął nasz lab i przy okazji zgarnął pudełko z twoimi owadami. Tego samego dnia wybrał się, by załatwić Kamila. Możliwe, że gdy go bił, pudełko otworzyło mu się w kieszeni i larwy wydostały się na wolność. Może je pozbierał i przegapił tylko jedną lub tylko jedna związała? Tak czy inaczej, gość, który zabił Kamila, jest pracownikiem firmy i wcześniej myszkował u nas w labie.

– Pewnie ten sam koleś grzmotnął mnie w łeb – przytaknął Patryk. – Cholera, ale dlaczego właściwie to robi?

– Może na zlecenie? Dorabia sobie czy jak? – odparła, zarzucając torebkę na ramię. Wzięła też reklamówkę z próbkami. – Komuś bardzo zależy na przejęciu wszystkich danych związanych z badaniami dla Avera oraz na uciszeniu ludzi, którzy coś o nich wiedzieli. Mordercę opłaca konkurencja Avera? Diabli wiedzą, nic już mnie nie zdziwi. Tak czy inaczej, wiele wskazuje, że ten sam drań załatwił profesora Reckerta. Pamiętasz, że w tkankach nieboszczyka znaleźliśmy tertiapin, ale nic poza tym, żadnych innych związków występujących w pszczelim jadzie? Tak się składa, że z naszego firmowego magazynu znikło kilka trucizn, i magazynier nie ma pojęcia, co się z nimi stało. Wśród zaginionych wzorców był też tertiapin.

– Morderca załatwił profesora czystą toksyną z magazynu, by upozorować śmierć od ukąszeń pszczoł, a następnie podrzucił ciało do ogródka, między ule. Sporo zachodu, by upozorować naturalną śmierć. Czemu później otwarcie zaatakował Kamila, a wreszcie mnie?

– Widocznie ziemia mu się pali pod nogami i nie ma już czasu na planowanie albo ukrywanie

morderstwa. Musiał zdobyć pozostałe dane jak najszybciej, wszelkimi metodami. Może zleceniodawca go naciska? – zastanawiała się Blanka, szykując się do wyjścia. – Jeśli się dowiemy, komu bardzo zależało na przejęciu tych badań i czemu ten ktoś uciszał osoby znające wyniki testów, to poznamy tożsamość zleceniodawcy. Ciągle jednak nie wiemy, kto jest szcurem w Gen-Toksie, kto jest w stanie brutalnie załuc człowieka lub strzelić do bezbronnej kobiety...

– Trzeba powiadomić o wszystkim prokuratora lub śledczego – zarządził Patryk. – Zaraz wyślę ci numer prywatny aspiranta Orzechowskiego. Sprawia wrażenie ponurego typu, ale to dobry gli niarz. Musisz jak najprędzej się do niego zgłosić. Zadzwoń od razu.

– Dobrze – rzuciła. – Najpierw jednak pojedę na Białąłękę, mam pozwolenie na widzenie z ojcem. Po drodze zawiozę twoje próbki do PAN-u.

– Daj sobie teraz z tym spokój, skontaktuj się jak najszybciej z policją. Cholera, znów mnie łeb rozboleł – jęknął Patryk. – Obiecay, że zadzwonisz do Orzechowskiego. Albo nie, ja to zrobię, tylko łyknę coś przeciwbólowego.

– Trzymaj się – zakończyła i wrzuciła telefon do torebki.

Wyszła na zewnątrz i zatrzasnęła za sobą drzwi labu. Na drugim końcu korytarza dostrzegła znajomą pękatą sylwetkę pana Czesia. Grubas niósł coś w ręku, zmierzając w kierunku magazynu. Znów się opieprzał, pewnie lał do Krzysia na ploty. Blanka groźnie zmarszczyła brwi i ruszyła mu naprzeciw, gotowa znów dać burę. Zastanawiała się, do jakiej roboty go posłać. Może by przestawił baniaki ze zlewkami do utylizacji?

Zbliźali się do siebie. Zwykle jowialna gęba grubasa wykrzywiona w uśmiechu idioty była tym razem zaczerwieniona i nabrzmiiała gniewem. To, co trzymał w garści, okazało się stalową rurą z założoną na końcowy gwint mufą hydrauliczną. Całość wyglądała jak średniowieczna maczuga.

Gdyby człowiek oberwał czymś takim w głowę, ta mogłaby trzasnąć niczym arbuz – pomyślała Blanka.

Po kolejnym kroku dotarło do niej, co widzi. Zatrzymała się w miejscu, otwierając szeroko oczy ze zgrozy. Broń, którą Patryk oberwał w czoło. Trzymał ją drań, który miał upodobanie do wędkowania i któremu bardzo się spodobały tłuste larwy hodowane przez entomologa. Ukradł je i z nimi w kieszeni udał się do domu Kamila, by go pobić i zastrzelić. To pan Czesio zwinął z magazynu tertiapin i otruł profesora – ciągle przecież kręci się u Krzysia, mógł niepostrzeżenie wynieść każdą truciznę, nawet ścisłego zarachowania. To on włamał się do jej mieszkania i to on napadł na Patryka. Niepozorny pomagier od wszystkiego, uśmiechnięty głupek „przynieś, zanieś, pozamiataj”.

Cofnęła się o krok, a potem kolejny. Pan Czesio spojrział na zamknięte drzwi magazynu. Krzyś musiał pójść na lunch, nikogo nie było w lochach, nikt niczego nie usłyszy. Grubas wyraźnie nabrał pewności siebie. Poprawił chwyt na rurze i wyszczerzył zęby do Blanki, sycząc przez nos. Wzrok miał mętny, po czole płynęły mu krople potu. Wyglądał, jakby był pijany lub naćpany.

– Co pan, panie Czesiu? – jęknęła, upuszczając reklamówkę z próbkami.

Nie odpowiedział, za to przyspieszył kroku, unosząc rurę. Blanka pozwoliła, by jej torebka upadła na ziemię, i ciągle z przerażeniem na twarzy się cofała. Czesio zamachnął się znad głowy do straszliwego ciosu. Wtedy Blanka ruszyła do przodu, kuląc się jednocześnie, złapała napastnika oburącz na wysokości brzucha i całym ciężarem ciała rzuciła się w tył. Runęła na plecy, zapierając się o grubasa nogą. Klasyczny chwyt judo zwany *ma sutemi waza* zadziałał. Pan Czesio wystrzelił w powietrze, przeleciał nad dziewczyną i z impetem grzmotnął plecami o podłogę. Rzut poświęcenia, w którym walczący sam pada na matę, dawał Blance możliwość wykorzystania masy i pędu szarżującego przeciwnika przeciw niemu. Niezaprawiony w upadaniu osiłek aż jęknął, gdy uderzenie wypchnęło mu powietrze z piersi.

Blanka była na nogach, zanim napastnik zrozumiał, co właściwie się dzieje. Wsunęła dłoń do kieszeni i zacisnęła ją na zimnym kastecie. Grubas obrócił się i sapiąc, uniósł na kolana. Zrobił to zaskakująco

szybko i energicznie, nie spodziewała się po nim takiej sprawności. Wcale nie był flegmatycznym niezdara, na jakiego pozował. Splunął wściekle w jej kierunku i próbował wstać. Nie mogła mu na to pozwolić, bo straciłaby przewagę.

Doskoczyła do grubasa, cofając rękę. Nogi szeroko, kolana ugięte, obrót w biodrach w kierunku celu ataku. Zasady zadawania uderzeń z pełną siłą pojawiły się jej w głowie mimo tego, że od wielu miesięcy nie uczęszczała na treningi sztuk walki. Ramiona rozluźnione, cios zadany z obrotem całego ciała. Napiąć mięśnie i usztywnić nadgarstek przed trafieniem!

Głowa pana Czesia odskoczyła z obrzydliwym mlaśnięciem, gdy kastet zmiażdżył mu kość policzkową. Zupełnie nie spodziewał się takiego obrotu spraw. Myślał, że zatłucze ją bez najmniejszych problemów. Dwa, trzy ciosy rurą wystarczyły, by wysłać ją na tamten świat. Zamiast tego poleciał w bok, upuszczając z metalicznym brzękiem swoją straszliwą broń. Padł twarzą na podłogę i zastygł z rozrzuconymi ramionami, niczym grzesznik leżący krzyżem w kościele.

Blanka drżącymi rękoma wyciągnęła telefon z torebki.

– Dzwoniłeś już do aspiranta Orzechowskiego? – spytała Patryka. – To zadzwoń, i to natychmiast.

Rozdział 8

Nieczęsto ją samą zapraszano na oficjalne kolacje, ale towarzyszyła Kamilowi na rautach i bankietach. Musiała robić za partnerkę i ozdobę jednocześnie, by nie zbłąźnił się przed kontrahentami lub sztywnymi jak drut przyjaciółmi. Kiedy zatem szefostwo zażyczyło sobie, by Blanka przygotowała się do biznesowej kolacji, przynajmniej nie musiała się martwić o garderobę. W szafie znalazła kilka strojów wieczorowych do wyboru – od sukni balowej do schludnej garsonki na podniosłe uroczystości. Wybrała coś raczej stonowanego, spódnicę, ulubioną białą bluzkę i marynarkę, założyła również małe kolczyki z diamentami i złoty wisiołek.

Spojrzała w lustro, po raz ostatni oceniając pracę nad dyskretnym makijażem, i skinęła sobie głową, zadowolona z efektu. Wyglądała dostatecznie skromnie, ale nie jak szara myszka, lecz pewna siebie, pozbawiona próżności kobieta biznesu. O to chyba chodziło. Teraz wystarczyło poczekać, samochód miał przyjechać lada moment. Szef upierał się, że przyśle po nią kierowcę, choć wolałaby przyjechać na miejsce autobusem lub ostatecznie wziąć taksówkę. Malinowiecki jednak nie chciał o tym słyszeć. Sam poruszał się limuzyną z szoferem i uważał to za konieczną część prestiżu. Nie było mowy, by wysłana przez niego menedżer przywłokła się na kolację wymięta w publicznym transporcie. Jeszcze by ktoś zobaczył i Gen-Toks wyszedłby na dziadowską firemkę, klepiącą biedę.

Co prawda, sam prezes Idzik poruszał się po mieście własnoręcznie kierowaną niepozorną toyotą, ale wiceprezes Malinowiecki uważał jego zachowanie za szkodliwe dla wizerunku firmy. Tak czy inaczej, Blanka nie miała wyboru i musiała wykonać polecenie. Na spotkanie z przedstawicielami Avera przyjedzie zatem służbowym wozem i będzie udawała wytrawną graczkę, której biznes farmaceutyczny jest niestraszny.

Wyjrzała przez okno, ale pod blok nie zajechała jeszcze żadna wystawna bryka. Jej spojrzenie przyciągnęło za to kilku młodzieńców ostrzyżonych niemal na łyso, ale to byli tylko miejscowi blokersi, nic groźnego ani choćby godnego uwagi. Minęły cztery dni od rozprawy z panem Czesiem, ale ciągle jakoś nie mogła pozbyć się obaw i nieustannie wypatrywała zagrożenia. W sumie to, że unieszkodliwiła głównego drania od mokrej roboty, jeszcze nie załatwiało sprawy, wszak gdzieś tam był jego zleceniodawca, sukinsyn wydający mu polecenia i wskazujący cele. Nie podlegało bowiem dyskusji, że grubas w brudnym kombinezonie jest tylko robolem, którym ktoś kieruje. Kto wie, czy nie znalazł następcy i nie dysponuje kolejnym drabem? Jedyne pocieszeniem było, że jeśli nawet, to raczej już nie przeniknie do Gen-Toksu i zagrożenie będzie stanowił jedynie poza firmą.

Srebrny wóz o przyciemnianych szybach wjechał majestatycznie na parking pod blokiem i stanął na środku przejazdu, bo przecież wszystkie miejsca były zajęte. Każdy centymetr kwadratowy parkingu w tym mieście zdawał się być na wagę złota i dybali na niego posiadacze wszelkiego autoramentu samochodów. W telefonie Blanki zabzyczał sygnał wiadomości. To kierowca się meldował. Porwała więc torebkę i wypadła na klatkę schodową. Zamykając drzwi, spojrzała przez ramię na pusty korytarz. Na wszelki wypadek miała w kieszeni garsonki gaz pieprzowy, a w torebce teleskopową pałkę. Niestety,

kastet zabrali jej policjanci, bo ponoć stanowił dowód w sprawie.

Zbiegła na dół i już spokojniejszym krokiem podeszła do wozu. Skinęła kierowcy, kanciastemu typowi w ciemnych okularach, ale niestety nie ruszył się z za kierownicy, by otworzyć przed nią drzwi. Zresztą i bez tego zrobiła wrażenie na obserwujących kosztowny samochód blockersach i sąsiadkach wracających z placu zabaw z dziećmi. Wsiadła do środka i aż westchnęła. Myślała, że do knajpy podróżować będzie sama, ale wewnątrz siedział sam wiceprezes Malinowiecki. Pachniało od niego drogą wodą toaletową, poza tym wyglądał absolutnie bez zarzutu. Wręcz nienaturalnie, niczym model z reklamy, wbity w elegancki modny garnitur, a do tego ze skończenie doskonałą fryzurą.

– Proszę wsiadać, bo nie wypada, żebyśmy się spóźnili – powiedział, wskazując jej miejsce.

Na kolanach trzymał otwarty laptop, ale oderwał od niego spojrzenie, by omieść Blankę i jej strój. Lustracja musiała wypaść zadowolająco, bo nawet się nie skrzywił, zachował nieodgadzioną minę pokerzysty. Ledwie samochód ruszył, wskazał kiwnięciem głowy ekran.

– Niewiele tego pani wyszukała – powiedział z naganą. – Tylko tyle danych znalazło się na firmowych serwerach? Zdaje się, że wszystkie analizy są automatycznie zapisywane przez komputery spektrometrów i trafiają na wspólny dysk.

– Z poziomu administratora można ustawić, by trafiały na osobną, zaszyfowaną partycję. Tak też się stało ze wszystkimi pomiarami robionymi dla Avera – odparła zadowolona z siebie. Odkrycie tego kosztowało ją dwa dni chodzenia do działu IT i suszenia głowy informatykom. W końcu Marek zwany Grubym przyznał się, że zrobił to na polecenie Kamila. – Udało mi się zmusić IT, by dali mi dostęp do tej partycji, ale okazało się, że jest wyczyszczona czy tam sformatowana. Jednym słowem, nic na niej nie ma. Kamil posprzątał wszystkie ślady pod koniec eksperymentów, jakby znajdowały się tam jakieś paskudne rzeczy. Ale z tego, co udało mi się odzyskać z komputerów pracowników wykonujących analizy, nie było tam niczego strasznego. Nie wiem, czemu te dane były aż tak tajne i niewygodne. To zwykłe analizy składu krwi i tkanek, z których pewnie można ustalić profil uwalniania leku, tak zwaną farmakokinetykę, i zidentyfikować metabolity leku. Co w tym takiego strasznego?

– To nieistotne, szczególnie że i tak nie możemy tych informacji odzyskać w całości – odparł prezes. – Trochę mnie pani rozczarowała. Liczyliśmy z całym zarządem, że uda się pani zapanować nad sytuacją i rozwiązać ten problem z większą skutecznością. No trudno, będziemy musieli bazować na tym, co mamy. Trzeba przyjąć jakąś linię obrony. Zrobimy tak, jak umówiliśmy się na zebraniu. Poprosimy o dodatkowy czas na odzyskanie danych...

Blanka zacisnęła zęby. Nie wiedziała, czy ma się śmiać, czy płakać. To ona staje na głowie, robi, co może, byle jakoś podołać, a on jej mówi, że zarząd jest niezadowolony, bo jest za mało skuteczna. Za mało! Czy to, że uniknęła zabicia i samodzielnie ujęła mordercę grasującego po firmie, to za mało?

– Do tego czasu może ten cały pan Czesio zacznie gadać? – kontynuował Malinowiecki. – Że też musiała go pani tak mocno sprać. Nie dało się tego załatwić delikatniej? Drań, co prawda, szybko odzyskał przytomność, ale nie jest w stanie zeznawać, ma kompletnie pogruchotaną twarz i pękniętą szczękę. Czeka na operację plastyczną, by w ogóle móc mówić. Dwa tygodnie zajmie rekonwalescencja, tak twierdzą medycy. I po co były te emocje? Nie można było okazać mu więcej łaski?

– I może jeszcze czułości? Może mam go przeprosić za to, co zrobiłam?

– Nie zdziwię się, jeśli oskarży panią o okaleczenie, znaczy trwałe uszkodzenie ciała. Może pani popłynąć, kiedy podliczą koszty leczenia oraz odszkodowanie i każą pani wszystko pokryć z własnej kieszeni – dodał prezes.

– Ale on biegł na mnie ze stalową rurą. Chciał zatłuc!

– To pani nie usprawiedliwia. Jest, co prawda, coś takiego jak obrona konieczna, ale na litość boską, nie trzeba od razu wysyłać gościa na kilka tygodni do szpitala.

– To miałam go grzecznie poprosić, by odłożył maczugę i pozwolił się aresztować?

– Tak może wnosić prokurator – przytaknął Malinowiecki. – Zresztą nie ma co tego teraz roztrząsać.

Stało się i już. Wpakowała pani firmę w dodatkowe kłopoty, jakby było nam mało dotychczasowych. Uszkodziła pani jedyną osobę, która wie, gdzie są skradzione dane, i to tak, że nie da się na razie tych informacji z niej wydobyć. Poza tym zrobiła to pani na terenie firmy. Czesio może i nas pociągnąć o odszkodowanie, wypadek w miejscu pracy lub coś takiego. To narazi nas na dodatkowe koszty. Z pewnością niemałe, ale co to panią obchodzi? Najlepiej jest przeć przed siebie jak taran, nie bacząc na nic. No proszę nie robić takiej zbolalej miny. Nie ma co rozpaczać!

Blanka nie miała ochoty rozpaczać. Właśnie walczyła ze sobą, by nie walnąć tego wypachnionego gogusia prosto w nos. Gniew kipiał w niej tak, że groziło wybuchem.

– Problem dobrze jest przeanalizować przed podjęciem jakichkolwiek ruchów. Spójrzmy na tego nieszczęśnika, którego tak dotkliwie pani uszkodziła – kontynuował Malinowiecki.

Otworzył katalog w laptopie i wybrał jeden z plików. Na ekranie pojawiło się zdjęcie pana Czesia, Blanka aż drgnęła.

– CV?

– Coś w tym rodzaju – odparł wiceprezes. – Co my tu mamy? Czesław Jakubiak, urodzony w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym piątym roku. Syn Genowefy Jakubiak, ojciec nieznany. Wychowywał go ojczym, z którym Genowefa miała jeszcze troje dzieci. Ojczym, pracownik tartaku, cierpiał na alkoholizm, nadużywał przemocy. W roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym drugim doszło do bójk między pasierbem a ojczymem, która skończyła się śmiercią starszego mężczyzny. Niepełnoletniego jeszcze Czesława umieszczono w zakładzie poprawczym, ale po roku został uwolniony. Sąd uznał, że działał w obronie własnej, a śmierć ojczyma spowodował nieumyślnie. Chłopaka poparła miejscowa społeczność i dzielnicowy, który wielokrotnie interweniował w domu Jakubiaków, uspokajając pijackie awantury. Czesław rychło rozpoczął pracę w pobliskim pegeerze, początkowo jako pracownik niewykwalifikowany, a potem jako traktorzysta. Pracę porzucił po dwóch latach i wyniósł się do Koszalina. Zdaje się, że po prostu uciekł po nieudanym romansie z żoną dyrektora. Doszło między panami do rękoczynów i dyrektor pegeeru wylądował w szpitalu z połamanymi żebrami. Skargi jednak nie zgłosił.

– Pan Czesio za młodu trochę rozrabiał – zauważyła Blanka.

– Przyjął się do pracy na kutrze rybackim, a po roku przeniósł do Zakładu Państwowej Hodowli Ryb. Tam spędził aż cztery lata. Zdaje się, że polubił to zajęcie. Najlepiej czuł się nad wodą, karmiąc i odławiając ryby. Hm... Rysuje nam się obraz skrzywdzonego przez los nieszczęśnika. Odrzucony przez rodzinę, nieradzący sobie w kontaktach z ludźmi. Skłonny do przemocy, ale zdaje się, że raczej w obronie własnej. Do czasu. Znow się zakochuje, tym razem w córce mężczyzny, u którego wynajmuje pokój. Dziewczyna go nie chce, ale Czesław jest nachalny. Pod wpływem alkoholu próbuje ją zgwałcić, ale ojciec dziewczyny przyłapuje go na tym. Dochodzi do walki i Czesław znow zwycięża w starciu, zostawiając ofiarę z roztrzaskaną głową. Mężczyzna przeżyje, ale obrażenia zostaną uznane jako poważne. Sprawca zostaje ujęty i skazany za gwałt oraz ciężkie uszkodzenie ciała. Spędza w więzieniu pięć lat. Wychodzi w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym piątym roku i zatrudnia się na fermie kur, potem w stadninie i w końcu znow trafia nad morze. Po raz kolejny pływa na kutrze, dogaduje się z załogą, jest lubiany. W jednym z jesiennych rejsów dochodzi jednak do tragedii, w czasie sztormu fala zmywa ludzi z pokładu. Cała załoga ginie na oczach Czesia, tylko on wraca do portu.

– To podejrzane – zauważyła Blanka.

– Racja. Nic mu jednak nie udowodniono, nawet nie postawiono zarzutów. Czesław żeni się z wdową po kapitanie kutra i zaczyna pływać jako szef odziedziczonego stateczku. Niestety, wobec zatrudnionych

rybaków jest zbyt władczy i okrutny. Łży ich i zdarza się, że używa wobec nich przemocy. W końcu jeden z pracowników składa skargę o pobicie, ale potem ją wycofuje, prawdopodobnie zastraszony. Kolejny rybak wypada ze statku i znika w morzu bez śladu, inni rezygnują z pracy. Czesia jednak lubią sąsiedzi, bo jest ponoć miły i sympatyczny. Uchodzi za łagodnego i niezbyt lotnego umysłowo. Po prostu łagodnie uśmiechnięty głupek.

– Tak samo my go ocenialiśmy... – mruknęła Blanka.

– Bliscy uważają jednak inaczej. Żona próbuje od niego odejść, skarży się sąsiadkom, że Czesio ją bije i znęca się psychicznie. Nikt za bardzo jej nie wierzy, bo Czesio nie jest pijakiem, nie słychać również, by się awantuował. W końcu kobietę znaleziono powieszoną, jest list pożegnalny. Śledczy ma jednak nosa i daje list do ekspertyzy. Okazuje się, że napisał go Czesio. Zostaje oskarżony o zabójstwo, ale się nie przyznaje. Skazany na osiem lat, wychodzi po sześciu za nienaganne sprawowanie. I dalej już prosta droga do Gen-Toksu. Czesio jest objęty programem resocjalizacyjnym pomagającym byłym więźniom wrócić na łono społeczeństwa. Oferta całego pakietu skazańców trafia do naszej firmy i nieszczęśliwie na biurko pana Gienia. Znasz prezesa, ma zbyt łagodne serce, a czasem zachowuje się absurdalnie. Zgadza się przyjąć jednego z byłych więźniów do prac fizycznych, zostaje wytypowany wiadomo kto. Pracuje w firmie od trzech lat, ani jednej skargi, żadnego zarzutu. I co o tym myślisz?

Blanka pokiwała głową, wpatrując się w miasto przesuwane się za oknami limuzyny.

– Nie działał spontanicznie, przynajmniej nie przy morderstwie profesora Reckerta. Tę zbrodnię zaplanował i wykonał starannie. Potem zaczął szaleć. Znaczący, że początkowo działał na zlecenie. Ktoś, kto go najął, mógł złapać do niego kontakt przez znajomych z więzienia lub wiedział, że Czesio jest wyrokowcem, i zwrócił się do niego bezpośrednio. Jego życiorys nic nam zatem nie daje – powiedziała po dłuższej chwili.

– Może to nie on zaczął szaleć, ale zleceniodawca? Poganiał go, kazał działać szybko, nie licząc się z pozorami. Przecież ktoś dostarczył mu broń, którą uśmiercił Kamila i Joasię – zauważył Malinowiecki.

– A właśnie! W mieszkaniu Czesia znaleziono makarowa, radziecki pistolet z wystrzelanym częściowo magazynkiem. Trzymał go w lodówce, razem z kiełbasą i pudełkiem przynęty na ryby. Ekspertyza balistyczna oczywiście potrwa, ale jestem pewien, że z tej broni zastrzelił Nachowiaka i jego dziewczynę.

Blanka spojrzała na niego uważniej. Na pozbawioną wyrazu poważną twarz. Na nienaganną sylwetkę i doskonały strój. Skąd on właściwie wziął tak dokładny życiorys pana Czesia? Czy o każdym mógł dowiedzieć się wszystkiego?

– Po co pan w tym grzebie? Czy nie lepiej zostawić śledztwo policji? – spytała.

– Hej! I ty zadajesz tak bezsensowne pytanie? – prychnął. – Spodziewałem się, że okażesz większą wnikliwość. Ktoś wsadził nam do firmy szpiega i mordercę. Kto wie, co przez trzy lata Czesio wynosił, przecież, jak się okazuje, miał dostęp właściwie wszędzie. Skończyło się na zabójstwie dwóch osób i jednym rannym, ale straty materialne możemy mieć bardzo wysokie, trudne do oszacowania. Skurwiel, który wepchnął nam szczura do firmy i poszczuł go na moich ludzi, musi zapłacić za to, co zrobił. Nie mogę czegoś takiego darować. Znajdę go, zanim zrobi to policja, i odpowiednio podziękuję. Znieważył mnie tym atakiem w sposób najgorszy z możliwych. Mam nadzieję, że mogę liczyć na twoją pomoc?

Po raz pierwszy, od kiedy Blanka pamiętała, Malinowiecki uśmiechnął się do niej. Wcale nie poczuła się przez to sympatyczniej. Jego uśmiech był zimny i groźny, zupełnie jakby uśmiechał się rekin. Pokiwała nerwowo głową, zgadzając się na wszystko.

Ponoć miejsce w tej restauracji trzeba rezerwować co najmniej miesiąc wcześniej, ale Malinowiecki zdołał jakoś załatwić stolik raptem z trzydniowym wyprzedzeniem. Ewidentnie chciał zaimponować kontrahentom, ekskluzywność lokalu miała ich chyba oszołomić, a może nawet zdeprymować. Blanka się bała, że zupełnie nie poradzi sobie we wnętrzach porażających przepychem, nigdy nie była w przesadnie wystawnych i drogich restauracjach, w których gościli się nowobogacy. Na szczęście okazało się, że lokal jest miejscem przytulnym oraz nowoczesnym jednocześnie i nie wszystko w nim zrobione jest ze złota i kryształu. Snobistyczny był z powodu jakości serwowanych potraw i słynął głównie wśród smakoszy, ale niekoniecznie bogaczy. Wewnątrz zatem nie było szejków i błyszczących złotem Rosjan, tylko wyglądający zupełnie normalnie rodacy.

Usiedli przy stoliku, do którego poprowadziła ich miła kelnerka, i zamiast kontynuować rozmowę, oboje zajęli się swoimi sprawami. Malinowiecki nie rozstawał się z notebookiem i ciągle coś stukał w klawiaturę, Blanka rozglądała się z ciekawością po sali, przyglądając klientom i zaglądając kelnerom na tace. Serwowano tu slow food, miniaturowe dania na wyszukanych talerzach, do powolnej degustacji i zachwytów nad kunsztem kucharzy. Choć pewnie nie wypadło nazywać ich kucharzami, tylko stylistami potraw lub mistrzami sztuki kulinarnej.

Już po kilku minutach pojawili się przedstawiciele Avera, mężczyzna i kobieta. Na widok tego pierwszego Blankaomal nie spadła z krzesła. Szeroko się uśmiechając, podszedł do nich Piotr Pachczyński, jej świetnie zapowiadający się prawie-chłopak, poznany przez Adę. Rzeczywiście pracował w Awerze, czego była świadoma, i to jako monitor badań klinicznych, ale słowem nie wspomniał, że ma coś wspólnego z tym nieszczęsnym projektem! I nie dał jej wcześniej znać, że wybiera się na spotkanie z Gen-Toksem. Chyba potraktował zaskoczenie jej jako zabawny psikus, bo mrugnął do niej zawiadacko, robiąc przy tym łobuzerską minę. Przez chwilę wyglądał jak chłopiec cieszący się z kawału, który wyciął koleżance. Ucisnął rękę Malinowieckiemu i pocałował Blankę w dłoń.

– Doktor Blewa, pełni obowiązki szefa Zakładu Toksykologii – niezbyt wyszukanie przedstawił ją wiceprezes.

– My już się znamy, ale na stopie zdecydowanie prywatnej – powiedział Piotr. – Przedstawiam państwu mecenas Annę Kizerwetter z działu prawnego Avera.

Towarzysząca mu pani mecenas podała dłoń Malinowieckiemu i ucisnęła ją po męsku. Tak samo potrzęsnęła ręką Blanki, mocno i energicznie. Była ładną i zadbaną kobietą, o włosach krótko przystrzyżonych, prócz asymetrycznej grzywki, która zasłaniała jej pół twarzy. Do tego nosiła okulary w wielkich oprawkach, optycznie mocno powiększające oczy, a właściwie to jedno oko, którego nie zasłaniały włosy. To oko patrzyło przenikliwie i bez cienia życzliwości. Blanka poczuła się nieswojo, jakby miała do czynienia z prokuratorem, która zamierza ją o coś oskarżyć.

Próbowali zająć się swobodną rozmową, popijając wino i czekając na przystawki. Te przyniosła już po kilku minutach uśmiechnięta kelnerka. Na dużych talerzach leżały małe porcyjki surowej koniny z buraczkami, kaczki z gruszką i wędzonej w sianie ryby. Blanka mimo zdenerwowania była zachwycona smakami, w czym wtórował jej Piotr, rzucając wymowne uśmiechy i nie spuszczać z niej wzroku. Pani mecenas sprawiała wrażenie zde gustowanej koniecznością spożywania czegośkolwiek i szybko przeszła do rzeczy, to znaczy ustalania konsensusu dla obu firm w zaistniałej sytuacji. Malinowiecki jadł bez radości i właściwie sprawiając wrażenie, że nie zwraca uwagi na to, co wkłada do ust. Czujnie obserwował prawniczkę i próbował skłonić ją do ustępstw. Chodziło przede wszystkim o to, by Awer zrezygnował z kar umownych, które groziły Gen-Toksowi w razie niewywiązania się ze zlecenia. Kizerwetter nie zamierzała jednak ustąpić nawet na piędź.

– Mówiąc wprost, nie zapłacimy za pracę, która nie została wykonana – oświadczyła.

– Ależ zrealizowaliśmy umowę, zrobiliśmy wszystkie analizy – bąknęła niepewnie Blanka. –

Przebadaliśmy setki próbek, zostały wykreślone profile uwalniania i cała toksykologia...

– Gdzie jest zatem ten materiał? Nie możemy zapłacić za coś, czego nie dostaliśmy. Bardzo mi przykro, ale trudno wymagać od nas, byśmy ponosili finansową odpowiedzialność za to, że nie potrafili państwo zachować bezpieczeństwa i dopuścili do kradzieży wyników – odparła lodowatym tonem pani mecenas.

– Dobrze, o tym już rozmawialiśmy z pani przełożonymi. – Malinowiecki uśmiechnął się przymilnie. – Na dzisiejszym spotkaniu chcieliśmy spróbować jakoś dojść do porozumienia. Proponujemy przełożenie terminu przekazania wyników, ale prosimy, by przy tym państwo okazali dobrą wolę i zrezygnowali z karnego cięcia należności.

– Jakie są szanse, że odzyskacie te dane? – po raz pierwszy odezwał się Piotr, a pytanie skierował bezpośrednio do Blanki.

– Część skompletuję z zapisów na lokalnych dyskach komputerów sterujących spektrometrami – odparła bez zastanowienia. – Być może też uda nam się dotrzeć do sprawozdań stworzonych przez Kamila. Ale z tym może być trudno. Wiele zależy od tego, co zezna ujęty morderca...

– Wyciągniemy z niego, co zrobił ze skradzionymi komputerami i dyskami, nie ma obawy – dodał Malinowiecki. – Mam pewne wpływy w policji śledczej i... Hm, może przemilczę szczegóły, ale zapewniam, że zrobimy wszystko, by dowiedzieć się, co się stało z tymi danymi.

– Te badania miały być istotnym krokiem w projekcie związanym z lekami onkologicznymi – powiedział ostrożnie Piotr. – Opóźnienie dość istotnie zmieni harmonogram prac. To pociąga za sobą całą lawinę decyzyjną. Nie będzie łatwo zwyczajnie anulować kar umownych. Postaramy się jednak jakoś sobie z tym poradzić. Ach, jaki ten mózdek z popiołem trawy żubrowej przewyborny, smakuje trochę jak jajecznicą, którą robiła moja babcia. Tylko jakby przypalona. A wracając do rzeczy, powiedzmy, że zadowolimy się wynikami, które odzyska Blanka, i zamkniemy projekt. Proszę nie uruchamiać znajomości w policji, nie chcemy się w tym babrać. Rozumie pan, nie życzymy sobie, by jakkolwiek cień padł na Avera, by osobom postronnym wydawało się, że mamy cokolwiek wspólnego z jakimiś szemranymi przesłuchaniami, wymuszaniem zeznań czy czymś takim. W ogóle chcemy się odciąć od całego tego kryminalnego incydentu.

– Ale czy pan zdaje sobie sprawę, że Blanka znajdzie dostęp jedynie do bardziej jawnych danych, te najbardziej istotne zostały bowiem precyzyjnie wykasowane... – zauważył Malinowiecki.

– I świetnie! – ucieszył się Piotr. – Jakoś to przebolejemy i zadowolimy się danymi podstawowymi. Nalegam, by państwo zaniechali dalszych poszukiwań i drażenia tematu. Zrezygnujemy z kar, ale trochę zmniejszymy stawkę podstawową. Powiedzmy o dwadzieścia pięć procent, zgoda? I damy państwu trzy tygodnie na zebranie tego, co da się odzyskać. Czy takie rozwiązanie jest zadowalające?

– Ale... – wtrąciła Kizerwetter, Piotr uciszył ją jednak ostrym spojrzeniem.

– Ten projekt zostanie stopniowo wygaszony, tylko że musimy coś pokazać centrali. Liczę, że Blanka przygotuje dla nas obfite sprawozdanie, z ogromną liczbą wykresów i danych sugerujących, iż seria eksperymentalnych leków jest mało perspektywiczna. Mogą mieć za krótki czas uwalniania lub zbyt długą farmakokinetykę, cokolwiek. Byleby nie miały zbyt drastycznego działania toksycznego.

– Mam sfabrykować wyniki? – zdumiała się szczerze Blanka.

Piotr wzruszył ramionami, uroczo się uśmiechając.

– Tylko trochę brakujących, by uzupełnić materiał. Nie chcemy wdawać się w szczegóły, temu i tak nikt specjalnie nie będzie się przyglądał. Proszę zrozumieć, jesteśmy tylko filią wielkiego koncernu i musimy ze wszystkiego rozliczać się przed górą. Ten projekt nie rokuje, więc go zamykamy. Wszelkie wyniki badań zostaną przetrawione przez naszych analityków zgodnie z procedurami, a potem na wieki wieków wylądują w archiwum, gdzie już nikt nigdy do nich nie zajrzy. Część toksykologiczna wykonywana przez państwa firmę będzie stanowiła tylko element, jedną z kolejnych niekorzystnych ocen, która skłoniła nas

do pogrzebania projektu. Koniec i kropka.

Blanka pokręciła głową z niesmakiem, bo zrozumiała, że Piotr wcale nie żartuje. Naprawdę chce, by zastąpiła brakujące wyniki lipnymi. Wszystko to wydało się jej jakieś śliskie i śmierdzące. O co właściwie w tym chodziło? Ktoś uciszył na zawsze ludzi znających prawdziwe raporty, ukradł je właściwie nie wiadomo po co, a teraz sami przedstawiciele Avera domagają się, by zapomnieć o zrabowanych materiałach i uziemić projekt. Czemu, do cholery?

– Zrobimy to, oczywiście z zachowaniem pełnej dyskrecji – zarządził wiceprezes Malinowiecki. – Myślę jednak, że obniżenie należności za badania o dwadzieścia pięć procent jest nie do przyjęcia. Możemy się zgodzić na dziesięć procent i dostarczamy państwu kompletny raport, który udowadnia nieznacznie negatywne działanie badanych leków.

– To kpina. – Kizerwetter wydeła usta w grymasie niechęci. – Chcą państwo niemal pełne wynagrodzenie za zgubienie prawdziwych wyników i oferują w zamian zwykłe fałszerstwo?

– Przecież to państwo je proponują. Chcą państwo być w porządku przed centralą, mieć podkładkę, że eksperymentalne leki są do kitu. I damy taką podkładkę, ale to będzie kosztowało. – Malinowiecki się uśmiechnął. – Zresztą dziesięcioprocentowa zniżka to zdaje się coś około stu tysięcy złotych? Nie jest to tak mało...

– Zgoda – zdecydował Piotr. – Proponuję nie robić żadnego aneksu do umowy, nie zostawiać śladów po tej rozmowie.

– *Gentlemen's agreement* – przytaknął Malinowiecki i wznosił toast kieliszkiem wina.

Blanka czuła się bardzo dziwnie. Była świadkiem dogadania dziwacznej i niezrozumiałej dla niej ugody. Z tego wszystkiego nie mogła skupić się na deserze i fikuśne chrupki z posłodzonego bekonu z gorzką czekoladą oraz trutnie pszczoł w miodzie z octem balsamicznym jakoś zupełnie jej nie ucieszyły. W końcu spotkanie się skończyło, Piotr oraz pani mecenas wstali i pożegnali się, dziękując za kolację. Piotr na pożegnanie znów pocałował Blankę w dłoń i mrugnął do niej porozumiewawczo.

– Spotkasz się dziś ze mną? Odwiozę tylko prawniczkę i przyjadę tu z powrotem – szepnęła jej na ucho.

Nie była przekonana, czy dziś ma jeszcze ochotę z nim randkować, choć jednocześnie bardzo ciekawiło ją, co przystojniak powie o tym całym przedstawieniu. Czuła się jednak zbyt zmęczona spotkaniem i nie miała siły, żeby odprawiać godowe rytuały i wdzięczyc się do przystojniaka. Pokręciła odmownie głową.

– Dzisiaj nic z tego. Zadzwoń – szepnęła.

Piotr zrobił zboląłą minę i znikł. Została z Malinowieckim, który poprosił kelnerkę o rachunek. Wiceprezes natychmiast też wyciągnął laptop i zaczął stukać w klawiaturę. Nie zwracał na Blankę najmniejszej uwagi, aż przyszło jej do głowy, by po prostu wyjść. Dopiła wino, odstawiła kieliszek i chrząknęła znacząco. Zimne oczy szefa spojrzały na nią bez zainteresowania.

– Ciekawe, prawda? – mruknął. – Doprowadzenie leku do trzeciej fazy badań klinicznych musiało ich kosztować jakieś dwieście milionów. I to dolarów. Aver zgodził się zrobić te badania w Polsce, bo u nas jest taniej. W Stanach wyszłoby im ze dwa razy tyle. I nagle tak po prostu decydują się zamknąć projekt, ale kłócą się o marne sto tysięcy złotych. Brzmi, jakby ktoś tam cierpiał na schizofrenię.

– Chyba wytargowali te dziesięć procent dla zasady – zauważyła Blanka. – Nie sprawiali wrażenia specjalnie przejętych tą kwotą. Mydlili nam tylko oczy.

– Czemu chcą uciszyć sprawę? Naprawdę boją się jedynie o wizerunek firmy? Że Aver zostanie powiązany z morderstwami i pójdzie smród? Czy może jest coś jeszcze? – zastanawiał się Malinowiecki.

– Może ktoś ich szantażuje? Zleceniodawca morderstw, drań, który wynajął Czesia! Ma autentyczne wyniki badań, zarówno toksykologiczne, jak i kliniczne. Widocznie to naprawdę kompromitujące raporty, które mogą uderzyć w Avera – oznajmiła Blanka, sama zaskoczona swoją przenikliwością. Czasem zdarzały się jej przebłyski niezwyklej inteligencji czy może intuicji. Zawsze czuła wtedy

podekscytowanie i lekkość płynących myśli, które zdawały się dosłownie eksplodować jej w głowie. – Zastanówmy się. Jest jakiś ciemny typ, który wie, że profesor Reckert wszedł w posiadanie kompromitujących Avera materiałów. Może to jego przyjaciel, może kochanek? Profesor nosił się niezwykle oryginalnie, rzekłabym, że sprawiał wrażenie starego, egzaltowanego geja. I może opowiedział któremuś z przyjaciół o tym, co posiada? Drań próbował wydostać od Reckerta te dane, ale profesor był porządnym, uczciwym gościem. Nie chciał się zgodzić na szantażowanie korporacji. Tamten doszedł jednak do wniosku, że gra idzie o wysoką stawkę i warto zaryzykować. Wiedząc o uczuleniu profesora na jad pszczeli, wymyślił sposób na sprzątnięcie go. Wynajął Czesia. Tak na marginesie, ciekawe, skąd się znali. Może drań siedział w pace razem z naszym Czesławem? Tak czy inaczej, uśmiercili profesora i jakiś czas trzymali jego ciało w ukryciu. Może przez czas potrzebny do odnalezienia w domu Reckerta wszystkich danych? Potem uderzyli. W trakcie rozmów z Averem drań zorientował się, że potrzebuje kolejnych, ostatecznie pogrążających korporację wyników, które znajdują się w posiadaniu szefa toksykologii naszej firmy, znaczy Kamila. Tym razem nagliła ich sytuacja. Może rozmowy z Averem układały się niepomysłnie i trzeba było działać szybciej?

– Ale dlaczego drań zdecydował się na zabójstwo Kamila? – zastanawiał się Malinowiecki. – Powodów mogło być wiele. Choćby nienawiść ze strony Czesia lub obawa przed identyfikacją w razie zwykłej kradzieży.

– Właśnie. Śmierć Kamila i Joasi to efekty uboczne, a nie właściwy cel. Celem od początku były raporty i wyniki badań – przytaknęła Blanka. – Po zebraniu kompletu danych drań przedstawił Averowi ultimatum. Nie całej korporacji, ale wyłącznie polskiej filii, która zdecydowała się ukryć zamieszanie przed centralą. Może mają coś na sumieniu, spartolili sprawę? To dlatego kazali nam sfabrykować jakiegokolwiek wyniki, byle tylko zamknąć projekt. Te sto tysięcy upustu to dla nich tyle, co nic. Szantażyście pewnie muszą zapłacić wielokrotność tej kwoty.

Malinowiecki zamknął laptop i chyba po raz pierwszy szczerze uśmiechnął się do Blanki.

– Dobra robota. Zaczynasz mi się podobać, Blanko – oświadczył. – Proszę wybaczyć moje dotychczas obcesowe zachowanie, pretensje i sztuczne wywieranie presji. To był test, czy potrafisz działać w sytuacji kryzysowej, pod ogromnym naciskiem. Jestem zachwycony wynikami. Przeciwności zdają się tylko dodawać ci skrzydeł. Razem z prezesem doceniamy twoją postawę i poświęcenie. To ty pokonałaś mordercę, ryzykowałaś życie i zdrowie dla dobra firmy. Chcę zaproponować ci objęcie stanowiska kierownika działu już na stałe. Stosowny wzrost uposażenia i wszelkie przywileje.

– Ja? Echem, nie spodziewałam się... – bąknęła, znów czując się jak idiotka.

– Proszę się spokojnie zastanowić – oznajmił. – Ze swojej strony jednak nalegam, byś przyjęła ofertę. Nie widzę nikogo innego na to stanowisko. Jesteś najlepsza, Blanko.

Wstał i szybkim gestem poprawił marynarkę. Spojrzał z góry na siedzącą w zadumie dziewczynę.

– Nie proponuję ci odwiezienia. Niechcący słyszałem, że jesteś umówiona z przystojniakiem z Avera – powiedział i znów się uśmiechnął. – Życzę dobrej zabawy. I proszę nie zapominać o firmie, nawet w wolnych chwilach.

Pokiwała posłusznie głową i odprowadziła szefa wzrokiem. Po chwili wsiadł do czekającej na parkingu limuzyny i odjechał. A to bezczelny typ! Podśluchiwał, ale nie dość dokładnie. I jeszcze ta końcowa uwaga. Miał ją za dziwkę, która będzie wyciągała informacje od kochanka? Prychnęła ze złością i wstała, zgarniając torebkę. Wyszła z restauracji, jednocześnie zdenerwowana i podekscytowana. Nie była do końca pewna, na co właściwie jest zła i z czego się cieszy.

Rozdział 9

W niedzielny poranek Blanka wybrała się na drugą stronę Wisły, na Białolękę, by w końcu zobaczyć się z ojcem. Choć wszystko wskazywało na to, że Czesio jest mordercą i pan Blewa nie ma nic wspólnego z zabójstwem Kamila, to nadal trzymano go w areszcie. Nie chciał bowiem powiedzieć, do kogo strzelał z nielegalnie posiadanej broni, prokuratura zatem nie kwapiła się z uwolnieniem byłego żołnierza.

Tłukąc się komunikacją miejską, znów duszną i nagrzaną od słońca, Blanka pomyślała, że jeśli przyjmie propozycję Malinowieckiego, będzie jej przysługiwał służbowy samochód i te niewygody się skończą. Prawko zrobiła, co prawda, lata temu i od tamtego czasu właściwie nie prowadziła, ale była zdeterminowana, by szybko przypomnieć sobie tę sztukę. W tej chwili, rozmyślając nad profitami, ostatecznie zdecydowała, że przyjmie propozycję wiceprezesa i obejmie dział.

Chrzanić gadanie załogi! I tak nie mam wśród nich przyjaciół, a ploty będą niezależnie, czy zostaną kierowniczką, czy nie – pomyślała. – Za to na otarcie łez dostanę znaczną podwyżkę. To, razem z odszkodowaniem z polisy Kamila, zdecydowanie ureguluje moje finanse. Jeśli dobrze pójdzie, mogę w ciągu roku lub dwóch spłacić dług i stać się wolnym człowiekiem! Nieuwiązanym przez bank na niewolniczym kredycie.

Zanim dokończyła myśl, zrobiło się jej wstyd. Jak mogła myśleć o korzyściach ze śmierci Kamila? Zostawił ją dla młodszego, porzucił i bez litości próbował usunąć ze swojego życia, ale w zasadzie nie był jakimś potworem. To tylko egocentryk, pozbawiony moralności i przyzwoitości, ale mimo wszystko skłonny do ludzkich odruchów, a nawet uczuć wyższych. Nie zasłużył na śmierć i nie wypadało myśleć o jego zgonie w kategorii finansowych zysków. To przecież świństwo.

Może już zaczęła się zmieniać w korporacyjną sukę, wyrachowaną i zimną niczym królowa śniegu? Przekształca się w bezdusznego dorobkiewicza? Już nawet jazda tramwajem męczy ją do niemożliwości, to chyba znak, że dzieje się coś złego. Tylko patrzeć, a przestanie rozmawiać z pracownikami poniżej stanowiska młodszego menedżera, bez mrugnięcia wprowadzi redukcję etatów i z zadowoleniem przygarnie premię za zarządzone oszczędności. Będzie się cieszyła, wywalając ludzi na bruk, jednocześnie żrąc kawior w snobistycznej restauracji. Zdaje się, że jako młoda dziewczyna, zaczynająca karierę, nie chciała zamienić się w kogoś takiego. Może wdrapać się na szczyt po szczebelkach kariery, ale czy warto takim kosztem? Przecież po drodze zamieni się w bezlitosną wiedźmę.

Zrobiło się jej przykro. Potrzebowała kogoś, komu mogłaby się wyzalić i kogo mogłaby spytać o radę. Zaczęła tęsknić za Patrykiem, beztroskim wariatem kochającym swoją pracę, który nie przejawiał agresywnych ambicji. Przebywając z nim, czuła się naprawdę swobodnie, wiedziała, że ma w nim oparcie i nie musi niczego udawać. Luzu i braku sztywności, tego jej brakowało. Prawdziwego faceta, który zapewni jej wytchnienie i spokój w swoich ramionach.

No tak, tylko że Patryk był trochę dziwny. Jego roztrzepanie wydawało się sztuczne, choć z całą pewnością miał fioła na punkcie swojej pasji. Mimo wszystko potrafił zapewnić jej dobry humor i wytchnienie od korporacyjnych zmagani, ale jednocześnie mógł sprowadzić na głowę inne problemy,

przecież musiały być jakieś poważniejsze powody, dla których żona go zostawiła, z pewnością nie chodziło wyłącznie o larwy trzymane w lodówce. Zupełnie inaczej może wyglądać życie z Piotrem. Ten był poukładany i zorganizowany jak szwajcarski zegarek. Zawsze doskonale dobrane ciuchy i woda po goleniu, subtelny i miły, a do tego o bystrym, skupionym na celu umyśle. Bez wątpienia byłby dla niej opoką, pięknym księciem, który zawsze ją wesprze i osłoni błyszczącą tarczą. Minusem z kolei mogła być jego zaradność i idąca z nią w parze bezwzględność. Zdaje się, że Piotr doskonale się czuł w korporacji i pasowało mu to lawirowanie na granicy przyzwoitości. Skoro bez mrugnięcia okiem kazał jej sfabrykować fałszywe badania, z pewnością dla swojej kariery jest zdolny do jeszcze gorszych rzeczy. Czyżby był młodszą i ładniejszą kopią Kamila? Pociągali ją tacy mężczyźni? Bezlitośni dowódcy, zwycięscy i zdobywcy? Hm...

Pogrążona w rozmyślaniach potknęła się przy wysiadaniu i wypadła z tramwaju. Na szczęście podtrzymał ją przechodzący mężczyzna. Podziękowała mu odruchowo, w tej samej chwili rozpoznając znajomą twarz. To aspirant Orzechowski, znów ubrany po cywilnemu. Gliniarz miał zarośniętą gębę i podkrążone oczy, wyglądał groźnie i patrzył na nią raczej nieprzyjaźnie. Czuć od niego było tytoniem i kawą. Skinął głową i wszedł do tramwaju, z którego właśnie wypadła. Czuła na sobie jego spojrzenie, gdy ruszyła w kierunku więzienia. Chyba nie przepadała za tym zimnym i niegrzecznym typem. Całe szczęście, że jej nie zaczepił i nie zmusił do rozmowy.

Tym razem przy bramie panował dość spory ruch, niedziela była wszak dniem widzeń. Blanka karnie ustawiła się w kolejce do dyżurnego, podała mu swój dowód osobisty, odebrała wejściówkę i ruszyła dalej. Torebkę zostawiła w szafce zamykanej na kluczyk i skierowała się do bramki wykrywającej metale. Te wszystkie kraty, siatki, druty kolczaste i ponurzy pracownicy służby więziennej robili przygnębiające wrażenie. Rychło zatem opuściły ją sercowe rozterki, a pojawiła się troska o ojca. Biedny staruszek tkwił w tym okropnym miejscu już tyle dni!

– Stać! – zażądał wartownik, gdy bramka zapisywała, migając czerwonym światłem.

Blanka poczuła się głupio, jak zawsze gdy sklepowa bramka piszczy, bo jeden z towarów nie rozmagnesował się na kasie. Sięgnęła odruchowo do kieszeni i wyciągnęła smartfon. Wartownik z marsową miną wskazał tabliczkę z rysunkiem telefonu w czerwonym przekreślonym kółku zakazu. Blanka ze skrucą wróciła do szafek, by wrzucić do niej zapomniane urządzenie. W tej chwili telefon zadzwonił, w dodatku wyświetlił się znajomy numer.

– Blanka? Cześć, tu mama Ady – odezwała się starsza pani.

– Dzień dobry, pani Lusi! – przywitała się zaskoczona. Mama przyjaciółki dzwoniła czasem, ale wyłącznie gdy Adę porzucił kolejny kochanek i przyjaciółka cierpiała katusze. Nie chciała wtedy rozmawiać z rodzicielką, a martwiąca się matka sprawdzała jej stan za pośrednictwem Blanki. Zatem w pierwszej chwili ta pomyślała, że superprzystojniaczek Adam Moczydło kopnął jej drogą przyjaciółkę w tyłek. – Czy z Adą wszystko w porządku?

– Nie wiem, właśnie dlatego dzwonię – odparła starsza pani. – Wyobraź sobie, że od środy nie mogę się z nią skontaktować. Zostawiłam jej już chyba ze dwadzieścia nagrań na telefonie i wysłałam sto SMS-ów. Potrzebowałam jej pomocy przy remoncie, miała mi zorganizować ekipę. Zaczynam się poważnie niepokoić, bo nigdy tak długo mnie nie lekceważyła.

– Ach, a z Adamem wszystko w porządku?

– Z jej nowym facetem? Nie wiem, chyba w porządku, nic nie mówiła – odparła pani Lusia. – Słuchaj, kochanie, bądź tak miła i pojedź do niej do domu. Sprawdź, czy coś się przypadkiem nie stało, dobrze?

– Może znów wyskoczyła na weekend z Adamem? Wie pani, jak to jest na tym etapie związku, kochają się i nie chcą, by ktoś im przeszkadzał. Może wyłączyła komórkę i tyle? Wieczorem z pewnością się odezwie.

– Nie mogłaby zapomnieć o moim remoncie, nie dawałam jej spokoju. Miała mi załatwić ludzi przed sobotą, a tu już niedziela i cisza. Słuchaj, kochanie, mam złe przeczucia – oznajmiła pani Lusia. – Wiesz, że serce matki jest wyczułone na te sprawy. Bardzo cię proszę, zrób coś...

– Dobrze. Zaraz spróbuję złapać kontakt do jej faceta, w ostateczności do niej pojedę – powiedziała i rozłączyła się, nie czekając na reakcję mamy Ady.

Trochę ją to irytowało, bo traciła czas widzenia z ojcem, ale zapanowała nad złością. Przypomniała sobie bowiem, że miała się nie zachowywać jak zimna suka i okazywać bliźnim trochę więcej uwagi i ciepła. Zadzwoiła więc do Piotra, by zdobyć telefon Adama. Przystojniak odebrał mocno zdyszany. Wyjaśnił, że właśnie miał trening i biegał po lesie, a wysłuchawszy krótkiej relacji Blanki, tylko prychnął.

– Nie ma sensu dzwonić do Adama – rzucił. – Nie ma go z Adą, w piątek wyjechał do byłych teściów. Wypadł jego weekend zajmowania się dziećmi. Jedyna sposobność, by przy okazji uniknąć kontaktów z byłą żoną, bo dzieciaki są na wakacjach u dziadków.

– To Adam ma dzieci? – zdumiała się szczerze Blanka. Jakoś tak odruchowo założyła, że piękny wybranek przyjaciółki jest kawalerem.

– Dwójkę, sześciolatek bliźniaki – odparł Piotr. – Rozwiódł się trzy lata temu i od tamtej pory widuje maluchy jedynie w wyznaczone przez sąd weekendy. Jego eks to prawdziwa harpia, straszliwe babsko. Ale wracając do rzeczy, to Ady z pewnością ze sobą nie zabrał, bo teściowie pożarliby ją żywcem. Wiesz, byłoby, że drań przywiózł wnuczkom macochę i będzie im mieszał w głowach. Notabene mama jego byłej jest podobnie wściekłą cholera jak córeczka... Ale tak przy okazji, to może dziś znajdziesz dla mnie czas? Proponuję wieczorny spacer wzdłuż Wisły i kolacyjkę w którejś knajpcie na Saskiej Kępie.

– Zobaczymy, zadzwonię – rzuciła i cisnęła telefon do szafki.

Nie miała wyjścia, będzie zmuszona wrócić do domu, zabrać klucze do mieszkania Ady i powlec się na drugi koniec miasta sprawdzić, co się dzieje u przyjaciółki. Ubranie już lepiło się jej do ciała od upału, a zapowiadało się, że to nie koniec podróżowania po rozgrzanym mieście.

W końcu pomaszerowała do pokoju widzeń. Ojciec już czekał przy wyznaczonym stoliku. Przyglądał się z ukosa sąsiadom. Z boku wytatuowany barczysty łysol rozmawiał z dwiema damami o kruczoczarnych włosach. To były znajome Blance lale z permanentnymi makijażami i skórą pomarańczową od samoopalaczy. Piskliwie wrzeszczały na dryblasę i groziły mu pięściami, ten jednak tylko się uśmiechał. W końcu złapał tę z brzuchem od zaawansowanej ciąży i posadził ją sobie na kolanach. Wyraźnie to ją uradowało.

– Cześć, tato – rzuciła Blanka, siadając przed ojcem i kładąc rękę na jego złączonych dłoniach.

Uśmiechnął się w odpowiedzi jakoś potulnie i przeprasząco. Nie sprawiał wrażenia przybitego ani cierpiącego w inny sposób, ale raczej zawstydzonego. Wpakował się w idiotyczne kłopoty, chyba przez niefrasobliwość i porywczność. Do głowy Blance nie przyszło, że to on mógłby strzelać do Kamila. Zaczęła wypytywać ojca o warunki i samopoczucie, czy czegoś mu nie trzeba i tak dalej.

– Nic mi nie jest, nie ma o czym mówić. Wcale się tu nie nudzę, jest biblioteka, siłownia, poznaję nowych ludzi, w tym dużo młodzieży. Zaczęłam nawet kilku gagatków trenować na siłce, wychowawcy są mi wdzięczni, bo odwalam robotę resocjalizacyjną. Zresztą i tak lada dzień wyjdę, adwokat twierdzi, że szybko mnie wyciągnie. Prokurator się stawia, bo nie chcę zeznawać, do kogo strzelałem, i zachodzi obawa, czy nie stanowią zagrożenia publicznego. Mecenas jest wściekły, bo to jawne dopieprzanie się nie wiadomo do czego. Za nielegalne posiadanie broni mogę odpowiadać z wolnej stopy, przecież nie jestem jakimś bandziorem, a strzelać mogłem na przykład do butelek. Grozi mi raptem pół roku, maksymalnie osiem lat, ale i tak skończy się na wyroku w zawieszeniu. Cieszę się przecież doskonałą opinią i w ogóle, jestem weteranem i należy mi się szacunek, a nie trzymanie w ciupie. Dzwoniłem dziś

po kumplach, kilku ma znajomości w MON, myślę, że lada dzień stanie w mojej obronie któryś z zaprzysiężonych generałów. Nie martw się zatem o mnie, będzie dobrze. A co u ciebie?

Blanka zreferowała mu z grubsza ostatnie wydarzenia, nie zapominając o walce wręcz z panem Czesiem. Ojciec tylko kiwał głową, patrząc na córkę z dumą. Aż się wyprężył i wypiął pierś. W końcu pochylił się do niej i ściszył głos, choć lalki obok i tak niemal wszystko zagłuszały.

– Słuchaj, opowiem ci, co właściwie znalazłem – oznajmił. – Postanowiłem, że upoluję drania, który włamał się do twojego domu. I przetłumaczę mu, że źle zrobił, może też wyperswaduję podobne zachowania. Wbrew pozorom znalezienie włamywacza nie było takie trudne, potrzebny był tylko kontakt do półświatka. Złapałem go przez jednego z moich byłych żołnierzy. Z tym chłopakiem zawsze mieliśmy na kompanii problemy i tylko czekałem, gdy wpakuje się w kłopoty. W końcu został przyłapany na kradzieży amunicji i odsprzedawaniu jej przestępcom. Wyleciał za to z armii, wylądował w ciupie, gdzie popadł w paskudne towarzystwo. Przeszedł na ciemną stronę mocy i po wyjściu zatrudnił się jako pretorianin jakiegoś mafijnego bossa. Potem jednak zjechał po równi pochyłej na dno, rozumiesz, wódka, narkotyki, prostytutki. Słabość do używek nie pomogła mu w bandyckiej karierze. Na szczęście nie skończył z podejrniętym gardłem w Wiśle, przynajmniej jeszcze nie. Łatwo go namierzyłem przez chłopaków z kompanii i odwiedziłem w burdelu, w którym jest wykidajła. Nawet ucieszył się na mój widok i zaoferował najlepszą dziewczynkę, i to ze zniżką dla dawnego dowódcy. Wiesz, że to nie moje klimaty, i podziękowałem. Na moją prośbę przeprowadził krótkie śledztwo, wykonał kilka telefonów i tak poznałem tożsamość palantów, którzy obrobili ci mieszkanie. To było trzech zwykłych degeneratów, pijaków urzędujących na melinach i kradnących na wódkę. Od wiosny mają bazę w altance na ogródkach działkowych pod Brwinowem. Wystarczyło wskoczyć w WKD i jeszcze przed północą byłem na miejscu. Nawet nie musiałem się skradać, wystarczyło kierować się słuchem, tak się darli po pijaku. Nie wydawali się przestraszeni nawet na widok broni, dopiero kiedy wystrzelałem im butelki z wódką i bimbrem, zrozumieli, że nie żartuję.

– Zatem naprawdę strzelałeś do butelek? – parsknęła Blanka. – Dlaczego nie chcesz o tym powiedzieć prokuraturze?

– Nie ufam im, może być przeciek i zleceniodawca dowie się, że jestem na tropie – szepnął kapitan Blewa. – Włamanie było bowiem zleczone. Za obrobienie ci mieszkania z kilku fantów, które złodzieje musieli oddać, mocodawca wypłacił im kilka tysięcy w gotówce. Od tamtej pory nieustannie piją.

– Ktoś zlecił tę kradzież? Właściwie mnie to nie dziwi – mruknęła. – Czesław Jakubiak?

– Nie przedstawił im się.

– Gruby typ około pięćdziesiątki?

– Nie. Raczej bliżej trzydziestki i zdecydowanie nie gruby. Szczupły i wysoki, skropiony wodą toaletową i przynajmniej w oczach pijaków elegancki. Cechą charakterystyczną było, że nosił czarny prochowiec, i to mimo upałów. To najlepiej złodzieje zapamiętali, wszyscy trzej.

– Ale skąd... Czeka! Czarny prochowiec? – Blanka poczuła, że serce zaczyna tłuc jej w piersi jak oszalałe.

Czarny elegancki prochowiec mimo upałów! Przed oczami stanął jej Adam Moczydło, nowy gach Ady, w dniu, w którym spotkali się w knajpie. Też się wtedy zdziwiła, że przystojniaczek nosi prochowiec mimo upałów. Do tego był wysoki, elegancki i wypachniony.

Ada milczy od kilku dni. Jest lekarzem z onkologii, jedną z zaufanych członkiń zespołu profesora Reckerta. Ma dostęp do wyników badań klinicznych, wszystkiego, co zostawił po sobie profesor. Możliwe, że szpital zlecił jej ich odtworzenie dla Avera, tak samo jak Gen-Toks przykazał to Blance.

Ktoś zleca usuwanie wszelkich danych na temat badań dla Avera. I likwiduje ludzi, którzy wiedzą zbyt wiele. Tym kimś może być ambitny szczur korporacyjny, gotowy piąć się po szczeblach kariery, nie

zważając na ofiary. Może coś spieprzył w procedurze wprowadzania nowego leku, coś, co dyskwalifikuje go jako menedżera? I próbuje usunąć ślady swoich błędów, nie licząc się z kosztami? Gra musi iść o wysoką stawkę. Intratne stanowisko, może wielką premię? Szczur postanowił zagrać *va banque* i urwać łeb niewygodnemu projektowi. Poderwał Adę, podwładną profesora Reckerta, by przez nią mieć dostęp do szpitala. W Gen-Toksie podkupił pana Czesia, pracownika fizycznego, na którego nikt nie zwraca uwagi. Wspólnie zdecydowali się sprzątnąć profesora, potem Adam zlecił włamanie do mieszkania Blanki, by ukraść komputer Kamila zawierający niewygodne dane. W komputerze widocznie nie znalazł tego, czego szukał. Rychło sprawy posunęły się za daleko i doszło do mordu na Kamilu i jego kochance. Po ujęciu pana Czesia nie pozostało mu nic innego, jak wyeliminować wszystkich, którzy mogli dowiedzieć się o jego roli lub odzyskać kompromitujące dane. W pierwszej kolejności mogło paść na Adę.

Blanka poderwała się na równe nogi, z rumorem odsuwając krzesło. Głowy rozmawiających zwróciły się w jej stronę, a czarnowłose lale aż przestały szczebiotać i popatrzyły na nią z naganą.

– Tato, muszę lecieć – oznajmiła ojcu.

– Ale czekaj, jeszcze nie skończyłem...

– Później. Adzie może grozić niebezpieczeństwo – powiedziała.

Albo już stało się jej coś strasznego – dodała w myślach. – Chryste, jej nowy facet to morderca! Zimny sukiny, który ją bezwzględnie wykorzystuje!

Pognała do drzwi i załomotała w kratę, poganiając wartownika. W locie wyciągnęła torebkę oraz telefon z szafki i popędziła dalej. Niemal wpadła na wąsatego grubasa stojącego w drzwiach.

– Przepraszam – bąknęła.

– Ach, to pani! – zadudnił komisarz Leda. – Chwileczkę!

Blanka prychnęła ze złością, zorientowawszy się, że znów się natknęła na durnego gliniarza. Czyżby nadal uważał, że to ona zleciła morderstwo Kamila? Co za bałwan!

– Nie mam teraz czasu... – rzuciła.

– Proszę sobie nie wyobrażać, że śledztwo jest zamknięte – powiedział. – Ciągłe mi coś śmierdzi w tej sprawie. Ja to wszystko jeszcze wyprostuję! Zbyt wiele zyskała pani na ostatnich wydarzeniach, żeby to mógł być przypadek. Odszkodowanie od ubezpieczyciela, awans na kierownicze stanowisko, co jeszcze?

– A daj mi pan spokój! – rzuciła wściekle. – Chwileczkę! Dobrze, że pana spotykam. Potrzebuję pomocy! Obawiam się, że coś złego stało się mojej przyjaciółce. Trzeba natychmiast do niej jechać! – W podnieceniu oburącz chwyciła gliniarza za koszulę. – Drań, który zlecił zabójstwo profesora, a potem Kamila, zlecił też włamanie do mojego mieszkania. Zbałamucił moją przyjaciółkę, doktor Adę Milewską. Właśnie dowiedziałam się, że od kilku dni nie można z nią nawiązać kontaktu. Boję się, że padła kolejną ofiarą mordercy!

– Ale przecież on siedzi w areszcie – zauważył gliniarz.

Blanka prychnęła ze złości. Naprawdę nie rozumiała, jakim cudem tak wielki tuman zdobył stopień komisarza policji. To było coś niepojętego. Miała ochotę potrząsnąć nim porządnie lub wyszarpać za wąsy.

– Słuchaj pan, do cholery! Zgłaszam podejrzenie popełnienia ciężkiego przestępstwa! Moja znajoma może już nie żyć lub jest więziona przez psychopatę! – wycodziła. – Zapomnij pan na chwilę o swoich podejrzeniach co do mnie i mojego taty. Proszę zrozumieć, że morderca, którego trzymacie w celi, miał współnika, a właściwie szefa-zleceńodawcę. Ten typ nie przestanie zabijać, dopóki nie zlikwiduje wszystkich, którzy mogą wiedzieć o jego udziale w przestępstwie.

– Pani histeryzuje – oznajmił w odpowiedzi. – Może rzeczywiście przeżyła pani ostatnio zbyt wiele. To może być reakcja nerwowa, załamanie. Czasem zdarza się ludziom pod silną presją, niejeden z moich

kolegów zmagał się z podobną przypadłością. Proszę usiąść, zaraz przyniosę pani wody i kropelki na uspokojenie.

– Kiedy ja jestem zupełnie spokojna! – ryknęła.

Leda spojrział na nią z góry i z troską pokręcił głową. Położył swoje wielkie łapsko na jej ramieniu, zupełnie unieruchamiając. Blanka zrozumiała, że teraz nie ma szans, by się zwyczajnie wymknąć.

* * *

Areszt opuściła jakieś pół godziny później. Komisarz Leda niespodziewanie okazał jej łaskawość i zrozumienie, a nawet zdecydował się przydzielić policjanta, który razem z nią sprawdzi mieszkanie Ady. Czekać na gliniarza, który się nią zajmie, kilka razy dzwoniła do przyjaciółki, za każdym razem jednak łączyła się z automatyczną sekretarką. To tylko jeszcze bardziej ją zdenerwowało. Komisarz przyniósł jej jakieś kropelki na uspokojenie i przypilnował, by je wypić rozcieńczone wodą. Nie spodziewała się, że zadziałają, ale grzecznie podziękowała. Ten niezbyt lotny niechlujnie ubrany grubas nagle wzbudził w niej coś w rodzaju sympatii. Miał ją, co prawda, za wariatkę, ale zamiast się jej pozbyć, próbował się nią zająć. Ściągnął dla niej policjanta, który właśnie zszedł ze służby. Niestety, trwały wakacje i wielu funkcjonariuszy było na urloпах. Policja i tak cierpiała na nieustanne braki kadrowe, więc Blanka musiała docenić poświęcenie i ofiarność Ledy. Jeszcze raz mu podziękowała.

– Nie jesteśmy potworami, jak pani widzi – powiedział grubas, siadając obok niej. – Może pani liczyć na zrozumienie z naszej strony. Jeśli popełniła pani błąd i spowodowała te tragiczne wydarzenia, proszę mi to szczerze wyznać. Razem zastanowimy się, co zrobić, by jakoś wybrnąć z kłopotów.

Blanka westchnęła. Leda ciągle uważał, że jest zamieszana w morderstwa, i próbował ją podejść, stosując manewr na dobrego glinę. Zanim jednak zdążyła znów go do siebie zrazić, odpowiadając przecząco, pojawił się wezwany gliniarz. To znów był aspirant Orzechowski. Blanka od razu zrozumiała, czemu nie kipiał energią i miał podkrążone oczy. Właśnie zszedł z nocnej służby i jechał do domu, chciał zwyczajnie odpocząć. Został zawrócony w połowie drogi, by zajmować się histeryzującą wariatką. Nic dziwnego, że spojrział na nią z niechęcią. Za to na komisarza już z jawną nienawiścią.

– Nie mogłeś wysłać z nią patrolu? – warknął do dowódcy, zupełnie ignorując Blankę.

Leda wziął go na bok i zaczął coś po cichu tłumaczyć. Blanka mogła się domyślić, że zaplanował, iż Orzechowski w trakcie wycieczki będzie kontynuował jej przesłuchanie i pozorując troskę, może w końcu skłoni do zeznań. Zwykły gliniarz z patrolu nie był wszak wyszkolonym śledczym i nic by z Blanki nie wy dobył.

– Poza tym sam mówiłeś, że to fajna laska – dobiegły ją strzępy rozmowy między policjantami. – Powinieneś mi dziękować, że zapewniłem ci tak uroczą rozrywkę na niedzielę.

– Wypchaj się – burknął Orzechowski do przełożonego.

Znikł na chwilę gdzieś w głębi aresztu, by wrócić z kluczykami do radiowozu. Skinął na Blankę ponagląco, właściwie machnął na nią ręką. Chyba jednak rozumiał, że zachowuje się niezbyt elegancko, bo w drzwiach ją przepuścił, wcześniej je otwierając. Szli przez rozgrzany parking w milczeniu i stanęli przed policyjnym wozem. Ku sporemu zaskoczeniu Blanki gliniarz i tym razem otworzył przed nią drzwi. Kiedy wsiedli do rozpalonego niczym piec wozu, spojrział na nią już nieco życzliwiej. Blanka przypomniała sobie, że podobną reakcję okazał, gdy spotkali się po raz pierwszy, na miejscu śmierci Kamila. Wtedy też na chwilę nuda znikła z jego oblicza, a w jego oczach pojawiło się przychyłne zainteresowanie. Zwyczajnie mu się podobała. To właściwie było miłe, nieczęsto spotykała się z podziwem dla jej urody tak jawnie okazywanym.

– Mam na imię Jacek – oznajmił Orzechowski, otwierając okna. W radiowozie nie było niestety

klimatyzacji. – Proponuję, byśmy przeszli na ty, łatwiej będzie rozmawiać.

– Blanka. – Ucisnęła mu dłoń, twardą i mocną.

Nie obcowała z mężczyznami silnymi i sprawnymi fizycznie od czasów, gdy zrezygnowała z treningów. Poczła coś w rodzaju niemal erotycznej przyjemności, na szczęście nie zapomniała, z kim ma do czynienia. Powstrzymała się więc od uśmiechów czy jakichś innych objawów zainteresowania, zamiast tego podała mu adres, spod którego musiała zabrać klucze do mieszkania przyjaciółki.

W niedzielne przedpołudnie, w dodatku wakacyjne, na mieście było pusto i radiowóz mknął ulicami bez przeszkód, pokonując odległość w ekspresowym tempie. Jacek skupił się na jeździe i nawet nie próbował zagadywać pasażerki. Może niezbyt przejął się zaleceniami przełożonego? Zmusił się do grzeczności wobec Blanki, ale jedyne, co zamierzał, to jak najszybciej odhaczyć zadanie i wrócić do domu. W pewnej chwili nawet ostentacyjnie ziewnął i potarł zmęczone oczy. Nie wytrzymała i zaczęła go z własnej inicjatywy:

– Jesteś po służbie? Noc była pracowita?

– Koszmarnie nudna. Niestety, musiałem pełnić służbę dyżurną, znaczy starać się nie zasnąć. Udało mi się przyciąć komara na dwie godzinki, ale nad ranem przyszło zgłoszenie o awanturze rodzinnej. Pijany mąż tłukł żonę, znaczy normalka w pewnych kręgach. Doprawdy nic ciekawego, jestem po zwykłej, rutynowej służbie. Wypluty i wymiętoszony, rozbity i znużony – odparł i na dłuższą chwilę zamilkł. Blanka myślała, że na tym rozmowa się skończyła, ale gliniarz znów się odezwał: – Coraz częściej dopada mnie straszliwe znużenie i zniechęcenie. Siedzę godzinami przed komputerem i popadam w jakiś dziwny trans. Zamieram, znużenie jest tak wielkie, że mój mózg się wyłącza, przechodzi w stan uśpienia. Jestem jak zombie, zużyty, pozbawiony życia i pragnień. Nawet gdy dzieje się coś ciekawego, jak na przykład znalezienie zwłok tego profesora, wybija mnie to z marazmu raptem na chwilę. I zaraz wracam do dawnego stanu. Zupełnie straciłem radość, jakieś zaciekawienie pracą.

– Wypalenie zawodowe – skwitowała Blanka.

– Co takiego?

– Coraz częściej się zdarza, szczególnie ludziom, którzy w pracy przez lata powtarzają te same czynności. W końcu tracą całkiem zainteresowanie i przyjemność, robota ich śmiertelnie nuży i męczy. Zmuszają się, by przyjść do firmy, i zajmują się w niej głównie odliczaniem czasu do końca – powiedziała, zerkając na zmęczonego glinę.

Jedną ręką wyciągnął z kieszeni paczkę papierosów i ustami wy dobył z niej jednego. Spojrzał na nią pytająco.

– Możesz zapalić, nie przeszkadza mi – rzekła. – Co do kryzysu zawodowego, to koniecznie musisz wziąć długi urlop i odpocząć. Jeśli nie pomoże, jedynym rozwiązaniem pozostanie zmiana pracy. Może nawet całkowite przebranzowienie, coś, co pozwoli ci spojrzeć na życie z innej perspektywy.

– Aha – mruknął, wypuszczając kłęby dymu.

Zatrzymali się pod jej domem. Lokalni blokery poczuli się dyskomfortowo i przesunęli spod klatki w cień drzew. Przyjrzeni się Blance z niechęcią. Jednego dnia zabiera ją wypasiona fura, drugiego przyjeżdża na dzielnię policyjną suką, doprawdy mocno podejrzana z niej babka. Blanka pognała do mieszkania, szybko odnalazła klucze przyjaciółki i już po chwili była z powrotem. Jacek ruszył gwałtownie, aż rozgrzane opony zapiszczały na asfalcie.

Czekała ich droga z powrotem na drugą stronę miasta, tym razem na Szmulowiznę. Jazda nawet w upał, ale za to z otwartymi oknami, była całkiem znośna i szybko zleciała. Już po kilkunastu minutach zatrzymali się przed starą kamienicą, w której Ada miała mieszkanie odziedziczone po samotnej ciotce. Dom był stary i obdrapany, tynk w wielu miejscach odpadł całymi płatami, odsłaniając czerwone cegły. Musieli zaparkować naprzeciw budynku, bo przez wąską bramę prowadzącą na podwórko nie dało się

wjechać. Przystosowano ją do przedwojennych fur, a nie współczesnych radiowozów.

Jacek zarzucił marynarkę, groźnym wzrokiem mierząc stojących przed sklepikiem lokalesów. Kolesie w dresach i koszulkach na ramiączka patrzyli na niego wyzywająco. Policyjny samochód nigdy nie był tu mile widziany, szczególnie że połowa mieszkańców osiedla miała na bakier z prawem i mogła poszczycić się krótszą lub dłuższą odsiadką. Blanka jednak nie zwracała na to uwagi, szybkim krokiem wkroczyła w cień bramy. Śmierdziało tu moczem i diabli wiedzą czym jeszcze. Na brudnym wewnętrznym podwórku typu studnia stał częściowo rozebrany wrak samochodu, wałały się jakieś śmieci.

Blanka zignorowała domofon o klawiszach, na których ktoś gasił papierosy, i kluczem otworzyła ciężkie jak diabli główne drzwi. Klatka schodowa również była zniszczona i zaniedbana, zielona farba poodpryskiwała, nadając ścianom ponury wygląd. Na drucie wisiała smętnie pojedyncza żarówka.

– Co za urocze miejsce – zauważył Jacek. – Pani przyjaciółka musi być odważną kobietą, skoro wybrała sobie lokal w tej okolicy.

– Życie ją do tego zmusiło. Mieszkanie odziedziczyła, na nowe jej nie stać. Poza tym twierdzi, że miejscowi wcale nie są tacy groźni. Jeśli już kogoś zaakceptują i potraktują jako swojego, może się czuć bezpieczny – odparła Blanka, wspinając się po wysokich schodach. – Wystarczyło, by rozeszło się, że jest doktorem, a od razu zyskała szacunek. Raz przynieśli do niej chłopaka z przestreloną ręką, który nie chciał iść do szpitala, bo wiadomo, skończyłby na policji. Opatrzyła go z zachowaniem dyskrecji, sporo przy tym ryzykując. Przecież gdyby wykorkował, miałyby straszne kłopoty. Na szczęście się wylizał. Jakiś czas później na jej oddziale wylądował miejscowy menel z rakiem płuc, poświęciła mu nieco więcej uwagi i troski. Stopniowo się rozeszło, że jest drugą Matką Teresą. Nigdy się do niej nie włamali, nie zaczepiają też jej kolejnych facetów. Nawet mnie nigdy tu nie napadli. Hej, czujesz ten zapach?

– Czuję – przytaknął Orzechowski.

Sięgnął do marynarki i z jej kieszeni wyciągnął pistolet. Chyba to nie było zgodne z regulaminem. Powinien mieć go w kaburze czy jakoś tak – pomyślała Blanka. Gliniarz minął ją i pierwszy stanął przed drzwiami mieszkania na ostatnim piętrze. Szarpnął za klamkę, ale oczywiście były zamknięte. Zapukał mocno. Blanka przełknęła ślinę. Ten zapach, obrzydliwie słodki i powodujący wymiotne skurcze. Tak śmierdziała padlina lub... ludzki trup.

Wyrwało się jej żalosne miauknięcie, gdy próbowała wciągnąć powietrze samymi ustami i jednocześnie zapanować nad płaczem. Wiedziała, co tam znajdują. Martwą od kilku dni Adę, która od upału zaczęła się rozkładać. Mimo to zapanowała nad sobą i podeszła do drzwi z kluczami, otworzyła dolny zamek, ale nadal było zamknięte. Ada nigdy nie zamykała na górny, widocznie to nie ona ryglowała drzwi. Blanka otworzyła również drugi zamek i znów cofnęła się za gliniarza.

Jacek wszedł do środka, trzymając uniesiony pistolet. Nie spodziewał się jednak, że zastanie kogoś żywego. Wewnątrz panował półmrok, rolety we wszystkich pomieszczeniach były pozaciągane. Policjant omiół spojrzeniem przedpokój i pustą kuchnię, pchnął lufą drzwi łazienki, a w końcu zajrzał do głównego pokoju. Schował broń i sięgnął po telefon.

Blanka na uginających się ze zgrozy kolanach weszła do środka. Zasłoniła nos dłonią, starając się powstrzymać mdłości i jednocześnie nie wybuchnąć płaczem. Znała Adę od wielu lat, od pierwszej klasy ogólniaka. Zaprzyjaźniły się pierwszego dnia w szkole, właściwie były niczym siostry. I teraz tak to się skończyło. Coś strasznego!

W pokoju panował półmrok jak w całym mieszkaniu. Prócz smrodu Blankę uderzyło basowe bzyczenie. Chmara wielkich tłustych much krzątała się na leżącym na łóżku nieboszczyku. Blanka musiała się zmusić, by dokładniej przyjrzeć się ciału. Stała chwilę jak skamieniała, a potem cofnęła się do korytarza.

– Szefie, potrzebna będzie ekipa dochodzeniowa z technikami kryminalistycznymi. Mamy tu trupa. –

Orzechowski meldował przez telefon komisarzowi. – Dobrze, będę miał ją na oku.

Schowwał telefon i podszedł do Blanki. Położył dłoń na jej ramieniu. Strząsnęła ją i odwróciła się gwałtownie. Mało nie zwymiotowała, zdołała jednak nad sobą zapanować.

– To nie ona – powiedziała. – To nie Ada.

– To jakiś facet. Chyba poderżnięto mu gardło – przyznał Orzechowski. – Jest w samych gaciach. Wygląda to tak, jakby morderca dopadł go we śnie, w każdym razie w łóżku, i na miejscu zaszlachtował. Poznajesz nieboszczyka?

– Tak. To Adam Moczydło – odparła.

* * *

Patryk przyjechał po dwóch godzinach. Uciekł w tym celu ze szpitala, z którego miał zostać wypisany dopiero w poniedziałek. W niedzielę nie było bowiem żadnej jednostki decyzyjnej, by wypuścić pacjenta, który się tego wręcz domagał. Wielkoludowi nie pozostało zatem nic innego, jak wymknąć się drzwiami technicznymi i złapać przejeżdżającą taksówkę. Pomknął prosto do Gen-Toksu, skąd zgarnął potrzebny sprzęt, i znów po podróży taksówką pojawił się na Szmulkach.

Blanka czekała na niego, siedząc na dole, na schodach, i paląc razem z Jackiem papierosy. Po przybyciu ekipy dochodzeniowej, która zabezpieczyła mieszkanie, nie mieli właściwie nic do roboty. Orzechowski zdążył tylko sprawdzić, czy nie ma jeszcze gdzieś ukrytego trupa Ady, ale przyjaciółka Blanki znikła bez śladu. Nie zostawiła żadnych tropów, listu ani choćby porzuconej garderoby.

Aspirant zaproponował Blance, że odwiezie ją do domu, ale nie chciała opuścić miejsca przestępstwa bez konsultacji z Patrykiem. Wielkolud, przebrany w kombinezon i obładowany sprzętem, łącznie z siatką entomologiczną, przywitał się z nimi szerokim uśmiechem.

– Myślałem, że zeświruję w tym szpitalu – powiedział. – Całe szczęście, że mnie wezwałaś. Miło cię widzieć, ślicznie wyglądasz.

– Dzięki – mruknęła Blanka i wypuściła kłęb dymu.

Nigdy nałogowo nie paliła, zdarzyły się jej tylko sporadyczne przypadki na imprezach, i to lata temu. Teraz jednak kopcila razem z gliniarzem jednego za drugim. Zapach dymu i tytoniu skutecznie zabijał smród śmierci i rozkładu, sączący się po klatce schodowej. Poza tym dawał zajęcie ciągle jeszcze dygoczącym rękoma.

– Mam coś dla ciebie – powiedziała i wyciągnęła pudełko zapalek otrzymane od Jacka. – Miedziane muchy.

Wcześniej wysypała z pudełka zapaliki, a do środka wsadziła kilka martwych owadów leżących w przedpokoju. Muchy nie były właściwie miedziane, ale zielonkawe. Ich odwłoki błyszcząły metalicznie i skojarzyły się Blance z miedzią pokrytą patyną. Owady miały kolor niczym dachy starych kościołów.

– Tego lata tam najwięcej – dodała. – Nie wiem, czy cokolwiek to znaczy. Chyba skolonizowały nieboszczyka w pierwszej kolejności i wyparły konkurencję.

– Brawo! Widzę, że trochę cię wciągnęło tajemne życie owadów. – Patryk szczerze się ucieszył. Wysypał sobie muchy na dłoń i przyjrzał się im przez lupę. – Muszę cię jednak rozczarować, to nie jest żaden nietypowy gatunek, a zwykła, pospolita plujka. Konkretnie *Lucilia sericata*, plujka zielona. Bardzo rozpowszechniona na całym świecie, uwielbiająca padlinę. Świetnie też wyczuwa zapach krwi. Jeśli ofiara zastała skaleczona, ta miedziana, jak twierdzisz, muszka może pojawić się na miejscu jeszcze w trakcie agonii. Pozwolicie, że obejrzę ciało. Patolog już je badał?

– Tak, ale chciał z tobą skonfrontować wyniki – odparł Orzechowski. – Nie jest pewien *post mortem*

*intervallum*².

– Świetnie! Właśnie po to tu jestem! – uradował się szczerze Patryk i pognał po schodach na górę.

Orzechowski pokręcił głową, odprowadzając go wzrokiem.

– Trochę dziwak, co nie? Zresztą każdy, kto z własnej woli zajmuje się kryminalistyką, musi mieć nierówno pod sufitem.

– Ciebie przymusili do tej roboty? – spytała.

Uśmiechnął się do niej, chyba po raz pierwszy. Okazało się, że ponura twarz gliny bardzo na tym zyskała. Nagle okazało się, że to nawet przystojny facet.

– Samo się tak jakoś złożyło. Choć może po prostu ja też jestem kopnięty? – Westchnął.

Patryk zszedł na dół po jakiejś pół godzinie w towarzystwie policyjnego patologa. Lekarz pożegnał się i pojechał do domu, tłumacząc, że musi zdążyć na obiad, bo go żona zabije. Blanka doszła do wniosku, że chyba każdy z nich ma coś nie tak z głową. Jak można myśleć o posiłku po wnikliwym zbadaniu nieboszczyka?

– I co? – spytała Patryka.

– Miałaś rację, plujki zdominowały nieboszczyka, roi się w nim od larw. Oczywiście najwięcej tego jest w ranie, ale to normalne. Owady zasiedlają je w pierwszej kolejności – wyjaśnił. – Te okazy, które mi przyniosłaś, pochodzą z pierwszego pokolenia. Jeśli przyjmiemy, że muchy pojawiły się na panu Mocydle zaraz po jego śmierci, co jest niemal pewne, bo z pewnością wyczuły krew i przybyły błyskawicznie, to możemy założyć, że jaja zostały złożone, powiedzmy, godzinę po śmierci. W tej temperaturze okres ich inkubacji wynosi około dziesięciu godzin, potem wykluwają się larwy i nadchodzi pora żerowania. Zakładając stałe warunki i wzrost temperatury wewnątrz nieboszczyka...

– Jak to wzrost? – spytała Blanka.

– Jedzące i poruszające się larwy podnoszą temperaturę podłoża, w skrajnych wypadkach, jeśli trup jest duży i tłusty, mogą go podgrzać nawet o trzydzieści stopni – odparł Patryk, zerkając w notatnik. – Normalnie, gdyby, powiedzmy, Mocydło leżał na dworze, gdzieś w cieniu, to okres żerowania trwałby pięć, nawet dziesięć dni, ale w tych warunkach z pewnością został skrócony. Szacuję, że do trzech dni. Potem larwy szukają miejsc na przepoczwarczenie. Znalazłem sporo ich truchełek, znaczy postaci preimaginalnych, w przedpokoju, szczególnie w dywanie. I znów kluczowe znaczenie ma temperatura. Gdyby była zima, larwy zwyczajnie by zasnęły, ale w ten upał następowało przepoczwarczenie i pojawiły się dorosłe owady. To właśnie one tak wesoło brzęczą, pokolenie wyklute na nieboszczyku.

– Okropne – skwitował Orzechowski. – Więc jaki był czas zgonu?

– Zabójstwa dokonano jakieś sześć, może siedem dni temu – odparł Patryk. – W ubiegłą niedzielę, może w poniedziałek.

– Zatem jeszcze przed aresztowaniem Czesława Jakubiaka – zauważył Jacek. – Czyżbyśmy mogli dopisać tego nieboszczyka do jego konta?

– Zdaje się, że tak. Nie wydaje mi się, by był drugi morderca – przytaknął Patryk. – Czas zgonu zgadza się z szacunkami wykonanymi przez lekarza. Poza tym zbrodni dokonał ktoś niezwykle brutalny i pozbawiony zahamowań. Dopadł nieszczęśnika w łóżku i rozplątał mu gardło. To musiał być ktoś zdolny do wyjątkowo paskudnych zachowań. Pan Czesio doskonale tu pasuje. To degenerat, który zastrzelił bezbronną kobietę, maltretował Kamila przed jego zgładzeniem, a mnie porządnie walnął w łeb. Gdybym się w ostatniej chwili nie odwrócił i nie przyjął ciosu na czoło, też bym nie żył.

– O Jezu – westchnęła Blanka. – Co zatem zrobił z Adą? Gdzie ona jest? Jej mama twierdzi, że nie odzywała się do niej od środy. Coś tu się nie zgadza. Przecież Ada zauważyłaby, że od poniedziałku jej chłopak leży martwy w łóżku.

– Może wzięła udział w zabójstwie? – mruknął Orzechowski. – Albo zwyczajnie jej matka źle

zapamiętała ostatnią rozmowę z córką? To się zdarza. Trzeba to będzie sprawdzić, wystarczy spojrzeć w jej telefon. Masz zamiary na staruszkę?

– Tak, mieszka w Koninie – odparła Blanka.

– Cholera, trzeba będzie poprosić o pomoc miejscowych chłopaków – mruknął Jacek. – Za daleko, by się fatygować z takim drobiazgiem. Wolałbym zrobić to sam, ale trudno...

– A co z Adą? Trzeba jej szukać! – oburzyła się Blanka. – Może ją uwięził i dziewczyna tkwi od kilku dni w zamknięciu? Kona z głodu i pragnienia, a my tu siedzimy i gadamy.

– Mieszkanie Jakubiaka zostało sprawdzone, sam je przeszukiwałem – odparł Jacek. – Nie znaleźliśmy tam niczego mogącego wskazać zleceniodawcę morderstw ani cokolwiek podejrzanego. Tylko rosyjski pistolet, z którego dokonano podwójnego zabójstwa. Twojej przyjaciółki tam nie było.

– Trzeba zatem tego drania zmusić, by gadał! Och, czemu walnęłam go tak mocno? – syknęła.

– Nie możemy przesłuchiwać pacjenta bez pozwolenia lekarza, ale zasadniczo tym razem jesteśmy w stanie wyższej konieczności. Procedury można nagiąć albo po prostu je ominąć, jeśli zagrożone jest ludzkie życie. Muszę spytać szefa. Jeśli się zgodzi, jedziemy do szpitala – odparł Orzechowski.

– Zabierzcie mnie ze sobą – poprosił Patryk. – Jeśli trzeba będzie tego sukinsyna torturować, by zaczął gadać, mogę się przydać. Mam kilka pudełek wypełnionych głodnymi larwami.

Blanka i Jacek spojrzeli na niego ze zdumieniem. Zebrało mu się na żart w takiej chwili? Entomolog jednak nie żartował, patrzył z całkowitą powagą, jakby złożył zupełnie normalną propozycję.

Może chodziło mu o co innego? – pomyślała Blanka. – Dostrzegł, że z sympatią patrzy na Jacka, i jest zwyczajnie zazdrosny? Czy to możliwe, by chciał nam towarzyszyć ze względu na mnie?

Wstając, spojrzała jeszcze raz na Patryka, a ten uśmiechnął się niewinnie w odpowiedzi.

Rozdział 10

Orzechowski otworzył drzwi radiowozu i w tym momencie zadzwonił mu telefon. Zerknął na ekran i z boleścią stwierdził, że to komisarz, z którym dopiero co rozmawiał. Czego znowu chce? Leda przed paroma chwilami zgodził się na wcześniejsze przesłuchanie Jakubiaka w trybie awaryjnym. Heroicznie nawet zdecydował, że sam weźmie udział w rozmowie, i kazał na siebie poczekać w szpitalu. Jacek stwierdził, że pewnie szefowi coś jeszcze przyszło do głowy. Odebrał zatem, przepaszając kiwając Blance głową. Śliczna pani doktor zajęła się rozmową z entomologiem. Dryblas wyraźnie się ślinił na jej widok, co niespodziewanie zaczęło irytować Orzechowskiego. Przez ostatnie godziny zdążył przywyknąć do tego, że ma ją na wyłączność, w dodatku odkrył, że samo przebywanie w jej towarzystwie sprawia mu przyjemność. Teraz nagle mu to odebrano, a zrobił to jego znajomy, którego zawsze miał za fajłapę. Co kobieta może widzieć w gościu kochającym się w robalach? Jednak Blanka zachowywała się, jakby toporne zaloty Patryka ją bawiły. Jacek spojrzał na konkurenta z rosnącą niechęcią.

– Tak, szefie? – mruknął do telefonu i odsunął się od radiowozu.

– Zanim przyjadę, spróbuj coś wyciągnąć z tej baby – rzekł Leda. – Ciągle mam przeczucie, że kręci, że to ona za wszystkim stoi. Jest jedyną osobą mającą motyw, by sprzątnąć Nachowiaka. Coś tam gadała o kradzieży firmowych danych, ale dajcie spokój. Kto tak brutalnie mordowałby ludzi z powodu jakichś naukowych bzdur? Tu wchodzi w grę porachunki i pieniądze. Forsa niemal zawsze stoi za zbrodnią, ludzie dla kasy gotowi są na wszystko. Blewa zemściła się na byłym facecie i jeszcze na tym zarobiła, taka jest prawda. Czesław Jakubiak pewnie działał na jej zlecenie. Nie zdziwiłbym się, gdyby się okazało, że był jej kochankiem.

– Blanki? – prychnął Jacek, odchodząc jeszcze dalej, by nie zostać usłyszanym. – Czy pan widział tego faceta? To gruby dziad, prostak i chamidło. Gdzieżby miał szanse u takiej babki?

– Nie przesadzaj. Chyba nie masz pojęcia o kobietach. Nie wyobrażasz sobie, co potrafią zrobić dla zysku lub przez urażoną miłość, komu gotowe są dać dupy, byle coś na tym ugrać – odparł Leda. – Mogła Jakubiakiem manipulować do woli, jeśli go oczarowała. Nie tak łatwo skłonić faceta do zabijania ludzi, chyba nie wystarczyłoby, gdyby mu tylko zapłaciła. Myślę, że zabawiła się nim, zaciągnęła do łóżka i naobiecywała diabli wiedzą czego. W końcu doszło między nimi do sprzeczki. Wykorzystała jego słabość do siebie i z zaskoczenia grzmotnęła go w łeb, omal nie wysyłając na tamten świat. Nam przedstawiła to, że niby ją napadł. Niewiele brakowało, a pozbyłaby się jedyne go świadka, a przy okazji swojego cyngla od brudnej roboty. Ta baba musi być straszliwą żołą, uważaj na nią. Nie zostawiaj sam na sam z Jakubiakiem, bo temu sukinsynowi może przydarzyć się coś złego. Sam też uważaj, to przecież specjalistka od trucizn.

– Szefie, chyba przesadzasz. Myślę...

– To ja jestem od myślenia, ty zajmij się pilnowaniem tej baby. Ewidentnie wykorzystała okazję, by dostać się do Jakubiaka, zanim ten zacznie zeznawać. Myślę, że będzie próbowała go uciszyć na wieki.

– Wydaje mi się, że raczej martwi się losem przyjaciółki – bąknął skonfundowany Orzechowski.

– Podejrzewam, że ta już nie żyje. To ciąg dalszy porachunków pani Blewy. Widocznie musiała odpłacić za coś przyjaciółce i po raz ostatni wykorzystwała do tego osiłka Jakubiaka. Zaszlachtował gościa, którego zastał w łóżku Ady, a ją samą uprowadził pewnie po to, by Blewa sama się z nią rozprawiła. Przypuszczalnie szczątki zaginionej rozpuszczają się właśnie w kwasach czy czymś takim.

– Przeraza mnie pan. – Jacek westchnął, zerkając na stojącą przy radiowozie Blankę, która z przejętą miną rozmawiała z Patrykiem.

– Obawiam się, że mamy do czynienia z bezwzględna i skrajnie zdeprawowaną osobą. Istna lady Makbet! Idzie po trupach do celu i jeśli tego nie powstrzymamy, zwyczajnie nam się wymknie. Zacierając wszystkie ślady, eliminuje niewygodnych lub zbyt wiele wiedzących ludzi. Jest sprytna i dokładna. Ciężko będzie ją dopaść. Czekaj! Wiem, co zrobimy! Musisz przyłapać ją na próbie zamordowania Jakubiaka. To będzie jednoznaczny dowód. Powiedz im, że zmieniłem zdanie i możecie zacząć przesłuchanie beze mnie, że spóźnię się, bo sprawy osobiste czy coś tam. Zobaczysz, że Blewa spróbuje zostać z Jakubiakiem sam na sam. Pozwól jej na to, ale zachowaj dyskretną kontrolę. Niech działa. Złap ją za rękę w chwili, gdy nie będzie mogła się wyprzeć, gdy sytuacja będzie jednoznaczna. Zaryzykujemy życie Jakubiaka, zasłużył sobie na to.

– Ech, zrozumiałem – przytaknął ze zboląłą miną Jacek.

– To nie będzie łatwe, ale dasz radę. Pomyśl o profitach, co będzie, jeśli złapiemy seryjną morderczynię. Awans masz gwarantowany! – obiecał Leda. – Aha, jeszcze jedno. Masz broń? Miej ją w pogotowiu, obawiam się, że ta baba jest zdolna do wszystkiego. Załatwiła Jakubiaka głupim kastetem, cholera wie, co może mieć w zanadru. Jeśli cię zaatakują, nie wahaj się. Strzelaj.

Jacek potrząsnął głową, bo zabrakło mu słów, by odpowiedzieć na taki rozkaz. Nie mógł oderwać spojrzenia od Blanki. Wyglądała naprawdę uroczo, delikatna, wręcz filigranowa kobieta o poważnej, inteligentnej twarzy. Nie mógł uwierzyć, że stoi za tym wszystkim, Leda chyba zwariował. Choć jednak komisarz jest doświadczonej gliną, który ma na koncie niejedną nagrodę i pochwałę za świetną robotę. Z pewnością ma też nosa i nie plecie bzdur bez powodu. Może coś jest w jego słowach?

Blanka spostrzegła, że się jej przygląda, i uśmiechnęła się nieznacznie. Jacek poczuł dziwne gorąco rozplwające się w piersi. Oby Leda się mylił, bo choćby nie wiem co, nigdy nie zdobędzie się, by strzelić do tej kobiety.

– Wszystko jasne, szefie – powiedział do telefonu. – Wracam do roboty.

* * *

Radiowóz znów musiał pokonać pół miasta, bo okazało się, że podejrzany czeka na operację w zwykłej państwowej placówce, a konkretnie w Szpitalu Dzieciątka Jezus na Ochocie. Choć na ulicach nadal panowały pustki i nie musieli się męczyć w korkach, a przez Śródmieście przemknęli swobodnie, Jacek i tak zrobił się nerwowy. Sklął kierowcę autobusu, który zbyt gwałtownie wyjechał z zatoczki, i to takimi słowami, że nie powstydziliby się ich żaden z warszawskich chuliganów. Zreflektował się jednak i z zawstydzeniem przeprosił Blankę. Zrozumiał, że właśnie wyszedł na zwykłego tępego chama i stracił wszelkie szanse u pani doktor. Zresztą ona i tak wolała tego mądralę Patryka, a poza tym istniały szanse, że jest psychopatyczną morderczynią. W końcu zanim zatrzymał się na parkingu przed szpitalem, sam przed sobą przyznał, że jest zły, bo mu na niej zależy. Stracił dystans i polubił podejrzana. Nie świadczyło to o nim dobrze. Może rzeczywiście nadeszła pora, by zmienić pracę?

Wysiadł z radiowozu i ruszył do szpitala, nie kłopotząc się czekaniem na pozostałych. Podszedł do recepcjonistki i pokazał jej policyjną legitymację. Po korytarzu kręciły się tabuny młodych ojców, bo to samo wejście prowadziło na oddział położniczy. Godziny widzeń się jeszcze nie skończyły i w szpitalu

pełno było ludzi.

– Tego typu trzymamy w izolatce na trzecim piętrze – oznajmiła recepcjonistka. – Na chirurgii szczękowo-twarzowej. Tamtą klatką schodową na samą górę, na końcu korytarza.

– Ktoś go pilnuje? – spytała Blanka.

– Był policjant, ale poszedł. Zamknął bandytę na klucz i dał go salowej.

Blanka zdziwiła się, że zostawiają niebezpiecznego mordercę bez dozoru. Pilnuje go pielęgniarza przy drzwiach zamkniętych na zwykły klucz.

– Mamy braki personalne. – Jacek wzruszył ramionami.

Odnosił jednak w myślach, że Blanka w pierwszej chwili skontrolowała dostęp do Jakubiaka. Czyżby Leda miał co do niej rację? Orzechowski odruchowo wsunął rękę do kieszeni marynarki, sprawdzając dostęp do broni.

Weszli na górę. Na chirurgii szczękowej panował większy spokój niż na porodówce. Właściwie nie widać tu było odwiedzających i panowała cisza. Salowa okazała się herod-babą, wielką i srogą. Stała przed Jackiem, biorąc się pod boki i patrząc na niego z góry. Zatrzymała wzrok na legitymacji ledwie na chwilę. Skinęła łaskawie głową i chrapliwym głosem kazała im iść za sobą.

– Nie sprawiał pani żadnych kłopotów? – spytał Orzechowski.

– Niechby spróbował – burknęła. – Siedzi cicho i się nie narzuca. Jakies pół godziny temu wezwał mnie dzwonkiem i poprosił, bym zaprowadziła go do palarni, bo już nie może wytrzymać.

– Macie palarnię w szpitalu? – zdziwił się Jacek.

– A skąd? Dziewczyny i pacjenci palą przed wejściem – odparła. – Zlitowałam się i dałam mu zapalniczkę. Niech se zapali w sali, przecież i tak jest w izolatce, nikomu dym nie będzie przeszkadzał. Ech, zawsze miałam miękkie serce.

– Poprosił panią? Znaczą, on może mówić? – spytała Blanka.

– Gębę ma spuchniętą, ale gadać może – odparła salowa, wsadzając klucz w drzwi.

Jacek nie spuszczał oka z Blanki. Czy wyglądała na wystraszoną tym, że Jakubiak może gadać? Pewnie tylko udawał przed policją, że jest ciężko uszkodzony, a tak naprawdę może poruszać szczęką. Może też zacząć sypać. Blanka jednak nie sprawiała wrażenia przestraszonej, choć z pewnością była zdenerwowana. Czy zatem martwiła się losem przyjaciółki, czy raczej obawiała o to, że morderca wskaże ją jako zleceniodawczynię?

Salowa pchnęła drzwi i weszła do środka pierwsza. Zasłoniła całą swoją imponującą postacią widok, w dodatku stanęła w miejscu jak wryta. W końcu rzuciła się do łóżka chorego.

– O jasna cholera – zaklął Jacek, który teraz też dostrzegł Jakubiaka.

Pan Czesio leżał w wymiętoszonej pościeli z rozrzuconymi szeroko rękoma i głową mocno wygiętą w tył. Oczy miał szeroko otwarte i nieruchome, twarz nabrzmiałą i nienaturalnie purpurową. Na pierwszy rzut oka widać było, że jest martwy. Salowa również doszła do tego wniosku, bo po pierwszej reakcji, by ratować mu życie, zastygła nad pacjentem.

– Muszę powiadomić przełożoną pielęgniarzek – oznajmiła i wybiegła z pomieszczenia.

Jacek czujnie spojrzął na Blankę. Na jej twarzy nie malowała się jednak ulga, ale czysta groza. Albo dobrze grała, albo jednak komisarz Leda mylił się co do niej.

– O Jezu – szepnęła. – Co tu się dzieje? Kto ich wszystkich zabija? Jak teraz znajdziemy Adę?

– Chyba będziemy musieli tę sprawę zostawić policji – powiedział Patryk. – Chodźmy, nic tu po nas. Odwiozę cię do domu.

Wielkolud delikatnie objął ją i obrócił ku wyjściu. Nie pozwoliła jednak się wyprowadzić i odtrąciła jego ramię. Jacek z satysfakcją dostrzegł grymas rozczarowania na twarzy entomologa. Blanka za to podeszła do łóżka, by przyjrzeć się zmarłemu.

– Na podłodze leży niedopałek – powiedziała. – Zdążył wypalić papierosa i zmarł. Twarz wygląda okropnie, jakby dostał wylewu, ale ta pozycja i grymas, hm...

– Jakby porażenie nerwowe ze skurczami mięśni. – Jacek pokiwał głową. – Może to jakaś pourazowa reakcja po obrażeniach twarzy?

– Prawie tydzień po pobiciu? – prychnął Patryk. – Niemożliwe. Spójrzcie tylko, to grubas nadużywający papierosów i alkoholu. Około pięćdziesiątki, pewnie z cukrzycą drugiego typu od otyłości. Cała ta sytuacja musiała go mocno zestresować, wzrosło mu ciśnienie i trach! Po gościu.

– Śmierć naturalna? Serce mu wysiadło? – Blanka nie wyglądała na przekonaną.

Nie chciało się jej wierzyć, że po tych wszystkich straszliwych mordach ich sprawca tak po prostu odchodzi sobie na tamten świat. Jej spojrzenie padło na stolik nocny, na którego blacie leżała paczka papierosów. Czerwone marlboro. Trochę droga marka jak na takiego osobnika. Przecież Czesio był tylko pracownikiem fizycznym, tacy jak on palą najtańsze papierochy z dyskontów lub kupują ukraińskie podróby bez banderoli. Podniosła, po czym otworzyła pudełko. Brakowało dwóch papierosów.

– Może lepiej niczego nie dotykaj – bąknął Patryk, stając za jej plecami. – Po co ci to?

– Zaczęłam palić. Myślę, że nieboszczykowi nie będą już potrzebne, a mnie się przydadzą. To chyba nic złego, prawda? Przecież sam sprzątnąłeś z biurka Kamila gify, pendrive’y i jakieś breloczki, by dać je bardziej potrzebującym.

Entomolog nagle poczerwieniał ze wstydu i zmieszania. Cofnął się o krok, jakby wymierzyła mu policzek. Jacek nie mógł powstrzymać uśmiechu. Ależ go ta wrogość Blanki ucieszyła! Choć właściwie była tylko przyjacielskim przytykiem, by Patryk nie próbował zanadto jej kontrolować i się narzucać.

– Muszę zadzwonić do szefa. Znów trzeba ściągnąć tu dochodzeniówkę – powiedział Orzechowski. – Papierosy możesz zabrać. Nie sądzę, by mogły stanowić jakiś dowód. Jeśli poczekaś, odwiozę cię do domu.

– Poczekać – mruknęła, chowając marlboro do kieszeni. – Nigdzie nie muszę się spieszyć. Niedziela nie jest dla mnie najszcześniejsza. Mam wrażenie, że gdziekolwiek się dziś ruszę, mogę znaleźć nieboszczyka.

Rozdział 11

Przespała całą noc i, o dziwo, nie dręczyły jej żadne koszmary. Może dlatego, że przed snem znieczuliła się dwoma kieliszkami wina? W połączeniu ze zmęczeniem po prostu ścięło ją to z nóg i przynajmniej nie musiała się męczyć, trząść ze strachu, nasłuchując szmerów na korytarzu i czekając na morderców. Jakoś bowiem była przekonana, że sprawa jest daleka od zakończenia. Śmierć mordercy była zbyt podejrzana, możliwe, że ktoś, kto zlecił mu zabójstwa i chciał uciszyć, miał łapy wystarczająco długie, by sięgnąć nawet do szpitala. Skoro zajmuje się usuwaniem wszystkich osób mających związek z badaniami, prędzej czy później przyjdzie i po nią. Jest ostatnią, która może mieć dostęp do danych o niekorzystnych wynikach badań. Jeśli mocodawca Czesia zorientuje się, że Blanka służbowo zajmuje się kompletowaniem zaginionych badań, zapragnie i jej śmierci. Jej zgon ostatecznie zamknałby sprawę.

Szykowała się do wyjścia, nie przestając rozmyślać nad swoim położeniem i tym, co ma robić dalej. O dziwo, nadal pozostawała spokojna. Chyba zwyczajnie pogodziła się z sytuacją. Zdała sobie sprawę, że zdana jest wyłącznie na siebie i nie ma co oczekiwać na ratunek ze strony któregoś ze swoich walecznych rycerzy – Patryka, Jacka albo Piotra. Wszystko było w jej rękach. Sprawdziła, czy pałka teleskopowa jest na swoim miejscu w torebce, tak samo jak gaz pieprzowy. Właściwie to przydałaby się jej spluwa, ale nie można mieć wszystkiego. Znow ubrała się w strój luźny i funkcjonalny, trochę za sportowy jak na kierowniczkę z poważnej firmy, ale co tam. Chwilowo miała w nosie dress code'y i korporacyjne konwenanse.

Po dotarciu do firmy poszła prosto do pracowni na dół. Patryka jeszcze nie było, znow się spóźniał, co zdarzało mu się właściwie codziennie. Nie docierało jeszcze do niego, że w firmie komercyjnej panują nieco inne zasady niż w państwowym instytucie. Tu człowiek nie dysponował swobodnie swoim czasem, musiał w określonych godzinach być na stanowisku pracy i koniec. Dział HR w końcu dobiegł do tyłka. Najgorsze, że powinna sama opieprzyć Patryka, bo teraz był jej podwładnym. Trochę będzie jej trudno zwrócić mu uwagę, bo właściwie miała do niego słabość.

Sprawdziła pocztę i znalazła kilka maili od Malinowieckiego, który przysyłał jej strzępy danych dotyczących się badań, znalezione w poczcie od Kamila. Poza tym przypominał o palącym terminie, znaczy gonił ją do roboty. Odpisała mu grzecznie i zebrała się do wyjścia. Musiała udać się do labów na górze, kolejno usiąść przy każdym spektrometrze i chromatografie, by przejrzeć zawartość dysków komputerów, które nimi sterują. Zapowiadało się mozolne, długotrwałe poszukiwanie analiz, wielogodzinne grzebanie w plikach. Coś okropnego.

Zamiast w jakiś sposób pomóc w poszukiwaniu Ady, zmarnuje cały dzień, tkwiąc z nosem w komputerze. Sprawdziła telefon, ale nie miała żadnych wiadomości od Jacka, tylko SMS od Piotra. Proponował jej spotkanie, właściwie na nie nalegał, bo strasznie się stęsknił, poza tym martwi się o nią. To miłe, ale nie miała najmniejszej ochoty na randki. Nie w takiej chwili!

Z ponurą miną ruszyła do drzwi, ale po drodze przyszło jej do głowy, że odzyskane dane powinna gdzieś zgromadzić, najlepiej zapisywać na jakimś nośniku. Rozejrzała się i jej spojrzenie padło na

reklamówkę pełną Patrykowych próbek i giftów zabranych z biurka Kamila. Zajrzała do torby i chwilę w niej grzebała. W końcu wyjęła gadżet w kształcie różowej świnki, której nosek był wtyczką USB. Na brzuszku świnka miała wybitą pojemność – „16 GB”. Powinno z nawiązką wystarczyć!

Pomaszerowała na górę, łukiem omijając magazyn. Jakoś nie miała ochoty na spotkanie z Krzysiem magazynierem. Zresztą nie paliła się też do kontaktów z resztą załogi, ale nie miała wyjścia. Powinna nie tylko przeprowadzić się do gabinetu na górę, by mieć na nich oko, ale zaraz zwołać jakieś zebranie motywacyjne, usiąść i sprawdzić cele, jakie mają wpisane pracownicy poszczególnych zespołów, i kolejno ich z nich porozliczać. Znaczący zająć się też robotą kierownika, na co dziś cholernie nie miała chęci.

Na piętrze pierwszy oczywiście powitał ją Romek. Była tak serdeczny i chętny do pomocy, że aż robiło się mdło. Teraz już po całości przeistoczył się w lizusa, gotowego szpiegować dla niej i donosić, na kogo się da. W przypływie niechęci kazała mu odnaleźć w papierach lub komputerze Joasi karty ocen pracowników z zapisanymi celami i rozdzielnik zadań czy coś w tym rodzaju. Jednym poleceniem zamieniła Romka w sekretarkę, co powinno go urazić, ale ku jej zaskoczeniu sprawiał wrażenie zachwyconego. Po chwili zrozumiała czemu, w końcu miał dostęp do poufnych danych, wgląd w papiery wszystkich kolegów i koleżanek z działu, łącznie z listą premii i nagród finansowych oraz wysokością pensji. Będzie teraz mógł jątryć i intrygować na całego. No trudno, przynajmniej przekierowała na niego część swojej roboty i pozbyła się natręta.

Przywitała się z dziewczynami i zasiadła przy pierwszym wolnym spektrometrze mas sprzężonym z chromatografem cieczowym. Zanim system zdążył się uruchomić, a Blanka w nim zalogować, Patusia przyniosła jej kubek herbaty, a Basia talerzyk z kawałkiem niedzielного ciasta, które sama upiekła. Drobne lizusostwa czy wyraz zwykłej sympatii? Trudno powiedzieć, grunt, że ciasto było dobre.

Już po pierwszej godzinie ślęczenia nad dokumentami zaczęły ją piec oczy. Setki, tysiące plików bez nazw, oznaczonych jedynie automatycznie nadawanym numerem. Jechała po datach, ale to i tak niewiele dawało. Natrafiała na katalogi związane z różnymi projektami i zleceniami. Przez ten czas znalazła jedynie dwie analizy dotyczące toksykologii leków Avera. Jak tak dalej pójdzie, przez osiem godzin pracy odnajdzie kilkanaście plików ze zrobionych kilkuset. Nie może dać czegoś takiego przedstawicielom Avera. Będzie musiała, zgodnie z sugestią Piotra, fabrykować wyniki, ale to też zajmie masę czasu. Potrzebowała pomocy, bo nie miała szans, by zdążyć.

– Basia i Patusia, proszę do mnie! – oznajmiła.

Dwie analityczki pojawiły się natychmiast, jakby tylko czekały, by zaspokajać jej potrzeby. Blanka wytłumaczyła im, czego szuka, i wskazała dwie sąsiednie maszyny. Upewniła się, że dziewczyny nie realizują jakichś pilnych zleceń, i kazała poświęcić cały czas na poszukiwania. Dziewczyny posłusznie zabrały się do dzieła, nawet nie narzekając i nie jorcząc o dowalenie obowiązków. Blanka uśmiechnęła się w duchu, widząc je ze skupionymi twarzami i spojrzeniami wbitymi w ekrany. A zatem to tak działało! Teraz nie musiała harować sama, przecież dysponowała potężną mocą! Mocą kierownika zakładu! I mogła, korzystając z niej, używać do roboty podległych pracowników. Trzeba tylko lepiej zorganizować im pracę, by zdążyli z bieżącymi zadaniami, a od razu ruszy galopem.

Kogo by tu wybrać, by zamiast niej zajął się fabrykowaniem lewych wyników analiz? Z pewnością nie Romka, bo to niegodny zaufania donosiciel. Dziś kapuje dla niej, ale jutro może ją zdradzić, jeśli wyczuje w tym interes. Najwierniejsze mogą okazać się te dwie dziunie, Basia i Patusia. Blanka przyjrzała się im w zamyśleniu.

Całe to obciążenie obowiązkami i konieczność główkowania szybko ją zmęczyły. Przydałoby się coś dla odprężenia, na przykład papieros! Sięgnęła do paczki marlboro zabranej ze szpitala. Oczywiście nie zamierzała ich palić, po wczorajszych ekscesach papierosowych rozboleła ją tylko głowa. Przypomniła

sobie za to swoje podejrzenia. Założyła rękawiczki i wyciągnęła jednego papierosa. Obejrzała go dokładnie. Jeśli był zatruty, trucizna mogła się znajdować w ustniku lub nasączono nią tytoń albo bibułę. Paląc tak spreparowanego papierosa, pan Czesio wciągał toksynę do płuc, skąd błyskawicznie przenikała do krwiobiegu.

Zdecydowała się przeekstrahować dowód w całości. Rozerwała go dłońmi na kawałki, umieściła w zlewce i zalała najpierw rozpuszczalnikiem niepolarnym, przesączyła i wypłukała drugi raz, tym razem substancją polarną. W ten sposób upewniła się, że nic jej nie umknęło. Zrobiła kilka roztworów i wypełniła nimi dozownik-karuzelę. Przy okazji przyszło jej do głowy, że potrzebuje wzorców nikotyny oraz innych substancji występujących w tytoniu, by porównać je z otrzymanymi widmami i wykluczyć jako naturalne. Znalazła je w bazie danych i razem z surowymi wynikami analiz umieściła w jednym katalogu. Nie chciała teraz marnować czasu na zajmowanie się ich interpretacją, postanowiła zatem rzucić dane na pendrive'a. Wyciągnęła świnkę z kieszeni i wetknęła jej ryjek w port USB.

Pamięć była jednak pełna, całe szesnaście gigabajtów danych uniemożliwiało wgranie kolejnego katalogu. Blanka zmarszczyła brwi i już miała sformatować dysk, ale coś ją tknęło i kliknęła „otwórz”.

Zamarła, nie mogąc uwierzyć własnym oczom. Na świnie znajdowało się kilkadziesiąt folderów opatrzonych w nazwach datami i dopiskiem „Aver”. Otworzyła pierwszy z nich. Raport z pierwszego miesiąca badań z załączonymi dziesiątkami analiz. W drugim katalogu kolejny miesiąc i dalsze dziesiątki danych. Blanka poczuła kroplę potu spływającą między piersiami. Ręce zaczęły jej dygotać na klawiaturze.

Skarb! Przekłete dane, których szukali mordercy. Jezu Chryste! Wszystko tu było, łącznie z interpretacjami wyników. To z ich powodu zginęło tylu ludzi.

Ciekawe, czy to Joasia, czy Kamil zrzucili wszystko na pendrive'a? Miał być kopia zapasową w razie uszkodzenia laptopa? Blanka przełknęła ślinę, a potem wyjęła świnkę z portu. Co teraz? Natychmiast zgłosić to Malinowieckiemu? Nie, tylko spokojnie, bez pośpiechu. Musiała usiąść w jakimś spokojniejszym miejscu, gdzie nikt nie będzie jej przeszkadzał, i to wszystko przejrzeć. Pora dowiedzieć się, o co w tym wszystkim chodzi.

* * *

W labie panowała cisza, nie licząc wściekłego bzyczenia much i odgłosu obijania się ich o ścianki terrariów. Blanka czasem im wtórowała, mrużąc lub nucąc piosenki. Patryk się nie pojawił, zatem miała pomieszczenie wyłącznie dla siebie. Entomolog zadzwonił tylko, by się usprawiedliwić. Wskoczyła mu jakaś pilna sprawa z byłą żoną i nie mógł przyjechać do roboty. Wziął więc tak zwany urlop kacowy, czyli bez wcześniejszego zgłoszenia i podania przyczyny. Nawet lepiej, przynajmniej nikt się jej nie kręcił za plecami i nie zadawał niepotrzebnych pytań. Mogła się całkowicie skupić na przeglądaniu danych z przenośnej pamięci. Okazały się na tyle emocjonujące, że czytała je niczym dobry thriller. Nie mogła się wręcz od nich oderwać.

Początkowo były to wyniki badań krwi, moczu i surowicy ze zrobionymi na ich podstawie profilami uwalniania i farmakokinetyką. Znajdowały się tam również krótkie opisy pacjentów, na których eksperymentowano. Dokładniejsze dane kliniczne pewnie znajdowały się u profesora Reckerta, te jednak, które były, pozwalały z grubsza się zorientować, co właściwie robiono z substancjami od Avera.

Pierwsze dwa miesiące nie zawierały żadnych rewelacji. Z badań wynikało, że farmakodynamika wszystkich podawanych leków jest zadowalająca. Efekty uboczne czy niepożądane działanie nie było oznaczane w toksykologii, ale zachowanie metabolitów w organizmach pacjentów wyglądało na

bezpieczne i niezagrażające zdrowiu. Leki wchodziły w reakcję z receptorami, potem ulegały hydrolizie albo utlenieniu i szatkowaniu przez enzymy, a w końcu były w prawidłowym czasie wydalane z moczem. Wszystko cacy, nie ma do czego się przyczepić. W końcowej tabelce na czerwono oznaczono te z eksperymentalnych leków, które wypadły słabiej. Ograniczono w ten sposób liczbę badanych substancji do trzech wyglądających najbardziej obiecująco.

Od trzeciego miesiąca testowano już tylko trzech wspaniałych, ale liczba analiz wcale się nie zmniejszyła. Doszły do nich próbki z wycinkami tkanek, treścią żołądka i jelit, a nawet z kawałkami mózgu i rdzenia. Te ostatnie szczególnie zaciekały Blankę. Przyjrzała się im dokładniej i w końcu znalazła przegapiane arkusze dodane do plików jako opisy.

– Pacjentka lat dwadzieścia siedem, z guzem miejsca łóżkowego, po dwóch operacjach. Zgon w czwartym tygodniu terapii związkami ALW zero siedemdziesiąt sześć – przeczytała na głos. – Pacjentka lat czterdzieści, guzy jajnika o granicznej złośliwości. Zgon w trzecim tygodniu terapii związkami ALW zero siedemdziesiąt sześć. Chłopiec lat piętnaście, guzy neuroblastyczne w śródpiersiu, po trzyletnim leczeniu. Zgon w drugim tygodniu terapii związkami ALW sto sześćdziesiąt pięć. O cholera...

Wycinki tkanek nie pochodziły od leczonych pacjentów, ale ze zmarłych w trakcie eksperymentów. Blanka poczuła mrowienie z tyłu głowy zwiastujące rosnące podniecenie. Wiedziała, że właśnie trafiła na trop. Zaczęła zwawiej wertować dane, sięgnęła do późniejszych eksperymentów. Okazało się, że z czasem profesor Reckert skoncentrował się na badaniach ciał zmarłych pacjentów i próbkami z nich pobranymi zasypał Gen-Toks. Nie było, niestety, żadnych medycznych wniosków z tych eksperymentów, tylko wyniki toksykologii, bez komentarzy. Za to zamiast farmakokinetyki w kolejnych miesiącach pojawiły się próby oznaczenia stężeń metabolitów leków w tkankach i pobranych próbkach guzów nowotworowych. Wniosek nasuwał się jednoznaczny – profesor próbował sprawdzić, czy zgony chorych miały bezpośredni związek z podawaniem eksperymentalnych leków. Chciał się dowiedzieć, czy nieszczęśników zabił nowotwór, czy leki.

Sprawa ze wszech miar śmieszna. Po pierwsze, zdecydowano się namówić do eksperymentów chorych w zaawansowanym lub terminalnym stadium. To pewnie nie było trudne. Ktoś, kto jest świadomy, że nie ma dla niego ratunku, że medycyna nie może mu już pomóc, choćby ze zwykłej desperacji zgodzi się, by podać mu lek nowej generacji. Kto wie, może cudownie uratuje mu życie? Po drugie, nawet gdyby się okazało, że leki zupełnie nie działają lub są bardziej szkodliwe niż terapeutyczne, nikt nie udowodni, że śmiertelnie chory nie zmarł tak po prostu, od choroby, a nie od leku.

Profesor Reckert widocznie to jednak udowodnił. Zebrał dane, wedle których eksperymentalne leki na raka zamiast przedłużyć życie chorym, dość drastycznie je skróciły.

Powstała bardzo niewygodna sytuacja. Z pewnością żadna z firm biorących udział w projekcie nie chciałaby mieć nic wspólnego z podejrzeniem o bez troskie szafowanie ludzkim życiem. Co stałoby się z wizerunkiem firmy, gdyby do wiadomości publicznej wydostała się wieść, że eksperymentowano na śmiertelnie chorych i odsyłano ich na tamten świat dla jakichś szemranych interesów?

Po co to robiono? – pomyślała Blanka. – Czemu korporacja farmaceutyczna zaangażowała się w tak poroniony projekt? Przecież przed rozpoczęciem fazy klinicznej badano leki na liniach komórkowych i modelach zwierzęcych. Musiano wiedzieć, że te substancje są niebezpieczne. Czemu mimo to skierowano je do badań na ludziach? Pośpiech? Presja zarządu, by koniecznie zdobyć pozytywne wyniki? Ktoś przymknął oko na wyniki badań i przesunął leki do eksperymentów na ludziach, by się wykazać? W korporacjach, gdzie panuje głód sukcesów i ciśnienie na odhaczanie kolejnych celów, wszystko powyższe było właściwie możliwe.

Mniejsza o powody afery, ważne, że wiedziała już, dlaczego zginął profesor Reckert. Wszystkim

zaangażowanym w projekt zależało, by umilkł na wieki, a wyniki jego dochodzenia rozplynęły się w powietrzu. Potem trzeba było usunąć toksykologa, który miał pozostałą część wyników badań. Zlikwidowano zatem Kamila. Ostatni etap to sprzątanie pozostałych osób mogących doprowadzić do przecieku. Stąd atak na Adama Moczydłę, Adę i w końcu na pana Czesia. Ostatnią zamieszaną była już tylko Blanka.

Zadrzała mimo upału. Wyłączyła komputer, pieczołowicie chowając świnę wpierw do torebki, a po zastanowieniu do kieszeni spodni. Zaczęła bez celu kręcić się po laboratorium, zastanawiając się, jak rozegrać dalej tę partię. Postawiła się bowiem nie w pozycji ofiary, ale gracza, który śmiało podejmie karty. Pierwszy etap to ustalić, kto stoi za zabójstwami. Jak to mówił komisarz Leda? Mordercą jest osoba mająca motyw. Zatem trzeba się zastanowić, komu najbardziej zależało na zablokowaniu prawdziwych wyników.

W zamyśleniu podeszła do dygestorium zastawionego terrariumami i popukała w najbliższe pudełko. Wewnątrz zaroiło się od znajomych miedzianych much. Zaśniły zielonkawo ich panczerzyki, rozległo się gwałtowne bzyczenie. Z kolei w pudełku obok z łomotem tłukły się podłużne muszyska o czarnych, ale również błyszczących metalicznie panczerzykach.

Nicznym czarne żelazo – pomyślała Blanka. – Mniej szlachetne niż złote czy miedziane kuzynki. Pewnie dla odmiany bardziej żarłoczne lub wytrzymałe. Patryk twierdzi, że niezależnie od wyglądu wszystkie są tak samo potrzebne w przyrodzie i pomagają utrzymać porządek w swoim ekosystemie. Sprzątają niewygodne trupy. Zupełnie jak mordercy z Avera.

Oczywiste się jej wydało, że za morderstwami stoi ktoś z korporacji. Ktoś, kto spartolił projekt i przez zaniechanie, głupotę lub przerost ambicji doprowadził do tego, że nie do końca sprawdzone lub wręcz niebezpieczne substancje podano ludziom. Chorym nieszczęśnikom rozpaczliwie poszukującym pomocy. Gnojek, który to zrobił, jest gotów poświęcić wszystko, byle ocalić swój tyłek i kontynuować karierę. Może za zamknięty projekt jeszcze zgarnie dodatkowe profity? Wczoraj byłaby pewna, że tym kimś był Adam Moczydło. Ale to raczej nie on, skoro znalazła go z poderżniętym gardłem. Przełknęła ślinę, uświadamiając sobie coś, co cały czas starała się wyprzeć.

Doktor Piotr Pachczyński, obiecujący lekarz na usługach Avera, monitor badań klinicznych, odpowiedzialny między innymi za eksperymentalne leki onkologiczne. Przystojniak, który niby w żartach sam jej wspomniał, że gotów jest na każde świństwo dla kariery. Zdaje się, że wcale wtedy nie żartował.

To przecież on domagał się, by sfabrykowała fałszywe wyniki badań, dała mu lipne dane, na podstawie których centrala Avera zdecyduje o zamknięciu projektu. Zalecający się do niej elegant bajerował ją wyłącznie po to, by omamić i łatwiej skłonić do współpracy? Usunął wszystkich niewygodnych, a Blanę zwyczajnie wykorzystuje. Dlatego nadal nikt nie targnął się na jej życie. Była potrzebna, by dokończyć robotę. Ostatecznie pogrzebać fatalne eksperymenty, ukrywając je pod fałszywymi wynikami. Nie musiała zatem obawiać się o swoje bezpieczeństwo, przynajmniej do czasu, gdy przygotuje końcowy raport. Do tej też pory będzie mogła się spodziewać zalotów ze strony Piotra, który najwidoczniej lubi trzymać rękę na pulsie i mieć na wszystko oko. Potem, gdy Blanka zrobi swoją robotę, może przydarzyć się jej jakiś nieszczęśliwy wypadek lub fatalne zatrucie w labie.

– O, niedoczekanie! – wrzasnęła, grożąc pięścią niewidzialnemu wrogowi.

Świadomość tego, że śliczny goguś zwyczajnie ją wykorzystuje, wzburzyła w niej krew. Strach i obawy znikły niepostrzeżenie, zastąpione wpierw wybuchem gniewu, a potem zimną złością. Przemądrzały dupek, przeświadczony o swoim sprycie, nie ma pojęcia, z kim zadarł. Wydaje mu się, że ma wszystko pod kontrolą, że żongluje ludzkimi losami i może decydować o życiu i śmierci każdego, kto stanie mu na drodze.

– Poczekaj tylko, sukinsynu – wycodziła.

Rozdział 12

Aspirant Orzechowski siedział na ławce i palił papierosa. Ubrany był po cywilnemu, w dżinsy i czarną bluzę z kapturem. Nałożył go sobie na głowę, mimo że wieczór był ciepły i nie padało. Ławka stała na skwerku między blokami, tuż pod latarnią, którą blokiersi potłukli dla zabawy lub z jakiegoś innego niezrozumiałego powodu. Dzięki temu Jacek nie rzucał się w oczy, właściwie trudno było go dostrzec w mroku. Raz podeszło do niego dwóch młodzieńców w dresach i zażądało papierosów, a najlepiej i portfela. Kazał im spieprzać i machnął policyjną legitymacją. Poszli bez słowa, jedynie spluwali za siebie, wyrażając w ten sposób najwyższą pogardę dla przedstawiciela władzy.

Samotny tajniak zaczajony między blokami powinien się obawiać o zdrowie, w każdej chwili mógł oberwać cegłówką w potylicę lub zainkasować inną przykrość, na przykład skopanie przez kilkunastu nieznanych sprawców. Orzechowski jednak nie okazywał ani strachu, ani zniecierpliwienia. Nie bał się drobnych rozrabiaków, wbrew postawie wiecznie znużonego powolnego gliny potrafił poruszać się bardzo sprawnie i zwinnie. Wiedział, że dresiarze obserwują go z najbliższej klatki, ale nie próbują nawet się do niego zbliżyć. Sam zerkał od czasu do czasu w okno na piętrze.

Cały poniedziałek i połowę wtorku użerał się z mieszkańcami Szmulek, szczególnie sąsiadami zaginionej Ady, i miał serdecznie dosyć wszelkiej maści blokiersów. Na jego pytania o to, czy ktoś nie zauważył czegoś podejrzanego, czy może ktoś widział, jak prowadzono zastraszoną lub związaną Adę do samochodu, nie usłyszał ani jednej twierdzącej odpowiedzi. Wyłącznie pogardliwe lub opryskliwe uwagi, w ostateczności przeczące kręcenie głową lub wzruszenie ramion. Mogliby tu człowieka żywcem obedrzyć ze skóry, a nikt nie poinformowałby o tym policji. Miejscowi traktowali władzę ze skrajną niechęcią.

Śledztwo utknęło zatem w miejscu na dwa dni. Jacek, co prawda, podejrzewał, że dziewczyna już prawdopodobnie nie żyje. Jakubiak był przecież kawałem bezlitosnego sukinsyna o psychopatycznej osobowości. Zdolny był do wszystkiego, łącznie z zabiciem kobiety. Może zaciągnął ją dla rozrywki do swojej kryjówki i tam zgwałcił, a potem zaszlachtował? Tylko co, jeśli jej nie zabił, ale trzymał gdzieś związaną? Już ponad tydzień upłynął od jej zaginięcia. Choć to też nie było pewne. Matka Ady potwierdziła, że z całą pewnością rozmawiała z córką w środę i ta zachowywała się normalnie. Cała sprawa była więc dziwna.

Co, jeśli to Ada zaszlachtowała swojego kochanka, a potem znikła? Może zrobiła to razem z Blanką? Może działały we dwie? Takie były kolejne hipotezy komisarza Ledy, od których Orzechowskiego już zaczynała boleć głowa. Szeryf rozkazał Jackowi szukać innych śladów, nie marnować czasu na dreptanie po Szmulowiźnie, bo jednego, czego mógł się tam doczekać, to noża w plecach. Według komisarza główną podejrzaną pozostawała Blanka i jej należało przypilnować. Tylko kwestią czasu było, że w końcu potknie się jej noga i w jakiś sposób się zdradzi. Należało wykorzystać okres, gdy nie miała wsparcia ze strony ojca, który lada dzień miał zostać zwolniony z aresztu.

Światło na piętrze niespodziewanie zgasło. Czyżby Blanka położyła się już spać? Nie było nawet

dwudziestej pierwszej. Orzechowski skupił się na obserwowaniu okien na korytarzu i klatce schodowej. Zapaliło się na niej światło, widocznie podejrzana wyszła z domu! Po chwili trzasnęły drzwi windy i Blanka pojawiła się w wyjściu z bloku. Nie rozpoznałby jej, gdyby uważnie nie obserwował budynku. Założyła obcisłe czarne spodnie i sportowe buty, a do tego bluzę z kapturkiem, niemal identyczną jak ta, którą nosił Jacek. Rozejrzała się i ruszyła truchtem przed siebie.

– Och nie. Wybrała się na trening? – jęknął policjant, gasząc papierosa.

Sam trochę zaniedbał ćwiczenia, a do tego ostatnio kopcił niczym smok. Śledzenie biegaczki zapowiadało się zatem nieprzyjemnie i obawiał się, że gonienie za nią da mu w kość. Już miał pobiec za oddalającą się dziewczyną, gdy drogę zastąpiło mu czterech typów, również ukrywających twarze w cieniu kapturów.

Co oni wszyscy z tymi kapturami? – pomyślał.

Prowadzący dresiarzy największy drab splunął mu pod nogi.

– Czego tu wieszysz, psie? – warknął. – Chcesz w...

Jacek nie poznał dalszej części tej propozycji, zupełnie go zresztą nie interesowała. Nie mógł sobie pozwolić na stracenie z oka Blanki. Ruszył prosto na osiłka i wymierzył mu tęgiego kopniaka w krocze. Trafił gołeniami w genitalia bojowego dresiarza. Zanim pechowiec się zgiął, oberwał jeszcze barkiem policjanta, który zwyczajnie go staranował i nie oglądając się za siebie, pobiegł za podejrzaną. Pozostali blockersi, zupełnie zaskoczeni eskalacją przemocy, nie podjęli pościgu, ale gdy oddalił się na bezpieczną odległość, obrzucili go wyzwiskami.

Jacek nie poświęcił im uwagi, skupił się na oddalającej się postaci Blanki. Dziewczyna poruszała się szybko i zwinnie niczym kotka. Nie zdawał sobie sprawy, że jest tak wysportowana i sprawna. Przecież była tylko jajogłową mądrą z laboratorium! Może to wpływ ojca, który był za młodu komandosem?

Zaskakiwała go, i to już nie pierwszy raz. Na początku wziął ją za ładną, choć niestety durną laborantkę, potem odkrył, że jest nie tylko atrakcyjna, ale i sympatyczna, a w dodatku samo przebywanie w jej towarzystwie sprawia mu przyjemność. Teraz dochodziło jeszcze tajemnicze zachowanie. Jakoś nie wydawało mu się, że to tylko trening. Po co przebierałaby się niczym wojowniczką ninją? Wyraźnie starała się zniknąć, rozpląnąć w ciemnościach. Przebiegła wzdłuż ściany bloku bez okien, a zatem i bez światła, i wsiąknęła w ciemny park, rozświetlony pojedynczymi żółtymi latarniami.

Zadyszka złapała go już po paru minutach, ale się nie poddawał. Nie mógł przecież pozwolić, by zgubiła go jakaś tam niepozorna chemiczka od trutek. To byłby dopiero wstyd. Wyteżył zatem siły i przyspieszył, w myślach przeklinając swoją słabość do papierosów. Czując rosnący w piersiach ból, obiecał sobie, że spróbuje rzucić ten durny nałóg. Właściwie to kto jeszcze palił w dzisiejszych czasach? Nie dość, że ten zwyczaj coraz bardziej uchodził za niemodny, to zwyczajnie był szkodliwy i bezsensownie obciążał mu kieszeń.

Rozmyślając nad własnymi słabościami, omal nie wybiegł z zakrętu prosto na Blankę. Zatrzymała się i stała bez ruchu, obserwując ulicę ciągnącą się wzdłuż parku. Oparła ręce o kolana i pochyłona czekała, aż oddech się jej uspokoi. Wypięła przy tym tyłeczek w kierunku policjanta, który nie spuszczał z niego oka, cofnął się za najbliższe drzewo. Na szczęście była na tyle skoncentrowana na własnym zmęczeniu, że nie usłyszała zdyszanego intruza. Szybko ochłonęła, rozpięła bluzę i z rękoma w kieszeniach wyszła z parku na chodnik. Weszła przez otwartą bramę na strzeżone osiedle, ukrywając pod kapturem twarz przed stróżem siedzącym w wartowni. Nie zwrócił na nią uwagi, jemu płacono tylko za otwieranie szlabanu przed samochodami mieszkańców mających przepustkę parkingową. Reszta go nie obchodziła. Blanka pomaszerowała chodnikiem między nowoczesnymi trzypiętrowymi blokami udającymi ekskluzywne rezydencje.

Jacek chwilę oglądał bramę osiedla stylizowaną na coś w rodzaju starożytnego łuku triumfalnego,

ozdobionego logo dewelopera, i sam również wtargnął na pilnie strzeżony i monitorowany teren. Osiedle z pewnością nosiło nadętą i kompletnie nietrafioną nazwę, jakaś Ostoja Natury, Sad nad Ciszą, Zakątek Radości, Villa Naturalis, a może nawet Royal Apartments. W każdym razie tu nikt nie musiał obawiać się blockersów, w takich miejscach mieszkali wyłącznie młodzi przedstawiciele klasy średniej, nie najgorzej sytuowani, którzy jeszcze nie mieli dzieci zajętych rozbójnictwem.

Czego szukała tu zamaskowana Blanka? Czyżby w którymś z apartamentów ukrywała się jej niby zaginiona przyjaciółka? Może w końcu zdarzy się to spotkanie, o którym mówił Leda? Jacek zwolnił, by nie spostrzegła, że ktoś ją śledzi. Blanka jednak nie oglądała się za siebie, zatrzymała się przed wejściem do jednego z bloków i wbiła spojrzenie w domofon. Stała tak bez ruchu, jakby nie mogła się zdecydować, co dalej. Jacek cofnął się w cień rzucony przez krzewiastą kępę. Obserwował.

* * *

Co ja tu robię, do cholery? – pomyślała Blanka, zagryzając wargę.

Pod numerem siedemnastym mieszkał Piotr. Adres znała od niego samego, przecież na pierwszej randce omal jej tu nie zaciągnął, ale uparła się, by pojechali do niej. Namawiając ją, wspomniawszy, że mieszkają blisko siebie, podał ulicę i numer, a ona zapamiętała te szczegóły, i to mimo alkoholowego oszołomienia. W przypływie wkurzenia i potrzeby zrobienia czegoś, by ratować Adę, postanowiła wybrać się do jaskini lwa i walczyć o przyjaciółkę. Jakkolwiekby patrzeć, wychodziło jej, że głównym podejrzanym jest Piotr. Wszystko wskazywało, że to on musi być mózgiem całej operacji, on stoi za tą aferą. Nie było więc na co czekać, trzeba rzucić się mu do gardła i walczyć do upadłego. Od jej zdecydowania mogło zależeć życie przyjaciółki.

– Tylko co właściwie mu powiem? – mruknęła pod nosem. Wsadziła dłoń do kieszeni bluzy i ścisnęła puszkę pieprzowego gazu. – Chcę z tobą porozmawiać, natychmiast? I co dalej?

Wpuści ją do środka, ciągle będąc przekonany, że ma do czynienia z bezbronną słabą kobietką. Może gdy dowie się, jakie podejrzenie na nim ciąży, odsłoni się i wszystko wyzna? Może uda się wydobyć z niego, co zrobił z Adą? Jeśli nie zacznie gadać po dobroci, poczuje, co znaczy gniew wyćwiczonej w sztuce walki córki komandosa.

– Nie, to głupie. Na litość boską, to się nie uda – syknęła. – Przecież nie będę go torturowała. Poza tym kto właściwie wie, do czego ten drań jest zdolny? Może lepiej oddać tę sprawę w ręce fachowca? Poprosić o pomoc Jacka? Numer do niego można dostać od Patryka.

Ściągnąć na miejsce swoich walecznych rycerzy? Tylko czy nie potraktują jej jak rozhisteryzowanej idiotki? Czy nie zrobi z siebie wariatki? Może lepiej pójść do domu i spokojnie to przemyśleć? Przynajmniej trochę pobiegała i choć częściowo wyładowała gniew.

Zrobiła krok do tyłu, spoglądając na swoje zakapturzone odbicie w przeszklonych drzwiach klatki schodowej. W tej chwili przed blokiem zatrzymała się taksówka. Blanka nie zdążyła się wycofać, stanęła przed wysiadającymi z samochodu i omal głośno nie zaklęła. Odruchowo opuściła głowę, ukrywając twarz w cieniu. Z wozu wyskoczył dziarsko Piotr, ubrany jak zwykle elegancko, choć koszulę miał mocno rozchełstana i wymiętą. Twarz mu płonęła rumieńcami i ogólnie sprawiał wrażenie rozkojarzonego. Przytrzymał drzwi i w jego objęcia wpadła roześmiana kobieta. Całkiem ładna, co Blanka zauważyła z rosnącą irytacją. Po chwili też okazało się, że miała już z nią do czynienia, to była Anna Kizerwetter, prawniczka z Avera.

W czasie rozmowy biznesowej zachowywała się znacznie poważniej, właściwie sztywno i drętwo, że już bardziej się chyba nie dało. Teraz jednak była kimś innym. Uwiesiła się Piotrowi na szyi i zachichotała, odchylając głowę w tył. Oboje byli urżnięci i w dodatku w niezwykle rozrywkowym

nastroju. Blanka, która już miała niepostrzeżenie zniknąć, nagle się zatrzymała, zaciskając pięści.

Więc to tak! Bezcelność tego gogusia przekracza wszelkie wyobrażenie. To, co tu się wyprawia, jest jednak dowodem, że zdolny jest do wszystkiego – pomyślała gorzko.

Zalecanie się do Blanki było tylko grą, tak jak się spodziewała. Piotr używał kobiet instrumentalnie, zgodnie z bieżącym zapotrzebowaniem. Cóż w tym dziwnego, wszak dobrze sytuowany przystojniak może zdobyć niemal każdą. Niepotrzebnie wyobrażała sobie, że tak po prostu się w niej zakocha i będzie jej wierny. To przecież tylko korporacyjny szczur, ambitny egocentryk zdolny do najgorszych świństw. Nieważne, dla kariery czy przyjemności. Ludzie byli dla niego tylko pionkami. Typowa osobowość psychopatyczna, pozbawiona moralności i skoncentrowana wyłącznie na sobie.

Piotr trzasnął drzwiami taksówki i holując uwieszoną na nim mecenas Kizerwetter, ruszył do wejścia budynku. Blanka zastąpiła mu drogę.

– Widzę, że zdążyłeś już uczcić usunięcie Adama – powiedziała spod kaptura. – Opłaciło się? Czyżbyś w związku z tym dostał awans? Przejąłeś jego obowiązki?

– Blanka? Co tu robisz? – Piotr stanął jak wryty.

Od razu się wyprostował i spojrzał bystro, w jednej chwili trzeźwiejąc. Pani mecenas zmarszczyła brwi, z trudem skupiając wzrok na intruzce.

– Wiem wszystko – wycedziła Blanka. – Mam dowody, które próbowaliście zniszczyć. Zapomniałeś jednak, że cyfrowe dane można powielać w nieskończoność. Zabicie profesora i Kamila, kradzież ich komputerów nie były jednoznaczne z usunięciem wszystkich kopii. W końcu do nich dotarłam i przejrzałam je bardzo dokładnie. Mam propozycję...

– Hej, wiem, kto to. To chemiczka z Gen-Toksu – stwierdziła cierpko pani mecenas. Spojrzała na Piotra. – Nie wspominałeś, że tak dobrze ją znasz.

– Mówisz o danych z badań klinicznych? – Piotr zignorował ostatnią uwagę, wyciągnął rękę do Blanki, jakby chciał ją złapać za ramię. – Uspokój się, nie ma powodu do złości i gwałtownych czynów. Obchodziliśmy z Anną zamknięcie projektu onkologicznego i przyznanie premii. Nie rozumiem, co ma znaczyć, że wiesz wszystko. A właściwie co masz na myśli, mówiąc o usunięciu Adama?

Aha! Oficjalnie w Awerze jeszcze nie wiedzą o śmierci Adama – pomyślała.

– Och, przestań – powiedziała głośno. – Postawmy sprawę jasno. Masz natychmiast uwolnić Adę, chcę ją zobaczyć całą i zdrową. Inaczej jutro zaniosę te dane na policję, a kopie wyślę do prasy.

– Poczekaj, bo nie nadażam. Mówisz o Adzie, dziewczynie Adama? Dlaczego to ja mam ją uwolnić? Ja nic nie wiem o jej uwięzieniu, nie wiem, o co właściwie ci chodzi! – odparł Piotr. – Posłuchaj, nie rób niczego pochopnie. Rozumiem, że jesteś na mnie wściekła. Podrywałem cię i w ogóle, a tu taki kłops. Uwierz, miałem szczerze i uczciwe zamiary, ale byłaś nieprzystępna i pomyślałem, że nie chcesz mieć ze mną nic wspólnego. Odrzucałaś wszystkie oferty spotkania, nie możesz zatem teraz się na mnie złościć. Przynajmniej nie aż tak bardzo, w każdym razie nie ma powodów do zemsty. Niczego nigdzie nie wysyłam z gorącą głową, w gniewie. Zrobisz tylko krzywdę sobie i mnie, a może komuś jeszcze...

– Komuś jeszcze? Grozisz, że skrzywdzisz Adę? – wycedziła coraz bardziej rozgniewana Blanka. – Czekaj tylko, niech włos jej z głowy spadnie, a pogrzebię nie tylko twoją karierę, ale i narobię takiego smrodu Awerowi, że i własna firma ci zapłaci za szachrajstwa. Ciekawa jestem, jakie odszkodowania dla rodzin otrutych przez was chorych zarządzi sąd, ale mam nadzieję, że będą to grube miliony. Ach tam odszkodowania, ciekawe, o ile spadną po tej aferze akcje Avera i jakie powstaną szkody w związku ze zbrukaniem wizerunku. Wielka mi firma farmaceutyczna dbająca o zdrowie klienta! Pacjent najwyższym dobrem. Akurat! Czemu zatem po cichu trują chorych? Dla kolejnych kilku miliardów na kontach grubych prezesów?

– Chwileczkę! – Kizerwetter wyprostowała się i chwiejnie natarła na cofającą się Blankę. – Nie

możesz tego zrobić! Nie możesz przekazać mediom żadnych danych z badań, bo pożałujesz. Zadrzesz z poważnym koncernem, który dysponuje nieprzeliczoną armią prawników. Zniszczymy cię, twoją rodzinę i znajomych. Zmieciemy was z powierzchni ziemi, zrujnujemy, pozbawimy czci i środków do życia, na koniec zaoramy to, co po was zostało. Piotr puścił cię kantem, ale to nie powód do głupich ruchów. Nie rób niczego nieprzemyślanego, bo sprowadzisz sobie na głowę straszliwe kłopoty. Oddaj lepiej te dane zgodnie z umową, bo prócz zgładzenia ciebie zetrzemy też Gen-Toks.

Blanka cofała się przed osaczającą ją dwójką, aż oparła się plecami o ścianę. Poczwała, że traci grunt pod nogami. Nie spodziewała się, że tak szybko zostanie zagoniona do rogu i zmuszona do obrony. To przecież ona miała element zaskoczenia i asa w rękawie w postaci kompromitujących danych.

– Anna ma rację – przytaknął Piotr. – Ochłonmy przy filiżance kawy i porozmawiajmy spokojnie. Powiesz dokładnie, o co ci chodzi z Adą, myślę, że dojdziemy do porozumienia. Co do tych danych, które zdobyłaś, też możemy się dogadać. Dysponujemy pewnym budżetem na specjalne cele, jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

– Oferujesz mi łapówkę, draniu? – warknęła Blanka. – I może jeszcze mam zapomnieć o Adzie, co? Co z nią zrobiłeś? Czy ona jeszcze żyje?

– Chyba jesteś w szoku lub histeryzujesz. Nie wiem nic o Adzie, naprawdę. Rozważmy wszystko na chłodno. – Uniósł obie ręce w uspokajającym geście i zrobił kolejny krok. – Chodźmy do mnie, na górę. Napijemy się czegoś, wyjaśnisz, co mogę zrobić w sprawie Ady, a ja wyjaśnię, co ty możesz zrobić dla nas.

– Radzę się z nami dogadać – przytaknęła pani mecenas. – Nie chcemy, by komuś stało się coś złego.

Zbliżali się z uniesionymi dłońmi, jakby mieli zamiar ją obezwładnić i na siłę zaciągnąć do mieszkania Piotra. Tego było zbyt wiele. Blanka wyciągnęła z kieszeni puszkę i wcisnęła przycisk dozownika, jednocześnie machając ręką. Gaz pieprzowy bryznął strumieniem na wszystkie strony. Kizerwetter wrzasnęła przeraźliwie i oburącz zasłoniła twarz. Drąc się ile sił, wciągnęła drażniący środek do gardła i płuc, przez co po chwili zaczęła kasłać i się dusić. Piotr zaklął tylko i cofnął się, rękawem przecierając oczy. Blanka rozepchnęła ich i wstrzymując oddech, rzuciła się biegiem. Pomknęła przed siebie niczym sprinterka, by po chwili wybiec przez łuk triumfalny i zniknąć w mrocznym parku.

* * *

Orzechowski przyglądał się tej konfrontacji z zapartym tchem. Kiedy taksówka odjechała, przemknął z krzaków pod ścianę, by lepiej słyszeć. Niestety, wyłowił tylko część rozmowy, za to jasno z niej wynikało, że Blanka nie wie, co się stało z jej przyjaciółką, i desperacko próbuje to ustalić. Zatem nie kłamała, to Leda się mylił. To dramatycznie zmieniało postać rzeczy. Dziewczyna nie miała nic wspólnego ze śmiercią Moczydły, a pewnie także i z wcześniejszymi incydentami. Za to sama wytypowała podejrzanych, czy tam jednego podejrzanego, i w pojedynkę przystąpiła do ataku, by uratować zaginioną przyjaciółkę. To robiło wrażenie. Jacek od razu poczuł się lepiej. W końcu przestało go dręczyć, że wpadła mu w oko podejrzana, a być może i morderczyni. Opłacało się spędzić wieczór na inwigilacji.

Kim byli ludzie, których tak cudownie załatwiła? Z rozmowy wynikało, że to pracownicy Avera, a przystojniaczek był jej absztyfikantem, którego przyłapała na zdradzie. To cudownie!

Jacek patrzył na porażonych gazem bez śladu współczucia. Nie zamierzał też udzielać im pomocy. Wiatr doniósł do niego trochę unoszącego się w powietrzu aerozolu i zmusił do wycofania się w ciemność.

– Załatwię ją! – wrzasnęła prychająca i załzawiona kobieta. – Zniszczę tę sukę! Dopadnę i wyrwę jej serce! Czekał, Piotrze, na tym osiedlu jest monitoring, tak? To już po niej. Będę miała na filmie, jak ta

głupia krowa czeka na nas i napada bez powodu. Pójdzie za to siedzieć, już po jej pieprzonej karierze. Poza tym dowody, które niby ma, da się dzięki temu podważyć. Spróbujemy zrobić z niej niestabilną psychicznie furiatkę, to zrujnuje jej wiarygodność. Może uda się pokonać ją bez wręczania łapówki? No powiedz coś, do cholery!

– Masz rację, trzeba będzie się nią porządnie zająć – przytaknął przystojniak. – Jeśli się nie uspokoi i nie odda danych po dobroci, po prostu ją zniszczymy. Chodźmy stąd. Trzeba zmyć ze skóry te chemikalia, jedziemy na górę.

– Znów mi proponujesz wspólny prysznic? – spytała kobieta, przyjmując pomocną dłoń.

– Czemu nie, noc jest jeszcze młoda i wiele może się zdarzyć. Chodźmy lepiej, zanim sąsiedzi pomyślą, że urządzamy jakieś pijackie burdy.

Znikli w klatce schodowej, zostawiając Jacka przyczajonego w cieniu. Wstał z westchnieniem i otrzepał spodnie. Od wcześniejszego biegu i niewygodnej pozycji bolały go wszystkie mięśnie. Powlókł się już bez pośpiechu do bramy triumfalnej i wszedł do wartowni. Stróż siedział przed niewielkim telewizorkiem, zajęty oglądaniem kabaretonu w TVP. Za plecami miał osiem ekranów monitoringu, na które zupełnie nie zwracał uwagi. Na intruza zareagował tylko niechętnym spojrzeniem.

– Nie ma wolnych miejsc parkingowych, a łapówek brać nie mogę – oznajmił z lekkim żalem w głosie.

Widocznie mieszkańcy pobliskich zatłoczonych blokowisk stale szukali kawałka chodnika, na którym mogliby zostawić samochód. Brak parkingów był istną zmorem polskich miast. Pazerni deweloperzy, stawiając osiedla, zabudowywali każdy dostępny kawałek terenu, nie dbając o takie głupoty jak jakieś tam parkingi.

– Policja – mruknął Orzechowski, wyciągając legitymację. – Chcę przejrzeć zapisy monitoringu.

– Co proszę? – Ciec poderwał się na równe nogi. – To trzeba poczekać do rana na kierownika, ja nie wiem i nie umiem...

– Natychmiast – burknął Jacek. – To ten komputer? Sam sobie poradzę, nie przeszkadzaj pan sobie.

Usiadł przy pulpicie i nie zwracając uwagi na wystraszonego stróża, zaczął grzebać w programie sterującym systemem. Znalazł kamerę skierowaną na miejsce, w którym doszło do incydentu, odnalazł katalog z najnowszymi zapisami i jednym kliknięciem skasował pliki z ostatnich kilku godzin. W ich miejsce nadpisał pliki z poprzedniego dnia.

– I tak tajemniczy rycerz pomógł królowi w potrzebie – pomyślał, uśmiechając się do siebie.

Wyszedł ze stróżówki i pomaszerował w kierunku przystanku autobusowego. Pora wracać do domu, na dziś dość przygód, pewnie Blanka też pognęła prosto do domu. Odruchowo sięgnął do kieszeni po papierosa. Wyciągnął paczkę i obrócił ją w dłoni, przypomniał sobie męki, jakie dzisiaj musiał znieść w czasie bieganina. Po chwili wahania cisnął fajki do śmietnika.

Rozdział 13

Stawiła się w pracy pół godziny przed czasem, by w spokoju skorzystać ze spektrometru i skopiować z niego wyniki analiz papierosów pana Czesia. Wczoraj, przez szok wywołany odnalezieniem bezcennych danych, zupełnie zapomniała o eksperymencie. Zrzuciła pliki bezpośrednio na służbową pocztę, przy okazji odnajdując w niej kolejny mail od szefa. Malinowiecki prosił ją, by w wolnym czasie wpadła do jego gabinetu na rozmowę, a przy okazji zabierze kluczyki od służbowego samochodu, który na nią czeka na parkingu. Machnęła na to ręką i zbiegła na dół, do swojego lochu i Patrykowych much.

– Cześć! – powitał ją entomolog, uśmiechając się znad terrariów.

Był w firmie przed czasem, coś niebywałego! W powietrzu unosił się zapach octanu etylu, co znaczyło, że zabrał się już do roboty i w najlepsze uśmiercał wyhodowane okazy. Blanka nawet nie próbowała wypytywać, czemu nie stawiał się wczoraj w Gen-Toksie. Poczowała przyływ ciepłych uczuć, widząc Patryka krzątającego się i zadowolonego z życia. Nie dało się ukryć, że go zwyczajnie lubiła.

I to jego spojrzenie, coraz bardziej rozpalone i zdaje się, że pożądlive. Zainteresowanie entomologa zaczynało przeradzać się chyba w coś więcej niż sympatię do koleżanki z pracy. Nie mogła zatem traktować go ostro, nie przywykła wzbudzać u mężczyzn aż takich emocji i siłą rzeczy miękką. Przecież dla każdej kobiety jest komplementem posiadanie wielbiciela, który ekscytuje się każdym jej uśmiechem i gestem. Blanka odwzajemniła więc uśmiech i chwilę cieszyła się błogością, która odmalowała się na jego twarzy.

– Nie uwierzysz, co mi się wczoraj przytrafiło. – Nie wytrzymała i pochwaliła mu się odnalezieniem cennych danych i zidentyfikowaniem Piotra jako głównego podejrzanego.

Patryk słuchał jej opowieści, żywo komentując i gestykulując, aż z tego wszystkiego wywalił butelkę z octanem i rozlał rozpuszczalnik na notatnik.

– Musimy szybko coś wymyślić, nie wolno dopuścić, by te pazerne korporacyjne szczury cię szantażowały! – oznajmił, ścierając płyn. – Trzeba im pokazać, że nie stoją ponad prawem, że podobne rzeczy są niedopuszczalne. Może powiadomimy Orzechowskiego? Radziłbym zacząć od niego, bo komisarz Leda to twardogłowy muł i będzie trawił to całymi dniami. A tu trzeba działać szybko. Trzeba wziąć Pachczyńskiego w obroty, to może zdradzi, co zrobił z Adą.

– Próbowałam go nacisnąć, ale z tym jest coś nie tak – bąknęła Blanka. – Sprawiał wrażenie, że kompletnie nie wie, o czym mówię, gdy domagałam się uwolnienia Ady. Był bardzo przekonujący, aż poczułam się jak wariatka. Może jednak się mylę, może to nie on, a za wszystkim stoi ktoś zupełnie inny?

– Tego się nie dowiemy, jeśli nie sprawdzimy Piotra i nie nakłonimy go do gadania – odparł. – Wiesz co, jestem gotów ci pomóc. Może lepiej wstrzymać się z informowaniem policji i spróbować załatwić sprawę samemu?

– Co masz na myśli?

– Można zwabić gdzieś lub odwiedzić Piotra i udać wariata gotowego na wszystko. Mogę wziąć to na siebie. Przywiążę go do krzesła i wysypię na kolana larwy. Zagrozę, że rozetnę mu brzuch, i pozwolę, by

wpełzły mu pod skórę...

Blanka spojrzała na dryblasę, nie wiedząc, czy ma się śmiać, bo to żart, czy przerazić, bo mówi poważnie. W dodatku Patryk uśmiechnął się w sposób nieodgadniony, z nieobecnym spojrzeniem utkwionym w terrariach z owadami. W końcu parsknął śmiechem i przeprosił za wygłupy. To nie najlepszy czas na podobne bzdury, ale mimo wszystko coś w tych żartach było. Może rzeczywiście spróbować na razie bez udziału policji i rozegrać część tej partii na własną rękę?

– Zgodzisz się na rozmowę i udasz, że ulegasz szantażowi. Zażadasz łapówki i darowania życia Adzie, zobaczymy, co powiedzą – zaproponował. – Oczywiście nie zostawię cię z tym samej, pomogę. Mogę być w pobliżu i obserwować, by w razie czego wkroczyć do akcji. Wiesz, jestem duży i w młodości zdarzało mi się uczestniczyć w bójkach. Nie patrz tak, to grzechy młodości. Biłem się wyłącznie ze skinheadami i policją, ale to długa opowieść. Zastanów się lepiej nad moją propozycją, ach, i jeszcze jedno, radzę ci na razie nic nie robić z tymi danymi. Znaczący nie oddawać ich ani Malinowieckiemu, ani komukolwiek innemu. Zabezpieczyłaś je jakoś?

– Skasowałam je z pendrive'a, są teraz tylko w chmurze, na moim koncie w Dropboxie – odparła. – To na wypadek gdyby nośnik pamięci się uszkodził lub zaginął. Z chmury nikt mi tych danych nie ukradnie.

– Sprytnie. Poza tym tylko ty znasz hasło do swojego konta na Dropboxie. Niech tak lepiej zostanie – przyznał. – No dobra, teraz muszę cię, pani kierowniczo, prosić o zwolnienie. Najwyższa pora, żebym w końcu zawiózł te próbki do PAN-u, szczególnie że pojawiły mi się kolejne. Wrócę za dwie, trzy godziny.

– Leć. – Skinęła głową.

Kiedy znikł za drzwiami, siedziała chwilę bez ruchu, starając się pozbierać myśli. Co dalej? Zaufać Patrykowi i zagrać według jego absurdalnych pomysłów? Chociaż ona sama też miała dość podobne. Patryk był ekstrawagancki i trochę szalony, ale może właśnie to szaleństwo najbardziej by się w tej chwili przydało? Skoro gra się z bezwzględnyymi i wyrachowanymi sukinsynami, jedyna szansa, by z nimi wygrać, to zaskoczyć ich czymś nieszablonowym, zagrać chaotycznie i nielogicznie. Druga opcja to poprosić o dyskretną pomoc Jacka. Podskórnie czuła, że ten, jak się okazało, miły policjant również ma do niej słabość. Może zgodzi się działać i wesprze ją bez powiadamiania szefa, tego grubego wołu Ledy?

Potrzebowała paru chwil, by myśli ułożyły się jej w głowie i rozwiązanie pojawiło się samo. Najlepiej byłoby się przespać z tym problemem, ale niestety była w pracy. Postanowiła zatem się nią zająć i skupiła się na ostatnich analizach.

– Ach, no tak! Papieros pana Czesia czeka – mruknęła do siebie.

Otworzyła pliki z widmami i zabrała się do ich obróbki. Przeczesała je filtrami, eliminowała piki tła i nieistotnych zanieczyszczeń, usunęła oczywiste sygnały pochodzące od nikotyny i wyizolowała kilka mocniejszych niewiadomego pochodzenia. Przyjrzała się ich sygnałom masowym, niestety było dużo pochodzących z defragmentacji związków i robota była dość żmudna. Po jakiejś godzinie zabawy wrzuciła masę molową, którą zidentyfikowała jako pochodzącą od głównego jonu podejrzanej substancji, i zaczęła według niej przeszukiwać bazy danych.

W tle brzęczały nieuśmiercone przez Patryka muchy i szumiało radio. Blanka nie zwracała na to uwagi, tak samo jak na przychodzące służbowe maile. Gdy praca ją pochłaniała, potrafiła skupić się wyłącznie na niej, eliminując wszelkie bodźce z zewnątrz. W końcu trafiła na związek, którego masę molową, o dziwo, dało się przypisać dwóm różnym sygnałom.

– Mam cię! – ucieszyła się. – Atropina! Miło mi panią poznać! Tylko czemu pojawia mi się pani jako dwa sygnały, he? Ma pani dwa wcielenia?

Pogrzebała chwilę w Internecie o interesującej substancji i uśmiechnęła się do siebie. Atropina była substancją chiralną i miała dwa izomery optyczne. Przypadkowo Blanka puściła próbkę przez kolumnę

chiralną, która rozdziela takie związki na składowe. Analiza wskazywała, że w papierosie było dużo lewoskrętnej atropiny i trochę prawoskrętnej. Ta lewoskrętna miała swoją osobną nazwę.

– Zatem tak naprawdę nazywa się pani hioscyjamina – mruknęła Blanka, patrząc na wysoki pik lewoskrętnej odmiany alkaloidu. – I ma pani dwa razy silniejsze działanie od siostrzyczki. Teraz powstaje pytanie, skąd obie panie wzięły się w papierosie Marlboro? Z tego, co wiem, nie dodają do tytoniu toksyn mogących porażać ośrodkowy układ nerwowy, powodować halucynacje, a w większych dawkach śmierć. Ktoś was domieszał, prawda?

W końcu znalazła, gdzie występuje ten dziwny układ atropiny z hioscyjaminą. W liściach bielunia i w korzeniach pokrzyku. Szczególnie w tym drugim występowało tych substancji bardzo dużo. Dodanie alkaloidów do papierosów było sprytnym sposobem na podanie trucizny, bo ta trafiała do płuc, skąd natychmiast przedostawała się do krwiobiegu. Załatwiła nieszczęśnika, nie pozostawiając śladów w żołądku ani w wątrobie. To sugerowało naturalny zgon od nadciśnienia, udaru albo wylewu.

– Belladonna. – Blanka odczytała łacińską nazwę rośliny. – Ktoś dodał do papierosów korzeń wilczej jagody. Pewnie zleceniodawca lub wspólnik podarował panu Czesiowi paczkę drogich fajek naszprycowanych trutką. Drań ją przyjął i sam się nimi załatwił.

Nikt nie musiał przenikać do szpitala, by go zabić. Dał mu prezent jeszcze przed konfrontacją Czesia z Blanką. Możliwe, że pierwszego papierosa wypalił niedługo przed bijatyką z Blanką, to by tłumaczyło, czemu tak gwałtownie ją zaatakował i tak łatwo dał się pokonać. Był podtruty i działał pod wpływem silnego alkaloidu.

– Cholera, chyba miałam szczęście, że był wtedy naćpany – szepnęła. – Inaczej zatłukłby mnie rurą i nie pomogłyby rzuty judo.

Siedziała dłuższy czas, przeglądając informacje o tych alkaloidach w sieci i w bazach danych. Coś ją w związku z nimi dręczyło, wiedziała, że jest o krok od odkrycia czegoś ważnego, ale za nic nie mogła złapać tego nieuchwytnego końca nici, która prowadziłyby do wyjścia z labiryntu.

W końcu dumanie przerwał jej Patryk, który wrócił z wypadu na miasto. Nie zdążyła mu opowiedzieć o odkryciu, bo wielkolud nie pozwolił jej dojść do głosu.

– Czemu nie odbierasz telefonu ani nie czytasz maili? – spytał. – Mam wezwanie, a właściwie ja mam wezwanie, ale wiadomość poszła też do ciebie jako do kierowniczkii. Trzy trupy, ponoć coś bardzo interesującego. Jedziesz ze mną?

Już chciała przecząco pokręcić głową i stanowczo odmówić. Nie miała najmniejszej ochoty znów oglądać nieboszczyków. Nadal było gorąco, a skoro wzywano entomologa, znaczyło, że na miejscu roi się od robactwa. Smród i zgnilizna. To coś, z czym wolałaby nie mieć do czynienia. Najlepiej już nigdy.

– Aż trzech nieboszczyków? – odezwała się mimo wszystko zaciekawiona.

– Chyba zwykłe menele wegetujące na ogródkach działkowych pod Brwinowem. Złodziejskie porachunki albo coś równie ponurego – odparł obojętnie Patryk. – Może pojedziesz się przewietrzyć, a przy okazji pomożesz mi na miejscu z numeracją próbek?

Zastygła na chwilę w zamyśleniu. Trzech złodziei z ogródków działkowych pod Brwinowem! Czyżby to ci, którzy włamali się do jej mieszkania i ukradli laptopy, ci, których ojciec nastraszył i skłonił do gadania o zleceniodawcy w prochowcu? Jeśli tak, to kolejne ofiary w tej samej sprawie. Zabójca nadal zaciera ślady, likwidując wszystkich, którzy mogliby go rozpoznać.

– Jadę! – zdecydowała krótko.

* * *

Brama Rodzinnych Ogródków Działkowych stała otworem, ale wjechanie na ich teren było niemożliwe,

bo niewielki placyk służący za parking zajęło kilka radiowozów. Patryk znów musiał zaparkować swojego smoka w krzakach przed wjazdem, po czym zabrał się do wbijania w biały kombinezon. Blanka tym razem nie zamierzała występować w kostiumie naukowca, ale zarzuciła na ramię torbę z pudełeczkami na próbki oraz odczynnikami, a w rękę chwyciła siatkę entomologiczną, by gliniarze pozwolili jej wejść na teren. Ruszyła przed siebie, nie czekając na Patryka. Skinęła głową miejscowym policjantom, którzy zabezpieczali teren, i przedstawiła się im jako biegła sądowa przybyła na wezwanie prokuratury. Przepuścili ją, nawet nie legitymując.

Przed feralnym ogródkiem, zarośniętym chwastami i z pochyloną, obdrapaną altanką, spacerował znajomy aspirant Orzechowski. Spojrzał na nią ze zdziwieniem, ale zamiast tradycyjnie zachować ponurą minę, uśmiechnął się nieznacznie.

– Co tu robisz, Blanka? Myślałem, że awansowali cię na kierowniczkę i już nie musisz babrać się w szambie.

– Coś ci powiem w tajemnicy – szepnęła, zrzucając z ramienia ciężką torbę. – Wydaje mi się, że kolejne trzy trupy to sprawa cały czas tego samego typu.

Opowiedziała mu w skrócie, do czego przyznał się jej ojciec. O tym, że wysledził włamywaczy na ogródkach i ich nastraszył, strzelając do butelek z pistoletu.

– Wynajął ich wysoki elegant w prochowcu? – mruknął Jacek. – Zakładasz, że potem zwyczajnie ich sprzątnął? No, nie wiem. Na pierwszy rzut oka wygląda, jakby żule nachlali się lewego alkoholu, pewnie metanolu, i zwyczajnie się wytruli.

– To by pasowało do sposobu, w jaki zabójca usunął pana Czesia i wcześniej profesora Reckerta. Trucizna.

– Wejdźmy – zaprosił ją do środka. – Chyba że wolisz tego nie oglądać?

– Zaczynam przywykać – powiedziała z westchnieniem.

– Do tego nie sposób się przyzwyczaić – odparł.

W altance śmierdziało niebotycznie, na szczęście Blanka się po drodze przygotowała i jeszcze przed wejściem do środka nałożyła maseczkę nasączoną olejkiem miętowym. Akurat swoją pracę kończył technik kryminalistyczny, robiąc ostatnie zdjęcia. Blanka z obrzydzeniem wkroczyła do dusznego, nagrzanego słońcem pomieszczenia, w którym bzyczały dziesiątki much. Czarne owady łąziły po plecach pierwszego zmarłego leżącego twarzą na stole, pośród butelek i musztardówek. Chyba zmarł w czasie biesiady, nie zdążywszy nawet wstać od stołu. Na szczęście nie widać było jego twarzy, ale Blanka spostrzegła larwy wijące się w uchu. Natychmiast przeniosła wzrok na drugiego zmarłego. Leżał na podłodze obok przewróconego stołka. Rękę miał podłożoną pod głowę i podkulone nogi, jakby po spadnięciu z siedzenia zwinął się do snu. Trzecia ofiara leżała w barłogu na starej, podartej wersalce. Twarzą do góry, z otwartymi ustami, po których kręciły się muchy. Nieboszczyk oczy miał zamknięte i gdyby nie woskowa skóra i owady, wyglądałby na śpiącego. Blanka przyjrzała się z grubsza pobjowisku i szybko wycofała na zewnątrz.

– Pobiorę próbki alkoholi, które pili – powiedziała. – Jeśli to po prostu metanol, będę wiedziała piętnaście minut po powrocie do firmy. Wystarczy zrobić chromatografię gazową. Ale jeśli otruto ich czym innym, to może potrwać.

– Nie ma powodu do pośpiechu – stwierdził Jacek. – Prokurator nie będzie domagał się specjalnego tempa, to przecież tylko trzy szumowiny. Chyba że zgodzisz się złożyć oficjalne zeznania i powiążemy wszystkie morderstwa ze sobą. Kłępa wreszcie dostanie ciekawą i dużą sprawę, ucieszy się i może w końcu każe komisarzowi Ledzie się od ciebie odczepić. Mój szef ciągle się upiera, że stoisz za tym wszystkim...

– Cześć, Jacku! – rzucił Patryk, wchodząc na teren ogródka. – Jak tam nieboszczycy, bardzo zepsuci?

Dużo na nich owadów?

– Od groma – odparła Blanka, w tej samej chwili czując palący ból ukąszenia w lewym ręku. Syknęła i trzasnęła się odruchowo, zabijając owada. – O cholera, ale mnie dziabnął!

Owad, czarna mucha z połyskującym pancerzykiem, od uderzenia rozpląszczyła się na jej skórze. Blanka już miała ją strząsnąć, gdy niespodziewanie muszysko bzyknęło wściekle i odleciało. Patryk parsknął śmiechem.

– Żelazna mucha – oznajmił. – Przynajmniej tak popularnie się ją nazywa. Trudno tę twardzielkę zabić, bo ma pancerzyk nie od parady. Tak naprawdę ta muchówka to narzępik koński i jak nazwa wskazuje, żeruje głównie na koniach, świnich i bydło. Pije krew z żywych zwierząt, ale w ostateczności nie pogardzi i nieboszczykiem.

– Pełno ich w altanie – stwierdził Jacek.

– To dziwne, powinny tam żerować głównie nekrofagi, a narzępiki raczej sporadycznie – stwierdził Patryk. – No dobra, ruszam do akcji. Blanka, czy możesz przygotować dla mnie pojemniczki na owady? Dzięki.

Nie czekając na odpowiedź, założył maskę i wszedł do środka. Blance nie pozostało nic innego, jak zająć się robotą. Otworzyła torbę z pudełeczkami, ale w środku były równo poukładane ubrania.

– Och, wyciągnęłam z bagażnika nie tę torbę – mruknęła. – Idę z powrotem.

Oczywiście roztargniony entomolog zostawił nie tylko otwarte okna w samochodzie, ale nie pofatygował się nawet, by przekręcić kluczyk w drzwiczkach. Blanka otworzyła bagażnik i wrzuciła do niego torbę. Wewnątrz znajdowały się dwie kolejne, identyczne, do noszenia na ramieniu i bez ozdób. Otworzyła pierwszą, w środku znajdując masę fiolek, ale już ponumerowanych i zawierających przygotowane do badań preparaty. Wymieszane były ze znajomymi kolorowymi gadżetami, które Patryk zabrał z biurka Kamila i miał rozdać analityczkom z PAN-u.

Zatem wcale u nich nie był, a rankiem zwolnił się właśnie po to – pomyślała Blanka. – Co on właściwie wyprawia? Spóźnia się do pracy lub wcale nie przychodzi, znika gdzieś w ciągu dnia. Trzeba będzie mieć go na oku.

Otworzyła trzecią torbę, w końcu znajdując to, co trzeba. Zarzuciła ją na ramię, niechcący pocierając nią o rękę. Podrażniła przy tym ranę zadaną przez muchę, i to tak dotkliwie, że aż znów syknęła z bólu.

– Cholerne muchy – wycedziła przez zęby. – Pożyteczni sprzątacze, a niech je wszystkie diabli wezmą.

Zastygła bez ruchu, w wyobraźni widząc przedstawicieli trzech gatunków, z którymi miała ostatnio do czynienia. Znajdowali je na miejscach zbrodni, ale wszystkie widziała też w kolekcji Patryka. Najpierw złotą, potem miedzianą. Tę ostatnią, żelazną, również, raptem kilka dni temu. Czy to nie podejrzane? Złote muchy niby zabrał niechcący od swojego poprzedniego pracodawcy, miedziane są pospolite i występują wszędzie, ale te końskie, twarde skurczybyki też?

Cofnęła się i jeszcze raz otworzyła pierwszą torbę, tę, którą wzięła przez pomyłkę. Wyciągnęła ze środka złożoną męską bieliznę, pod nią leżały spodnie i turystyczna kosmetyczka z przyborami do golenia i szczoteczką do zębów. Czyżby Patryk wybierał się na jakiś wyjazd? Nie wspominał, że chce wziąć urlop. Znajac roztargnienie kolegi, mógł wozic te rzeczy od poprzednich wakacji. To, że nie pojechał do PAN-u, też nie musiało być niczym podejrzanym. Smok mógł mu się zepsuć po drodze i zamiast w instytucie wylądował w warsztacie.

– Chyba zaczynam popadać w obłąd. – Westchnęła, odkładając torbę na miejsce. – Wszędzie widzę spiskowców i morderców. Jeszcze trochę w tym napięciu, i w końcu oszaleję.

Wróciła do ogródka i niczym zwykła laborantka rozstawiła pojemniki na próbki i zaczęła je opisywać. Patryk wyszedł ze środka z siatką pełną owadów, potknął się na progu i wpadł na jednego z policjantów. Blanka uśmiechnęła się pod nosem. Jak mogła tego łamagę podejrzewać o cokolwiek?

– Jak szacujesz czas zgonu? – rzeczowo spytał Jacek.

– Po liczbie dorosłych owadów i temperaturze sędzę, że to będzie jakiś tydzień – odparł entomolog. – Dokładny czas podam po obliczeniach i gdy wszystko posprawdzam.

– Czyli otrucie mogło się wydarzyć przed ujęciem Czesława Jakubiaka. O ile te sprawy są oczywiście związane, a po zeznaniach Blanki wychodzi na to, że owszem. Jakubiak mógł załatwić kolejno profesora, potem Kamila i jego dziewczynę, Moczydłę i Adę oraz tych trzech degeneratów. Potem sam wyciągnął kopyta. Zleceniodawca pozostaje nadal poza naszym zasięgiem – podsumował Jacek. – Będę cię musiał prosić o złożenie dokładnych i oficjalnych zeznań, Blanko. Kłępa się posika ze szczęścia. Seryjne morderstwo! Czegóż takiego nie było u nas od lat.

– Mam przyjść na komendę? – spytała.

– Mogę po ciebie jutro przyjechać, chyba że wolałabyś nie wsiadać publicznie do radiowozu.

– Mam to w nosie. – Wzruszyła ramionami. – Wpadnij po mnie, może być w godzinach pracy. Nasza firma przecież współpracuje z prokuraturą i policją. Malinowiecki nie będzie mógł się mnie czepić, że narażam wizerunek na szwank.

– Jesteśmy umówieni. – Uśmiechnął się. – Teraz muszę lecieć na komendę.

Uklonił się niezgrabnie i poszedł odprowadzony wzrokiem przez Patryka.

– Dowala się do ciebie – stwierdził entomolog lodowatym tonem.

– Tak myślisz? Po prostu jest sympatycznym facetem i zachowuje się uprzejmie.

– Nigdy nie podejrzewałbym go o uprzejmość – odparł Patryk. – Zwykle na wszystkich warczy i burczy, poza tym nie przypominam sobie, żebym widział go uśmiechniętego. Uważaj, bo to zgorzkniały smutas, a do tego brutal i tak naprawdę cham. Najpierw sili się na grzeczności, a potem, gdy już mu ulegniesz, zacznie grać macho. Zaleje cię swoją złością, stłamsi i będzie się wyżywał, by wyładować żale za niepowodzenia w robocie i pomiatanie przez przełożonych.

– Oho, nie wiedziałam, że jesteś psychologiem. – Uśmiechnęła się w odpowiedzi.

Co prawda żaden z dwóch adoratorów nie należał do wymarzonych i daleko im było do książąt na białych rumakach, ale przynajmniej obaj się starali. I nieco lepiej się czuła po kolejnej zdradzie i stracie, tym razem Piotra.

W koszmarze, w którym się znalazła, miała przynajmniej dwóch przychylnych jej mężczyzn, którym na niej zależało i w których mogła znaleźć oparcie i opiekę. Nie mogła jednak przeciągać struny i bawić się kosztem obu. Musiała zdecydować się na jednego. Tylko którego?

Rozdział 14

W nocy śniły się jej muchy. Miały różne kolory, a ich pancerzyki mieniły się metalicznie. Owady pożerały wszystko, co stało im na drodze, powodowały, że znikali kolejni ludzie. Blanka uciekała przed nimi, klucząc biegiem po jakimś ponurym blokowisku, z domami o powybijanych szybach. Przez chwilę widziała Adę w jednym z okien, ale przyjaciółkę przesłoniła chmura metalowych much, a gdy się rozwiła, po kobiecie nie było już śladu. W końcu spostrzegła, że chmury much wylatują spod połów płaszcza, prochowca ponurego mężczyzny, który szedł jej śladem. Nie widziała jego twarzy, skrywał ją cień.

Obudziła się w pół do czwartej nad ranem. Była końcówka czerwca, toteż słońce już rozjaśniło niebo, przeganiając ciemności. Blanka cała lepiała się od potu, nawet pościel stała się nieprzyjemnie wilgotna. Zamiast więc się uspokoić, położyć na drugi bok i zasnąć, wstała i powlokła się do łazienki. Narzekając w myślach na przekłete upały, wzięła chłodny odświeżający prysznic. Pod koniec zlała się lodową wodą, aż poczuła ból w czubku głowy.

To był ten moment, gdy rozpieczętowane myśli, idee i senne marzenia skryształizowały się w jej umyśle w jedną soczewkę pozwalającą spojrzeć na problemy jaśniej i zebrać rozproszone wątki.

– Muchy i trucizny – szepnęła. – Co je łączy?

Wybiegła z łazienki, wycierając się w locie. Ubrała się niedbale, w zwykłe spodnie i jasną koszulkę, złapała torebkę i pognęła po schodach. Na trawniku dwa bloki dalej stał jej służbowy samochód. Wczoraj spędziła chyba z pół godziny, szukając po osiedlu kawałka miejsca do zaparkowania, przez co doszła do wniosku, że szybciej byłaby na miejscu, gdyby nie odbierała służbówki, a wróciła do domu autobusem. Za to nad ranem wóz okazał się idealnym środkiem transportu. Dotarła do firmy błyskawicznie i wpadła do gmachu niczym torpeda, budząc zaskoczzonego wartownika drzemiącego w najlepsze na portierni.

Pomachała mu i już po chwili była na górze w laboratoriach. Odpaliła komputer i włączyła jednocześnie program magazynowy oraz Internet, by poczytać o muchach. Ściągnęła też wyniki analiz alkoholu wypitego przez nieszczęsnych włamywaczy, które były nastawione na noc. Przygotowała próbki wczoraj, po powrocie z wizji lokalnej w ogródkach i ustawiła spektrometr na automatyczne nastrzyki. Szybko zaczęła przeglądać wyniki. Znów na godzinę wsiąkła w przesuwanie suwaków i przepuszczenie widm przez kolejne filtry, wycinanie z nich pików i ustalanie sygnałów głównych masowych.

– Moi panowie włamywacze, nie zostaliście otruci metanolem, to pewne – stwierdziła. – Załatwiło was coś mocniejszego, coś o masie molowej sześćset siedemdziesiąt sześć. Przecucie mówi mi, że znajdę ten związek wśród alkaloidów, które mamy w magazynie.

Zaczęła wertować otwarty program magazynowy i sprawdzać kolejno wzorce toksyn przechowywane na dole. W końcu przepuściła je przez filtr ostatnio pobieranych.

– Mam cię! Strychnina! – krzyknęła podekscytowana.

Główny alkaloid nasion kulczyby wroniego oka, dawniej bardzo popularna trutka. Ostatnio nieco

zapomniana, choć należy do najsilniejszych trucizn pochodzenia roślinnego. Intoksykacja prowadzi do drgawek tężcowych i porażenia ośrodkowego układu nerwowego. Nic dziwnego, że po wypiciu szklaneczki z alkoholowym roztworem tego świństwa trzej włamywacze padli trupem na miejscu. Żaden nie zdołał się nawet wyczołgać z altanki, by szukać pomocy.

– Stan magazynowy: pobrano – przeczytała. – Niech zgadnę, strychnina znikła z magazynu tak samo jak belladonna? Ciekawe, kto ostatni pobierał próbki?

Doktor Patryk Ulatowski.

– A jednak – westchnęła. – To ty, Patryku? Tylko ty w firmie badasz ostatnio alkaloidy. Podajesz je w mięsie larwom i sprawdzasz, jak to wpływa na ich rozwój. Miałeś dostęp do wszystkich trucizn, którymi zabijano. Najpierw profesora, potem pana Czesia, na koniec trzech włamywaczy. Musiałeś ich sprzątnąć, żeby zatrzeć ślady i żeby nie powiązano cię z morderstwami. Wysoki elegant w prochowcu to ty?

Przestała się wiercić na krześle i wbiła spojrzenie w monitor. Parsknęła śmiechem. Patryk podejrzanym – to kompletny idiotyzm. Po pierwsze, dostał po łbie od Czesia, nie mógł zatem być jego współnikiem ani tym bardziej szefem. Po drugie, w czasie, gdy otruto włamywaczy i poderżnięto gardło Moczydło, Patryk leżał w szpitalu ze wstrząśnieniem mózgu. Alkaloidy, którymi truto, Czesio po prostu zwinął z szafki w laboratorium razem z larwami złotych much. Jedną potem zgubił na miejscu zbrodni. To właściwie najbardziej prawdopodobne wyjaśnienie.

Powstaje za to pytanie, kto jest mózgiem tych wszystkich poczynań. Trudno podejrzewać, że brutal i prymityw, jakim był Czesław Jakubiak, znał się na toksynach i wiedział, jak ich użyć. Jego ruchami ktoś kierował. Ktoś, kto wie, jakich substancji używają pracownicy Gen-Toksu i gdzie się one znajdują. Ma więc dostęp do systemu pracowniczego, łącznie z programem magazynowym, a poza tym wykształcenie chemiczne lub pokrewne. Wie wszystko o wszystkich, kto gdzie przebywa i co pobrał do eksperymentów. To zatem ktoś z samej góry.

Wiceprezes Józef Malinowiecki!

Wszystkowiedzący, bezwzględny i piekielnie ambitny. Lubi luksus i prestiż, więc stale potrzebuje pieniędzy, coraz więcej i więcej. Dowiaduje się o fatalnych wynikach badań leków Avera i postanawia to wykorzystać. Szantażuje korporację farmaceutyczną, wysługuje się osiłkiem, którego życiorys zna, a zatem potrafi go do wszystkiego zmusić. Gra idzie o grube miliony, dlatego nie waha się przed niczym, szczególnie że początkowo precyzyjnie zaplanował uprzątnięcie świadków – zgony miały wydawać się naturalne. Czesio jednak działa zbyt brutalnie i otwarcie morduje Kamila. Sprawa wymyka się spod kontroli, zatem Malinowiecki postanawia uciszyć wszelkich zaangażowanych świadków.

– Mam cię – syknęła Blanka, wstając od komputera.

* * *

Zjechała windą na dół i zamyślona pomaszzerowała do labu, by spokojnie się zastanowić i podjąć decyzję o tym, co dalej. Z pewnością powiadomi o swoich podejrzeniach Jacka, tylko czy zrobić to od razu, czy poczekać, aż po nią przyjedzie? Chyba nie ma sensu alarmowanie go bladym świtem, szczególnie że nie miała żadnych dowodów, a jedynie podejrzenia. Jeszcze weźmie ją za rozhisteryzowaną wariatkę i przestanie traktować poważnie. Lepiej będzie w spokoju się zastanowić, a najlepiej wcześniej przedyskutować sprawę z Patrykiem. Ciekawe, co wielkolud powie na to wszystko, potwierdzi jej podejrzenia czy wyśmieje?

Przystanąła w pół kroku i wstrzymała oddech. Drzwi do labu były uchylone. Tylko ona i Patryk mieli karty otwierające zamek. I oczywiście szefostwo. Malinowiecki umożliwił Jakubiakowi wejście do

pracowni i kradzież wzorców toksyn, może teraz zrobił to samo dla mordercy, który ma sprzątnąć Blankę? A może szef przyszedł tu we własnej osobie? Szuka materiałów, węszy, myśląc, że o tej godzinie nikt nie przyłapie go na myszkowaniu. Wycofać się czy zaryzykować i sprawdzić, kto to?

Podeszła do drzwi, stąpając ostrożnie i jak najciszej. Wyciągnęła z torebki teleskopową pałkę i rozłożyła ją machnięciem. Pchnęła lekko drzwi. Te otworzyły się z upiornym zgrzytem, tak że zaalarmowałyby nawet umarłego. Blanka zacisnęła zęby i zamarła w bezruchu. Na chwilę ogarnęła ją panika, nad którą ledwo zapanowała. Już chciała rzucić się z wrzaskiem do ucieczki, kiedy stanęła twarzą w twarz z zaskoczonym Patrykiem.

– Na litość boską, dlaczego się skradasz? – spytał. – Chcesz, bym dostał zawału?

– Co tu robisz o tej godzinie? – zapytała ze srogą miną. – Przecież zwykle się spóźniasz, co cię naszło, by przyjść do pracy przed czasem?

– Nie mogłem spać – mruknął. – Nad ranem przypomniało mi się, że zostawiłem żywe larwy bez podkładu. Przyszło mi do głowy, że może jeszcze uda się je ocalić, zanim wzajemnie się pozjadają.

– Od kiedy się zrobił taki pilny i troskliwy? – zadała pytanie, wchodząc do środka.

Wzruszył tylko ramionami i uśmiechnął się rozbrajająco.

– Co właściwie trzymasz w ręku? – Wskazał na pałkę, którą bezwiednie obracała w dłoni. – To jakaś broń? Wygląda niepokojąco, trochę jak przyrząd pomocniczy do wyuzdanego seksu. Dildo czy biczyk dla dominy?

Prychnęła tylko w odpowiedzi, złożyła broń i wrzuciła ją do torebki. Usiadła na biurku i przetarła oczy. Czowała, że od gapienia się w monitor i niewyspania są zmęczone i wysuszone.

– Napij się czegoś? Zagotowałem wodę na herbatę, właśnie miałem zalewać. – Patryk podszedł do elektrycznego czajnika, którego wbrew regulaminowi BHP używali w labie. – Może wolisz kawę?

– Proszę kawę – przytaknęła. – Słuchaj, chyba na coś w końcu wpadłam. Tych trzech bandziorów otruto strychniną, Czesia hioscyjaminą, a profesora Reckerta izolatem z jadu pszczelego. Wszystkie trzy substancje znajdowały się w naszym magazynie i wszystkie znikły. Alkaloidy akurat ty brałeś dla much, sprawdź, czy nadal stoją pod dygestorium. Podejrzewam, że zniknęły.

Patryk, zajęty nalewaniem, stał do niej tyłem, zatem nie widziała wyrazu jego twarzy. Kiedy się odwrócił, sprawiał wrażenie wystraszonego albo zmieszanego. Podał jej kubek z kawą rozpuszczalną i szybko podszedł do szafki z odczynnikami. Zabrał się do przestawiania i grzebania w butelkach i buteleczkach. Mruczał przy tym coś pod nosem, przeklinał własną niezgułowość i nieporządność.

– Chyba masz rację – mruknął do popijającej napój Blanki. – Nie mogę znaleźć żadnego z tych alkaloidów. Ale to jeszcze niczego nie przesądza, mogłem je gdzieś wtrzyknąć za skrzynki z terrariami lub w inny ciemny kąt. Niestety, jestem bałaganiarzem, jak pewnie zauważyłaś.

Kazała mu się uspokoić, bo to nie jego wina, że odczynniki zostały skradzione. Jakubiak zwinął je na polecenie zleceniodawcy, nie wiedząc, że jedna z trucizn zostanie podana i jemu. Nie było w tym żadnej winy Patryka, został wykorzystany przez Malinowieckiego, który nie tylko ma dostęp do wszystkich pomieszczeń, ale i do systemu, w którym wcześniej sprawdził, jakie związki zostały pobrane z magazynu do eksperymentów. Dzięki temu mógł się zorientować, skąd najłatwiej zwinąć toksyny mające posłużyć do morderstw. Wszystko powoli układało się w sensowną całość. Ciągłe tylko nie mogła zrozumieć, czemu wiceprezes jest aż tak bezwzględny, czemu ktoś tak inteligentny zabrnął w idiotyczną sytuację, w której jedno morderstwo pociągało za sobą kolejne. To wygląda, jakby trochę się pogubił, wpadł w spiralę makabrycznych czynów, z której nie może się uwolnić. Chyba że ich koniec właśnie się zbliżał, że ostatnią ofiarą została już tylko ona?

– Może sprawdzę, czy nie ukradli mi czegoś jeszcze? – Patryk westchnął. – Nie wiadomo, ile ofiar przewidział, na ile morderstw się przygotował. Mam tu w komputerze spis eksperymentów z alkaloidami.

Trzeba posprawdzać, które są pod dygestorium. Pomożesz mi? Oczywiście po wypiciu kawy!

Wychyliła kubek do końca i zbliżyła się do kolegi. Uśmiechnął się, a ona poczuła się nagle ożywiona i pobudzona. Zrobiło się jej niezwykle przyjemnie, w dodatku kiedy poczuła jego zapach i bliskość, gorąco podniecenia wypełniło jej pierś. Przełknęła ślinę, hamując się, by nie przytulić do piersi Patryka, a nawet od razu nie wpić się ustami w jego usta. Nagle wydał się jej niezwykle wprost pociągający. Potrząsnęła głową.

Co się z nią działo? Ta kawa dała niezwykle kopa, wprowadziła ją w stan euforii, jakby zamiast kofeiny był w niej jakiś znacznie silniejszy środek pobudzający. A może to przez zmęczenie i dlatego, że była na czczo, a Patryk zrobił cholernie mocną kawę? W uszach jej szumiało, już chciała coś powiedzieć, ale nie mogła pozbierać myśli. Te rozsypały się niczym domek z kart. Zachwiała się i nagle znalazła w ramionach Patryka. Uśmiechał się do niej jakoś dziwnie, zimno i nieprzystępnie. Chciała go odepchnąć, ale zanim wcieliła to postanowienie w życie, zupełnie o nim zapomniała. Nie wiedziała, kim jest i gdzie się znajduje. Jej świadomość rozplynęła się w słodkiej, dusznej mgle.

Rozdział 15

Nigdy nie brzydziły go owady, ale to, że mogą się stać prawdziwą pasją, odkrył niespodziewanie, właściwie z nudów, w czasie ciągnących się w nieskończoność wakacji. Rodzice zostawili czternastoletniego Patryka pod opieką babci, a sami wyjechali do pracy sezonowej, do Niemiec. Dom, stara drewniana chałupa, stał w podwarszawskiej wiosce, na skraju lasu, za popegeerowskimi polami. Minusem tego położenia był kompletny brak rówieśników, z którymi chłopak mógłby spędzać czas. Babcia nie miała cierpliwości ani ochoty poświęcać dorastającemu wnukowi uwagę, zajmowała się gospodarstwem domowym. Toteż chłopak całymi dniami włóczył się bez celu po okolicy. Sporo czasu spędzał, czytając książki, najczęściej siedząc w cieniu drzew, w przydomowym ogrodzie.

Niebawem również czytanie stało się nużące. W pewnej chwili uwagę Patryka przyciągnął motyl, który niespodziewanie usiadł na okładce *Anatomii człowieka*. Okazało się, że kilka kroków dalej, w kwietnym ogródku babci aż kipi kolorowe, skrzydlate życie. Różnobarwne motyle rywalizowały o słodki pokarm z pszczołami, trzmielami i mnóstwem innych owadów.

Patryk zabrał się do szkicowania co ładniejszych okazów, ale nie chciały w spokoju pozować i odlatywały, gdy zbyt się do nich zbliżył. W końcu odczekał, aż jeden złoży skrzydełka, i chwycił za nie palcami. Motyl przebierał bezradnie nóżkami, zdany na całkowitą łaskę chłopca. Był piękny i jak się okazało, niezwykle delikatny. Przytrzymanie za skrzydła spowodowało, że gdy owad próbował później je otworzyć, zupełnie się zniszczyły. Chłopak jednak nie zmartwił się stratą, wokół pełno było kolejnych okazów. Szybko wpadł na pomysł więzienia złapanych owadów w szklanych słoikach, w których mógł je obserwować i badać. Po szkicowaniu, które rychło mu się znudziło, zajął się eksperymentami, wrzucając do jednego naczynia różne owady i patrząc, jak i czy w ogóle wchodzą ze sobą w interakcje.

Zabawy w urządzenie amatorskich terrariów, karmienie owadów cukrem, a potem posłodzoną wodą zajmowały mu całe dni. Patryk poczuł się jak władca, pan życia i śmierci swoich licznych owadzich zastępów. Ciekawiły go, wręcz zafascynowały, ale poszczególne egzemplarze nie wywoływały w nim żadnych cieplejszych uczuć. Obserwował je z zimną uwagą małego naukowca, niespecjalnie przejmując się ich losem i bez litości decydując o ich unicestwieniu lub ocaleniu. Świadomość, że niezliczone chmary nadal unoszą się między kwiatami, powodowała, że śmierć tych, które już złapał, zupełnie nic dla niego nie znaczyła. Zawsze mógł je zastąpić nowymi.

– Jestem waszym bogiem – oznajmił trzymanym w słoikach motylom. – Należycie tylko do mnie i zrobię z wami, co zechcę.

Początkowe zauroczenie pięknem i delikatnością owadów przerodziło się w potrzebę poznania ich zwyczajów, tak by perfekcyjnie kontynuować hodowlę. Kiedy zaś wakacje zbliżały się do końca, postanowił opracować metodę na uśmiercanie owadów niepowodującą ich uszkodzeń, żeby móc zatrzymać najciekawsze okazy. Wystawiał zatem słoiki na słońce, wlewał do nich ocet lub ukradzioną z szafki wódkę. Dmuchał dymem tytoniowym z papierosów podprowadzonych babci, a potem zamykał szczelnie i czekał, aż owady skonają. Działał z pozbawionym emocji wyrachowaniem, bez skrupułów, za

to z determinacją dążąc do celu. Po wakacjach stał się bogatszy o nowe doświadczenia i nową pasję.

Jesienią zaczął naukę w pierwszej klasie liceum. Już w gimnazjum nie był lubiany. Osobiście też nie czuł sympatii do kolegów ani koleżanek i nie próbował nawet udawać, że jest inaczej. Stał ponad tłumem, obserwując go bez emocji, zupełnie jak od niedawna swoje motyle. Właściwie nie docierała do niego sama idea odczuwania związku emocjonalnego, jakiejś wzajemnej zależności ani bezinteresownego oddania innemu człowiekowi. Nawet rodzice nie byli w stanie wzbudzić w nim ciepła, traktował ich przedmiotowo i z wyrachowaniem, udając szacunek i w razie konieczności prawiąc wyuczone komunały. Po prostu w ogóle nie miał uczuć wyższych. Czasem potrafił je udawać, wywołując na swojej twarzy sztuczny uśmiech lub zmuszając się do okazywania entuzjazmu w sytuacjach, w których zwróciłby na siebie uwagę jego brakiem. Na przykład naśladowując radość kolegów na informację o odwołaniu lekcji albo klasówki.

Niestety, to nie zawsze działało. Bystry uczniowie dostrzegali, że coś jest z nim nie tak, że odstaje od reszty. Szczególnie gdy stan jego wyobcowania się pogłębił, bo po pamiętnych wakacjach stał się mołem książkowym, całymi dniami przesiadywał w bibliotekach w poszukiwaniu informacji dotyczących entomologii. Nadęty, wiecznie naburmuszony kujon, który uważał się za kogoś lepszego i mądrzejszego! Tylko prosił się o kłopoty.

Klasową ofiarą zawsze staje się outsider, słaby fizycznie lub, tak jak Patryk, po prostu ktoś pozbawiony sojuszników. Upatrzyło go sobie zatem trzech wodzących rej kolegów, którzy obrali wysokiego chudzielca za obiekt drwin i wygłupów. Przezywanie i wyszydzenie zupełnie Patryka nie denerwowało, właściwie zauważył je dopiero po jakimś czasie, gdy zaczęło im towarzyszyć poszturchiwanie, podstawianie nogi i głośne śmiechy.

Patryk może nie czuł miłości, nie rozumiał współczucia ani litości, ale doskonale wiedział, co to gniew i złość. W pewnej chwili zareagował wybuchem furii i pięściami natłukł kolejno wszystkich trzech prześladowców. To jednak tylko pogorszyło sprawę. Na bójce został przyłapany przez nauczyciela, musiał przeproszać i wyrażać ubolewanie, ponadto obniżono mu ocenę ze sprawowania. Zrozumiał, że powinien być ostrożniejszy. Przez fascynację owadami, u których trudno było zauważyć jakiegokolwiek emocje, zapomniał, że ludzie są bardziej skomplikowani i należy postępować z nimi inaczej. Proste reakcje, jakimi posługiwali się jego owadzi poddani, nie pasowały do stosunków międzyludzkich.

Z zimnym wyrachowaniem dobrał się więc do drani, którzy zaczęli atakować go z jeszcze większą pasją. Dręczyciele przekonani, że od teraz są zupełnie bezkarni ze strony nauczycieli, każdą przerwę spędzali na wymyślaniu głupich numerów. Patryk szybko zauważył, że do koronnych żartów należało wrzucanie mu do plecaka najróżniejszych rzeczy, śmierdzących odpadków, papierosowych niedopałków, zeszytów podprowadzonych klasowej piękności, raz nawet płonącej flary, która całkiem zniszczyła mu książki, w tym kilka bibliotecznych. Przygotował zatem małą niespodziankę. Trafiła się Andrzejowi Mierzejewskiemu, który z samego rana, jeszcze w szatni postanowił wlać Patrykowi do plecaka jogurt. Gdy tylko rozpiął suwak i otworzył plecak, ze środka wyleciało kilkanaście wściekłych os, rozdrażnionych i gotowych do ataku. Sześć ukąszeń, w tym cztery w twarz, spowodowało gwałtowną reakcję alergiczną i szok anafilaktyczny. Andrzej został zabrany przez pogotowie i cudem uratowany, niestety od ukąszenia w powiekę nabawił się zapalenia gałki ocznej z komplikacjami, co skończyło się dla niego kilkumiesięczną rehabilitacją i częściową utratą wzroku.

Patryk z zimną satysfakcją odnotował wyeliminowanie pierwszego szkodnika, i to bez żadnych strat własnych – pozostał bezkarny. Nikt nie był w stanie udowodnić jakiegokolwiek jego udziału w wypadku, poza tym Andrzej nie przyznał się, że grzebał mu w plecaku, oficjalnie po prostu miał pecha. Ale dwaj jego współnicy doskonale wiedzieli, kto go tak paskudnie załatwił, i zaczęli się bać. Ich działania straciły na intensywności, ale nie ustały, co mogłoby powstrzymać Patryka przed dalszym odwetem.

Drugi z prześladowców, Jakub, zapłacił za dokuczanie Patrykowi dwa tygodnie później. Po lekcjach ubierał się w szkolnej szatni; kiedy założył kurtkę, z jej rękawów wypadło kilka małych pajęczków. Chłopak strząsnął je z obrzydzeniem, ale okazało się, że w kieszeniach i na kołnierzu jest ich więcej. Jakub wpadł w panikę i zaczął się gwałtownie miotać. Pająki potraktowały to jak atak i zaczęły kąsać. Nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności to były kolczaki zbrojne, jeden z najgroźniejszych gatunków występujących w Polsce. Ich ukąszenia okazały się bardzo bolesne i, co gorsza, trujące. Jakub wyładował w szpitalu z objawami ciężkiego zatrucia, wymiotował i gorączkował. Znikł ze szkoły na wiele tygodni, w dodatku jad uszkodził mu wątrobę, skazując na dożywotnie branie leków.

Na polu walki został Patrykowi Robert – przerażony do granic wytrzymałości. Wiedział, że nie może liczyć na litość – próbował rozmawiać z Patrykiem i zawiesić wojnę, ale ten odpowiedział tylko zimnym uśmiechem i, upewniwszy się, że nikt nie widzi, znaczącym gestem dłonią udającym podrzynanie gardła. Już wcześniej zaplanował, że spróbuje ofiarę zastraszyć i zaszczuć. To miała być nie tylko zemsta lub wyeliminowanie zagrożenia, ale też eksperyment. Musiał w końcu nauczyć się sterować ludźmi, jakoś z nimi żyć, nawet mimo swojego kalectwa – całkowitego braku empatii i niemożności odczuwania. Strach mógł być jedną z dróg do celu.

Dręczył coraz bardziej przerażonego Roberta, idąc na przykład za nim po lekcjach do autobusu. Zatrzymywał się gdzieś pod drzewem, kawałek od przystanku lub po drugiej stronie ulicy, i nie zważając na deszcz ani późną porę, czekał, aż ofiara wsiądzie do autobusu i pojedzie do domu. Na zakończenie posyłał jej beznamiętne spojrzenie, widząc rosnący z dnia na dzień strach w oczach Roberta. Skazaniec musiał się zastanawiać, jakie nieszczęście mu się przydarzy, jaki owad go ukąsi i kiedy. Stopniowo zaczynał przez to popadać w paranoję. Sytuacja utrzymywała się przez kolejne dwa tygodnie, aż wydarzył się dramatyczny incydent.

Zamiast jak co dzień iść za kolegą niczym ponura nemezis, Patryk wybrał inną drogę i zaczął się na niego wciśnięty w kąt wiaty na przystanku. Pozostawał w niej zupełnie niewidoczny, z kapturem naciągniętym na twarz. Robert przyszedł kilka minut później i schronił się pod daszkiem, bo siąpił zimny, grudniowy deszcz. Panowały już ciemności i chłopak w pierwszej chwili nie dostrzegł wroga. Patryk zaczął bzyczyć, imitując ustami dźwięk wydawany przez owada. Robert aż podskoczył ze zgrozy i odwrócił się gwałtownie. Ujrzał prześladowcę tuż za sobą i z krzykiem rzucił się do ucieczki. Na oślep, nie oglądając się na boki. Udało mu się zrobić trzy kroki, prosto na ulicę, gdy trzasnęła go przejeżdżająca furgonetka.

Zginął na miejscu, ku zaskoczeniu obserwującego zdarzenie Patryka. Okazało się, że strach jest bardzo silnie działającym bodźcem i można z jego pomocą niezwykle wydatnie wpływać na ludzi. Zrozumiał też, że jednak nie wolno z tym przesadzać, bo skutki są nieprzewidywalne, a efekty zbyt drastyczne. Eksperyment został zatem zakończony i dodany do sumy doświadczeń. Patryk uczył się bardzo szybko i gromadził wiedzę, nie przejmując się ofiarami. Przecież i tak niczego nie czuł, taki już się urodził.

* * *

Jeszcze przed maturą upatrzył sobie dziewczynę i postanowił ją zdobyć. Nie zakochał się w niej, bo nie znał uczuć wyższych, ale niewątpliwie uległ podstawowym instynktom. Patryk dojrzał. Testosteron wymusił zmiany w jego organizmie – budowę mięśni oraz pobudzenie seksualności. Jola wpadła mu w oko, bo była atrakcyjną, dobrze zbudowaną dziewczyną. Na to przede wszystkim zwrócił uwagę. Kształt sylwetki, linia bioder i piersi, miła dla oka twarz o regularnych rysach – obudziły w nim czysto zwierzęce pożądanie. Wybrał ją sobie za cel adoracji i zdecydował się zaciągnąć do łóżka.

Nie chodziło wyłącznie o zaspokojenie potrzeby fizjologicznej, Patryk postanowił przy okazji

uwodzenia zgłębić ważną część ludzkiej psychiki, pokonać kolejny etap relacji międzyludzkich. Bez emocji nie miał jednak dostępu do naturalnego dla zwykłych ludzi postępowania, a przecież kiedyś mogło mu się okazać przydatne. Zdawał sobie sprawę, że coraz więcej zachowań będzie musiał udawać, by sprawniej manipulować ludźmi lub chociaż jakoś znaleźć swoje miejsce w społeczeństwie. Wierzył, że uda mu się poznać sterujące ludźmi zasady i opanować je jak wiedzę o życiu owadów. Stopień zawikłaności relacji interpersonalnych nie powinien jednak być aż tak wielki, żeby nie mógł się go wyuczyć.

Do pracy zabrał się systematycznie, tak jak zawsze, gdy zaczynał nowy eksperyment lub projekt badawczy. Działal niczym wytrawny naukowiec i tak jak przystało na naukowca, zaczął od badań literaturowych. Nie bawił się w czytanie romansów, od razu przeszedł do fachowej literatury medycznej i psychologicznej. Próbował zajrzeć do kobiecego umysłu za pomocą nauki, znaleźć klucz, sposoby na zniewolenie, wzbudzenie u ofiary uczuć skłaniających do pełnego i dobrowolnego oddania. Znalazł wiele wskazówek, ale ku jego sporemu rozczarowaniu w mądrych książkach nie było żadnego gotowego wzoru, żadnego uniwersalnego algorytmu postępowania. Okazało się, że nie ma jednej metody uwodzenia, bo zależy ono od ogromnej liczby zmiennych. Każda kobieta była inna i wymagała osobniczego podejścia.

Można było zdobyć kobietę, mamiąc ją i otumaniając, można było oszołomić bogactwem lub zaradnością. Zadziałać jak samczyk pająka, który unosi odwłok, by udąć większego, niż jest w rzeczywistości, a potem odstawia godowy taniec, pełen obietnic i zachęty, a uwieńczony podarkiem w postaci własnoręcznie upolowanej muchy. Znalazłby tego typu sposób na Jolkę, udał przed nią natchnionego i wrażliwego poetę lub, wedle potrzeby, męskiego i zimnego pana i władcę. Zdobyłby ją pewnie i skłonił do kopulacji, do rozłożenia nóg. Tego przecież też pragnął! Tylko że wraz z postępem badań nad miłością zapragnął czegoś więcej. Chciał posiąść jej ciało i duszę, chciał wywołać u niej prawdziwe uczucie. Zdobyć Jolę i zdominować, uczynić swoją niewolnicą. Chciał ją mieć jak dawniej kolorowe motyle trzymane w słoikach.

Zabrał się do szpiegowania i osaczania ofiary. Zaprzyjaźnił się z jej młodszym bratem, poznał jej przyjaciółki. Do niej samej starał się jednak nie zbliżać, nawet nie rzucać się jej w oczy. Brata, Karola, opanował dość łatwo. Chłopak nie był zbyt towarzyski, za to zakochany w książkach i filmach. Ogromnie mu imponowało zainteresowanie ze strony starszego kolegi, niezwykle czytanego i sprawiającego wrażenie mędrca. Wymieniali się książkami, gadali o kinie, a potem Patryk zabrał go na maraton filmowy w FilMOTECE Narodowej i obiecał, że razem wezmą udział w warszawskiej Jesieni Filmowej. W czasie wspólnych wypadów i dyskusji o kulturze stopniowo ich zażyłość się powiększała, aż rozmowy zeszyły na sprawy rodzinne. Patryk wyciągnął z Karola wszystko, co się dało, nie tylko o siostrze, ale i o całej rodzinie oraz warunkach panujących w domu.

Trudniej było dobrać się do przyjaciółki Joli, ale miał już jakiś punkt zaczepienia. Wiedział co nieco o ofierze i osobach, z jakimi się zadawała. Pozostawało wbić się do towarzystwa, i to najlepiej od razu pod postacią samca w zalotach, z nastroszonym odwłokiem i muchą w szczękoczułkach. Okazało się, że Jola lubi zwierzęta, i to nawet bardzo, w dodatku chce związać z nimi całe przyszłe życie. Z myślą o tym i chyba z potrzeby serca pracowała jako wolontariuszka w schronisku dla psów i na zmianę w kocim azylu. Poza tym ceniła chłopców o silnych charakterach i ciekawych osobowościach, jednym słowem, czekała na nietuzinkowego księcia z bajki, jak wszystkie panny w jej wieku. Patryk zgłosił się do schroniska do pomocy, ale od razu poprosił o możliwość pomagania w ambulatorium i asystowania weterynarzowi, który dwa razy w tygodniu odwiedzał zakład. Jola ujrzała go zatem po raz pierwszy w okrwawionych rękawiczkach, gdy w pośpiechu wynosił gdzieś miskę z brudnymi narzędziami chirurgicznymi. Pomagał przy prostym zabiegu sterylizacji suczki, ale i tak wyglądał niczym chirurg na polu bitwy po uratowaniu życia rannemu żołnierzowi.

– Hej, cześć! – powiedziała Jola, szeroko otwierając oczy. – My się znamy, prawda? Chodzimy do tego

samego ogólniaka, do trójki. Czy nie byłeś na imprezie u Aśki?

– Jasne. – Uśmiechnął się w precyzyjnie wystudiowany sposób i mrugnął niczym twardziel i szelma, a potem, nie zatrzymując się, pognął dalej, zupełnie ją ignorując.

Zadziałało. Zainteresowała się dzielnym wielkoludem, który zachowywał się niczym prawdziwy mężczyzna, mimo że był jej rówieśnikiem. Obserwowała go przez resztę dnia, o czym doskonale wiedział, i dalej odgrywał przed nią rolę obojętnego na jej wdzięki. Dopiero gdy wyszli ze schroniska i oboje skierowali się na przystanek, pozwolił się dogonić i zaczął z nią rozmawiać.

Wszystko szło jak po maśle. Od Karola sporo wiedział o jej przyzwyczajeniach i upodobaniach, potrafił zatem bez trudu przykuć uwagę dziewczyny i spowodować, by słuchała go w oszołomieniu i zachwycie. Zwyczajnie mówił jej to, co chciała usłyszeć, i dotykał spraw najbardziej dla niej istotnych. Nie wymyślał historyjek o sobie, bo wiedział, że na wielopiętrowych kłamstwach łatwo się potknąć i w głupi sposób wszystko zmarnować. W rozmowach przedstawiał się jej więc jako outsider zakochany w zwierzętach, ale przede wszystkim pasjonujący się bezkręgowcami. Przyznał, że ma trudności w relacjach z kolegami i że jest przez nich nierozumiany. Sama dostrzegła, że Patryk jest bardziej dojrzały i poważniejszy od rówieśników, a także trochę powściągliwy w okazywaniu emocji. Typ chłodnego, ale tak naprawdę wrażliwego samotnika bardzo jej przypadł do gustu. I o to chodziło.

Drogę do serca ofiary miał zatem otwartą, ale co z tego, skoro okazało się, że jest już ono zajęte, że go ktoś uprzedził. Jola sama mu o tym powiedziała w czasie wspólnej podróży autobusem do schroniska, a potem nawet przedstawiła mu swojego wybranka. To był ten sam weterynarz, któremu Patryk asystował. Kilka lat starszy przystojniak prawdziwie jej imponował oddaniem dla potrzebujących zwierząt i troską o wszelkie stworzenie. Właściwie do schroniska od jakiegoś czasu przychodziła głównie po to, by zalecać się do weterynarza. Patryk zaś stał się dla niej najlepszym przyjacielem, pokrewną duszą, której można się zwierzyć ze wszystkiego.

– Popełniłem błąd – oznajmił sobie przed lustrem.

Zbyt się przed nią otworzył i poruszył nie te, co trzeba, struny w jej duszy. Zamiast wzbudzić pożądanie, wywołał szczerą sympatię i przywiązanie. Zupełnie nie o to chodziło. W dodatku z jej zwierzeń jasno wynikało, że w końcu przełamała obojętność doktora Mikołaja, bo tak miał na imię wybranek, i zaloty zaczynały spotykać się z coraz większą aprobatą. Nie czekając ani chwili dłużej, w czasie kolejnego dyżuru w ambulatorium Patryk zapytał weterynarza, co o niej myśli.

– Śliczna, niewinna panienska – odparł z uśmiechem Mikołaj. – Prawdziwy pączuszek, który lada chwila rozkwitnie i zamieni się w piękny kwiat. Właściwie już jest gotowy do zerwania.

– Jest od ciebie osiem lat młodsza – zauważył Patryk.

– I świetnie. Najważniejsze jednak, że jest pełnoletnia. – Mikołaj wzruszył ramionami. – Nie zainteresowałbym się podlotkiem, trochę mi nie wypada, ale skoro sama pcha mi się do łóżka, chyba byłbym głupcem, gdybym nie skorzystał.

– Chcesz ją tylko przelecieć? – upewnił się Patryk.

– Może, jeśli nadarzy się okazja – przyznał doktor. – Nie będę zbytnio kombinował, bo właściwie mam narzeczoną. Ślub w przyszłym roku, nie chcę tego skopać, ale jeśli sprawa z Jolą nie wydobędzie się poza schronisko, myślę, że mógłbym zaryzykować.

Chce ją zaliczyć, najlepiej w tym gabinecie, kiedy wszyscy pójdą do domu, a potem porzucić. Złamię dziewczynie serce i odbierze coś, co mi się należy – pomyślał Patryk, czując rosnący gniew.

– Młody, czemu właściwie tak się wypytyjesz? Och, nie! Kręcisz się koło niej, co? Wszedłem ci w paradę! – zorientował się Mikołaj. – Sorry, chłopaku, nie wiedziałem. Powinienem się domyślić, przecież jesteście rówieśnikami. Dam ci radę – mówiąc, położył rękę na ramieniu chłopaka i przyciągnął go do siebie niczym młodszego brata. – Znajdź sobie dziewczuchę trochę młodszą, będzie ci łatwiej. W tym

wieku panienki rozglądają się za starszymi chłopcami, bo kobiety dojrzewają intelektualnie i emocjonalnie szybciej i rówieśnicy są dla nich durnymi gówniarzami. Mówiąc wprost, miałbyś u niej nikłe szanse, nawet gdyby mnie nie było.

Patryk pokiwał głową, ale nie sprawiał wrażenia przekonanego.

Tydzień później zadbał, by Jola wcześniej poszła do domu, mocno niedysponowana – dosypał jej bowiem do herbaty emetyku, ziołowej substancji powodującej wymioty. Natomiast Mikołajowi, po wykonaniu przez lekarza rutynowego badania psów ze schroniska i jakiegoś prostego zabiegu na jednym z kundelków, przyniósł kubek zaparzonej kawy. Wiedział, że weterynarz ma słabość do tego napoju, i z przyjemnością przyglądał się, jak pije ze smakiem. Kawa też była ze wspomaganiami. Patryk nalał do niej kwasu 4-hydroksybutanowego, który kilka dni wcześniej podwędził ze szkolnej pracowni chemicznej. Substancja była bezwonna i bezsmakowa, nie dało się jej zatem wyczuć w naparze. Miała za to specyficzne działanie, powodowała wpierw euforię podobną do alkoholowej, a potem amnezję i kompletne otępienie. Patryk wyczytał gdzieś, że w Ameryce używają jej zbrodniarze, przygotowując z tym związkiem tak zwane „koktajle gwałtu”.

Mikołaj chwilę coś bełkotał, a potem stracił przytomność. Patryk odczekał zamknięty z nim w ambulatorium jeszcze godzinę, aż ostatni pracownik schroniska pójdzie do domu, a potem wywlókł weterynarza i załadował do jego własnego samochodu. Sam zasiadł za kierownicą i uruchomił wóz kluczykami znalezionymi w kieszeni Mikołaja. Prowadził ostrożnie, bez pośpiechu i emocji, nie przejął się nawet spotkaniem po drodze patrolem policji. Działal precyzyjnie i ze zdecydowaniem, jak zawsze, gdy przeprowadzał zaplanowany eksperyment. Zjechał na leśne dróżki za Karczewem i zatrzymał się na wiślanym brzegu. Przesadził nieprzytomnego doktora za kierownicę, zwolnił ręczny hamulec i zepchnął samochód ze skarpy wprost do wody. Odczekał, aż dach zniknie pod ciemnymi falami rzeki, i piechotą wrócił do drogi, by złapać nocny autobus do Warszawy.

Wóz znaleziono już następnego dnia, bo przez noc rzeka zepchnęła go na piaszczystą łacę, kilkaset metrów dalej. Pracownicy schroniska dowiedzieli się o nieszczęśliwym wypadku kilka dni później, gdy skończono policyjne dochodzenie. Nie podejrzewano morderstwa, chociaż nikt nie wiedział, co weterynarz robił na tym pustkowiu i co spowodowało, że zjechał do rzeki. W jego krwi nie wykryto alkoholu ani narkotyków. Zasugerowano, że było to samobójstwo.

Jola trochę płakała, bardziej zaskoczona i wystraszona niż faktycznie załamana, a Patryk pocieszał ją, jak mógł. W końcu przytulił ją do piersi, otarł dłonią łzy i pocałował. Zesztywniała i odsunęła się, ale tylko na chwilę, chyba dla zasady. Zaraz bowiem przywarła do niego mocno, a potem sama go pocałowała.

Pobrali się trzy lata później. Ona studiowała weterynarię, a on biologię na uniwerku. Zamieszkali razem, w mieszkaniu, które Jola odziedziczyła po zmarłej babci. W jednym z pokoi Patryk urządził skład okazów, poza tym szybko dorobili się czterech kotów, kundelka i rybek akwariowych. Żyło się im statecznie i spokojnie. Nie imprezowali jak to studenci, nie marnowali czasu na głupoty, oboje skupiając się na karierach. Jolę nadal pociągała praca w schroniskach, przychodniach i lecznicach, Patryk wolał działalność naukową. Szybko dostał się na specjalizację do Katedry Zoologii Bezkręgowców i rok przed terminem obronił tam magisterkę. Na doktorat przyjęto go do Instytutu Zoologii PAN.

Od dnia, w którym zamordował Mikołaja, nie poświęcił mu ani jednej myśli. Nie miał wyrzutów sumienia, nie był w stanie pojąć, czemu ludzie przestrzegają zasad etycznych i moralnych – jak każdy człowiek o osobowości psychopatycznej. Działal wyłącznie, by zaspokoić własne potrzeby i umożliwić sobie wygodne życie, nic poza tym się nie liczyło. Z Jolą ożenił się z powodów bardzo pragmatycznych. Niezmiennie pociągała go seksualnie i mógł dzięki niej zaspokajać swoje żądze, poza tym pochodziła z rodziny stosunkowo zamożnej, która nie tylko zapewniła im owo mieszkanie po babci, ale i pewne

zasoby finansowe umożliwiające spokojne i wygodne studia. Musiał się tylko nieustannie pilnować i postępować zgodnie ze schematem charakterologicznym, jaki sobie wymyślił – uśmiechać się często do Joli i okazywać jej czułość oraz zainteresowanie. To wystarczało, by utrzymać jej miłość na dostatecznym poziomie i przywiązać do siebie. W zamian nie musiał się kłopotać szeregiem przyziemnych spraw na czele z żywieniem, dbaniem o mieszkanie i podobnymi rzeczami, nieistotnymi, chociaż niezbędnymi...

Jeszcze w czasie studiów Jola dostała stałą pracę w jednej z lecznic, w których praktykowała. Mało tego, weszła w spółkę z właścicielem i zainwestowała niemal wszystkie odziedziczone po babci pieniądze. W przychodni dla zwierząt domowych mogła realizować się zawodowo. Teraz zapragnęła zrealizować się jeszcze jako matka. Poprosiła męża o chwilę poważnej rozmowy i z lekką trema oświadczyła mu, że chciałaby zajść w ciążę. Patryk w głębi ducha wzruszył tylko ramionami, było mu bowiem wszystko jedno. Dziecko powinno zapewnić jego kobiecie sporo dodatkowego zajęcia i jeszcze bardziej scementować ich związek. Uśmiechnął się promiennie i wziął ją w ramiona, po czym przeniósł do łóżka, gdzie zabrali się do pracy nad poczęciem potomka. Maciek przyszedł na świat w terminie, drogą naturalną. Zapewnił Joli naprawdę dużo zajęcia, a Patrykowi pretekst, by siedzieć w instytucie do późnej nocy.

Nie obawiał się swojej reakcji na dziecko, bo dobrze ją przećwiczył. Gdy pierwszy raz wziął syna na rękę, rozplakał się i ucałował go, zagrał niczym zawodowy aktor. Naprawdę ten pomarszczony czerwony osesek nie budził w nim nic prócz irytacji. Obiecał jednak sobie, że zaakceptuje dziecko i spróbuje się do niego przyzwyczaić. Cierpliwie i umiejętnie grał więc dalej swoją rolę, teraz prócz udawania przykładowego męża dołączył do repertuaru rolę ojcowską.

Dziecko rosło zdrowe, lata płynęły we względny spokój. Patryk pogрузił się całkiem w studiach nad owadami, publikował maszynowo artykuły naukowe, obronił pracę doktorską i zaczął się szykować do habilitacji. Postanowił zostać najmłodszym profesorem entomologii w historii instytutu i był na dobrej drodze, by to osiągnąć.

Wtedy wydarzyło się coś, co wszystko zmieniło. Ojciec zadzwonił z wieścią, że mama jest bardzo chora i leży w szpitalu. Syn powinien ją odwiedzić. Patryk przyznał ojcu rację i udał się do wskazanej placówki. Czując coś jakby niepokój, wszedł na oddział onkologiczny.

Rozdział 16

Blankę obudziło bzyczenie. Jakaś duża mucha uparcie tłukła o szybę, próbując wydostać się na wolność. Każde jej daremne uderzenie o szkło zdawało się mobilizować owada do kolejnych prób. Mucha była przy tym niestrudzona i walczyła, nie dając sobie chwili przerwy.

Czyżby to była żelazna mucha? – pomyślała Blanka. – Twarda i nieustępliwa cholera. Czy od tego walenia głową w ścianę łeb pęka jej tak samo jak mnie? Chryste, ale się musiałam wczoraj nawalić...

Bała się ruszyć, by nie spowodować zawrotów głowy i wymiotów. O otworzeniu oczu również nie było mowy, ostre światło pewnie by ją zabiło. Musi zasnąć i przeczekać, tak ostrego kaca najlepiej odespać. Nie ma sensu zrywać się i cierpieć katusze. Miała czas, to z pewnością był weekend, nie upiłaby się przecież tak bardzo w środku tygodnia. Leżała zatem bez ruchu, starając się znów zasnąć, ale mucha nadal szalała, a jej bzyczenie było po prostu nieznośne. Gdzieś zza ściany dobiegały głosy rozmawiających mężczyzny i kobiety. Ręce, jakieś obolałe, miała uniesione w idiotycznej pozie nad głową. Zdecydowała się zmienić ułożenie ciała, ostrożnie, tak by głowa jej przypadkiem nie pękła.

Nie udało się. Kiedy chciała się przekręcić na bok, okazało się, że nie może ruszyć rękami. Szarpnęła mocniej, ale tylko zimne obręcze wpiły się jej w nadgarstki. Z rosnącą zgrozą otworzyła oczy i ujrzała, że jest skuta kajdankami przełożonymi przez metalową ramę łóżka. Nie jej łóżka. W panice rozglądała się po pomieszczeniu. Leżała na drewnianym poddaszu, o czym świadczył pochyły sufit z grubymi belkami. Sypialnia była urządzona schludnie i skromnie, znajdowały się w niej lustro i wielka szafa na ubrania. W lustrze Blanka ujrzała siebie, z wykrzywioną ze strachu twarzą i z potarganymi włosami. Nadal miała na sobie to, w czym wyszła do pracy, porywacz nawet nie ściągnął jej butów, nie skrępował też nóg.

Co się działo? Skąd się tu wzięłam? – rozpaczliwie próbowała zebrać myśli mimo łupania rozsadzającego czaszkę.

Pamiętała tylko, że odkryła, kto stoi za morderstwami. Prezes Malinowiecki kierował Jakubiakiem i zlecał kolejne zabójstwa, a potem sprzątnął ostatnich świadków i ludzi zamieszanych w sprawę. Po uświadomieniu sobie tego miała powiadomić Jacka, ale zeszła do piwnicy, do labu. I co było dalej? Co się stało? Nic nie pamiętała, zupełnie nic.

W pokoju panował półmrok, światło wpadające przez okno było stłumione, a cienie rzucane przez ramy szprosy i samotną doniczkę długie i czarne. Znaczyło to, że słońce jest nisko. Zatem był późny wieczór lub wczesny ranek. Ci, co ją porwali, znajdowali się w domu i rozmawiali o czymś podniesionymi głosami. Kobieta wrzeszczała na mężczyznę, ale po chwili umilkła, gdy ten zaczął przemawiać do niej spokojnym tonem.

Malinowiecki zatem dorwał ją pierwszy, zanim zdążyła kogokolwiek powiadomić o swoich odkryciach. Tylko jak mu się to udało, gdzie i kiedy ją dopadł? Zmusił do wypicia jakiegoś świństwa, wstrzyknął coś? Jak wyniósł ją z firmy, nie zwracając niczyjej uwagi? Chyba że dopadł ją później, gdzieś poza pracą?

Szarpnęła kilka razy, rama łóżka zatrzęsała się, ale wyglądało na to, że wykonano ją z kutego żelaza. Nie

było co marzyć o tym, że uda się ją wyrwać. Blanka pozostało cierpliwie czekać, udając bardziej przerażoną i bezbronną, niż była w rzeczywistości. Skoro nie zabili jej od razu, znaczy, że czegoś chcą. Może uda się uspić ich czujność i zwiąć? Trzeba spokojnie dojść do siebie, odzyskać siły, a potem uderzyć, gdy nie będą się niczego spodziewali. Zamknęła więc oczy i próbowała zapanować nad zawrotami głowy i oszołomieniem.

Mijały minuty, mucha dała sobie spokój i już tylko łąziła po parapecie. Gdzieś w oddali przejechał samochód. Zatem dom stał w jakimś spokojnym i cichym miejscu, z pewnością poza miastem, ale nie na pełnym odludziu. Chociaż gdyby chcieli ją obedrzeć żywcem ze skóry, nikt i tak niczego nie usłyszy. Może właśnie dlatego nie założono jej knebla? Poczwała, że znów zaczyna wpadać w panikę. Z nerwów szarpnęła po raz kolejny, tym razem jeszcze mocniej. Łóżko załomotało o podłogę. Po drewnianym poddaszu tego typu hałasy świetnie się niosły. Głosy na dole umilkły, ktoś zaczął wchodzić po schodach. Blanka przeklęła w myślach swój brak opanowania. Niepotrzebnie prowokowała porywaczy.

Drzwi się otworzyły i stanęła w nich wysoka znajoma sylwetka. Patryk wszedł do środka i przysiadł na krawędzi łóżka. Jego twarz początkowo nie wyrażała żadnych emocji, dopiero po chwili wykrzywiła się w uśmiechu. Było to nienaturalne i rażąco sztuczne, jakby założył maskę, która ma udawać życzliwość.

Jego oczy są zupełnie martwe, nie ma w nich żadnych emocji – pomyślała ze zgrozą. – Zawsze takie były, że też tego wcześniej nie zauważyłam!

– Wszystko w porządku? – spytał, ciągle się uśmiechając. – Pewnie cierpisz na dolegliwości typowe dla kaca. To metabolity substancji, którą ci podałem. Przykro mi, ale proces jej rozkładu prowadzi do tych samych związków co proces rozkładu alkoholu. Na szczęście nie dostałaś zbyt dużej dawki i szybko ci przejdzie. Chyba że chcesz ibuprofen albo aspirynę?

– Poproszę – wychrypiała. – I szklankę wody.

– Dobrze, za chwilę. – Skinął głową. – Załatwmy może sprawę od razu, dostaniesz lek i spokojnie sobie odpoczniesz. Przetrzymam cię do momentu, aż sprawa będzie załatwiona, co powinno nie potrwać dłużej niż tydzień. Potem cię wypuszczę.

– Malinowiecki skłonił cię do współpracy? – jęknęła. – Szantażował cię, zastraszył? Może zwyczajnie przekupił?

– Malinowiecki? – Patryk prychnął z pogardą. – To zwykły korporacyjny szczurek. Myślisz, że byłby zdolny poprowadzić tak śmiałą akcję? Zapaskudziłby swoje piękne spodnie już przy pierwszym nieboszczyku. Myliłaś się, Blanco, ten gnojek nie ma z tym nic wspólnego.

– Och – sapnęła. – Zatem to ty? Ty tym kierowałeś? Ale jak? Dlaczego Czesio omal cię nie zabił? Przecież ostatnie zbrodnie wydarzyły się, gdy leżałeś w szpitalu. Ach, rozumiem. Masz współnika czy raczej współniczkę...

– Ciepło, ciepło – przytaknął. – Ale mniejsza z tym, nie będę ci zaprzętał głowy szczegółami. Musiałem przywieźć cię tutaj, by skłonić do udostępnienia zdobytych danych. I pomyśleć, że Nachowiak nie trzymał ich na laptopie ani na żadnym ze służbowych dysków. Były na idiotycznym pendrivie w kształcie świni, który miałem w ręku! A tyle się namordowałem, szukając ich! Tak niewiele brakowało, a zupełnie by przepadły!

– Po co ci to? Szantażujesz Avera?

– Od jakiegoś czasu. I wyobraź sobie, że nie za bardzo chcieli pertraktować, zmiękli dopiero, gdy pokazałem im raport z badań klinicznych zdobyty od profesora Reckerta. Teraz muszę im rzucić drugą część, toksykologiczną, która, zdaje się, jest już tylko w chmurze, na twoim koncie. Podaj mi, proszę, login i hasło do Dropboxa. Zrzucę te dane i sprawa będzie załatwiona.

Blanka zacisnęła pięści. Drżała ze strachu, ale też ze złości oraz rozczarowania. Idiotka! Jeszcze wczoraj zastanawiała się, czy nie ulec jego zalotom. To jakiś kompletnie szurnięty drań, zupełny świr,

który truje i szlachtuje ludzi! Jak mogła być tak ślepa i głupia? Gdzie miała mózg?

– Jeśli dam ci dostęp do tych danych, natychmiast mnie zabijesz – wycedziła, dodatkowo rozdrażniona bólem głowy.

– Nie rób ze mnie wariata. Nie zabijam dla przyjemności i bez wyraźnej potrzeby, właściwie robię to wyłącznie w ostateczności, gdy nie mam innego wyjścia. – Znów uśmiechnął się łagodnie i trochę szelmowsko. Tym razem jednak nie dała się nabrać na jego wyćwiczone miny. – Właśnie dlatego cię uprowadziłem. Gdybym chciał cię zgładzić, zmusiłbym cię do gadania jeszcze w firmie, załatwił na miejscu i wyniósł w worku na śmieci, być może w kawałkach. Pofatygowałem się, więżąc cię, właśnie dlatego, byś mogła żyć. Kiedy wyślę do Avera dowody, że mam na nich haki, o jakich im się nie śniło, przeleją mi ostatnią transzę. Dwie już mam na koncie.

– Robisz to dla forsy? – wycedziła, mrużąc oczy. Próbowwała właśnie oszacować, czy udałoby się jej kopnąć go tak, by trafić piętą w skroń. Rozluźniła mięśnie, szykując się do wysiłku. Przypieprzy mu dla samej zasady, a co dalej, to się zobaczy!

– Wulgaryzujesz. Forsa, forsa! To brzmi, jakbym zabijał ludzi dla pliku brudnych papierków. Ja ich tylko usuwam z drogi do osobistego szczęścia, a pieniądze są koniecznym środkiem do osiągnięcia celu. Znalazłem się w parszywej sytuacji finansowej i musiałem szukać jakiegoś rozwiązania. I proszę! Samo się nasunęło. Okoliczności stawały się coraz bardziej kłopotliwe, na szczęście zbliża się pomyślne zakończenie. Dostałem już dziesięć milionów, teraz potrzebuję od ciebie danych, żeby dostać ostatni przelew, okrągłe czterdzieści baniek.

– Zapłacą ci dwadzieścia milionów złotych? Za oddanie wyników badań? – Zamarła przed zadaniem ciosu.

– Dwadzieścia milionów euro, nie złotych. I nie za oddanie, a za udowodnienie, że je mam. Podpiszę zobowiązanie, że przekazuję im pliki i niszczę nośniki cyfrowe oraz wszelkie kopie. Obiecuję również milczeć po grób. Na tyle oszacowałem wartość ich wizerunku. Gdyby sprawa wypłynęła, zapłaciliby znacznie więcej rodzinom ofiar tych pieprzonych eksperymentów, a ich marka znalazłaby się w ruinie. Dwadzieścia baniek to niewygórowana kwota, straciliby miliardy, gdyby się wydało, co zrobili...

Blanka westchnęła, uświadamiając sobie skalę i rozmiar bagna, w które się wpakowała.

– I co dalej? Wierzysz, że naprawdę dadzą ci te pieniądze?

– Część już dali jako przejaw dobrej woli. Nie bój się, dopilnuję, by wywiązali się z umowy do samego końca. A wracając do naszych interesów, obiecuję, że zostawię cię przy życiu, tylko przez jakiś czas przetrzymam pod kluczem. Do chwili przypieczętowania umowy. Gdy tylko pieniądze wylądują na moim koncie, zniknę z Polski. Mam zamiar poświęcić się badaniom nad owadami egzotycznymi w jakimś odległym, tropikalnym kraju. Twoja śmierć nie jest zatem konieczna, bo i tak nie będziesz stanowiła dla mnie zagrożenia. Nie zamierzam tu wracać, urządzę sobie nowe życie. Z taką sumą na koncie nie będzie to specjalnie trudne.

Blanka zagryzła wargę, zastanawiając się, czy powinna mu uwierzyć i spełnić jego żądanie. Zdaje się, że nie miała innego wyjścia...

– Łeb mi pęka – jęknęła, grając na zwłokę.

– Ach, wybacz – syknął Patryk. Wstał z łóżka i podszedł do drzwi. – Ada! Przynieś, proszę, ibuprofen dla Blanki.

– Ada? – Blanka znów zastygła ze zdumienia. – Ona żyje?

Po chwili na schodach rozległy się kroki i do pokoju weszła zaginiona przyjaciółka. W ręku trzymała kubek z wodą i pastylkę. Uśmiechnęła się przepraszająco, usiadła na łóżku i wsunęła proszek do ust Blanki, po czym ją napoiła. Blanka była tak oniemiała, że posłusznie przełknęła lekarstwo i popiła wodą. Ada jeszcze raz krzywo się do niej uśmiechnęła i wstała, by przytulić się do piersi Patryka. Oboje

patrzyli wyczekująco na uwięzioną.

– Podaj to hasło, mała – poprosiła łagodnym tonem Ada. – Miejmy to już za sobą.

Rozdział 17

Lekarka prowadząca przypadek mamy okazała się atrakcyjną platynową blondyną o ujmującym uśmiechu i sporej cierpliwości nie tylko do pacjentów, ale przede wszystkim do ich rodzin. Tych często trzeba było traktować delikatniej niż chorych. Zdarzało się, że ludzie na wieść o zbliżającej się nieuchronnie śmierci najbliższej osoby reagowali histerycznie. Lekarka jednak umiała rozmawiać z nimi w taki sposób, by tonować ich reakcje. Patryk, zanim z nią porozmawiał, był świadkiem, jak sprawnie manipuluje reakcjami oburzonej starszej pary, którą musiała powiadomić o nadchodzącej śmierci syna. Nie dość, że bez mrugnięcia przyjęła gniew matki, która oskarżyła lekarzy o zaniedbania i nieudolność, to tak obróciła kota ogonem, że jeszcze podziękowali jej za zaangażowanie i troskę. Patryk odbył z lekarką krótką rozmowę, a potem dyskretnie obserwował w czasie obchodu po oddziale. Doktor Ada Milewska sprawiała wrażenie nie tylko kompetentnej i pewnej siebie osoby, ale też inteligentnej i świetnie znającej ludzką psychikę. Zaintrygowała Patryka.

Mama trafiła na oddział bezpośrednio ze szpitalnej przychodni onkologicznej. W przychodni panowało istne pandemonium, korytarze pełne były ludzi czekających godzinami na wizytę, wielu przybyłych tu na konsultacje z najodleglejszych krańców Polski. Już od wejścia chorych witał wściekły tłum innych cierpiących, kłębiący się przed okienkami recepcji. Obowiązywał system numerków mających usprawnić funkcjonowanie placówki, ale nie skracał on czasu oczekiwania ani na wstępne badania, ani na wizytę u specjalisty. Lekarz kwalifikował chorych – szczęśliwcy trafiali do szpitala na hospitalizację, pechowcom na miejscu serwowano leczenie paliatywne w postaci kroplówki z chemią i odsyłano do domu, trafiali się też tacy, zbyt starzy lub o dyskwalifikująco złych wynikach badań krwi, którym podawano wyłącznie zestaw witamin oraz minerałów z odrobiną glukozy, chwilowo poprawiającą samopoczucie. Na nich faktycznie stawiano krzyżyk, państwowej służbie zdrowia nie opłacało się leczenie tych nieszczęśników.

Mama przebrnęła przez wstępną selekcję i została skierowana na leczenie szpitalne. To znaczyło, że lekarz prowadzący widział u niej jakieś szanse na przeżycie lub choć zdecydowane przedłużenie życia we względnie znośnych warunkach. Już za to powinni być wdzięczni NFZ-etowi, ale Patryk jakoś nie mógł wykrzesać z siebie entuzjazmu. Obserwował sytuację w przychodni i na szpitalnych korytarzach w zimnym skupieniu naukowca, oczywiście bez emocji lub żalu. Czekając pod gabinetem, a potem salą, w której leżała mama, patrzył na chorych przewożonych na wózkach lub w łózkach, na snujące się postaci w szpitalnych szlafrokach, wychudzone, z zapadniętymi twarzami o pożółkłej skórze i zmęczonych oczach. Widok cierpiących nie wzbudzał w nim współczucia, ale stanowił nowe doświadczenie, zwiększające wiedzę o ludzkiej naturze.

Na korytarzu zaczął Adę i zaczął z nią rozmowę, ale ku jej zaskoczeniu nie o zdrowiu bliskiej osoby, ale o prawdopodobieństwie odziedziczenia skłonności do nowotworu i istniejących metodach wczesnego wykrywania raka. Po krótkiej wymianie zdań skomplementował jej urodę i zaprosił na kawę. Ada uważnie przyjrzała się przystojnemu mężczyźnie, którego już wcześniej widziała na korytarzu, i bez

większego wahania przyjęła zaproszenie. Jeszcze tego wieczoru, spędzonego w restauracji i na spacerze, odkrył, że lekarka jest kobietą, co prawda, inteligentną, ale mającą problemy emocjonalne i nieradzącą sobie w związkach z facetami. Bez trudu przejrzał jej grę, przyjmowane pozy i wygłaszane kwestie, które musiała przećwiczyć na setkach podobnych randek. Dostrzegł też, że w głębi serca drży ze strachu przed odrzuceniem i samotnością. Była przez to bardzo łatwą zdobyczą, przynajmniej dla osoby na tyle inteligentnej i bezwzględnej co Patryk.

Przez następne dwa dni nie próbował nawiązać z nią kontaktu, zastanawiając się, co dalej, co właściwie mógłby ugrać na romansie z panią doktor z onkologii. Na razie choroba mamy, warunki panujące w szpitalu i sposób leczenia zwyczajnie go wystraszyły i dlatego zaczął badać teren. Obawiał się, że nowotwór może być dziedziczny. Nie chciał umierać, szczególnie w taki sposób i w takim miejscu, zatem pozostawało mu spróbować zabezpieczyć się przed chorobą. Lubił w pełni panować nad swoim życiem.

Kolejnego dnia przypuścił szturm na Adę, używając wszystkich środków i wspierając się na znajomości psychologii, którą studiował od wczesnej młodości. Ada okazała się łatwa, tak jak się spodziewał, już po następnej randce sama zaciągnęła go do łóżka. Obudził się w jej mieszkaniu na ponurej i nieprzyjaznej Szmulowiznie, wymęczony, ale i zadowolony z nowej kochanki. Spotykając się z nią tutaj, przynajmniej miał pewność, że nie wpadnie i Jola się o niczym nie dowie.

Ada była tak rozpaczliwie spragniona miłości, towarzystwa opiekuńczego mężczyzny, że wystarczyła sama jego obecność, odrobina pieśzczoł i czułości, by uwiązać ją do siebie, i to niezwykle mocno. Patryk pogłębił to oddanie wypróbowanymi jeszcze na Joli zagrywkami psychologicznymi, w ciągu miesiąca dwa razy ją porzucił, by zaraz wracać z płaczem, prosząc o przebaczenie. Przyjmowała go coraz bardziej zmięczona i rozdygotana. Błagał ją o dyskrecję, bo bał się reakcji żony i tego, że odbierze mu syna i z zemsty będzie utrudniała kontakty z dzieckiem. Wymógł na Adzie obietnicę, że nikomu, nawet najbliższej przyjaciółce, nawet rodzonej matce, nie powie o ich związku. Zgodziła się i zalewając się łzami, z natchnioną miną, żarliwym głosem przysięgła, że robi dla niego wszystko i zachowa milczenie aż po grób. Nie chciała, by się rozwodził ani robił cokolwiek, co mogłoby mu zaszkodzić. Ada gotowa była cierpieć jako ta druga, byle tylko kochał ją tak jak teraz. Patryk kochał ją więc z całych sił, a właściwie wspaniale tę miłość udawał, wznosząc się na szczyty swoich aktorskich umiejętności. Z rozmysłem też podgrzewał atmosferę, coraz bardziej dominując nad ofiarą. Związał ją niczym pająk złapaną w sieć muchę.

Mama została po kilku zabiegach zwolniona do domu, skąd dojeżdżała do szpitala na kolejne chemie i naświetlania. Niestety, jej stan nieustannie się pogarszał, aż w końcu przesunięto ją do leczenia paliatywnego, nie zgadzając się na dalsze, kosztowne dla państwa zabiegi. Kobieta przekroczyła wiek sześćdziesięciu pięciu lat, co czyniło ją osobą niemogącą korzystać z dalszej terapii poza aplikowaniem leków doraźnych. Patryk przyjął to do wiadomości bez gniewu, rozumiał, że takie są warunki panujące w Polsce i nic się nie da zrobić. Ada oświadczyła mu jednak, że jest jeszcze jedna szansa. Na początek musi go tylko umówić na rozmowę ze swoim szefem. Patryk zgodził się z ciekawości i troski bardziej o swoją osobę niż o umierającą matkę.

Profesor Reckert przyjął go nadzwyczaj serdecznie, wstał nawet zza biurka i szeroko się uśmiechając, uścisnął mu rękę. Trzymał ją w wielkich dłoniach i potrząsał, nie spiesząc się z jej puszczeniem, co dla Patryka szybko stało się nieprzyjemne, wręcz napastliwe. Sam profesor był wielkim, grubym facetem noszącym różową koszulę i fioletowy krawat. Sprawiał wrażenie ekscentryka, by nie powiedzieć dziwaka. To nie miało jednak dla entomologa żadnego znaczenia.

Został posadzony w fotelu i poczęstowany herbatą, którą po chwili przyniosła pielęgniarka. Aż trudno było uwierzyć, że zawdzięczał tak królewskie traktowanie wyłącznie temu, że był przyjacielem Ady.

Przynajmniej tak miała go zaprezentować swojemu szefowi. Reckert na szczęście szybko przeszedł do sedna, wyciągnął wyniki badań mamy i krótko je omówił.

– Przerzuty na wątrobę to ostatni etap, już właściwie nic się nie da zrobić, trzeba się przygotować na najgorsze. Podawanie chemii może zatrzymać wzrost lub doprowadzić do zmniejszenia guzów, ale nowotwór pana mamy rozsiany jest także po innych organach i naprawdę nie sposób przewidzieć dalszego rozwoju choroby. Oczywiście na żadną operację ten przypadek już się nie kwalifikuje. Z doświadczenia mogę panu powiedzieć, że tradycyjne leczenie może przedłużyć życie pana matki nawet o kilka miesięcy, nie sądzę, by potrwało to dłużej niż pół roku – oznajmił profesor, używając niezwykle łagodnego, wręcz pieszczotliwego tonu. Patryk poczuł irytację, ale nawet nie mrugnął. – Jest jeszcze jedna opcja, mógłbym dołączyć pana matkę do trwającego właśnie projektu. Nasz szpital został wybrany przez poważną korporację farmaceutyczną do przeprowadzania badań klinicznych nad eksperymentalnymi lekami nowotworowymi. To leki nowej generacji, coś naprawdę nietypowego i wielce obiecującego. Nie są to tradycyjne syntetyczne cząsteczki chemiczne, które przy okazji niszczenia nowotworu doprowadzają organizm do ruiny, ale białka wyizolowane metodami biotechnologicznymi i chemicznie zmodyfikowane. Wbudowano w nie ligandy, które wykazują powinowactwo do receptorów komórek nowotworowych. Taki lek, gdy znajdzie się we krwi, krąży tak długo, aż trafi do komórki rakowej, z którą się chemicznie wiąże i którą niszczy w trakcie własnego rozkładu. Spece od reklam i PR nazywają takie substancje inteligentnymi molekułami, są one bowiem niezwykle selektywne i niszczą wyłącznie raka, nie wchodząc w interakcję ze zdrowymi komórkami. Teoretycznie zatem to leki przyszłości, nowa nadzieja w walce z nowotworem...

– Ile? – spytał Patryk, przerywając wykład. – Ile mam zapłacić?

– Nie rozumiemy się. – Reckert splótł pulchne dłonie i oparł je o brzuszysko. – Wystarczy nam tylko zgoda pacjentki lub jej najbliższej rodziny na udział w eksperymencie. Trzeba podpisać cyrograf o świadomości zagrożenia, bo jak wspomniałem, są to leki eksperymentalne, jeszcze nie do końca przebadane...

Patryk pokiwał głową. Podejrzewał, że istnieją spore szanse, że i on zapadnie na tę samą chorobę co matka, mógł ją mieć zapisaną w genach. W jego własnym interesie było zatem, by te leki przebadano i jak najszybciej wdrożono do produkcji. Idąc na współpracę z medykami, będzie miał w razie czego ułatwiony dostęp do nich. Gdyby później lek okazał się upiornie drogi lub niedopuszczony w Polsce do obrotu, Patryk mógłby zdobyć go za pośrednictwem nowo zawartych znajomości. Postanowił więc nie tylko się zgodzić, ale i zaprzyjaźnić z profesorem. To mogła być doskonała inwestycja na przyszłość. Wystarczy tylko, że poświęci własną matkę.

I tak nie czuł do niej nic poza zwykłym przywiązaniem. Takim samym darzył swoje ulubione owady, ale nie zdarzyło mu się rozpaczać nad ich śmiercią, zwłaszcza poniesioną w wyniku eksperymentu. Cóż zatem stało na przeszkodzie, żeby oddać do badań własną matkę, szczególnie że czyniło się jej w ten sposób przysługę? Mogła dzięki terapii żyć bez bólu znacznie dłużej, cieszyć się widokiem rosnącego wnuka, radować się życiem. Kto wie, może nowoczesny lek wyleczy ją z choroby? Chyba każdy przystępujący do projektu właśnie na to liczył.

– Zgoda – powiedział krótko. – Kiedy możemy zabrać się do podpisania dokumentów?

Trzy dni później karetka przewiozła matkę z domu do szpitala. Po pięciu dniach Ada zadzwoniła do niego w środku nocy. Łamiącym się głosem oznajmiła, że terapia się nie udała. Mama zmarła.

* * *

Pogrzeb odbył się pięknego słonecznego dnia. Patryk szedł, pod jedno ramię trzymając Jolę,

a pod drugie ojca. Maciek został w domu pod opieką rodziców Joli. W ostatnią drogę odprowadzali więc mamę we trójkę. Ojciec od śmierci żony nie odezwał się do syna ani słowem. Nie robił scen, ale otwarcie winił go za to, co się stało. Nie mógł pogodzić się ze śmiercią ukochanej żony, nie potrafił zaakceptować jej odejścia, w dodatku tak gwałtownego. W ciągu kilku dni z dziarskiego mężczyzny po sześćdziesiątce zmienił się w zgiętego w pół starca o pustym, mętnym spojrzeniu. Rozmawiał tylko z Jolą, której ufał, ale nie pozwolił sobie jednak wytłumaczyć, że Patryk nie był niczemu winny, ale starał się jedynie pomóc matce.

– Musiał w tym mieć jakiś interes – oznajmił synowej. – Nigdy niczego nie zrobił z porywu serca. Tak naprawdę to zimny, nieczuły potwór.

Jola była wstrząśnięta tym wyznaniem i przypisała je złemu stanowi psychicznemu teścia. Nie przyszło jej do głowy, że ojciec Patryka jest szczery i w końcu otwarcie mówi, co myśli o synu. Próbowwała namówić męża, by przed pogrzebem jeszcze choć raz spróbował porozmawiać z ojcem, ale Patryk tylko wzruszył ramionami. Nawet nie starał się udawać, że jest przejęty zachowaniem staruszka, jego uwagę przyciągnęło bowiem co innego. Wśród ludzi wchodzących do kościoła dostrzegł ubraną na czarno Adę.

Co ona tu robiła, u licha? – pomyślał. Tyle razy wpajał jej konieczność zachowania dyskrecji, miała się nie zbliżać do jego rodziny. Co też sobie wyobrażała? I po co właściwie się pojawiła?

Msza przebiegła w skupieniu i spokoju, potem pracownicy firmy pogrzebowej wynieśli trumnę i rodzina ustawiła się w kondukcje, by odprowadzić zmarłą w ostatnią drogę. Przy akompaniamencie bijących dzwonów i śpiewu księdza zawodzącego do mikrofonu zebrani przemaszerowali na cmentarz. Nad grobem odbyła się krótka ceremonia, spuszczone trumnę i zasunięto betonowe płyty, zamykając komorę. Rozpoczęło się składanie kondolencji. Wśród przybyłych pojawiła się nawet delegacja z instytutu, łącznie z samym dyrektorem, który serdecznie uściśnął Patryka. Do tego kilkunastu członków rodziny i na samym końcu zalewająca się łzami Ada. Stała przed oniemiałym Patrykiem i ze szlochem próbowała uwiesić mu się na szyi, ale oburącz ją powstrzymał.

– Wybacz, Patryku! – załkała. – To moja wina, to przeze mnie. Ja cię do tego namówiłam. Wiem, że nie mogłam zrobić niczego gorszego i że nigdy mi nie wybaczysz... Dlatego tu przyszłam. Chciałam zobaczyć cię po raz ostatni, chciałam, byś wiedział, że cię ko... Że nigdy cię nie zapomnę.

Stojąca obok Jola patrzyła w oszołomieniu na rozhisteryzowaną wariatkę, która próbowała przykleić się do jej męża i wyznawała mu jakieś intymności. Patryk minę miał pozbawioną emocji, ale po chwili zmarszczył brwi i warknął coś gniewnie do Ady, stanowczo ją odpychając. Rycząc i zalewając się łzami, odeszła, po czym, odprowadzona spojrzeniami Joli, znikła między grobami.

– Kto to był? – wycedziła żona Patryka, z każdą chwilą coraz bardziej zdenerwowana.

– Potem wyjaśnię. Teraz musimy iść na stypę – oznajmił stanowczo i pociągnął Jolę ku sobie, by pod ramię wyprowadzić ją z cmentarza.

Nie udało mu się jednak zupełnie odwrócić jej uwagi, bo Ada nie dawała o sobie zapomnieć. Spotkali ją jeszcze przed bramą cmentarza, ciągle zapłakaną, ale przynajmniej niepróbującą ich zaczepiać. Patryk przeklął w duchu niedojrzałość emocjonalną pani doktor. Wydawałoby się, że nie jest głupia, a zachowała się jak skończona idiotka. Co jej strzeliło do głowy, żeby przyjść na pogrzeb?

Jola wyrwała się z jego uścisku i podeszła do Ady, by chwilę z nią porozmawiać. Zamieniły kilka zdań, po których lekarka wybuchnęła płaczem i uciekła biegiem. Patryk obserwował to, siedząc za kierownicą.

– Zdaje się, że już nie kontrolujesz sytuacji, co? – niespodziewanie odezwał się siedzący z tyłu ojciec. – Mam nadzieję, że gorzko pożałujesz wszystkiego, co zrobiłeś.

Patryk nie odpowiedział na zaczepkę, to nie miało sensu. Rozumiał, że ojciec przejrzał jego grę, zabawę w udawanie emocji. Staruszek wiedział lub po prostu w końcu to sobie uświadomił, że jego syn jest kaleką o psychopatycznej osobowości. Dyskusja z nim nie miała zatem sensu, nie stanowił wszak

żadnego zagrożenia, właściwie był trzęsącą się ruiną człowieka. Jak można aż tak nisko upaść, i to wyłącznie z powodu emocji? Całe szczęście, że podobne cierpienia nie groziły Patrykowi. Może jego sterylność na uczucia była faktycznie błogosławieństwem?

– Masz kochankę – wycodziła przez zęby Jola, po czym wsiadła do wozu, trzaskając drzwiami.

Patryk uruchomił silnik, nie odpowiadając. W drodze na stypę cała trójka pograżyła się we własnych myślach. Jola nie odezwała się do męża przez resztę dnia, a po położeniu do łóżka zwinęła się w kłębek i rozplakała. Rankiem, gdy szykowała Maćka do wyjścia do przedszkola, oznajmiła zimno, że chciałaby, żeby Patryk się wyprowadził.

– I zabieraj swoje robaki – syknęła z ledwie tłumioną wściekłością. – Nie zniosę dłużej ciebie i twoich cholernych larw. Jeśli jeszcze raz znajdę jakieś pudełko pełne czerwi w gnijącym mięsie, które tkwi w lodówce obok jedzenia dla Maćka, rozwalę ci łeb, sukinsynu.

– Pohamuj się – odparł spokojnie.

– A co mi zrobisz?! – wrzasnęła. – Jak mogłeś? Kim ona właściwie jest?

Odwrócił się i wyszedł. Musiał przemyśleć, co dalej, czy próbować odkręcić sprawę i zerwać z Adą, czy zmienić partnerkę? Dla niego były to wyłącznie zimne kalkulacje, liczyło się to, co bardziej opłacalne. Jola miała większy potencjał finansowy i dzianych rodziców, miał ją rozpracowaną na czynniki pierwsze i potrafiłby opanować. Tę zdradę, przy odrobinie wysiłku, mógłby użyć do scementowania związku, odświeżenia małżeństwa. Wpierw krótka przerwa i odejście w pokorze, a potem powrót na kolanach, błagając o przebaczenie i przysięgając, że tamta była tylko pomyłką, chwilą słabości, błędem mężczyzny przechodzącego kryzys wieku średniego. To już się nie powtórzy, zdecydowanie nie. Przez ten czas, gdy był sam, bez Joli, zrozumiał, jak dla niego jest ważna i jak bardzo ją kocha. Adę porzucił bez chwili wahania, właściwie nic do niej nie czuł. Tak naprawdę to ona go uwiodła, w szpitalu, gdy przychodził do chorej matki. Wykorzystała, że jest w fatalnym stanie psychicznym, że rozpacza nad umierającą mamą, wykorzystała jego słabość oraz zagubienie.

Może uda się w Joli wywołać nie tylko współczucie, ale i poczucie winy? Nie było jej przy nim, gdy cierpiał. Siedziała całymi dniami w przychodni dla zwierząt, gdy on jej potrzebował, zrozpaczony, pograżony w bólu i smutku. To, że znalazł ukojenie u innej kobiety, było zatem też trochę i jej winą. To powinno zadziałać! Musi tylko dobrze rozegrać scenę powrotu.

Adą się nie przejmował. Nie nadawała się na długoterminową partnerkę, była zbyt chaotyczna i nieokiełznana. Wydawało mu się, że ją zupełnie omotał i miał w garści, ale tym numerem pokazała, że się mylił. Zbyt chimeryczna i złożona osobowość, by w pełni ją ogarnąć. Nigdy nie mógłby mieć pewności, że panuje nad wszystkimi nitkami tej marionetki. Oczywiście zostawi ją sobie na wszelki wypadek, bo w sumie zawsze mogła się przydać, choćby w takiej chwili jak ta, gdy musiał się wynieść z domu.

Spakował tylko najpotrzebniejsze rzeczy i terraria z żywymi okazami, a potem pojechał do kochanki. Przyjęła go drżąca, z opuchniętymi od płaczu oczami, ale i gotowa, by znów mu się oddać.

– Nie wiem, co się ze mną stało – oznajmiła, gdy już ją ucałował i zaniósł do łóżka. – Od śmierci twojej mamy nie mogłam się pozbierać. Czuję się taka winna. Wiedziałam, że zdarzały się przypadki śmiertelne po tych lekach. Profesor próbuje to ukryć, kręci, że to wypadek, że ci chorzy byli po prostu w tragicznym stanie i lek nie mógł im pomóc. Tylko jeśli tak, to czemu zasypuje podwykonawców z firmy toksykologicznej tonami próbek pobranych z ciał zmarłych? Wiem, że chodzi o forszę, że wpadł na sposób wymuszenia od Avera ogromnej kasy za milczenie o toksyczności leku i działaniach niepożądanych. Reckert korzysta z tego, że ci ludzie umierają, a ja o tym wiem, ale i tak namówiłam cię do wysłania tam matki...

– Przecież nie wszyscy umierają. – Patryk westchnął. – Na niektórych lek działa, profesor pokazał mi

ich wyniki. Znaczące poprawy i zmniejszenie się, a nawet zanik guzów. Tego chyba nie wymyślił? Zatem miałaś dobre intencje, nie możesz się winić. Wiedziałem, że udział w badaniu jest ryzykowny, ale mimo to podpisaliśmy zgodę. Nie udało się, organizm mamy zareagował niekorzystnie i nie przetrwał kuracji.

– Gdybym zastosowała tradycyjną kurację, jeszcze by żyła – stwierdziła nadal przybita Ada. – Wybacz mi zatem, że nie wytrzymałam i przyszłam na pogrzeb. Chciałam spojrzeć w oczy człowiekowi, którego kocham, a którego niechcący tak skrzywdziłam. I do czego doprowadziłam? Skrzywdziłam cię jeszcze bardziej!

Uciszył ją pocałunkiem, a potem pieścizotami, które szybko przerodziły się w gorące zmagania. Kochając się z nią, nie mógł jednak zapomnieć o tym, co powiedziała o profesorsze, który chyba chce zrobić fortunę na szantażowaniu korporacji. To było coś nowego i ciekawego. Postanowił przemyśleć to zagadnienie gruntownie. Jeśli Reckert wykorzystał go i jego matkę do jakichś szemranych eksperymentów, żeby mieć kolejny śmiertelny przypadek jako kartę przetargową, to będzie musiał za to zapłacić. Słono zapłacić. Patryk nie znośił być manipulowany lub używany niczym marionetka. To on miał panować nad swoim życiem i mieć władzę nad innymi.

* * *

Jola zadzwoniła do niego już po dwóch dniach, w dodatku późnym wieczorem. Zamierzał przetrzymać ją jeszcze z tydzień, by odczuła jego stratę dostatecznie dotkliwie, ale nie za długo, by nie przeszła nad nią do porządku dziennego i nie ułożyła sobie życia bez niego. Kiedy zobaczył jej numer, uśmiechnął się w myślach do siebie. Widocznie było jej go brak bardziej, niż mu się wydawało. Dzwoniła po nocy, pewnie załamana i zapłakana. To świetnie, świadczyło to, że opanował manipulowanie ludźmi na poziomie mistrzowskim!

– Twój ojciec zadzwonił do mnie – oświadczyła drżącym z nerwów głosem. – Mówił, że bardzo źle się czuje, że boli go serce. Chyba stracił przytomność w czasie rozmowy. Wezwałam pogotowie...

Nie pozostało mu nic innego, jak wskoczyć w swój leciwy samochód i popędzić do domu rodziców. Kiedy dotarł na miejsce, czekał na niego funkcjonariusz policji i Jola, która składała zeznanie. Pogotowie już odjechało, lekarz stwierdził wcześniej zgon ojca z przyczyn naturalnych, czekali teraz na firmę pogrzebową, która miała zabrać nieboszczyka.

– Serce mu nie wytrzymało – oświadczyła Jola. – Nie mógł żyć bez ukochanej żony... i bez syna, który okazał się zimnym, obojętnym draniem.

– To nie tak, ja... – Patryk doszedł do wniosku, że najlepiej będzie udawać wstrząśniętego i zdruzgotanego.

Zachwiał się, łapiąc za głowę, tak że Jola musiała go podtrzymać. Niestety, nie dostrzegł w jej spojrzeniu troski ani współczucia. Chyba coś się w niej zmieniło.

– Chcę rozwodu – oznajmiła. – Zabierz resztę rzeczy, i to jak najszybciej.

– Ale co z Maciejem?

– Będiesz mógł się z nim widywać, chyba że sąd postanowi co innego. I nie martw się, jakoś sobie poradzimy. Szczególnie że poznałam kogoś, kto jest normalnym, porządnym facetem.

Patryk zaklął bezgłośnie. Spaprał sprawę, nie docenił żony i przeliczył się lub nie doszacował jej stanów emocjonalnych. Okazało się jednak, że jego zdrada wywarła na niej większe wrażenie, niż Patryk mógłby przypuszczać. Chyba wszystko przepadło, będzie musiał zacząć życie od nowa, już bez posagu żony, w dodatku płacąc alimenty na syna. Przeczesując ręką włosy, odwrócił się od Joli, która pokręciła głową i odeszła, by po chwili odjechać z podjazdu i z jego życia. Patryk już ją spisał na straty i zastanawiał się nad swoim dalszym losem. Odziedziczył stary dom po rodzicach, drewnianą chatkę

z ogródkiem i kilkoma szopkami na niewielkiej działce. Do tego w odludnej okolicy, bez cywilizacyjnych udogodnień w postaci wodociągu albo choćby asfaltowej drogi. To obniżało wartość nieruchomości. Właściwie na razie nada się wyłącznie jako przechowalnia próbek i terrariów.

– Potrzebuję pieniędzy – szepnął.

Z pensji doktora w PAN-ie wiele nie zwojuje, szczególnie że sąd z pewnością położy łapę na sporej części dochodów, przekazując je na alimenty. Tych mógłby, co prawda, nie płacić, jak większość polskich alimentarzy, ale to mogłoby zrujnować jego opinię jako naukowca, który w przyszłości będzie starał się o profesurę i stołek szefa zakładu.

Chyba że odejdzie z instytutu i poszuka czegoś bardziej intratnego. Tylko co, jeśli będzie musiał zrezygnować z jedynej życiowej pasji – entomologii?

Było jeszcze jedno, bardzo ryzykowne wyjście. Mógł sprawdzić, czy dałoby się wycisnąć coś z profesora Reckerta lub nawet wejść z nim w spółkę. Na początek czekała go zatem długa rozmowa z Adą. Po odjeździe karawanu z ciałem ojca zamknął domek, nawet nie sprawdzając, co jest w środku, wrzucił klucze do kieszeni i czym prędzej pojechał do kochanki.

* * *

Dzień później Patryk złożył aplikację do Gen-Toksu. Właściwie pomysł podsunęła mu Ada, która, jak się okazało, miała dobrą znajomą w tej firmie. Wdarcie się na teren podwykonawcy w projekcie związanym z badaniami klinicznymi miało być kluczowe dla ich nowego planu. Wizji mającej odmienić ich życie, wizji, która im się objawiła w ciągu jednej nocy.

W trakcie rozmowy, którą odbyli po powrocie Patryka z domu rodziców, wydało się, że Adzie też chodziły po głowie pomysły związane z profesorem Reckertem. Zastanawiała się od jakiegoś czasu, czy nie nakłonić go do przyjęcia jej do spółki i wspólnego zaatakowania Avera. Bała się jednak, stwierdziła, że to nie w jej stylu, że tylko zrobi z siebie idiotkę lub nawet sprowokuje Reckerta do wywalenia z pracy wścibskiej lekarki.

Patryk na początku tylko przytakiwał. Kochali się, pili wino i snuli plany. Cała noc upłynęła im na miłosnych zmaganiach i marzeniach o nowym życiu, podróżach, pławieniu się w zbytku i oddawaniu pasjom. Patryk starał się rozbudzić w niej żądzę posiadania, wzbogacenia się lub chociaż spowodować, by zrozumiała jego motywy. Na koniec obwieścił, że zamierza odebrać Reckertowi pomysł i samemu zaatakować korporację. Potrzebował do tego współpracownicy, która wprowadzi go w środowisko, pomoże wszystko sensownie rozpracować i rozegrać partię tak, by zgarnąć całą pulę, a potem bezpiecznie zniknąć.

Ada wytrzeszczyła oczy i zadygotała ze strachu oraz emocji. Zająć się szantażem? Podjąć nieczystą, ryzykowną grę z wielkim biznesem, a do tego wystrychnąć na dudka mądrego i wyjątkowo cwane profesora? To nie mogło się udać.

– Myślałem, że mnie kochasz i mi ufasz – powiedział przybity Patryk. – Dopiero co straciłem wszystko, dom, rodzinę, zupełnie wszystko. Muszę się odbić od dna lub zginę. Muszę wiedzieć, że mam przy sobie kogoś bliskiego, kogoś, komu mogę zaufać, gotowego do poświęceń...

Przywarła do niego, wczepiła się rozpaczliwie i załkała, a potem otarła łzy wierzchem dłoni i już uspokojona odparła zdecydowanie, że się zgadza.

– Pójdę z tobą choćby do piekła – wyznała.

Potem opowiedziała wszystko, co wie o Reckercie i badaniach na zlecenie Avera, o firmie podwykonawczej i nieetycznych ruchach wszystkich zaangażowanych w projekt. Jasne było, że jeśli chcą położyć Avera na łopatki, muszą wejść w posiadanie całości kompromitujących wyników badań,

zarówno klinicznych, które miał Reckert, jak i toksykologicznych, które były w Gen-Toksie. Musieli zatem przeniknąć do tej firmy.

– A twoja przyjaciółka, która tam pracuje? – spytał Patryk.

Ada przecząco pokręciła głową.

– Blanka? Och, nie. Nie przystąpi z nami do spółki, nie da się też przekupić, jestem tego pewna. Znam ją od bardzo dawna, jeszcze z czasów ogólniaka. To uczciwa dziewczyna, która w dodatku nie potrzebuje angażować się w szemrane sprawy. Ma faceta na stanowisku, sporo kasy, w ogóle żyje się jej jak u pana Boga za piecem. Wolałabym zresztą jej nie włączać, za bardzo ją lubię, by pakować w kłopoty.

– Zatem to ja muszę się tam dostać – stwierdził.

Okazało się, że Ada nawet wie w jaki sposób. Z rozmów z Blanką wynikało, że Gen-Toks boryka się z koniecznością zlecenia ekspertyz sądowych zewnętrznym naukowcom i biegłym. Ciągłe potrzebuje nowych, najlepiej jak najtańszych, by obniżyć koszty własne, ale mogących się udokumentować odpowiednim stopniem naukowym i stanowiskiem. Patryk miał już na koncie kilka samodzielnych ekspertyz na zlecenie policji, więc nie czekał ani dnia, natychmiast zadzwonił do szefa działu naukowego Gen-Toksu i zaferował swoje usługi, od razu zaznaczając, że nie oczekuje wygórowanych stawek. Jeszcze tego samego dnia Ada zdobyła od przyjaciółki kontakt bezpośrednio do jednego z członków zarządu, wiceprezesa Malinowieckiego. Patryk beczelnie przedstawił mu się jako polecony przez szefa PAN-u, który ponoć też podpisywał ekspertyzy dla Gen-Toksu. Na reakcję długo nie musiał czekać, następnego dnia zadzwoniła sekretarka wiceprezesa z zaproszeniem na rozmowę.

Malinowiecki trochę go speszył bogactwem i władczością, które biły od niego. Drogi, nienagannie skrojony garnitur, złote spinki w mankietach, otaczający go chmurą zapach markowych kosmetyków, do tego starannie uczesane włosy i skóra, nad którą z pewnością opiekę sprawowała renomowana klinika kosmetyczna. Patryk poczuł się przy nim niczym oberwaniec, roztrzepany jajogłowy, niemający pojęcia o biznesie i wielkim świecie. I taką też przyjął rolę, a potem starannie ją odegrał – roztargnionego dziwaka pogrążonego w nieustannych studiach i badaniach, niedostosowanego do życia, niedbającego o karierę i bogactwo, za to mistrza w swoim fachu, bezgranicznie oddanego swojej dziedzinie nauki.

– Z przyjemnością dodam pana do listy naszych biegłych sądowych – oświadczył Malinowiecki już po kilku minutach sondowania nowego mózgowca. Z pewnością przyda się w stajni fachowców. – Proszę również przemyśleć opcję zatrudnienia się u nas na pełen etat. Przygotowujemy pewne zmiany organizacyjne w przedsiębiorstwie i zamierzamy stopniowo rezygnować z wynajmowania biegłych, za to kilku najlepszych lub najbardziej obiecujących zatrudnimy na stałe. Podoba mi się wizja działu entomotoksykologii, szczególnie że żaden państwowy instytut go nie ma. Mielibyśmy przewagę i nowy produkt w ofercie. Widziałbym pana w przyszłości na stanowisku lidera takiego działu.

Na koniec rozmowy do gabinetu wiceprezesa został wezwany kierownik toksykologii doktor Kamil Nachowiak. Oprowadził Patryka po firmie. Pokazał laboratoria i biura, zaprowadził nawet do magazynów w podziemiach, a na końcu korytarza wskazał drzwi, za którymi znajdowało się pomieszczenie nadające się do przystosowania na laboratorium. Patryk całą drogę rozglądał się bardzo czujnie, szukając ewentualnych sprzymierzeńców wśród pracowników. Dostrzegł zezowatą sekretarkę, która odprowadzała szefa powłóczytymi spojrzeniami, i od razu domyślił się, że między tą dwójką coś jest. Widział również przyjaciółkę Ady, całkiem ładną i energiczną dziewczynę, Blanka jednak nawet nie zwróciła na niego uwagi. Na koniec skupił się na pracownikach fizycznych, których spodziewał się najłatwiej otumanić i przekupić.

Magazynier Krzyś i pracownik do wszystkiego pan Czesio zostali przy nim opieprzeni przez Nachowiaka, bo gdy kierownik wszedł do magazynu odczynników pokazać gościowi tę niezwykle nowoczesną i uporządkowaną dumę zakładu, ci dwaj grali w najlepsze w karty, jedząc kanapki. Nie dość,

że się schowali w zamkniętym magazynie, to jeszcze beczelnie kpili z przepisów BHP, spożywając posiłek w niedozwolonym miejscu. Nachowiak rugał ich ostro, stojących na baczność z opuszczonymi głowami, a Patryk w tym czasie spacerował między regałami, podziwiając posegregowane i ponumerowane butelki i buteleczki z wzorcami toksyn i rozpuszczalnikami. Zatrzymał się na dłużej przy wielkocząsteczkowych substancjach pochodzenia naturalnego, bo dostrzegł tertiapin, wyizolowany do czystej postaci składnik jadu pszczelego. Korzystając z okazji, zwinął buteleczkę do kieszeni, a do tego parę sąsiednich, zawierających podobne wzorce. Zrobił to impulsywnie, chcąc użyć tych substancji do badań nad wzrostem larw. Instytutu nie stać było na tak drogie izolaty – kropla tertiapinu o ciężarze pięciu miligramów kosztowała około czterech tysięcy złotych, czyli tyle, ile wynosiła miesięczna pensja Patryka. W kieszeni miał oto całą buteleczkę, możliwe, że nawet pięć gramów, po prostu fortunę. Nie mógł przejść obok niej obojętnie, musiał ją zgarnąć, korzystając ze sposobności.

Po obejściu firmy odnotował w myślach konieczność sprawdzenia tych dwóch obiboków, Krzysztofa i Czesława. Szczególnie ten drugi sprawiał wrażenie ciemnego typu, Patryk rozpoznał w nim gracza podobnego do siebie. Grubas udawał strach przed szefem, a naprawdę gotował się z gniewu. Jego niezgułowatość i wieczny uśmiech idioty były tylko maską i pozą. Od razu wyczuwało się w tym gburze osobowość psychopatyczną.

Z Gen-Toksu Patryk wyszedł bogatszy nie tylko o butelkę cennej substancji, ale też o wiedzę o pracownikach, których będzie musiał ujarzmić. Podstawowym celem był kierownik Nachowiak, to on miał konieczne dane, pozostali mogli stać się narzędziami wygodnymi do ich zdobycia. Przyszłość zaczęła się rysować coraz bardziej obiecująco.

* * *

Ada podniosła alarm – profesor Reckert oświadczył jej, że zamierza ogłosić zamknięcie projektu z obawy o życie kolejnych pacjentów. Musieli zatem podjąć działanie.

– Jeśli nagle zaczął się bać o zdrowie pacjentów, to znak, że zebrał wszystkie haki i zamierza zaatakować korporację – powiedział Patryk, gładząc kochankę po plecach. Ada leżała, opierając głowę na jego kolanach. Odpoczywali na kanapie przed brzęczącym telewizorem, którego żadne z nich nie słuchało. – Pora wkroczyć do gry, zanim grubas zacznie pogrywać ze szcurami z korpo.

– Poznałam dwóch gogusiów odpowiedzialnych za projekt ze strony Avera, to wycacani monitorzy badań klinicznych, którzy odpowiadają za przebieg projektu zgodnie z wymogami i zasadami bezpieczeństwa – powiedziała, nie podnosząc głowy i patrząc w telewizor. – To oni spaprali sprawę, nie dostrzegając, że schodzą niepokojące wyniki, że lek zabija ludzi. Profesor wykorzystał ich nieprofesjonalizm, nabił licznik trupów do takiej liczby, której nie da się zlekceważyć. Teraz się nie wywiną, wpakowali Avera w gówno po same uszy.

– To pazerny wieprz – mruknął Patryk z mimowolnym podziwem dla profesora. – Świadomie wysyłał ludzi na tamten świat, byle wpakować w kłopoty korporację. Bezwzględny sukinsyn.

– Gra idzie o taką forszę, że sumienie przestało mu działać – mruknęła leniwie Ada, przeciągając się niczym kotka. – Przykro mi, że spotkało to też twoją matkę. Namawiając cię, nie byłam jeszcze świadoma, z czym mam do czynienia. A może byłam, ale nie chciałam tego przyjąć do wiadomości? To tak wielkie draństwo, że aż się w głowie nie mieści.

Patryk pokiwał tylko głową, a potem zaczął wypytywać o zwyczaje profesora. Notował w myślach wszystko, co mówiła o nim Ada. Grubas był nie tylko dziwakiem ubierającym się w jaskrawe stroje, ale do tego samotnikiem mieszkającym w willowej okolicy. Z pasją uprawiał ogród, bo ponoć kochał kwiaty. Z myślą o nich hodował też kilka rojów pszczół, którymi się czasem chwalił. Zdarzało się, że ulubionym

pracownikom wręczał w prezencie słoik miodu z własnej pasieki. Patryk, słysząc o tym, uśmiechnął się z zadowoleniem.

– Zaproś go na przyjęcie, małe garden party u swojego nowego faceta – powiedział. – Powiesz, że chcesz przedstawić mu narzeczonego, że masz zamiar wyjść za mąż. Twój szczęśliwy wybranek, czyli ja, odziedziczył ogród po rodzicach i potrzebuje fachowej porady na temat jego zagospodarowania. Aha, wiesz, gdzie grubas trzyma raporty z badań?

– W swoim różowym Macu – odparła bez wahania. – Często nosi go ze sobą jak największy skarb, nie sądzę jednak, by zabrał go na grilla. Trzeba przejąć sprzęt, hasło nie jest problemem. Zdradził mi je kiedyś, do wszystkich kont ma to samo. Łacińską nazwę storczyka, swojego ulubionego kwiatu, który kojarzy mu się z pierwszą miłością.

– Sprawa zatem jest prosta – przytaknął Patryk. – Całe szczęście, że to samotny facet, długo się nie wyda, że ktoś go załatwił.

Profesor zgodził się na odwiedziny w najbliższą sobotę, okazał nawet zainteresowanie i zadowolenie z zaproszenia. Stawił się punktualnie, ubrany w jedną ze swoich kolorowych koszul, zupełnie nieprzystających do jego wieku i pozycji społecznej. Od wejścia też zażyczył sobie, by zaprowadzono go do ogrodu. Patryk zatem poszedł z nim do dość zaniedbanego ogródka. Mama zaczęła chorować wczesną wiosną i nie miała siły, by zająć się swoimi ulubionymi grządkami i roślinami, ojciec tym bardziej się nimi nie interesował i całość, przez nikogo niepielegnowana, zarosła w najlepsze. Krzaki róż jednak i tak pięknie rozkwitły, kilka innych roślin także poradziło sobie z chwastami. Profesor jednocześnie się zachwycał i rozpaczał, spacerując z Patrykiem po nieskoszonym trawniku. Zwiedzanie przerwała im Ada, która wniosła tacę z zimnymi napojami.

– Twój ulubiony drink z ziołowym likierem, szefie – powiedziała, podając mu szklanę.

– Och, dziękuję! A poza pracą zwracaj się do mnie po imieniu, proszę. Panie Janku w zupełności wystarczy. – Z uśmiechem odwrócił się do podwładnej. – Au! A niech to! Coś mnie ukąsiło.

Patryk wbił mu w kark strzykawkę insulinówkę z bardzo cienką igłą, w chwili kiedy grubas skupił się na Adzie. W ułamku sekundy wstrzyknął całą jej zawartość, co tak niekomfortowo zakłuło Reckerta, i natychmiast schował narzędzie.

– To pewnie jakiś giez – rzuciła niedbale Ada.

– Oby nie pszczoła, bo mam na ich jad uczulenie – syknął profesor.

– Doprawdy? Co za szczęśliwy zbieg okoliczności – ucieszył się Patryk.

Reckert spojrział na niego z zaskoczeniem, a potem położył dłoń na błyskawicznie puchącym karku. Chciał coś powiedzieć, ale tylko spazmatycznie wciągnął powietrze. Dawka trucizny była niebezpieczna nawet dla zdrowego człowieka, uczulonego powinien natychmiast ściąć szok anafilaktyczny. I tak też się stało. Profesor wytrzeszczył oczy, złapał się za gardło i zachwiał. Ruszył przed siebie, jakby próbował uciekać. Ada zasłoniła usta dłońmi, z trudem zapanowując nad histerią i potrzebą niesienia pomocy potrzebującemu. Drgnęła, jakby chciała wesprzeć profesora, Patryk powstrzymał ją znaczącym gestem. Grubas zrobił tylko kilka kroków, po czym osunął się na ziemię. Leżał, wijąc się z bólu i rozpaczliwie walcząc o oddech.

– Nie mogę! Zrób coś, niech to się już skończy! – wrzasnęła lekarka.

Patryk przycisnął ją do piersi i obrócił tak, by nie widziała ofiary. Zaczął szeptać jej na ucho uspokajająco, a gdy w końcu ją puścił, Reckert już się nie ruszał. Entomolog przeszukał szybko kieszenie nieboszczyka, znajdując w nich klucze od mieszkania i telefon. Ten natychmiast wyłączył, a klucze schował do kieszeni. Pociągnął Adę za rękę.

– Nie gap się tak, trup jak trup. Zostawimy go tu na razie, lepiej, by ciała nikt nie znalazł, przynajmniej do czasu, aż Aver zacznie traktować nas poważnie. Teraz jedziemy do jego domu zabrać laptop

i wszystkie raporty oraz dokumenty, które ma u siebie.

Ada nie mogła jednak oderwać spojrzenia od zabitego, gapiła się na niego oniemiała, pozwalając jednak Patrykowi odprowadzić się z tego okropnego miejsca. Wyraźnie dręczyła ją świadomość tego, co się stało. Wzięła udział w morderstwie, teraz nie miała już odwrotu. Klamka zapadła.

Rozdział 18

Nie – oświadczyła krótko Blanka, trochę sama się zaskakując zdecydowaniem. – Pieprzcie się.

– Może później – odparł Patryk z uśmiechem.

Choć jego usta ułożyły się w przyjazny grymas, oczy pozostały lodowate. Blanka miała wrażenie, że w taki sam sposób patrzył na swoje cholerne owady, gdy je usypiał rozpuszczalnikiem. Zdała sobie sprawę, że kiedy zdecyduje się ją zlikwidować, też zachowa się z równie profesjonalną obojętnością. Odruchowo szarpnęła rękoma, ale znów tylko kajdanki wpiły się jej w nadgarstki.

– Mała, daj spokój – powiedziała Ada, siadając na łóżku i pochylając się ku niej. – Posłuchaj, bardzo nam potrzeba tych danych, i to jak najszybciej. Nie upieraj się, oszczędzisz wszystkim niepotrzebnych nerwów. Jeśli ich nie zdobędziemy, wszystkie te nieszczęśliwe zejścia, które miały miejsce, okażą się kompletnie pozbawione sensu. Tyle ludzkich żywotów pójdzie na marne. Tego żadne z nas z pewnością nie chce. Musimy skupić się na uwieńczeniu całej sprawy sukcesem. Nie po to Patryk brudził sobie ręce, by teraz skapitulować. Rozumiesz, że nie będę mogła go powstrzymać, oboje musimy zrobić, co w naszej mocy, by zdobyć te raporty.

Patryk wzruszył ramionami i odwrócił się do okna. Ada, widząc to kątem oka, zrobiła do Blanki znajomą minę. Wytrzeszczyła oczy i wykrzywiła usta w grymasie przerażenia i bezradności. Robiły do siebie takie miny w czasach liceum, gdy pisały klasówki i któraś potrzebowała pomocy lub podpowiedzi. Blanka uniosła pytająco brwi. Ada wskazała głową na Patryka i przewróciła oczami.

– Podaj mi hasło i miejmy to już za sobą, co? – kontynuowała zwykłym tonem. – Jeśli tego nie zrobisz, pewnie mój chłopak wymyśli coś paskudnego. Naprawdę cholernie mu zależy, by dokończyć tę robotę, jak należy.

– Ale kiedy to zrobię, ten psychol mnie zabije! – wypaliła Blanka.

– Obiecuję, że tego nie robi – przysięgła Ada. – Zostaniesz tu do czasu, kiedy zgarniemy zapłatę. Potem pojedziemy na lotnisko, a przed zapakowaniem się do samolotu zadzwonię do tego gliniarza, o którym mi wspominałaś, i powiem mu, gdzie cię znajdzie. Proste i łatwe?

Patryk znów na nie patrzył, więc nie mogły kontynuować porozumiewania się minami. Blanka udawała, że się zastanawia. Ada sygnalizowała, że gra po jej stronie. Może miała dość tego dewianta? Może doszła do wniosku, że zabrnęli za daleko, albo po prostu do wszystkiego ją zmuszał? Teraz nie mogła mu się przeciwstawić, była zbyt zastraszona i bała się, że i ją zabije, ale mimo to próbowała uchronić przyjaciółkę. Dać im te hasła do konta czy nie?

– Nie – wypaliła w końcu do Ady. – Nic nie powiem, a twoje durne miny niczego nie zmienią. Myślisz, że dałabym się na nie nabrać? Ktoś, kto dopuścił do zarżnięcia kochanka we własnym łóżku, towarzyszył psychopacie i pewnie jeszcze popychał go do zbrodni, nagle troszczy się o przyjaciółkę z dzieciństwa? Akurat! Chcesz mnie sprowokować, bym się wygadała, a potem zostawisz na pastwę tego świra.

Ada wydeła usta, najwidoczniej obrażona, i prychnęła coś ze złością. Patryk położył jej dłoń na ramieniu w uspokajającym geście. Pocałował ją w czoło i wyszedł. Kobiety zostały w pokoju same, po

chwili kroki wielkoluda na schodach ucichły i mogły swobodnie rozmawiać.

– Rozkuj mnie, na co teraz czekasz? – spytała Blanka, szarpiąc się na łóżku.

– Nie mogę, głupia, nie mam kluczyków – odparła Ada. – Nie stawiaj oporu, bo ten drań jest zdolny do wszystkiego. Naprawdę nie zamierza cię zlikwidować, nie zabija, jeśli nie jest to konieczne. Podaj mi to cholerne hasło, a odciągnę go, odwrócę od ciebie uwagę. W momencie, w którym przestaniesz być ważna, przestanie się tobą kłopotać. Musisz zrozumieć, że lepiej go nie prowokować i nie drażnić, to kompletny czub.

Blanka milczała, wpatrując się w przyjaciółkę. Cała postawa Ady wyrażała oczekiwanie, jej oczy błyszczały, a twarz pokrywały kropelki potu. Lekarka była strasznie zdenerwowana lub może podniecona, a także pewnie i zniecierpliwiona. Blanka odmownie pokręciła głową.

– Nie jesteś Adą, którą znałam – powiedziała. – Nie ufam ci.

Lekarka wzniosła oczy ku sufitowi i uniosła ręce w geście rozpacz. Spojrzała gniewnie na przyjaciółkę.

– Nic nie rozumiesz, do cholery. Muszę zdobyć te dane, nawet jeśli miałabym pozwolić temu psychopacie, by cię torturował. Gadaj zatem, masz ostatnią okazję!

Blanka szarpnęła się na łóżku i splunęła z wściekłością na przyjaciółkę. Trafiła ją prosto w twarz. Ada warknęła z gniewem i otarła się jednorazową chusteczką wyciągniętą z kieszeni. W tym momencie na schodach znów rozległy się kroki. Po chwili Patryk wszedł do pokoju, ściskając w ręku znajomą siatkę entomologiczną na długim drzewcu. Potrząsnął nią przed twarzą Blanki.

– Niektórych rezydentów urzędujących w ogrodzie mojej mamy z pewnością już poznałeś, ale tym razem zgarnąłem głównie te należące do rodziny *Vespidae*. Założyły gniazdo pod stropem w szopie, zaraz się przekonasz, jak bardzo potrafią być dokuczliwe.

Założył nitrylową rękawiczkę i zaczął grzebać w siatce, uśmiechając się do swoich myśli. Blanka poczuła pełzający z podbrzusza strach i pot perlący się na czole. Ada cofnęła się na koniec pomieszczenia i ze złożonymi na piersiach rękami oparła się o ścianę.

– Muchy? Masz tam muchy? Te żelazne gzy? – zapytała w panice Blanka.

– Mówię przecież, że najpospolitszą rodzinę błonkówek, osy – odparł, unosząc w palcach złapanego owada. Podsunął go Blance pod nos. – Spójrz, nieco góruje nad swoimi muszymi kuzynkami, jadającymi głównie padlinę. To drapieznik. Ma miedziane futerko, a odwłok jednocześnie złoty i żelazny, przynajmniej według twojej, muszę przyznać, uroczej nomenklatury.

Jednym ruchem podwinął koszulkę Blanki i przycisnął do jej odsłoniętego brzucha ruszającego się owada. Poczuła ukłucie tak dotkliwe, że wrzasnęła i zwinęła się do pozycji embrionalnej, podkurczając nogi. Czuła, jak skóra pulsuje gorącem w miejscu użądlenia. Patryk odrzucił niepotrzebny owad i sięgnął po następnego.

– Jad os ma gorzki smak. To od aminokwasów, ale jego najbardziej nas interesującym składnikiem jest oczywiście histamina oraz hydroksytryptamina. Jesteś toksykologiem, nie muszę ci więc tłumaczyć, jak niesympatyczne to substancje i do czego doprowadzą, gdy ich stężenie w twojej krwi będzie rosło. Ból użądlenia to tylko początek. Potem pojawi się ślinotok, obfite poty i tachykardia, a do tego nerwowe pobudzenie. Dostaniesz gorączki, a ból stanie się nieznośny. Finalnie nastąpi porażenie mięśnia sercowego, ale zanim do tego dojdzie, może będę musiał użyć kilkudziesięciu owadów, nawet ponad setkę. Nie przejmuj się jednak, w gnieździe jest ich tyle, że z pewnością wystarczy.

Blanka załkała ze strachu, gdy podszedł do niej z kolejną osą. Pochylił się, zamierzając przyłożyć owada do jej pleców, a wtedy wyprostowała gwałtownie obie nogi. Rozciągnęła się przy tym na całą długość, wkładając w cios wysiłek wszystkich mięśni, całego ciała. Obiema piętami trafia go w sam środek torsu, w tak zwany splot słoneczny. Patryk poleciał w tył niczym bezwładny worek ziemiaków,

grzmotną plecami o ścianę, aż zadudniło, i padł na podłogę.

Ada przykucnęła i z sapnięciem odwróciła go na plecy. Wetknęła mu rękę do kieszeni i wyciągnęła kluczyk od kajdanek.

– Nie wiedział, biedaczek, że trenowałeś sztuki walki. – Uśmiechnęła się do przyjaciółki. – Szok układu sympatycznego z porażeniem mięśni przepony. Szybko się nie pozbiera, może nawet przez dziesięć minut.

Podrzuciła kluczyk i zmrużyła oczy, patrząc na leżącą i dyszącą z wysiłku Blankę.

– Mamy zatem mało czasu. Podaj mi w końcu to cholerne hasło!

Rozdział 19

Ada wsiadła do samochodu i przejrzała się w lusterku wstecznym. Poprawiła fryzurę i dopiero wtedy uruchomiła silnik. Może i powinna się pospieszyć, bo czekały ją dzisiaj jeszcze dwa zadania, ale nie mogła zaniechać dbałości o siebie. Wróciła właśnie z Patrykiem z domu zamordowanego profesora Reckerta. Spocona i zmęczona całym tym cholernym zabijaniem, najchętniej weszłaby pod prysznic, ale niestety musiała prowadzić sprawę dalej. Dopilnowała, by pojechali na miejsce gruchotem jej kochanka, tak na wszelki wypadek. Lepiej, by przypadkowy świadek widział samochód Patryka niż jej. Przeszukali mieszkanie, zabrali laptop i wszystkie nośniki cyfrowe, poza tym starali się niczego nie dotykać. Teraz Patryk przeglądał zdobyczne dane i kombinował, jak dobrać się do Avera. Jej zadaniem była próba skaptowania agenta pracującego w Gen-Toksie. Miała go od dawna upatrzonego i już od jakiegoś czasu urabiała.

O tym Patryk nie wiedział, nawet nie zdawał sobie sprawy, od jak dawna planowała to, co właśnie się zaczęło. Na pomysł wpadła, kiedy w szpitalu doszło do pierwszych zgonów spowodowanych przez eksperymentalne leki. Profesor Reckert wpadł w panikę i stwierdził, że wybuchnie skandal, jeśli to się wyda, i trzeba sprawę czym prędzej zatuszować. Położyła mu wtedy rękę na ramieniu i spojrzała głęboko w oczy.

– Nie jesteśmy niczemu winni – powiedziała. – Poza tym te zgony nie muszą pójść na marne.

– Co masz na myśli? – spytał grubas.

– Na myśli? Od jakiegoś czasu moje myśli zaprzatają wyłącznie przyziemne sprawy. To, ile muszę odłożyć, by w końcu wyremontować mieszkanie. I wychodzi mi, że nie wyjadę na wakacje przez pięć najbliższych lat, bo muszę wymienić podłogę, grzejniki i instalację elektryczną, zrobić kuchnię i łazienkę w dwupokojowym mieszkanku, którego nawet nie kupiłam, tylko odziedziczyłam, a które znajduje się w obdrapanej zapleśniałej kamienicy stojącej w środku najgorszej warszawskiej dzielnicy. Nie wiem tylko, po co to robię, bo tylko patrzeć, jak miejscowe menele, widząc, że stać mnie na remont, włamią się i wyniosą wszystko, co cenne. Poza tym pewnie sąsiad z góry znów się upije i zaleje mnie wodą.

– Jaki to ma związek z tymi nieszczęśnikami, których niechcący otruliśmy? – spytał Reckert.

– Jestem biedna i nie mam żadnych perspektyw. Skończyłam akademię medyczną z wyróżnieniem, pracuję w dobrej klinice, a i tak ciułam grosik do grosika. To walenie głową w mur. Może dorobię się za czterdzieści lat, gdy będę starą, zmęczoną i samotną panią profesor – kontynuowała wywód Ada. – Nie chcę zmarnować życia, a zanoszą się na to, że wpadłam w spiralę, która prowadzi donikąd. Szefie, jest szansa, byśmy zarobili miliony. I ci zmarli nieszczęśnicy nam w tym pomogą. Jest tylko pytanie, czy jest pan równie zdesperowany jak ja i gotowy, by parać się rzeczami niegodnymi.

Grubas uśmiechnął się, składając ręce na brzuchu.

– Wszystko zależy od tego, jak wiele milionów jest do zdobycia i jak bardzo niegodne czyny nas czekają – odparł. – Czym więcej milionów, tym niegodność czynów staje się mniej znacząca. Mów, moja droga, co wymyśliłaś.

Prosty i bezczelny szantaż. Wystarczyło tylko uspić czujność Avera, zwodząc ich monitorów badań klinicznych, i zebrać możliwie dużo kompromitujących korporację danych, a potem rzucić im je na stół. Ujrzą światło dzienne, chyba że oni sięgną do kieszeni. A kieszenie firma farmaceutyczna z pewnością miała głębokie i pełne forsy.

Okazało się, że Reckert spłaca jakiś stary kredyt, poza tym ma inne finansowe potrzeby. Cierpi na słabość do młodych pięknych chłopców, na których lubi wydawać fortunę. Wpakował się przez to w głupie długi, których z chęcią by się pozbył. Nie zastanawiał się zatem długo, z radością uścisnął rękę Ady i szybko wymyślił plan działania. On miał się zająć doborem kolejnych pacjentów i ich „leczeniem” oraz zbieraniem danych, ona uwiedzeniem i odwróceniem uwagi monitorów z Avera.

Ada zwawo wzięła się do pracy i zaatakowała dwóch wybranków naraz, Adama Moczydłę, który był liderem projektu, i Piotra Pachczyńskiego, jego współpracownika. Nie stanowiło to dla niej problemu, bo facetów lubiła zmieniać często i od lat była mistrzynią w uwodzeniu. Znała męską psychikę od podszewki i zawsze zdobywała faceta, który wpadł jej w oko, niezależnie od tego, kim ów jegomość był. W ciągu kilku tygodni owinęła sobie obu wokół paluszka. Profesor również wywiązywał się ze swojego zadania i dyskretnie podtruwał i tak już nierokujących pacjentów.

Sprawy szły jak po maśle, sprawnie i bez kłopotów, aż do dnia, w którym odkryła, że Reckert chce ją wystawić do wiatru. Przyłapała go na kłamstwach, udawał, że eksperymenty jeszcze są w toku i planuje wiele kolejnych, gdy tymczasem kończył już robić raporty i na własną rękę próbował umawiać się z przedstawicielami Avera. Zrozumiała, że pyszałkowaty profesorek ma ją za śliczną idiotkę i wydaje mu się, że może zgarnąć całą kasę, a ją kopnąć w tyłek.

Patryka upatrzyła w szpitalu, od razu się jej spodobał, bo wyczuła w nim coś szczególnego. Kiedy próbowała go uwieść, kręcąc kuperkiem, tylko się jej przyglądał swoimi zimnymi, pozbawionymi emocji oczami. Znała to z przeszłości. Jej ojciec był taki sam, bezwzględny i pozbawiony uczuć, zdolny do wszystkiego egoista. W czasie studiów odkryła odpowiedzialną za jego zachowanie jednostkę chorobową, specyficzne zaburzenie umysłowe nadające mu tak zwaną osobowość dyssocjalną. Jej ojciec był psychopatą niemogącym odczuwać uczuć wyższych i to samo od razu zdiagnozowała u Patryka. Nie reagował jak prawdziwy mężczyzna, choć oczywiście odczuwał do niej pociąg seksualny. Wiedziała, że będzie doskonałym narzędziem zdolnym do wszystkiego, musiała tylko go opanować.

Zagrała rozhisteryzowaną idiotkę i uwiodła w najbardziej specyficzny sposób w swojej długiej karierze zawodowej kochanki. Wystawiła jego matkę profesorowi, a potem podsunęła Patrykowi sposób na zrobienie skoku na Avera, utwierdzając w przekonaniu, że to jego pomysł i to on nad wszystkim panuje. Udawała marionetkę, precyzyjnie manipulując mistrzem, który myślał, że to on pociąga za sznurki. Nie miała żadnych skrupułów, by przejąć pełną kontrolę. W czasie pogrzebu matki Patryka bezczelnie ujawniła się przed jego żoną, obracając mu małżeństwo w ruinę. W ten sposób jeszcze bardziej go ze sobą związała.

Dziś zabił dla niej tego nadętego pajaca Reckerta i nawet nie mrugnął. Właśnie o to chodziło, do tego miał jej służyć. Był cynglem, gościem od brudnej roboty, a do tego całkiem inteligentnym, który panuje nad tym, co robi. Teraz potrzebowała kolejnego podwykonawcy, który pomoże przejąć raporty znajdujące się w łapach toksykologów.

Prosto z domu Patryka pojechała na Bemowo i weszła do obskurnej nory w pawilonach handlowych, w której działał orientalny bar. Śmierdziało tu zjełczalym tłuszczem i spalonym mięsem kręcącym się na pionowo zamontowanym obrotowym ruszcie. Chłopak o śniadej cerze długim nożem skrawał mięso, nieudolnie udające baraninę, a jego szef nakładał je do buły, dopychał sałatką z kapusty i polewał czosnkowym sosem, by opchnąć to paskudztwo jako kebab. Przy chybotliwych plastikowych stolikach siedzieli robotnicy z pobliskiej budowy, zachowujący się niczym horda troglodytów i posługujący się

ledwie zrozumiałym bełkotliwym narzeczem. Na widok Ady zareagowali pochlebnymi komentarzami, ale zupełnie ich zignorowała i dosiadła się do siedzącego w kącie grubasa, popijającego piwo z plastikowego kubka.

– Witaj, królowo. – Czesław Jakubiak uśmiechnął się promiennie.

Nie wypomniał jej ponad półgodzinnego spóźnienia, za to gapił się, oblizując obleśnie. Nie zamierzała się z nim zbytnio spoufalać ani choćby dopuszczać go zbyt blisko, był jednak jej potrzebny i pewne rzeczy musiała znieść. Dowiedziała się o jego istnieniu od Blanki. Przyjaciółka wspomniała, że jej facet, Kamil, został zmuszony przez prezesa do zatrudnienia byłego więźnia w ramach jakiegoś programu resocjalizacyjnego. Nikt w Gen-Toksie nie był zachwycony, ale ponoć okazał się łagodnym miśkiem nadającym się do pomocniczych prac fizycznych. Ada sprawdziła go na tyle, na ile się dało, i odkryła, że siedział za znęcanie się nad żoną i zamieszany był w jakieś niewyjaśnione zabójstwa. Znaczyło to, że choć udaje łagodnego grubasa, jest brutalem skłonny do przemocy. Ktoś taki też jej był potrzebny.

– Udało ci się coś podwędzić? – spytała bez wstępów.

– To nie takie proste. – Pokręcił głową. – Pilnują się. Nachowiak nie zostawia otwartego gabinetu z komputerem na wierzchu. Zawsze zamyka drzwi, poza tym ciągle się przy nim kręci jego lala, Blanka, lub ta druga, zezowata koza. Zostałem kilka razy po godzinach i spróbowałem się tam dostać, gdy wszyscy wyszli z roboty, ale wtedy drzwi zamykane są na zamki magnetyczne, które da się otworzyć tylko kartą z uprawnieniami. Mam wejście do pomieszczeń technicznych, ale nie do wszystkich labów i biur.

– Nie zapłacę, dopóki nie dostanę towaru. Chcę mieć komputer Nachowiaka lub chociaż dysk z raportami dla Avera.

– Ja się nie wyznaję na komputerach i dyskach. Mogę zajebać laptop, ale nie sprawdzę, co na nim jest. – Pan Czesio rozłożył ręce. – Zrobię wjazd na chatę Nachowiaka, jeśli tak bardzo ci zależy, ale w zamian za dodatkową nagrodę.

– Ile chcesz? – spytała krótko.

– Dwadzieścia tysięcy i twoją cipkę – odparł z uśmiechem.

– Jeśli chodzi o forszę, to zgoda, ale to drugie wybij sobie z głowy – wycedziła, z trudem hamując się przed wykrzywieniem ust w grymasie obrzydzenia.

– Dobra, dobra – odparł, ciągle się obleśnie uśmiechając. – Musiałem choć spróbować.

Zażyczył sobie jeszcze zaliczki, by kupić kłamkę. Ada przesunęła po stoliku kopertę, w której było pięć tysięcy złotych. Chwycił ją pazernie, przy okazji wielkim łapskiem dotykając jej dłoni. Cofnęła rękę, nie mogąc powstrzymać drżenia z odrazy. To tylko go podnieciło, bo aż mlasnął z zadowoleniem.

– Zaraz, kłamka to inaczej pistolet, prawda? – ocknęła się poniewczasie.

– Środek zapobiegawczy – przytaknął. – Poza tym może dojść do sytuacji, w której będę musiał postraszyć Nachowiaka, by oddał komputer. Broń zawsze się może przydać.

– Jeśli będziesz musiał się ujawnić, nie możesz zostawić świadków – powiedziała po chwili wahania.

– Mam tylko prośbę, by nic nie stało się Blance. Postaraj się jej nie skrzywdzić.

– Dobra. O ile sama się nie będzie prosiła o guza, to nic się jej nie stanie – mruknął. – Pozostaje sprawa włamania do mieszkania Nachowiaka. Nie znam się na cichych włamach, ale w więzieniu poznałem chłopców, którzy mogą zrobić to naprawdę dyskretnie.

– W porządku. Jeśli nie uda ci się dostać do gabinetu Nachowiaka, okradniemy jego mieszkanie. Daj mi namiary na tych fachowców, wyślę do nich swojego faceta. Jeśli nie uda się znaleźć nic w mieszkaniu, trzeba będzie bezpośrednio napaść Kamila i zmusić go do oddania raportów.

– Wszystko jasne – przytaknął grubas. – Może napijesz się ze mną piwa?

– Nie mam czasu – odparła, wstając. Chciała jak najszybciej wyjść z tej budy, zanim zupełnie przesiąknie smrodem tłuszczu. – Mam dziś jeszcze ważne spotkanie.

Wskoczyła do samochodu i pojechała prosto na Starówkę. Nadszedł już wieczór, ale na uliczkach Starego Miasta i tak było tłoczno. Przecisnęła się przez gromady ludzi na Świętojerskiej i pomaszerowała do pobliskiej włoskiej knajpy, gdzie czekał na nią Adam Moczydło. Przystojniak z Avera wyglądał niczym Adonis w porównaniu z panem Czesiem, ta część zadania była zatem dla niej przyjemnością. Przebywanie w czystej i lśniącej restauracji też było czymś znacznie sympatyczniejszym niż rozmowa z prymitywem w jakiejś obskurnej norze.

Uwodzenie Adama było więc relaksem, tym, co autentycznie lubiła i w czym była świetna. Zjedli smaczną kolację, popijając włoskim winem, a potem pojechali do niego. Adam był rozwodnikiem i mieszkał w wynajętej kawalerce. Nie było tu specjalnie luksusowo, ale i tak przyjemniej niż u niej na Szmulowiźnie. Kochali się namiętnie i długo, aż w końcu zasnęła, wyczerpana, ale zadowolona i z poczuciem spełnionego obowiązku.

Nad wszystkim panowała, a faceci robili, co im kazała.

* * *

Spodobał się jej prochowiec, który miał na sobie Adam. Lekarz z korpo wyglądał w nim nie dość, że elegancko, to jeszcze oryginalnie i atrakcyjnie. Dwa dni później przypadkiem dostrzegła podobny płaszcz na sklepowej wystawie i kupiła go dla Patryka. Musiała nieco zmodyfikować swojego kochanka, zrobić z niego kogoś wyglądającego poważnie, by w momencie gdy zacznie rozmowy z Awerem, nie wzięto go za oberwańca i wariata. Dotychczas nosił się jak roztrzepany naukowiec z instytutu. Najchętniej chodził w sztruksach lub wytartych dżinsach, a do tego T-shirtach z głupimi nadrukami, niczym studencik, a nie poważny człowiek. Niestety, nie okazał entuzjazmu i nie palił się, by zmienić styl na bardziej nowoczesny i elegancki. Prochowiec założył jeden raz, gdy wybrał się na melinę, na której rezydowali włamywacze poznani dzięki pośrednictwu Czesia. Na nich faktycznie zrobił wrażenie i z chęcią podjęli się roboty, szczególnie że w zamian za obrobienie mieszkania z komputerów obiecał im kupę forsy.

W ciągu kolejnych kilku dni na zmianę spotykała się z Patrykiem, Adamem i Piotrem. Z tym ostatnim nie łączyły jej żadne intymne relacje, przynajmniej nie zdążyło do nich dojść, gdy zorientował się, że jest kochanką jego kolegi z pracy, i zapytał wprost, o co jej chodzi. Do rozmowy doszło w czasie wspólnego spaceru nad Wisłą. Szli deptakiem, patrząc na słońce migoczące tysiącami refleksów w nurtach rzeki. Mijali ich liczni rowerzyści i rolkarze, przyjemnie chłodny wiaterek zaciągał znad wody.

– Chciałam cię ostrzec – powiedziała z niepewną miną. – Wiem, że niedługo z Adamem będziecie mieli kłopoty. Wyobraź sobie, że profesor Reckert naszykował dla was paskudną niespodziankę...

Opowiedziała mu o pacjentach zmarłych po podaniu eksperymentalnych leków i o tym, jak Reckert sprytnie zataił sprawę, by zebrać dostatecznie dużo materiałów mogących zdyskredytować Avera. Teraz szykował się do szantażu, w związku z tym znikł w obawie, by korporacja nie wysłała do niego ludzi od brudnej roboty albo wynajętych detektywów. W imieniu profesora będzie paktował anonimowy osobnik, podstawiona, nic nieznająca płotka. Ada, która zakochała się w Adamie, postanowiła ratować partnera.

– Ale dlaczego próbujesz mnie uwieść? – dociekał Piotr.

– Chciałam was skłócić, nastawić przeciw sobie – odparła z opuszczoną głową. – Liczyłam, że w ten sposób uda się skłonić Adama, by zwałił całą winę za niedopilnowanie projektu na ciebie. Gdyby miał cię za rywala, który doprowadza mu kochankę, zrobiłby to bez skrupułów. Pograżyłby cię i sam ocalił skórę, znaczy stołek menedżera w korporacji. Teraz jednak zrozumiałam, że to zbyt wielkie świństwo. Nie potrafię tego zrobić, nie jestem aż taką suką.

– I całe szczęście – odetchnął mocno zmieszany Piotr. – Dobrze, że się w porę opamiętałaś. Tym wyznaniem dałaś nam trochę czasu, by coś wymyślić, zanim zostaniemy postawieni przez profesora pod

ścianą. Muszę jak najszybciej porozmawiać z Adamem. Może jeszcze da się jakoś dobrać do Reckerta?

– Nie sądzę. Znikł jak kamfora, chyba gdzieś wyjechał. Nikomu przy tym nic nie powiedział, władze szpitala też zaczęły go szukać, nawet zastanawiają się, czy oficjalnie nie zgłosić zaginięcia – odparła. – Jestem przekonana, że was pogrąży. Musicie wcześniej powiadomić o sytuacji przełożonych, niech wynegocjują w centrali Avera zgodę na wypłatę pieniędzy szantażyście.

– Ulec mu? Tak po prostu? – mruknął nieprzekonany Piotr.

– Nie macie wyjścia. Profesor to bardzo inteligentny drań, doskonale wszystko przygotował i postawił na jedną kartę. Jeśli spróbujecie z nim pogrywać, z pewnością nie zawaha się zatopić całego Avera. Jeśli sprawa wycieknie do mediów...

– Będziemy skończeni – przyznał pobladły Piotr.

Ada przytaknęła mu, z trudem hamując uśmiech. Właśnie o to jej chodziło, zasiała strach w sercu ofiary i zwała winę na nieżyjącego już Reckerta. Dopóki ciało się nie odnajdzie, Aver będzie przekonany, że za wszystkim stoi profesor. Następnego dnia spotkała się z Adamem, który dowiedział się wszystkiego od Piotra i sam właśnie przeżywał wstrząs. Ukojenie znalazł w jej ramionach, Ada postarała się, by się rozluźnił i uspokoił. Dzięki biegłości w sztuce miłosnej potrafiła wiele zdziałać, kochanek nie dość, że pogodził się z sytuacją, to jeszcze podziękował jej za zaangażowanie i poprosił, by w piątek, czyli następnego dnia, poleciała z nim do Londynu, gdzie znajdowała się centrala Avera. Został tam wezwany w trybie pilnym, by wytłumaczyć się z tego, co zaszło, bo sprawa już dotarła do najwyższych szczebli. Ada heroicznie zgodziła się wystąpić z nim jako świadek, pośrednio zaangażowany w aferę. Była przecież współpracowniczką głównego zbrodniarza.

Wybrała się zatem na wycieczkę do serca wrogiej twierdzy, by osobiście namieszać w głowach włodarzom kierującym korporacją. Zatrzymali się w przyzwoitym hotelu Radisson, na który z trudem mogłaby sobie pozwolić. Na spotkanie poszli do szklanego biurowca stojącego w sercu City. Ada miała straszliwą treść, wchodząc do sali posiedzeń, gdzie za półokrągłym stołem siedziało kilka osób wyglądających na urodzonych arystokratów. Przynajmniej roztaczali wokół siebie niemal fizycznie wyczuwalną aurę bogactwa i władzy. Ada poczuła się straszliwie malutka i nic nieznająca. Natychmiast zapragnęła, by kiedyś stać się kimś takim jak jedno z nich, niemal półbogiem, którego nie imają się doczesne kłopoty, nieznającym biedy, nie liczącym się z wydatkami, za to przekonanym o własnej wartości i potędze.

Odegrała przed nimi nieco rozdygotaną ofiarę knowań profesora Reckerta, którego przedstawiła jako bezwzględne, szalonego naukowca. Starła się pomniejszyć rolę Adama i Piotra, wmówić szefostwu, że ci dwaj nie mieli szans, by przejrzeć knowania Reckerta, zostali wykorzystani tak samo jak ona. Ośloniła obu w ten sposób, przy okazji zdobywając dozwoloną wdzięczność Adama, który zaczął jej absolutnie ufać. Resztę weekendu spędzili na zwiedzaniu Londynu, niczym para zwykłych turystów.

W czasie ich nieobecności w Warszawie wiele się nie wydarzyło, prócz tego, że Patryk miał lada dzień rozpocząć pracę w Gen-Toksie, a w życiu Blanki doszło do niespodziewanej zmiany. Przyjaciółka została porzucona przez Kamila, który odszedł do swojej młodej i atrakcyjniejszej sekretarki. Ada autentycznie się zezłościła, i to do tego stopnia, że zadzwoniła do Jakubiaka i kazała mu czym prędzej załatwić sprawę z Nachowiakiem, nawet jeśli by musiał być brutalny i użyć klamki. Czesio mamlał do słuchawki, że owszem, ale potem oczekuje choćby spotkania. Zrobiło się jej słabo z obrzydzenia, bo wydało się jej, że czuje jego ohydny oddech mimo tego, że rozmawiali przez telefon i dzieliło ich kilkanaście kilometrów.

To nie był koniec niespodzianek. Okazało się, że Patryk, który ubzdurał sobie, że to on jest mózgiem całej operacji, nie pytając jej o zdanie, przewiózł ciało profesora do jego własnego ogrodu, gdzie już następnego dnia rano zostało znalezione przez policję.

– Teraz Aver dowie się, że to nie Reckert ich szantażuje! – warknęła na Patryka, gdy tylko przekroczył

próg jej mieszkania.

– To nie ma znaczenia – odparł beznamyślnie. – Nawet lepiej, są zupełnie zbici z tropu, myślą, że zagraża im cała szajka. Jako biegły sądowy zebrałem dowody wskazujące, że ciało zostało przeniesione. W glebie pod trupem nie ma larw, znaczy profesor został zamordowany i początkowo rozkładał się gdzie indziej. Twoja przyjaciółka jako toksykolog potwierdziła, że załatwiono go wyizolowanym składnikiem jadu pszczelego. To kolejny hak na Avera, rozumiesz?

– Że niby zlecili zabicie profesora, by go uciszyć? – domyśliła się po chwili.

– Otóż to. Teraz jeszcze bardziej im będzie zależało, by sprawa z truciem pacjentów nie ujrzała światła dziennego, bo dojdzie to tego dodatkowy smród, morderstwo Reckerta.

– To sprytne! – przyznała entuzjastycznie.

– Zapłacą każdą kasę, byle nie wyszło na jaw, co się działo w szpitalach. Inaczej padnie na nich podejrzenie o uciszanie świadków. – Objął ją w pól i przyciągnął do siebie.

Musiała sobie przyznać, że wybór Patryka na marionetkę był dobrym pomysłem. Miała w jego osobie cenne narzędzie, które w dodatku potrafiło działać samodzielnie, i to jeszcze jak sprawnie. Przyłgnęła zatem do niego, a potem oddała mu się entuzjastycznie i z radością, czerpiąc z seksu z wielkoludem jak najwięcej. Miała wrażenie, że zaczyna unosić się w powietrzu. Endorfiny i adrenalina wypełniały jej żyły i dudniły w głowie euforią. Stan ten utrzymał się do następnego dnia, a nawet wzrósł, gdy Patryk zalogował się na ich wspólne konto utworzone w ramach operacji.

– Jezu Chryste – wydusiła z trudem, gdy ujrzała stan konta.

– Dwa miliony euro – oświadczył spokojnie Patryk. – Trzy tygodnie się wahali, ale gdy przesłałem im próbkę danych, od razu rura im zmiękła. Ktoś tam bardzo trzęsie portkami, nawet się specjalnie nie targował. Miałem wrażenie, że są gotowi zapłacić każde pieniądze, byle zatuszować tę sprawę. Te pieniądze to dopiero zaliczka. Kiedy zdobędziemy raporty Nachowiaka, dostaniemy dziesięć razy tyle.

Usiadła ciężko na łóżku, bo kolana się pod nią ugięły. Taka forsa to coś zupełnie niebywałego. Już to, co zdobyli, wystarczyłoby obojgu do końca życia, pozwoliło żyć w luksusie i spędzać czas na spełnianiu marzeń i zachcianek. Pomyślała, czy może nie lepiej byłoby zakończyć w tej chwili i zniknąć z tym, co już dostali?

Nie. Teraz nie wolno się wycofać, nie wolno okazać słabości. Trzeba zgarnąć całą pulę. Zachować się z klasą, a nie jak jakaś chytra baba z targu. Złapała zatem za telefon i zadzwoniła do Jakubiaka. Kazała mu najbliższego wieczoru wywiązać się z umowy i rozprawić z Kamilem.

– Oczywiście, moja królowo – zgodził się, dysząc oblesnie. – Dla ciebie wszystko. Zdobędę ten jego komputer, choćbym musiał obedrzeć drania ze skóry.

* * *

Znów zatrzymała się przy pawilonach, w których znajdowało się mnóstwo sklepików i punktów usługowych. Bar serwujący kebaby tkwił wciśnięty między pralnię a szmateks z odzieżą na wagę. Ada szła, starając się nie wdepnąć w nieczystości na chodniku, psie kupy i podobne atrakcje. Powtarzała sobie, że robi to wszystko właśnie dlatego, by nigdy potem nie musieć się nawet zbliżyć do tak odrażających miejsc. Weszła do baru i od razu dosiadła się do stolika, przy którym pan Czesio spożywał późny obiad. Na widok swojej zleceniodawczyni rozpromienił się w szerokim uśmiechu, prezentując załuszczone usta i brzydkie poźółkłe zęby.

– Usiądź, najlaskawsza królowo. – Wskazał jej krzesło naprzeciw.

Starła się nie patrzeć, czy jest brudne, czy nie, po prostu usiadła i wyczekująco spojrzała na grubasa.

– Masz? – spytała.

– Staralem się, ale nie wszystko poszło, jak trza – oznajmił i otarł usta wierzchem dłoni.

– Co masz na myśli? – Ada poczuła niepokój. Potrzebowali danych zgromadzonych przez Nachowiaka, i to jak najszybciej.

– Nie miał ze sobą komputera, powiedział, że zostawił go w pracy. – Jakubiak bezradnie rozłożył ręce.

– Musiałem mu porządnie wpieprzyć, by zaczął gadać. W końcu się wystraszył, bo pokazałem mu, co zrobiłem z tą jego zezowatą cipką. Na wejściu wpakowałem jej kulkę w gardło. Dużo krwi i zepsuta lalka, to wywarło na nim wrażenie. Niestety, faktów nie zmieniło, nie miał przy sobie komputera. Zresztą wyznał, że nie trzyma tych dokumentów w komputerze. Ma je na dysku czy czymś takim, który leży na biurku w firmie.

– Cholera. – Ada westchnęła, czując ciarki na myśl o tym, co się stało z Joasią. – Co zrobiłeś z Kamilem?

Wzruszył ramionami i wykonał gest dłonią, jakby strzelał z pistoletu. Ada pobladła z wrażenia. Kolejne trupy! Ale co tam. Na koncie ma już pięć milionów i będzie ich znacznie więcej. To jakoś ukoji jej sumienie.

– Tera chcę swoje pięć tysiaków, a do końca tygodnia jeszcze dwadzieścia – oznajmił Jakubiak.

– Dwadzieścia? Nie tak się umawialiśmy – odparła ze złością. Bandzior robił się zachłanny, pewnie wydawało mu się, że może dyktować warunki bezbronnej kobiecie. Uspokoiła się szybko. – Dobrze, dostaniesz nawet trzydzieści, jeśli przyniesiesz mi ten dysk. Wiem, że nie masz wejścia do biur, ale możesz się wśliznąć za kimś, kto tam wejdzie, możesz ukraść kartę magnetyczną, nie wiem... Poradzisz sobie.

– Poradzę – przytaknął.

– Tylko nie daj się złapać! Jeśli ktoś cię przyłapie na grzebaniu w rzeczach Kamila, sprzątnij intruza, jasne?

– Jasne.

Przekazała mu kolejną kopertę i wyszła z baru. To były jej ostatnie zaskórniaki, na razie nie mogli ruszać pieniędzy z konta. Trzeba zatem zrobić coś z Jakubiakiem. Jeszcze tego samego dnia porozmawiała o tym z Patrykiem. Obiecał, że wymyśli sposób na usunięcie tego obrzydliwca. To ją uspokoiło.

Rozdział 20

Blanka poruszyła rękami, ale kajdanki nadal mocno trzymały, a łóżko ani drgnęło. Mimo szarpaniny rama nic a nic się nie poluzowała. Widocznie rodzice Patryka, do których należało wyrko, zlecili jego wykonanie kowalowi, który je wykuł z litego żelaza. Prychnęła ze złością i opadła z powrotem na poduszkę. Ada pokręciła tylko głową i uniosła brwi, wskazując kiwnięciem wijącego się na podłodze Patryka.

Wielkolud od ciosu w splot słoneczny nie stracił przytomności, choć na parę chwil uderzenie zupełnie go znokautowało. Teraz leżał i spazmatycznie łapał powietrze, próbując się nie udusić mimo skurczu mięśni, w tym przepony i innych odpowiedzialnych za oddychanie. Za kilka minut porażenie minie i Patryk powoli odzyska sprawność. Blanka wolałaby być wtedy gdzieś daleko, najlepiej pod opieką uzbrojonego w pistolet Jacka. Musi więc jak najszybciej się uwolnić. Tylko czy może zaufać Adzie? Przyjaciółka zachowywała się jakoś dziwnie. Najpewniej współpracowała z psychopata, ale jednak nie ostrzegła go, gdy zanadto zbliżył się do Blanki. W co właściwie pogrywała? O co jej chodziło?

– Rusza się tak jakby coraz sprawniej – zauważyła Ada. – Powinnyśmy stąd spłynąć.

– To mnie rozkuj, do cholery!

– Najpierw hasło – wycedziła lekarka. – Muszę je mieć.

– Login to B, kropka, Blewa, małpa, gmail kropka com, a hasło psylocybina83 – oznajmiła coraz bardziej spanikowana Blanka. – Ale skąd wiesz, czy nie ściemniam?

– Twój adres elektroniczny przecież znam i faktycznie się zgadza. Co do hasła, to podpisywałaś się jako Psylocybina w czasach studiów, gdy publikowałaś psychodeliczne wiersze na portalach literackich. Wszystko się zgadza, nie wymyśliłabyś niczego bardziej prawdopodobnego w chwili stresu i pod presją.

Pochyliła się, złapała Patryka za nogi i przyciągnęła go do łóżka. Z kieszeni wyciągnęła plastikowe opaski zaciskowe i kilka wetknęła sobie w usta. Złapała ręce Patryka i sprawnie zacisnęła na nich opaskę, łapiąc nią za pręt dolnej ramy łóżka. Dla pewności założyła jeszcze kilka obejm, nie żałując siły w ich zaciskaniu. Po szarpnięciu plastik blokował się automatycznie, wpijając mocno w skórę mężczyzny. Po chwili Patryk został unieruchomiony tak samo jak Blanka, z rękami nad głową. Ada przymocowała go do tego samego łóżka, tylko leżącego na podłodze i po przeciwnej stronie niż Blanka.

– Nie zamierzasz mnie uwalniać – mruknęła przyglądająca się jej zabiegom przyjaciółka.

– Nie, ale przynajmniej was nie zabiję – odparła Ada z lodowatym uśmiechem. – Wystarczy mi, jeśli posiedzicie tu do jutra. Rankiem powinnam mieć na koncie ostatnią transzę od Avera. Przeleję te pieniądze na swoje konto i zadzwonię na policję, by was uwolnili. Nie miej do mnie żalu, mała. Trochę cię wykorzystałam, ale cóż, takie jest życie. Ja mam po prostu dość bycia nikim, nie mogę dopuścić, żeby stać się niechcianą i niekochaną, smutną i starą kobietą. Muszę walczyć o lepsze życie, to dotychczasowe mocno mnie rozczarowało.

Uśmiechnęła się jeszcze raz, tym razem przepaszająco, i nie spoglądając nawet na Patryka, wybiegła z pokoju. Po chwili drzwi na dole trzasnęły i zabrzmiał uruchamiany silnik samochodu. Ada odjechała.

Upał robił swoje. Okna na poddaszu były zamknięte, dach nagrzewał się od słońca i w pokoju rychło zrobiło się gorąco niczym w chlebowym piecu. Promienie słońca wdzierały się do sypialni przez zazdrostki i ślizgały po pomieszczeniu. Blance cierpły ręce, zaczęły ją też boleć mięśnie ciągle uniesionych ramion. Najbardziej jednak doskwierało pragnienie i nieznośna temperatura. Wściekła mucha, która niedawno waliła o szybę, w końcu padła martwa. Osy, uwięzione w porzuconej siatce, również przestały się miotać i irytująco bzyzczeć. Uschły czy tylko osłabły? Blanka miała wrażenie, że zaraz też wykorkuje z pragnienia i duchoty.

Patryk doszedł do siebie, jakiś czas szamotał się z obejmami, ale w końcu musiał się poddać. Usiadł zatem możliwie najwygodniej i zastygł z pochyloną głową. Blanka bała się odezwać, by nie skupić na sobie uwagi mordercy. Wyraźnie myślał intensywnie, pewnie rozpamiętywał popełnione błędy. Najwidoczniej mocno zabolalo go wystawienie przez Adę, bo co chwila zaciskał pięści. Choć może po prostu starał się wymusić przepływ krwi w ściśniętych mocno dłoniach, by nie dopuścić do martwicy? Tak czy inaczej, milczenie się przeciągało i w końcu Blance zrobiło się głupio. Ile można się ignorować? W końcu oboje jechali teraz na tym samym wózku.

– Wybacz, że cię kopnęłam tak mocno – powiedziała niepewnie. – Sam się prosiłeś.

– Wiem – odparł i otworzył oczy. Spojrzał na nią zimno, a twarz miał bez wyrazu. – Nie mam pretensji. Muszę za to przyznać, że mnie zaskoczyłaś. Obie mnie zaskoczyłyście. Czyżby te komunały, by nigdy nie ufać kobietom, miały w sobie ziarno prawdy? To żalosne.

Znów zapadła cisza. Blanka jakiś czas leżała bez ruchu, ale w końcu zaczęła się wiercić.

– Zaraz zdechnę z pragnienia – oznajmiła w przestrzeń.

Patryk nie odpowiedział, zabrał się natomiast do szarpania zębami plastikowych opasek wpijających mu się w ręce. Szło mu niesporo, po kwadransie prób nie udało mu się przerwać ani jednej. Tymczasem z siatki entomologicznej uwolniła się jedna osa i bzyząc basowo, zaczęła krążyć po pokoju. Od gorąca i może od doznanych urazów zachowywała się jak wściekła. Blanka wstrzymała oddech i zastygła, by nie przyciągnąć jej uwagi. Ukąszenie na brzuchu nadal nieznośnie swędziało. Patryk chwilę wodził spojrzaniem za owadem, w końcu przestał gryźć opaskę.

– Reckert udusiłby się po jednym ukąszeniu – odezwał się niespodziewanie. – Dla pewności jednak zaaplikowałem mu dawkę toksyny odpowiadającą setkom, może nawet tysiącu ukąszeń.

– Innych też sam zabiłeś? Kamila i Jolę? – spytała lekkim tonem, jakby toczyli nieistotną rozmowę, jak zwykle w laboratorium, gdy zajęci byli robotą i gadali o niezajmujących uwagi drobiazgach.

– No nie, ich rozwalił ten degenerat Jakubiak – odparł jakby z żalem, że posądziła go o coś tak niegodnego. – W dodatku poszedł tam, trzymając w kieszeni pojemnik ze skradzionymi z naszego labu larwami. W czasie szarpaniny z Kamilem wysypały mu się i niedokładnie je pozbierał. Stąd w ustach Nachowiaka znalazła się złota mucha. Ja z tym morderstwem nie miałem nic wspólnego. Za to osobiście pozbyłem się trzech włamywaczy, których wcześniej wynająłem, by obrobili twoje mieszkanie. Jak się domyśliłaś, użyłem do ich likwidacji związków pobranych z magazynu w Gen-Toksie. Dobrze rozpoznałaś truciznę, dałem im roztwór strychniny w wódce. Wmówiłem im, że chcę zlecić kolejne zadanie, a na dobry początek stawiam flaszkę. Wypili przy mnie i raz dwa pogaśli, zupełnie jak owady potraktowane octanem etylu. Gorzej mi poszło z Jakubiakiem. Podarowałem mu paczkę marlboro z domieszanym do tytoniu wyciągiem z nasion wilczej jagody. Niestety, drań nie spieszył się z ich wypaleniem, wolał swoje śmierdzące skręty z przemyczonego z Ukrainy tytoniu. Zanim się zabrał do papierosów, przypadkowo przyłapał mnie na myszkowaniu w gabinecie Kamila. Nie wiedział, że współpracuję z Adą, i próbował rozwalić, by odebrać laptop należący do Nachowiaka.

– O mało mu się nie udało – zauważyła.

– Rzeczywiście, niewiele brakowało. Miałem szczęście, że trafił mnie w czoło, a nie w tył głowy – przytaknął Patryk. – Potem w robocie wypalił zatrutego papierosa i dostał po nim kompletnej szajby, był na haju, gdy cię zaatakował. Może kontaktował na tyle, by skojarzyć, że musi cię usunąć? Nie wiem, to bez znaczenia. Załatwiłaś go, i to porządnie. Myślałem, że udało ci się tylko dlatego, że grubas był naćpany i ledwo przytomny. Myliłem się i cię nie doceniałem. Jakoś się nie chwaliłaś, że umiesz się bić. No tak, ojciec był komandosem, ale nie spodziewałem się, że to może mieć znaczenie. Załatwiłabyś Jakubiaka także, gdyby był trzeźwy, prawda? Jesteś cholerną karateką?

– Nie, nie jestem, i tak, pewnie dałabym mu radę. Choć może i nie, trudno powiedzieć. – Wzruszyła ramionami, przynajmniej na tyle, na ile się dało w tej pozycji.

– Głupiek wypalił drugiego papierosa w szpitalu. Zrobił to w samą porę. I jak należy odjechał na tamten świat...

– A co z Adamem Moczydłą? Kto i dlaczego zaszlachtował kochanka Ady?

Patryk nie odpowiedział od razu. Chwilę obserwował latającą osę.

– Musieliśmy się go pozbyć – rzucił w końcu. – Ten goguś przejrzał Adę, która miała za zadanie wodzić go za nos. Za bardzo go jednak podpytywała o to, co się dzieje w Averze, aż w końcu sama coś nieopatrznie chlapnęła. Zorientował się, że Ada zbyt wiele wie o całej sprawie, nawet o śmierci Reckerta. Zaciągnęła go do łóżka, by odwrócić uwagę, a chwilę wcześniej zadzwoniła do mnie, żądając pomocy. Przyjechałem, jak się dało najszybciej, i załatwiłem sprawę, nie bawiąc się w podchody. Nie było czasu. Dopadłem go w łóżku, wyczerpanego seksem i zaspanego, przejechałem nożem po gardle i tyle. Nie było to ani wyrefinowane, ani eleganckie. Nie ma się czym chwalić.

– Jak to możliwe? Przecież byłś wtedy w szpitalu!

– Byłem w szpitalu, owszem, ale nie wtedy. Kamil nie zginął w tygodniu, w którym leżałem plackiem w łóżku, ale już po moim wyjściu. Zastanów się, kto przygotował ekspertyzę i oszacował czas zgonu?

– Ty, ale w porozumieniu z lekarzem – odparła. – Ustaliliście czas śmierci na coś około tygodnia. Wszystko przecież na to wskazywało, stopień rozkładu, owady...

– To drobne oszustwo, żebym nadal znajdował się poza wszelkimi podejrzeniami – odparł obojętnym tonem. Ciągle pozostawał zimny, ale Blanka miała wrażenie, że te przechwałki i jej mimowolny podziw sprawiają mu przyjemność. – Sama wtedy zauważyłaś, że zwłoki zostały skolonizowane niemal wyłącznie przez plujki zielone, które określiłaś jako miedziane muchy. Nie wiedziałaś, bo i skąd, że muchy te uwielbiają światło słoneczne i pierwsze pojawiają się na zwłokach leżących na słońcu. Mieszkanie natomiast było zaciemnione, z zaciągniętymi zasłonami. Tyle że Ada zaciągnęła je dzień przed znalezieniem zwłok przez ciebie. Wcześniej przez kilka dni trup Adama leżał w pełnym słońcu, przy otwartych oknach. Zapach krwi błyskawicznie zwabił plujki, do tego nasłonecznione w upał zwłoki bardzo się nagrzewały, powodując błyskawiczny rozwój larw. To znacznie przyspieszyło rozkład. Z oględzin na podstawie pomiaru temperatury w zaciemnionym pokoju siłą rzeczy musiało wynikać, że śmierć nastąpiła kilka dni wcześniej, niż faktycznie miało to miejsce.

– Gdybym znała zwyczaje plujek, mogłabym się domyślić, że coś jest nie tak. Miedziane muchy nie powinny zdominować nieboszczyka leżącego w ciemnym pokoju... – podsumowała, z uznaniem kiwając głową.

Odnosiła w myślach, że Patryk jest łasy na pochlebstwa i pochwały. Megalomania i egoizm to cecha charakterystyczna dla osobowości psychopatycznych. Zdaje się, że Ulatowski był niemal podręcznikowym przykładem wariata. Może mogłaby to jakoś wykorzystać?

– Jakim cudem smród nie zaalarmował sąsiadów, szczególnie że okna były otwarte? – rzuciła dociekliwie.

– Nie pamiętasz już, jacy ludzie mieszkają w tej kamienicy? Sąsiad z góry jest cały czas tak pijany, że chyba nie wie, na jakiej planecie żyje. Ci z dołu nie są lepsi, poza tym w ich mieszkaniach i tak cuchnie jak w śmietniku. A otwarte u Ady okno powodowało, że smród nie snuł się za bardzo klatką schodową – odparł.

Blanka pokiwała głową. Patrzyła na wykręconego w jej stronę wielkoluda. Dziwnie było uświadomić sobie, że niemal zakochała się w człowieku, który zabijał zupełnie bez emocji i bez wyrzutów sumienia.

– Czy śmierć Adama nie stwarzała zagrożenia, że pertraktacje zostaną przerwane? – spytała.

– Wydaje mi się, że efekt był wręcz przeciwny. Zostali bardziej zmotywowani, by zapłacić i zakończyć ostatecznie tę sprawę. Także dlatego postanowiliśmy, że Ada zniknie, a ciało zostanie w jej mieszkaniu. Miało to pozorować uprowadzenie jej przez mordercę. Teraz w Averze są przekonani, że mają do czynienia z pozbawionym skrupułów desperatem, który nie cofnie się przed niczym, byle dopiąć swego.

– Jest to właściwie zgodne z prawdą, tyle że tym desperatem jest teraz Ada – skwitowała Blanka.

– Była nim od początku – mruknął Patryk. – Dopiero to zrozumiałem. To ona mną kierowała i wskazywała kolejne cele. Wszystko wcześniej zaplanowała. Pewnie tak naprawdę Adam niczego nie podejrzewał i nie stanowił prawdziwego zagrożenia. Kazała mi go sprzątnąć, żebym splamił sobie ręce i jeszcze bardziej się pogubił. Przy okazji pozbyła się niepotrzebnego już kochanka. Stopniowo pali za sobą mosty, zrywa kontakty i likwiduje ludzi, którzy coś o niej wiedzą. Przygotowuje się do nowego życia, w które chce wkroczyć z czystą kartą i pełnym kontem w banku. Ciekawe, że jednak zdecydowała się nas zostawić wśród żywych...

Blanka zagryzła wargę, bijąc się z myślami. Skoro jej przyjaciółka zdolna była do takich rzeczy, ten ostatni gest faktycznie wydawał się zbyt hojnym i niepotrzebnym.

– Może jeszcze z nami nie skończyła? Pojechała sprawdzić, czy faktycznie udostępniłam jej prawdziwe dane do konta, może, jeśli wszystko się zgadza, dobije targu i tu wróci? Umowa z Averem obejmuje obietnicę zniszczenia wszystkich dowodów dotyczących się tych nieszczęsnych eksperymentów na ludziach. Jesteśmy niepotrzebnymi świadkami, którzy wiedzą zbyt dużo. Przecież jeśli nas zlikwiduje, nikt nawet nie powiąże jej z morderstwami, policja nie będzie jej poszukiwać.

– Jeśli zostawi nas przy życiu i wyda się, co zaszło, to nie dość, że złamie umowę z Averem, ale jeszcze ściągnie sobie na głowę masę niepotrzebnych kłopotów. Zostanie za nią wystawiony list gończy, będzie miała na karku detektywów Avera i Interpol, który będzie ją tropił po całym świecie – przyznał Patryk. – Nie jest głupia, jest zdecydowanie mądrzejsza, niż ktokolwiek może podejrzewać. Zatem kiedy dobije targu, wróci tu po nas i dokończy dzieła.

Blanka spostrzegła, że uwolnił się kolejny owad i dołączył do latającej ze złowrogim bzyczeniem osy. Nie bała się ich jednak, miała znacznie poważniejsze powody do obaw niż niepozorne owady. Bez porównania bardziej powinna obawiać się ludzi, z którymi miała do czynienia.

Rozdział 21

W samochodzie stojącym na otwartym parkingu szybko zrobiło się gorąco nie do wytrzymania. Nie pomogło opuszczenie wszystkich szyb, bo karoseria nagrzała się od słońca, i to tak, że nie dało się jej dotknąć. Jacek Orzechowski siedział jednak twardo za kierownicą i patrzył w okna biurowca naprzeciw. Pot spływał mu po czole i karku, woda w butelce rychło zrobiła się ciepła niczym zupa i okropna w smaku. Aspirant jednak nie narzekał, starał się zachować spokój, jak przystało na zawodowca. Był przecież śledczym nie od dziś i zdarzało mu się pełnić służbę w różnych warunkach. Właściwie rzadko kiedy śledzenie ludzi wiązało się z komfortem. Zdążył zatem przywyknąć do niewygody.

Mimo pozornego opanowania zaczął bębnić palcami po kierownicy, w końcu sięgnął do skrytki i otworzył ją, machinalnie szukając paczki papierosów. Jego ręka natrafiła jednak tylko na przyciemniane okulary, które po chwili wahania założył. Zapomniał, że rzucił palenie. Wytrwanie w postanowieniu nie było łatwe, szczególnie że od wczoraj męczyły go nerwy. Nie spodziewał się, że Blanka wzbudzi w nim takie emocje. Kiedy wczoraj przyjechał po nią do pracy i okazało się, że znikła, na parę chwil wpadł w panikę. Zupełnie się rozsypał.

Uprowadzono ją tak samo jak jej przyjaciółkę Adę. To nie podlegało wątpliwości. Jej telefon był wyłączony, z nikim się nie kontaktowała, nikt jej nie widział. Odbiła się wcześniej rano kartą magnetyczną w firmie, ale z niej nie wychodziła. Jacek mógł to sprawdzić dzięki interwencji komisarza Ledy, który osobiście przyjechał do Gen-Toksu i zażyczył sobie widzenia z szefostwem. Informatycy sprawdzili logowania pracowników i okazało się, że Blanka albo nadal przebywa na terenie firmy, albo opuściła ją, zapomniawszy odbić się na bramce.

Jacek obejrzał laboratorium, w którym pracowała, ale nie znalazł w nim niczego podejrzanego. Uporządkowane dwa biurka, brak jakichkolwiek śladów walki czy choćby bytności człowieka. Jej współpracownik z działu, Patryk, wcale się tego dnia nie stawił w pracy. Ale taka niesubordynacja nie była u niego niczym niezwykłym, absencje i urlopy na żądanie zdarzały mu się nader często. Jacek nie zaprzętał sobie nim głowy, nawet nie próbował do niego dzwonić. Musiał skupić się na szukaniu śladów zaginionej.

Kamery przemysłowe znajdowały się tylko na zewnątrz budynku i skierowane były nawet nie na wejście, lecz na parking. Po przejrzeniu zapisów i przesłuchaniu strażnika, który rankiem miał służbę, Jacek nadal nic nie wiedział. Kamery nie zarejestrowały żadnego wjeżdżającego czy wyjeżdżającego wozu. Blanka najwyraźniej przyszła pieszo i pieszo wyszła. Jeśli ją uprowadzono z budynku, zrobiono to wrotami magazynu, wychodzącymi bezpośrednio na ulicę. Tutaj też musiał parkować porywacz, na chodniku z dala od służbowego parkingu. Sugerowało to, że nie był pracownikiem Gen-Toksu, a jeśli był, to musiał wiedzieć o kamerach skierowanych na plac przed gmachem.

Może sama opuściła budynek? Może nikt jej nie uprowadził, a zwyczajnie się ulotniła? – rozmyślał Jacek, nieustannie wpatrując się w biurowiec.

Stał w uliczce naprzeciw sklepu spożywczego, skąd miał widok na siedzibę polskiej filii Avera.

Przyjechał tu, śledząc samochód Piotra Pachczyńskiego, cholernego gogusia, który teraz wydawał mu się najbardziej podejrzany. To on najwięcej skorzystał na serii morderstw. Szczególnie śmierć kolegi, Adama Moczydły, wywindowała go w służbowej hierarchii. Zajął jego miejsce, przejął obowiązki i z pewnością uposażenie. Tym razem teoria komisarza Ledy, że zawsze głównym podejrzany jest osoba mająca motyw finansowy lub osobisty, zdawała się najbardziej sensowna. Pachczyński pozbył się kumpla i jego dziewczyny, teraz dobrał się do Blanki, która z tego, co wspomniała, zbierała jakieś niewygodne dla Avera dane. Może nie były one niewygodne dla całej firmy, a najbardziej dla menedżera od badań klinicznych?

Jacek mógłby spróbować przesłuchać podejrzanego, ale obawiał się, że tylko spali śledztwo, przestraszy lub może niepotrzebnie ostrzeże gnojka. Lepiej, by ten nie domyślał się, że znalazł się na celowniku. Jeśli uprowadził Blankę, jest szansa, że się zdradzi, wskaże jej miejsce pobytu. Innego zaczepienia aspirant nie miał, korposzczur był jedynym podejrzany, jedynym kluczem do odnalezienia zaginionej.

Powinien zachowywać się profesjonalnie i cierpliwie czekać, ale jak mógł spokojnie siedzieć, gdy nie wiedział, co się dzieje z Blanką? Czy jeszcze żyje, czy może cierpi uwięziona w jakimś okropnym miejscu? Każda chwila mogła się liczyć. Znow zaczął nerwowo bębnić w kierownicę i zerkać na zegarek. Tkwił tu już od półtorej godziny. Miał wrażenie, że czas przecieka mu przez palce, że niepotrzebnie go marnuje, siedząc beczynn timer. Ciągłe przed oczami stawała mu Blanka, mógłby z pamięci narysować kształt jej twarzy, linię uśmiechu, uniesione brwi, gdy się zastanawiała. Pamiętał jej dłonie, kolor oczu, nawet zapach włosów. Nie mógł przestać o niej myśleć, na zimno skupić się na problemie. Sama myśl, że ten skurwiel mógł ją skrzywdzić, powodowała, że kurczowo zaciskał dłonie na kierownicy. W końcu nerwowo sięgnął do leżącej na siedzeniu marynarki i złapał za rękaw, schowanego w niej służbowego pistoletu. Pójdzie tam, wyciągnie gogusia z biura i porządnie nim potrząśnie.

Opanował się jednak i odłożył broń. Już chciał wysiąść i przejść gdzieś w cień, gdy na sąsiednie miejsce na parkingu wjechała stara terenówka. Z zaskoczeniem Jacek skonstatował, że to suzuki w identycznym kolorze, jakim jeździł Patryk. Entomolog kilka razy przyjeżdżał podobnym gruchotem na miejsca znalezienia zwłok, by robić ekspertyzy. Czyżby to on?

Na wszelki wypadek zsunął się niżej na siedzeniu, żeby nie rzucać się w oczy. Kierowca jednak nie był Patrykiem, tylko atrakcyjną blondynką w garsonce. Trzasnęła drzwiami, nie kłopotując się nawet zamykaniem ich na kluczyk, i pomaszerowała prosto w kierunku biurowca, zupełnie ignorując Jacka. Po chwili zniknęła wewnątrz budynku.

Policjant siedział parę chwil nieruchomo, patrząc na budynek. Wysiadł w końcu i obszedł gruchota dookoła. Kręcąc głową, stwierdził, że wóz chyba naprawdę należy do Patryka. Kim, u licha, była ta kobieta? Żoną entomologa? Podobno się rozwiódł. Może eks wymusiła na nim oddanie wozu w ramach rozliczenia? Czyżby zatem była żona entomologa pracowała w Awerze?

Stanął za samochodem i otworzył jego bagażnik. Wewnątrz znajdowała się plastikowa skrzynka z buteleczkami odczynników i plastikowymi pojemnikami oraz próbkami, obok leżała zapięta torba. Jacek bez zastanowienia rozsunął suwak, by ujrzeć wewnątrz poukładane ubrania i kosmetyczkę z przezroczystego plastiku, w której znajdowała się szczoteczka do zębów, maszynka do golenia i męskie kosmetyki.

– Torba podróżna Patryka spakowana jak do wyjazdu – mruknął. – Co tu się dzieje?

W wejściu budynku pojawili się jacyś ludzie, więc Jacek zamknął delikatnie bagażnik i odszedł lekkim krokiem od samochodu. Pracownicy korporacji, głównie przystojni młodzieńcy w identycznych garniturach, śmiejąc się, pomaszerowali w kierunku miasta. To musiał być czas lunchu i w pobliskich

knajpach zaroi się od im podobnych japiszonów. Gorzej uposażeni i oszczędniejsi zadowolą się przyniesionymi z domu kanapkami lub jedzeniem dostępnym w biurowych stołówkach. Tak czy inaczej, na jakąś godzinę zrobi się ruchliwiej. To dobrze, nie będzie się specjalnie rzucał w oczy. Wystarczy, że na koszulkę założy marynarkę, która niczym wojskowy kamuflaż pozwoli mu wtopić się w tło i nie zwracać na siebie uwagi. Nie wyglądał może jak człowiek sukcesu ani jeden z wymuskanych korposzczurów, ale też specjalnie od nich nie odbiegał. Śmiało skierował się do wejścia do biurowca. Zamierzał spróbować wśliznąć się do środka, wykorzystując zamieszanie. Jeśli na bramce nie są wymagane karty magnetyczne, powinno mu się udać przejść obok ewentualnego recepcjonisty. W ostateczności wyjmie legitymację i zażąda od niego podania numeru gabinetu Pachczyńskiego.

Omal nie zderzył się z nim w drzwiach. Opuścił głowę, udając, że poprawia przyciemniane okulary, i wyminął go, rzucając ukradkowe spojrzenie. Przystojniak prowadził pod rękę blondynkę, która kilkanaście minut wcześniej przyjechała samochodem Patryka, właściwie ścisnął ją za ramię na wysokości łokcia, i to chyba dość boleśnie. Ładna, zadbana kobieta wykrzywiła usta w grymasie bólu, szarpnęła się i oswobodziła. Piotr syknął na nią ze złością.

– Nie mogę pozwolić ci tak po prostu odejść. Musimy pogadać o Adamie i dokończyć sprawę. Chcę się upewnić, że wywiązujesz się z umowy!

– A niby jak? Mam ci pokazać wszystkie komputery, jakie mam? – Prychnęła, robiąc bojową minę i biorąc się pod boki. – Podpisałam papiery, zrobiliście przelew, sprawa jest zakończona. Jadę teraz do domu, nigdzie z wami nie idę! I nie próbuj mnie nawet dotknąć, bo popamiętasz. Jeśli mi się coś stanie, mój wspólnik natychmiast ujawni te dane.

– Jakie dane? Przecież zgodnie z umową wszystkie kopie zostały skasowane – warknął Piotr. – Widzisz sama, że kręcisz. Nie mogę ci zaufać, od tego zależy nie tylko moja kariera, ale interes całej firmy.

Jacek musiał znów ustąpić drogi kobiecie, która wybiegła z gmachu i omal go nie potrafiła. Znał ją, to była prawniczka i kochanka Piotra, Anna Kizerwetter. Niedawno Jacek obserwował wyczyny tej pary w starciu z Blanką, teraz znów ich spotykał w podejrzanej sytuacji. Prawniczka również nie zwróciła na niego uwagi, doskoczyła do blondynki i zaczęła jej coś tłumaczyć łagodnym i uspokajającym tonem. Nieznacznym gestem odsunęła Pachczyńskiego. Ten cofnął się posłusznie i spojrzał na stojącego w drzwiach Jacka, który natychmiast się odwrócił i wszedł do wnętrza biurowca. Nie skierował się do recepcji, tylko zatrzymał przy szybie i obserwował trójkę spierającą się na parkingu. Weneckie lustra, którymi był przeszklony budynek, bardzo mu ułatwiły sprawę.

Trójka chwilę rozmawiała, stojąc przed budynkiem. Mecenas Kizerwetter udało się jakoś uspokoić blondynkę, której mina stopniowo złagodniała. Piotr trzymał się z boku, rozglądając nerwowo, jakby sprawdzał, czy nie są obserwowani. W końcu grzecznie wskazał paniom samochód i otworzył drzwi. Kobieta, której Jacek ciągle nie mógł zidentyfikować, zawahała się na chwilę przed wejściem do wozu, ale Kizerwetter pchnęła ją nieznacznie i usiadła obok niej na tylnym siedzeniu.

Jacek w końcu zaczął się domyślać, kim może być blondynka – zaginioną Adą Milewską. Świadczyło o tym choćby to, że Piotr chciał z nią rozmawiać o Adamie. Któreś z tej trójki prawdopodobnie wiedziało, co się dzieje z Blanką. Co teraz miał zrobić? Zatrzymać ich? Ale pod jakim właściwie zarzutem?

Szybkim krokiem wyszedł z budynku i skierował się do swojego samochodu. Kiedy prowadzony przez Piotra lexus wyjeżdżał z parkingu, aspirant uniósł do ucha telefon, zasłaniając twarz.

– Szefie, przesłałby mi pan na komórkę zdjęcie zaginionej Milewskiej? – rzucił do telefonu, wskakując za kierownicę. – Nie, nie poprzewracało mi się w dupie. Muszę zobaczyć, jak ona wygląda, bo mam podejrzenie, że właśnie ją widziałem. Jestem trzeźwy i w dodatku zarobiony. Będę śledził podejrzanych. Myślę, że jestem o krok od rozwikłania tej sprawy. Potrzebowałbym dyskretnego wsparcia. Jakiego?

Najlepiej obserwatora w policyjnym helikopterze lub jeszcze lepiej drona z kamerą, który polecą za ściganymi. Nie ma? Może też być monitoring z kamer na skrzyżowaniach. Nie żartuję. No dobra, tylko próbowałem. Podejrzywałem, że będę musiał radzić sobie sam.

Rozmawiając z Ledą, wyjechał na ulicę i włączył się do ruchu. Na szczęście o tej godzinie nie było specjalnego tłoku i w oddali dostrzegł lexusa. Prywatnym rupieciem nie miałby szans go dogonić, na szczęście Pachczyński jechał wolno i ostrożnie. Jacek zachował więc dystans, by nie zwrócić na siebie uwagi. Wiedział, że przystojniaczek ciągle się rozgląda i sprawdza, czy ktoś go śledzi.

Na domiar złego w końcu wyjechał na Wisłostradę i przyspieszył. Nie łamał jednak przepisów i Jacek był w stanie wydusić ze swojego gruchota prędkość wystarczającą, by ciągle mieć go w zasięgu wzroku. Wiercił się, zastanawiając, dokąd jadą taki kawał drogi. Minęli Żoliborz i mknęli trasą w kierunku Łomianek. Przystopowało ich nieco czerwone światło, co pozwoliło Jackowi się zbliżyć. Miał teraz okazję, by zerknąć w telefon.

Komisarz Leda postarał się na miarę swoich możliwości i umiejętności. Sfotografował smartfonem ekran swojego komputera, w którym wcześniej otworzył dokument z aktami zaginionej Ady Milewskiej. Zdjęcie było trochę niewyraźne, bo komisarzowi musiała zadrzeć ręka, w dodatku portret z dowodu osobistego był nieco rozpixselowany, ale podobieństwo nie budziło wątpliwości. Pachczyński właśnie wiózł gdzieś Adę Milewską.

Jacek zmarszczył czoło, myśląc intensywnie. O co w tym chodziło? Uprawdzili ją? Wieźli w to samo miejsce, w którym trzymali Blankę? Jaki z tym związek miał Patryk Ulatowski?

Nie mógł jednak zbyt dużej uwagi poświęcić rozważaniom, bo za Łomiankami lexus zjechał na lewy pas i przyspieszył. Jacek wbił pedał gazu w podłogę i skupił się na wyciskaniu ze swojego rzęcha, ile tylko się dało. Wytężył wzrok, by nie stracić z widoku oddalającego się wozu. Zaklął w duchu na biedę i dziadostwo panujące w policji, przez które nie stać go było na porządny samochód. Ech, gdyby tylko mógł teraz sobie choć zapalić!

* * *

Mecenas Kizerwetter spociała się, i to tak, że makijaż zaczął się jej rozmywać. Ada widziała krople potu błyszczące na upudrowanym czole prawniczki, poczuła też kwaśny zapach przebijający przez markowe perfumy, i to mimo włączonej na mocne chłodzenie klimatyzacji. Dobrze wiedzieć, że się denerwowała, choć to nie ona powinna być strzępem nerwów. Ada była jednak spokojna. Tylko udawała przerażenie, wciśnięta w siedzenie i drżąca, a tak naprawdę intensywnie myślała, jak wybrnąć z tej idiotycznej sytuacji.

Nie tak to miało wyglądać. Przybyła do siedziby Avera, gdzie podpisała umowę o poufności i zobowiązała się przekazać wszystkie kopie raportów z badań klinicznych, oddała laptop i udostępniła konto Blanki zawierające w chmurze dane z toksykologii. W jej obecności Piotr zlecił wykonanie przelewu z włączonym trybem ekspresowym, czyli z natychmiastowym przepływem na wskazane konto i zaksięgowaniem. W jednej chwili stała się bogatsza o kolejne piętnaście milionów euro. Teraz cały szmal wydarty szantażem Averowi, okrągłe dwadzieścia melonów, należał wyłącznie do niej. Była bogata. Tylko nie wiadomo na jak długo.

Pozwoliła się wpakować do samochodu, omamiona gładkimi łgarstwami Kizerwetter. Nie podejrzewała, że para wymuskanych pracowników korporacji może stanowić jakiegokolwiek zagrożenie. Kto by pomyślał, że zdecydują się ją uprawdzić? Anna wmówiła jej, że pojedą tylko do kancelarii adwokackiej, w której kiedyś pracowała, by tam podpisać jeszcze jeden dokument, dający im pewność, że Ada nigdy nie wspomni nikomu o niefortunnych eksperymentach na ludziach. Nalegała, właściwie

ślagała ją ze łzami w oczach, by poświęcić im jeszcze te pół godziny i zgodziła się złożyć podpis przy świadkach. Niedaleko, w siedzibie kancelarii na Nowym Świecie. Od tego zależała kariera zarówno pani mecenas, jak i Piotra. Dokument miał stanowić ekstrazabezpieczenie, które poprawiłoby ich status w Awerze, przedstawiło jako zapobiegliwych i dbających o szczegóły.

Ada nie wiedziała, czemu im właściwie uległa. Co ją, do cholery, obchodziły kariery tych dwojga? Jak dodatkowy papierek mógłby im pomóc? Do czegoś faktycznie zobowiązać? Co za brednie! Szczególnie że Piotr nie wydawał się nawet specjalnie przejęty wizją nadszarpniętego wizerunku w korpo, a jedynie wściekły, że Ada przyłożyła rękę do zgładzenia jego kumpla. Twierdził, że skoro reprezentowała szantażystę, musiała mieć jakiś związek ze śmiercią Adasia. I wcale się nie mylił. Jakoś nie przekonywało go, że uczyniła mu w ten sposób przysługę, otwierając drogę do awansu. Sprawiał wrażenie niepanującego nad emocjami. Kizerwetter jednak uspokoiła go jednym gestem i łamiącym się głosem nalegała i obiecywała Adzie dozgonną wdzięczność, a nawet zatarcie za nią śladów i dopilnowanie, by Aver nie próbował jej poszukiwać.

Ten ostatni argument ją ostatecznie otumaniał i spowodował, że niczym cielę dała się zaprowadzić na rzeź i wsiadła do lexusa. Była wtedy pod taką presją, że przestała rozumować logicznie. Dała się pokonać emocjom i zamiast czym prędzej się oddalić, uległa namowom sprytnej baby. Nigdy nie zrobiłaby czegoś takiego, gdyby miała chwilę na złapanie oddechu. Spryciarze rozegrali to jednak jak profesjoniści, nie dali jej sekundy na zebranie myśli, oszołomili ją, bombardując bodźcami, z jednej strony strasząc, z drugiej błagając o wsparcie i obiecując pomoc. Zrozumiała swój błąd, gdy Piotr po włączeniu silnika zablokował otwarcie drzwi, zamieniając wóz w więzienie. Anna też natychmiast przestała udawać zafrasowaną i zgnębną prawniczkę, sięgnęła do torebki i wyciągnęła z niej matowoczarny pistolet.

– To szwajcarski SIG-Sauer P226, najpopularniejsza broń policyjna na świecie – oznajmiła lodowatym tonem. – Piętnaście naboju kaliber dziewięć milimetrów w magazynku, do tego absolutna niezawodność i precyzja. Mam go legalnie, ćwiczę nim na strzelnicy pod okiem instruktora. Potrafię trafić ruchomą figurę bojową między oczy z odległości dwudziestu pięciu metrów. Ty siedzisz pół metra ode mnie. Jeśli spróbujesz się rzucić, wpakuję ci kulkę w brzuch. Nie umrzesz, przynajmniej nie od razu, za to będzie cię cholernie bolało. Szczególnie jeśli ołowiany pocisk pokiereszkuje kiszki i gówno wypłynie ci z nich do jamy brzusznej.

Ada zamarła zatem w bezruchu, a po chwili powoli odłożyła torebkę i oparła ręce na kolanach, tak by były dobrze widoczne. Anna oparła dłoń z pistoletem o udo i nie spuszczała spojrzenia z uwięzionej. Samochód zamiast pojechać na Nowy Świat, zjechał na Wisłostradę i pomknął na północ.

– Dokąd mnie zabieracie? – spytała drżącym ze strachu głosem.
– Tam, gdzie przekażesz nam pieniądze – odparł Piotr. – I opowiesz, co zrobiłaś z Adasiem lub kto mu to zrobił...

– Proszę, ja... Ale jak mam wam oddać pieniądze?
– Za pomocą mojego laptopa – odparła Kizerwetter. – Wejdiesz na swoje konto i przelejesz pieniądze na nasze. Potraktuj to jako karę i odszkodowanie za łajdactwa, w których wzięłaś udział.

Ada nie odpowiedziała, za to pociągnęła nosem, a łza popłynęła jej po policzku. Zaczęła grać załamana i przerażona ofiarą. Szybko doszła do wniosku, że najlepiej będzie udawać bezwolną marionetkę. Na razie nie próbowała zatem paktować, postanowiła dać sobie trochę czasu na uporządkowanie myśli.

Kilka kilometrów za Łomiankami Piotr wrzucił kierunkowskaz i zjechał na pas do skrętu w lewo. Ada obserwowała okolice, nieustannie analizując sytuację. Dopiero co się bała, że wiozą ją nad Wisłę, wzdłuż której przebiegała trasa. Mogli zmusić ją do zrobienia przelewu, zastrzelić i wrzucić do rzeki. Ona by właśnie w ten sposób załatwiła sprawę. Właściwie mogliby po prostu przywiązać ją do czegoś

ciężkiego i utopić. Znikłaby bez śladu i nigdy nie wydałoby się, że przejęli pieniądze. Tylko że Piotr nie zjechał w stronę rzeki, ale w przeciwną, w kierunku Puszczy Kampinoskiej. Przejechał przez niewielką wioskę, właściwie osadę przemysłową, składającą się z kilku przytulonych do siebie firm i hurtowni. Budynki lśniły czystością i nowością. Kilkanaście lat temu jedynym, co mogło się tu znajdować, byłaby pewnie ferma kur, dziś pod lasem, przy wygodnej trasie na stolicę, kwitła przedsiębiorczość.

Lexus minął osadę, pod kołami załomotał tłuczeń, bo asfalt nagle się skończył. Droga zrobiła się wyboista, wokół pojawił się las, w którym gdzieniegdzie stały pojedyncze domy. Po chwili Piotr skręcił w polną drogę i wóz potoczył się po koleinach i kępach trawy. Ada zrozumiała, że wiozą ją na pustkowie, na którym będą mogli poddać przesłuchaniu i zmusić do oddania pieniędzy. W dodatku niedaleko, ledwie kilka kilometrów dalej, znajdowały się Palmiry, gdzie hitlerowcy dokonywali masowych egzekucji na warszawiakach. Ten las widział już niejedną zbrodnię i krył wiele bezimiennych mogił. Ada obawiała się, że może skończyć w kolejnej.

Piotr zatrzymał wóz przed prowizoryczną bramą z desek i drucianej siatki. Wyskoczył, by ją otworzyć, i po chwili wjechał na teren porzuconej budowy. Na zarośniętym podjeździe znajdowała się górka piasku do produkcji betonu, częściowo opanowana przez trawę. Za nią tkwił otoczony krzakami budynek piętrowej willi, nieotynkowany, z pustymi oczodołami okien i ziejącym czernią otworem na drzwi. Ada przełknęła ślinę. Znów zaczęła się bać.

Piotr otworzył drzwi, bezceremonialnie złapał ją za ramię i wyciągnął z wozu. Ada wylądowała na czworakach, wcześniej szorując kolanami po trawie. Syknęła z bólu. Jeszcze nie zaczęli pertraktacji, a już dorobiła się siniaków na ramieniu i podartych pończoch. Nie zdążyła się podnieść, gdy Piotr od tyłu chwycił ją za włosy i pociągnął mocno, zmuszając do wyprostowania i odchylenia się w tył. Potrząsnął mocno jej głową, powodując, że zawyła z bólu i poniżenia.

– Kto zabił Adasia? Czemu zginął? Gadaj, suko! – wrzasnął.

Anna położyła mu dłoń na ramieniu w uspokajającym geście. Puścił Adę, ale pchnął ją przy tym mocno. Upadła na ziemię. Kiedy się odwróciła, ocierając rękawem łzy, ujrzała Piotra mierzącego do niej z pistoletu, który musiał wziąć od Kizerwetter.

– Nie wiem. To się stało, gdy wyszłam po zakupy – powiedziała szybko, pełzając w tył przez podpieranie się łokciami i odpychanie nogami od trawy. Nie mogła oderwać spojrzenia od czarnego wylotu lufy. – Chciałam kupić mu na śniadanie świeże bułki. Kiedy wróciłam, czekał na mnie ten szaleniec, Ulatowski z Gen-Toksu. Zakochał się we mnie, do tego jest chorobliwie zazdrosny. To on zabił Reckerta i on szantażował Aver. Ja jestem tylko narzędziem w jego rękach. Patryk to kompletny szaleniec, zdolny do wszystkiego. Najpierw nakłonił mnie do współpracy, mając wizję bogactwa, które zdobędziemy. Próbowałam się wycofać, gdy zaczął zabijać, ale sprawy zaszły za daleko. Potem już nic nie mogłam zrobić. Zastraszył mnie, groził, że robi coś strasznego, jeśli nie będę posłuszna.

– Ale dlaczego zabił Adasia?! – krzyknął pobladły z wściekłości Piotr. – On był dla mnie jak starszy brat, rozumiesz? Wychowaliśmy się na jednym podwórku, uczyliśmy w tej samej szkole i tym samym ogólniaku. Zawsze mi imponował, mądry i sprytny, uwielbiany przez wszystkich. Staralem się go naśladować, całe życie próbowałem mu dorównać, odpłacić za zainteresowanie, jakie mi okazywał. Na studiach byliśmy niepokonanym duetem, najlepsi i zawsze pierwsi. W firmie szliśmy jak burza. Adaś miał lada chwila zostać dyrektorem działu badań klinicznych, kolejnym krokiem byłby szturm na centralę i finalnie stołki w zarządzie. A teraz co mi zostało? Zostałem zupełnie sam, bez wsparcia, bez swojego mentora i jedyne przyjaciela.

Anna chrząknęła, zła, że zupełnie ją pominął. Przecież teraz ona była jego podporą, kochanką i doradcą. Nie potrzebował już Adasia. Wydeła usta w grymasie niezadowolenia.

– Słyszałeś? – powiedziała, przechylając głowę. – Pewnie nie, bo drzesz się na całe gardło. Czy to był

dźwięk jadącego samochodu? Ech, chyba mi się zdawało...

– Ciągłe nie wiem, dlaczego Adam musiał zginąć – kontynuował Piotr, zupełnie ignorując partnerkę. – Ulatowski zabił go z zazdrości?

– Tak. Mówiłam, że to szaleniec. Najpierw kazał mi uwieść Adama, ale po jakimś czasie zaczęło go drażnić, że się z nim spotykam. Zrobił mi nawet o to awanturę. W końcu wpadł do mieszkania i dopadł biednego Adasia w łóżku. Poderżnął mu gardło.

– A niech to. – Piotr pokręcił głową. – Gdzie jest teraz ta bestia? Jak mogę go dopaść?

– Ukrywa się w domu odziedziczonym po rodzicach. Czeka tam na mnie, gotowy do ucieczki za granicę. Jeśli się nie pojawię, może zniknąć. – Ada mówiła szybko i nerwowo, tak jakby była spanikowana. W rzeczywistości tylko grała roztrzęsioną i bezbronną, starając się znaleźć wyjście z sytuacji. – Powinniśmy tam pojechać, jeśli chcesz, byśmy go dopadli. Z chęcią ci go wystawię, wywabię bezbronnego z domu. Będziesz mógł mu zapłacić za to, co zrobił. To właściwie niedaleko stąd, po drugiej stronie puszczy. Można pojechać przez Sowią Wołę, za pół godziny będziemy na miejscu.

– Stop! – wtrąciła Kizerwetter. – Najpierw przelew! Nigdzie się stąd nie ruszamy, dopóki nie zrobisz przelewu. Zemsta może poczekać. Idę po laptop.

Piotr opuścił pistolet, nie spuszczał jednak z Ady spojrzenia. Ciągłe półleżała na trawie, coraz bardziej zła na prawniczkę. Gdyby nie ona, z pewnością udałoby się zapanować nad Piotrem, skierować jego gniew gdzie indziej i wybrnąć z sytuacji. Teraz zanosilo się, że będzie musiała oddać forszę lub narazi się na tortury. Tylko co będzie, gdy ta zołza przekona Piotra, że szkoda czasu na zemstę i pora zlikwidować Adę?

– Cholera, nie mogę złapać połączenia z siecią – mruknęła Anna po rozłożeniu laptopa na masce lexusa. – W tym pieprzonym lesie nie ma zasięgu? Och, chwila. Chyba łapie. Na stronę logowania jakiego banku mam wejść?

Ada zagryzła wargę, zamiast odpowiedzieć. Spojrzała wyzywająco na Kizerwetter.

– Zgadnij – wycedziła. – Nie dam wam całej forsy, ale mogę się podzielić. Pół na pół. Pozwolicie mi po wszystkim odejść, a ja ze swojej strony wystawię wam Ulatowskiego. Podam ci go na tacy, Piotrze. Jeśli się nie zgodzisz, będziesz musiał sam go wytropić.

Piotr jeszcze bardziej opuścił rękę z pistoletem. Ada czuła, że się udało, że go przekonała. Ma szansę się z tego wykaraskać.

– Nie słuchaj jej! – wrzasnęła Anna. – Zgarniamy całą forszę i koniec. Ulatowskiego znajdziemy później, przecież nie zapadnie się pod ziemię. Mając ponad dwieście milionów złotych, będziesz dysponował możliwościami, by znaleźć go choćby w piekle. Spokojnie zaplanujemy zemstę, ta przecież najlepiej smakuje na zimno.

Piotr pokiwał głową i znów spojrzał na Adę z ponurą determinacją. Uniósł pistolet, mierząc do leżącej.

– Najpierw przelew – oznajmił. – Podaj namiary na konto. Już, dziwko!

* * *

Jacek klął na cały świat. Na upał, gruchota, któremu rozwalił miskę olejową na wystającym z drogi korzeniu, i na swoją bezsilność. Musiał się trzymać od lexusa na odległość uniemożliwiającą wykrycie, przez co dość szybko zgubił go w lesie. Kiedy skręcił w jakąś leśną dróżkę, niemal od razu walnął w coś podwoziem. Po przejechaniu kilkuset metrów na tablicy rozdzielczej zaczęła się świecić czerwona lampka. Okazało się, że za samochodem została cała czarna ścieżka z oleju silnikowego. W tym miejscu podróż się zakończyła.

Wysiadł i trzasnął drzwiami ze złości. Miał ochotę kogoś zagryźć, był zmęczony, spragniony i wściekły.

Pozwolił, by mu znikli. Jak mógł tak spartolić sprawę? I co teraz?

Gdzieś w oddali usłyszał podniesione głosy. Kobięce i męski. Jacyś ludzie się kłócili. Czyżby miał aż tak wielkie szczęście? Był naprawdę blisko, musiał ich mieć gdzieś za drzewami!

Wyciągnął pistolet z kieszeni marynarki. Przeładował broń i trzymając ją oburącz, ruszył truchtem w kierunku, z którego dobiegały głosy. Ledwie przedostał się przez gęstwinę młodych drzewek i krzaków, a znalazł się przed wjazdem na posesję w budowie. Przed willą, która musiała należeć do Pachczyńskiego lub do Kizerwetter, rozgrywał się jakiś dramat. Ada, ze zburzoną fryzurą i podartymi pończochami, pólleżała na trawie, podpierając się łokciami, a Piotr mierzył do niej z pistoletu, wrzeszcząc wściekle. Kilka kroków obok niego stała prawniczka, pochylona nad rozłożonym laptopem.

Jacek zrozumiał, że musi działać, i to natychmiast. Nie miał czasu, by obserwować, co się dzieje, sytuacja wyglądała tak, jakby przystojniaczek miał właśnie zastrzelić Milewską. Aspirant wymierzył zatem własny pistolet w Pachczyńskiego i wyszedł z chaszczy.

– Policja! Stój, bo strzelam! – wrzasnął, zbliżając się szybkim krokiem. – Opuścić broń! Jestem policjantem! Już, do cholery!

Piotr zamarł ze zgrozy, ciągle mierząc do Ady. Kizerwetter za to obróciła się na pięcie i rozejrzała na wszystkie strony.

– Jest sam – syknęła cicho.

Piotr zacisnął zęby i wymierzył w Jacka. Pociągnął za spust. Pistolet szczeknął głucho. Raz, drugi, trzeci. Policjant skulił się, opadł na jedno kolano, przyjmując wyćwiczoną pozycję strzelecką. Jeden z pocisków zadudnił o drzewo, rozrywając korę, kolejny świsnął aspirantowi nad głową.

– Odłóż broń! – Jacek wrzasnął kolejny raz, przestrzegając absurdalnej procedury użycia broni przez policję.

Oddał strzał ostrzegawczy w powietrze, ale Piotr nie zamierzał przestać. Szybko wypalił kolejne trzy razy, ale brakowało mu umiejętności. Pociski pomknęły w las, brzęcząc niczym stalowe osy na kiereszowanych liściach. Jacek wycelował i wystrzelił tylko raz. Piotr drgnął i cofnął się o krok. Na jego białej koszuli pojawiła się krwawa plama. Przystojniak upuścił broń i ciężko usiadł na ziemi, łapiąc się za pierś. Ada wrzeszczała, oburącz zatykając uszy. Anna skuliła się przy samochodzie, po chwili osunęła się na kolana.

– Niech nikt się nie rusza! – zażądał Jacek, wchodząc przez uchyloną bramę na teren posesji.

Ada załkała, zasłaniając usta i ze zgrozą patrząc na rannego. Piotr kaszlnął, prychając krwią. W jednej chwili zrobił się blady jak trup, przewrócił się na bok. Prawniczka na czworakach podeszła do niego, nie przejmując się zbliżającym policjantem. Chyba chciała mu pomóc, drżącymi rękoma chwyciła go za koszulę. Jacek odetchnął i opuścił broń. Strzelec został ciężko ranny, z pewnością miał przestrelone płuco i nie stanowił już zagrożenia. Policjant skierował się zatem do Ady.

– Wszystko w porządku? Nic pani nie zrobili? – spytał.

– Nie, jestem cała – odparła, w tej samej chwili dostrzegając ruch za jego plecami. – Uwaga!

Jacek chciał się odwrócić, ale było już za późno. Anna chwyciła upuszczony przez Piotra pistolet i natychmiast wystrzeliła. Była raptem kilka kroków od aspiranta i nie mogła chybić. Kula trafiła go w plecy i przeszła na wylot, wychodząc w chmurze krwi brzuchem. Obrócił się i wypalił na oślep, zanim prawniczka zdążyła drugi raz pociągnąć za spust. Trafił ją prosto w czoło. Głowa jej odskoczyła i Kizerwetter runęła na plecy, rozkładając szeroko ręce.

– O Jezu – szepnęła Ada, która jako jedyna wyszła ze strzelaniny nawet niedraśnięta.

Jacek osunął się na kolana, chwytając za krwawiący brzuch.

– Trzeba wezwać pomoc – powiedział w miarę spokojnie. – Telefon chyba zostawiłem w samochodzie. Ada wstała i otrzepała ubranie. Spojrzała na Piotra, który zdążył już stracić przytomność, i na bez

wątpienia martwą Annę. Lekarka szybko oszacowała stan rannych. Piotr bez pomocy szybko się wykończy, za to Jacek nie sprawiał wrażenia śmiertelnie rannego. Należało zabrać go do szpitala, tam szybko go w razie potrzeby zoperują.

– Wygodniej byłoby, gdyby nikt nie ocalał – mruknęła do siebie.

– Co pani mówi? – spytał policjant.

– Że telefon i tak się nam nie przyda. Tu nie ma zasięgu – odparła i uśmiechnęła się do niego uspokajająco. – Proszę się nie martwić. Jestem lekarką, zaraz pana opatrzę.

Pokiwał głową, krzywiąc się w bolesnym grymasie, a potem zabezpieczył pistolet i schował go do kieszeni. Ada znów się uśmiechnęła.

* * *

Blanka starała się nie skupiać na cierpieniu, pocieszała się, że uwięziony z nią Patryk miał znacznie gorzej. Ada tak mocno zacisnęła obejmę na jego rękach, że mimo nieustannych ćwiczeń w końcu zupełnie stracił w nich władzę. Krew przestała docierać do dłoni i te zrobiły się sine. Musiało to sprawiać nieszczęśnikowi dokuczliwy ból, ale specjalnie go nie okazywał. Blanka, której najbardziej doskwierało pragnienie i duchota, sama siebie upominała, by nie jęczeć i nie marudzić. Z beczynności i dla zachowania równowagi umysłowej zaczęła zagadywać Patryka. Ten z chęcią dał się wciągnąć w rozmowę, widocznie też była mu potrzebna. Może dla odwrócenia uwagi od cierpień? Tak czy inaczej, z własnej woli opowiedział Blance o swoim życiu i tym, jak wpakował się w kabałę z szantażowaniem Avera. Blanka momentami słuchała oniemiała, szczególnie gdy entomolog bez emocji opowiadał o szczegółach mordów, do których przyłożył rękę lub których sam dokonał.

– Widzisz zatem, że wcale nie jestem jakimś potworem – podsumował swoje dokonania. – Wręcz przeciwnie, jestem lepszy od wielu ludzi. Zabijałem, owszem, ale nigdy nie robiłem tego ze złości, w gniewie, przez zazdrość, zawiść, z powodów religijnych ani z przekonań politycznych. Nie pastwiłem się nad ofiarami, uśmiercałem je zawsze szybko i tak, by nie przysparzać im cierpień. Nie czuję wyrzutów sumienia, właściwie niczego nie czuję. Dlatego zdolny jestem do działania bezwzględnego, ale uśmiercania podejmuję się jedynie w ostateczności.

– I to czyni cię lepszym od wielu ludzi? – spytała, unosząc brwi w pogardliwym grymasie.

– Od niektórych. Na przykład lepszym od Ady. Ja jestem kaleką, od urodzenia niepełnosprawnym emocjonalnie. Nie rozumiałem pojęcia dobra i zła, musiałem się ich uczyć. Nie znam empatii, nie potrafię współczuć, przez to nie rozumiem cierpień innych. Dla mnie zabijanie to czynność taka jak każda inna, nie muszę walczyć ze sobą, łamać jakichś wewnętrznych barier. Za to Ada, która jest normalną kobietą, robi to przez trawiącą ją złość. Z palącej chciwości, dla pieniędzy i wygody. Może odgrywa się za krzywdy, mści się na całym świecie za życiowe niepowodzenia? Z pewnością targają nią emocje. Początkowo musiała to być odraza, później, z każdym kolejnym zabójstwem, już tylko zadowolenie. Każdy krok po trupach do celu zaczyna sprawiać jej przyjemność. Kiedy ginie kolejny człowiek stojący na jej drodze do bogactwa, Ada przeżywa radość. To dopiero jest złe. Świadome krzywdzenie ludzi, mając pełne poczucie tego, co się robi, mogąc w pełni odczuwać ich krzywdę...

– Tak więc ona jest demonem, a nie ty? – mruknęła Blanka.

– Jestem tylko nieszczęśliwym kaleką nierozumiejącym świata ludzi. Tylko staram się przetrwać. Wpakowałem się w tę spiralę zabójstw trochę niechcący, chciałem ułożyć sobie życie. Potrzebowałem pieniędzy, by się uniezależnić i stać wolnym. Ludzie już całkiem przestali mnie interesować, chciałem resztę życia poświęcić badaniom nad owadami, i to gdzieś bardzo, bardzo daleko stąd.

Blanka ze zdumieniem zorientowała się, że mu przytakuje. Jeszcze trochę i zacznie współczuć

psychopacie, litować się nad nim i wszystko mu przebaczy. Akurat! Tylko ją mamiał. Ale po co? Przecież oboje tu zginą.

– Słyszysz? – odezwał się po chwili. – Zbliża się samochód.

– Ada wróciła – syknęła Blanka, czując narastającą grozę.

Jej najbliższa przyjaciółka została opętana przez zło i gotowa była popełnić każdą zbrodnię. Za chwilę tu przyjdzie i oboje ich pozabija. Zostały im ostatnie minuty życia. Blanka po raz kolejny w rozpacz szarpnęła kajdankami.

– Miło było cię poznać, Blanko – powiedział Patryk, gdy samochód zatrzymał się przed domem i trzasnęły jego drzwi.

– Nie mogę powiedzieć tego samego o tobie, Patryku – odparła. – Wolałabym cię nigdy nie spotkać. Choć trzeba przyznać, że kiedy się starasz, potrafisz być zabawny.

Ada podejrzanie długo tarabaniła się po schodach, postępując i mamrocząc. W końcu drzwi pokoju się otworzyły i do środka wtoczył się zgięty wpół aspirant Orzechowski.

– Jacek! – ożywiła się Blanka, która nagle poczuła przypływ nadziei. – Ratu...

Nie dokończyła, bo za nim energicznie weszła Ada. Pchnęła niecierpliwie policjanta, aż się przewrócił i usiadł na podłodze obok Patryka. Jęknął przy tym boleśnie, łapiąc się za brzuch. Dopiero teraz Blanka dostrzegła, że koszulę ma zakrwawioną i poszarpaną, a twarz bladą i spoconą. Spojrzał na nią i uśmiechnął się nieznacznie. Ada stanęła nad nim, mierząc z pistoletu. Miała groźną minę i szukała czegoś w kieszeni spodni.

– Cześć, Blanka – przywitał się Jacek. – Przykro mi, ale nie doceniałem twojej przyjaciółki. Podeszła mnie jak dziecko. Rozbroiła, gdy zakładała opatrunek.

Pokazał im dłonie, spięte identycznymi zaciskaczami, jakimi unieruchomiony był Patryk. Ada nie patrząc na uwięzionych, wyciągnęła z kieszeni ostatni zaciskacz i pochyliła się nad policjantem, ciągle mierząc do niego z broni. Przełożyła plastikową taśmę przez te, którymi Jacek był skrępowany, i zacisnęła ją na ramie łóżka. I tak Blanka tkwiła w łóżku, do którego przywiązani byli jej dwaj absztyfikanci. Sytuacja dość groteskowa, ale co najważniejsze, dobrze rokująca. Ada nie zabrała się do ich mordowania, tylko uwięziła. Może więc jednak zamierzała puścić wolno?

– Za trzy godziny mam samolot – powiedziała. – Powinnam powoli się zbierać. Przykro mi, ale teraz się pożegnamy.

– Jak nas załatwisz? – spytał rzeczowo Patryk. – Nie chcesz sobie brudzić rąk, co? Chyba jednak dobrze cię znam. Brzydzisz się osobiście zabijać, ale nie możesz sobie pozwolić na łaskę dla nas. Świadkowie ci zdecydowanie niepotrzebni. Załatwisz nas na odległość, nie patrząc w oczy. Mam rację? Domyślam się, jak łatwo to zrobić. Jesteśmy na poddaszu starego drewnianego domu. Wystarczy, że przed wyjściem wylejesz trochę rozpuszczalnika na dole i rzucisz do niego zapalniczkę. Dom zajmie się w kilka minut. Zanim dojedziesz na lotnisko, nie zostaną z nas nawet kości. Tylko popiół...

– Zawsze podziwiałam twoją przenikliwość – odparła Ada, nerwowo pocierając nos wierzchem dłoni. Nie patrząc na Blankę, starała się unikać kontaktu wzrokowego z ofiarami. – Tym razem trafiłeś w sedno. Żałuj, że wcześniej mnie nie przejrzałeś. Wybaczcie, nie ma co tego przedłużać.

– Ada, czekaj! – Blanka wpadła w panikę. Na myśl, że zaraz spłonie żywcem, ogarnęło ją przerażenie. – Nie możesz tego zrobić! To ja, Blanka. Jesteśmy niemal jak siostry. Co ty wyprawiasz, dziewczyno?

Przyjaciółka jednak odwróciła się w kierunku drzwi i ruszyła przed siebie, udając, że nie słyszy.

– Jeszcze jedno! Ostatnie życzenie! – Patryk szarpnął się gwałtownie. – Nie chodzi o mnie, tylko o Maćka! Mojego syna.

Ada zatrzymała się w drzwiach.

– Wiesz, że nie czuję strachu przed śmiercią, naprawdę nie próbuję cię desperacko zatrzymać –

kontynuował Patryk. – Chcę tylko cię prosić, byś przekazała coś ode mnie Maćkowi. Miał ojca bydłaka, ale to przecież nie jego wina. Niech zapamięta mnie jako spoko faceta, co ci szkodzi. Mam dla niego buteleczkę z najcenniejszym okazem. Chcę, byś mu go przesłała. Proszę tylko o ten jeden gest. To cię przecież nie spowolni. Butelka jest w moim gabinecie w skrzyni z odczynnikami. Zawinięta w reklamówkę, od razu ją znajdziesz. Sprawdź tylko, czy wszystko z nią w porządku, czy nie wyciekł płyn konserwujący.

Ada spojrzała na niego bystro i wzruszyła ramionami.

– A wy? Też się wam należy ostatnie życzenie – zwróciła się do pozostałych.

– Wody – mruknęła ponuro zrezygnowana Blanka. – Szklanek wody, proszę.

– Ja też – dołączył się Jacek.

– Odpada. – Ada wyszła już z pokoju i mówiła z korytarza. – Pamiętam, jak bardzo jesteś sprawna, mała. Załatwisz mnie nogami tak jak Patryka. Nic z tego, będziesz musiała odejść spragniona. To nie potrwa długo.

Blanka zakłęta cicho. Oczywiście spróbowałyby ją znokautować, ale pić też naprawdę się jej rozpaczliwie chciało. Zadygotała ze strachu i poczucia beznadziei. Jacek za to desperacko próbował przegryźć opaskę uciskową, pot łał się z niego ciurkiem.

– To nic nie da – stwierdził Patryk. – Szkoda zachodu.

Ada wróciła po kilku chwilach, do tego mocno wkurzona. Wymachiwała szeleszczącą torebką.

– Co to ma być? W tym naczyniu nie ma żadnego okazu. Tylko się upaprałam jakimś świństwem! – warknęła.

Patryk wzruszył ramionami z obojętną miną.

– Musiałem się pomylić – stwierdził zimno.

– Otrułeś mnie, sukinsynu? Już ja cię... Au! Na litość boską, osa mnie ukąsiła! – wrzasnęła Milewska, łapiąc się za ramię.

Cisnęła reklamówkę z naczyniem gdzieś za siebie. Niemrawe dotąd owady, które się uwolniły z porzuconej siatki entomologicznej, z basowym buczeniem ruszyły w tan wokół podskakującej lekarki. Zaczęła machać rękoma, by się od nich opędzić. Zakłęta wściekle po kolejnym ukąszeniu, tym razem w twarz, w górną powiekę lewego oka. Z bólu wybuchnęła płaczem. Zbiegła po schodach na dół i zamknęła się w kuchni. Patryk zachichotał.

– Co to było? – spytała Blanka. – Upaprała się feromonami?

– Blisko, niezła jesteś – pochwalił ją Patryk. – To moja autorska mieszanka wabiąca. Działa na wiele gatunków bezkręgowców, niektóre wprowadza w szal, inne tylko przyciąga. Wiesz, że owady porozumiewają się za pomocą znaczników i sygnałów chemicznych. Kilka lat eksperymentów i otrzymałem złoty środek, który stosowałem przy łapaniu okazów.

– No to jej zrobiłeś psikus – mruknęła Blanka. – Ukąszenia tylko ją wkurzą. Teraz zupełnie przestanie mieć skrupuły.

Jacek nie brał udziału w rozmowie, skupił się na walce zębami z plastikową opaską. Musiało go to kosztować wiele wysiłku i bólu, ale się nie poddawał. Blanka miała ochotę się rozpłakać, w gardle czuła rosnącą kulę, która zaraz zamieni się w ryk.

– Nie byłbym taki pewny, czy to tylko psikus. W domu mam terraria z okazami, w tym twoje ulubione muchy, złote, miedziane i żelazne – oznajmił Patryk. – Są bardzo czułe na tę mieszankę, myślę, że się uwolnią i polecą za Adą całą chmarą.

– No i co z tego, przecież jej nie zjedzą – warknęła Blanka. – Hej, czujecie to? Dym. Ona naprawdę podpaliła dom!

Ada jedną ręką przykładła do twarzy worek z lodem do drinków, znaleziony w zamrażarce, drugą dorzucała do ognia, co jej wpadło w ręce. Zajęła się już wersalka i dywan, ogień pełzał w kierunku regału z książkami. Dym robił się coraz bardziej gęsty, płomień coraz wyższe. W końcu lekarka odwróciła się na pięcie i pobiegła do wyjścia. Cisnęła jeszcze za siebie pistolet Jacka. Już go nie potrzebowała.

Podeszła do lexusa, odebranego Piotrowi, i otworzyła drzwiczki. Chwilę opędzała się przed namolnymi owadami, które krążyły wokół niej coraz większą chmarą, i w końcu usiadła za kierownicą. Prócz cholernego ukąszenia, od którego zapuchło jej oko tak, że nic na nie nie widziała, wszystko szło zgodnie z planem. Pozbyła się właśnie ostatnich świadków, za chwilę rozpocznie nowe życie. Z fortuną na koncie i bez ciągnącego się za nią ogona. Wystarczy dotrzeć na lotnisko, porzucić samochód na parkingu i przejść przez odprawę. W kieszeni czekał bilet na samolot do Londynu. Tam zacznie pisać swoją historię na nowo.

Dodała gazu i ruszyła ostro. Pod maską samochodu drzemało mnóstwo koni mechanicznych, które teraz zerwały się do szaleńczego galopu. Pojazd pomknął pustą ulicą, błyskawicznie osiągając dużą prędkość. Ada odłożyła lód. I tak nie widziała nic na jedno oko. Wyglądała przez to upiornie, oby tylko wpuścili ją na pokład samolotu. Zerknęła w lusterko i wykrzywiła się, widząc swoją twarz.

Coś zabzyczało jej koło ucha, a po chwili wielka żółta mucha usiadła na jej dłoni. Ada zgoniła ją z obrzydzeniem, aż cała się wzdrygnęła. Ale to nie był koniec, bo sekundę później poczuła, że po drugim ręku coś jej łązi. To był podłużny czarny giez. Trzepnęła go drugą dłonią, a ten zamiast paść, odleciał z bzyczeniem i usiadł jej na ramieniu. W tym momencie spostrzegła, że po dłoni znów pełza jej coś obrzydliwego, tłuste zielone muszysko o błyszczącym metalicznie odwłoku. Wrzasnęła z odrazy i puściła kierownicę, by ją zgonić.

Poczuła szarpnięcie, a brzęczenie radia i bzyczenie owadów zagłuszył łomot opon, które zjechały z asfaltu i trzęsły się na poboczu. Lexus pędził jak pocisk, nie do zatrzymania. Ada próbowała chwycić kierownicę, ale było już za późno. Pojazd stracił przyczepność i ślizgiem pomknął po trawie. Przeleciał nad rowem melioracyjnym i obrócił się bokiem. Ada wrzasnęła ze zgrozą, patrząc na zbliżającą się błyskawicznie masywną topolę. Nie mogła nic zrobić. Zacisnęła powieki, gdy wóz z impetem i potwornym chrzęstem gnieczonego metalu wbijał się w drzewo.

Gdzieś w oddali rozległ się łomot i huk. Blanka nie zwróciła na nie uwagi, ale Patryk wyraźnie ich oczekiwał. Pokiwał z uznaniem głową.

– Nie zdajecie sobie sprawy, ile wypadków komunikacyjnych powodują owady – powiedział. – Co prawda, nie prowadzi się statystyk, bo mali sprawcy zwykle znikają niezauważeni, ale sądzę, że wszyscy byliby w szoku, gdyby prawda ujrzała światło dzienne. Niespodziewanie ukąszony kierowca bardzo często traci panowanie nad pojazdem. To naturalne, nie sposób zachować skupienia, gdy coś po tobie łązi i gryzie...

– Przestań – burknęła Blanka. – Co to ma do rzeczy?

– A to, że Ada została właśnie ukarana za swoje czyny. I dokonały tego nasze muchy.

– Myślisz, że miała wypadek? Jeśli nawet, to i tak marne pocieszenie. Zaraz zaczniemy się dusić dymem...

– Lepiej stracić przytomność od dymu, niż spalić się żywcem – stwierdził Patryk. – Otruty gazami odchodzi bezboleśnie. Oddychajcie zatem pełną piersią, może dym załatwi nas wcześniej niż ogień.

Swąd szybko zmienił się w smugi dymu, które wpłynęły do pokoju przez uchylone drzwi. Z dołu dobiegały wyraźne trzaski płonącego drewna i narastający huk płomieni. Blanka poczuła, że oczy jej łzawią. Ze strachu nie mogła oddychać, zacisnęła zęby i napięła mięśnie po raz kolejny, bezowocnie walcząc z kajdankami.

– Tfu! – Jacek splunął kawałem wyrwanego zębami plastiku.

Szarpnął oburącz i zerwał obejmę. Nadal miał skrępowane dłonie, ale uwolnił się od łóżka. Podniósł się na klęczki, a potem z trudem, krzywiąc się z bólu, wyprostował.

– W sąsiednim pokoju, na podłodze w kącie stoi skrzynka narzędziowa – powiedział Patryk. – W środku znajdziesz kombinerki i nożyczki. Kombinerkami da się przeciąć taśmy. Uwolnij mnie, a razem wyniesiemy łóżko z Blanką. Pospiesz się!

Jacek pokuśtykał do wskazanego pokoju, krztusząc się dymem. Blanka też zaczęła kasłać, oczy coraz bardziej ją szczypały i łzawiły. Policjant chwilę łomotał za ścianą rupieciami, po czym wrócił uzbrojony w kombinerki. Nie był w stanie przeciąć nimi obejm, którymi był skrępowany, ale mógł utrzymać je w rękach. Zignorował Patryka i podszedł do Blanki.

– Co robisz? Nie przetniesz tym łańcuszków łączących kajdanki! Tracisz tylko cenny czas. Uwolnij najpierw mnie, pomogę ci ją wynieść! – gorączkował się entomolog.

– Wynieść żelazne łoże? Nie możesz ruszać dłońmi, a ja mam przestrzelone kiszki – warknął Jacek. – Przestań ciągle knuć.

Wetknął kombinerki w dłonie Blanki. Dziewczyna obróciła je i trzymając w piekielnie niewygodnej pozycji nad głową, spróbowała nimi przeciąć taśmy unieruchamiające ręce Jacka. Po policzkach spływały jej łzy, kaszel robił się coraz bardziej dokuczliwy. Huk płomieni wciskał się do umysłu, wznecając panikę. Przez uchylone drzwi biło gorące powietrze. Trzasnęła pierwsza obejmą. Blanka zacisnęła zęby i wyteżyła siły. Kolejna obejmą i jeszcze jedna. Jacek próbował ją uspokoić, Patryk za to klął na ich głupotę w dość niewybrednych słowach. Nie zwracali na niego uwagi.

W końcu ręce policjanta były wolne. Rozmasował nadgarstki, poruszył palcami, próbując przywrócić w nich czucie. Odebrał od Blanki kombinerki i wyciągnął z kieszeni kłębek drutu, który też zabrał ze skrzynki narzędziowej. Sprawnie wygiął kombinerkami koniec drutu, nadając mu kształt zaimprovizowanego wytrycha. Był blady i wyczerpany, z czoła kapał mu pot, kaszel wstrząsał całym ciałem, a mimo to nie rezygnował, nie próbował się ratować. Cierpliwie kręcił wytrychem w zamku kajdanek, aż te trzasnęły i się otworzyły. Blanka miała jedną rękę wolną. Przeciągnęła kajdanki przez szczebel w ramie i aż westchnęła z ulgi. Jak na sprężynie wyskoczyła z łóżka i objęła Jacka, ciągnąc go do wyjścia.

– Zostawicie mnie? – przypomniał o sobie Patryk.

Jacek zgiął się wpół, nie mogąc dłużej zapanować nad bólem i kaszlem. Blanka zawahała się przez chwilę. Nie było łatwo pohamować strach przed ogniem, mimo to doskoczyła do entomologa i wetknęła kombinerki między jego złączone dłonie, a potem oburącz zacisnęła. Patryk zawył z bólu. Trzasnęła pierwsza obejmą, potem kolejna. Jeszcze dwa ruchy i entomolog był wolny.

Zamiast podziękować, odepchnął dziewczynę i skoczył do wyjścia. Zderzył się jednak ze ścianą żaru. Ogień ogarnął już schody i szybko piał się w górę. Ryczał, coraz prędzej nabierając mocy. Patryk jednym susem dopadł do okna, ale nie mógł go otworzyć, dłonie miał całkowicie bezwładne. Blanka akurat próbowała podnieść klęczącego Jacka, spojrzała ze złością na entomologa.

– Pomóż mi, do cholery – wycodziła.

Patryk przez sekundę analizował sytuację, a potem skinął głową. Objął policjanta w pasie i bez wysiłku

postawił na nogi. Blanka otworzyła na oścież okienne ramy i skinęła na nich ponaglająco. Płomienie były już na korytarzu, dym stawał się nie do zniesienia. Patryk przyciągnął rannego policjanta do okna, bezceremonialnie przełożył go przez ramę i wypchnął na zewnątrz. Złapał Blankę za ramię i pchnął ją przed sobą. Skoczyła na oślep, nie oglądając się za siebie. Spadła z wysokości jakichś czterech metrów, tuż obok leżącego Jacka. Przeturlała się i natychmiast poderwała na równe nogi. Aspirant od upadku stracił przytomność, leżał bez ruchu z twarzą do ziemi. Złapała go za ręce i pociągnęła, nie zwracając uwagi na straszliwy żar bijący od płonącego budynku.

Nie była w stanie odciągnąć go wystarczająco szybko, miała wrażenie, że ubranie za chwilę się na niej zapali. Czuli fizyczny ból, jakby przypalano ją rozpalonym żelazem. I wtedy znów pojawił się Patryk, złapał policjanta za jedną rękę i niemal biegnąc, odciągnął go od budynku na dobrych pięćdziesiąt kroków. Blanka padła na trawę obok rannego, nie miała sił nawet się ruszyć. Patryk stanął nad nimi, nad czymś się zastanawiając.

– Myślisz, czy bardziej nie opłacałoby się nas zgładzić? – spytała dziewczyna.

Entomolog pokręcił przecząco głową, a potem się uśmiechnął.

– To już przemyślałem – odparł. – Już ci mówiłem, że nie jestem taki jak Ada. Zabijanie na zapas ludzi, którzy mi nie wadzą, nie jest w moim stylu. Nie jestem potworem, naprawdę.

Blanka spojrzała na niego uważnie i uniosła brwi.

– Czego jeszcze chcesz?

– Mam ostatnią prośbę – odparł. – Daj mi czas na ucieczkę. Ten twarziel się wylize, patrz, już odzyskuje przytomność. Dla mnie natomiast będzie ważne, żebym zdołał dotrzeć do miasta, zanim policja zacznie mnie szukać.

– Zjeżdżaj – mruknęła tylko.

Uśmiechnął się po raz ostatni i pobiegł w kierunku lasu. Zanim znikł za drzewami, rozległo się wycie nadjeżdżającej straży pożarnej. Blanka siedziała nieruchomo, czekając na pomoc. Wóz zatrzymał się, migając światłami kogutów, z jego środka wyskoczyli strażacy. Dwaj podbiegli do niej, jeden trzymał walizkę z czerwonym krzyżem.

– Jest ktoś w środku? Tylko wy dwoje się wydostaliście? – spytał ratownik.

– Tylko my dwoje – przytaknęła Blanka. – Nikogo więcej tu nie ma. Wezwijcie pogotowie, mam tu policjanta z raną postrzałową.

Po tym wyznaniu pozwoliła sobie na utratę przytomności.

Rozdział 22

Jesienią pogoda w końcu zrobiła się znośna i Blanka mogła powrócić do treningów biegowych bez narażania się na odwodnienie i cierpienia. Postanowiła codziennie urządzać sobie poranny rozruch, biegając przez kilkanaście minut po parku. Kiedy zadzwonił budzik, nie próbowała szybko go uciszać, bo nie tylko ona musiała rano wstać. Dzwonienie postawiło też na nogi Jacka, który z westchnieniem usiadł na łóżku, a potem pocałował Blankę na powitanie. Przytuliła się do niego, zastanawiając się, czy lepiej nie zrobić dziś porannego rozruchu w łóżku. Jej dzielny policjant nadal jednak był rekonwalescentem i nie wypadało przesadnie go forsować. Wystarczyło, że przed snem zmagali się do utraty sił.

Wstał, by zrobić im obojgu kawy, a zanim zdążyła nałożyć dresy, przyniósł jej kubek. Pociągnęła tylko łyk, raczej dla smaku niż pobudzenia. Za chwilę wysiłek i tak pchnie ją do życia lepiej niż jakieś tam napary z kofeiną.

– Zabierasz kastet? – zdziwił się, patrząc, co chowa do kieszeni.

Ojciec po wyjściu z aresztu bynajmniej wcale się nie zmienił. Szybko kupił jej nową broń, w miejsce tej zarekwirowanej przez policję, i nalegał, by się z nią nie rozstawała. Szczególnie że martwiły go niebezpieczeństwa, na jakie narażała ją praca. Nie spodziewał się, że dziewczyna z laboratorium może mieć tak niebezpieczne przygody. Od feralnych wydarzeń jeszcze bardziej naciskał, by się zabezpieczała.

– Zabieram. – Wzruszyła ramionami. – Nie będę go brała, kiedy w końcu zaczniesz ze mną biegać.

– Wiesz, że się do tego przymierzam – odparł z uśmiechem. – Jeszcze tylko kiszki mi się porządnie pozrastają, a zacznę biegać. Słowo harcerza!

Cmoknęła go w policzek i pomknęła do wyjścia. Zbiegła po schodach i wypadła biegiem wprost w ćmiącą mżawkę, przyjemnie chłodzącą i odświeżającą. Park przyjmował już jesienne barwy, żółcił się i złocił, choć trudno było się nim zachwycać, bo panowała jeszcze szarówka i było mgliście. Blanka wpadła w równy rytm, chlupocząc po kałużach.

Prócz natlenienia i pobudzenia krążenia bieganie pozwalało jej zebrać myśli i przygotować się mentalnie do pracy. Uporządkowała więc w myślach sprawy, którymi musiała się kolejno zająć po przyjechaniu do Gen-Toksu. Ciągle piastowała stanowisko kierowniczkki działu toksykologii i stopniowo przestawało jej to ciążyć. Przyzwyczała się do obowiązków, okrzepła w codziennych problemach. Przeprowadziła się nawet do dawnego gabinetu Kamila i czasowo zawiesiła dział entomotoksykologiczny. Przynajmniej do czasu znalezienia nowego entomologa.

Poza tym czekało ją dziś spotkanie zarządu w sprawie badań klinicznych dla Avera. Malinowiecki z prezesem ciągle jeszcze nie podjęli decyzji, czy przekazać materiały z toksykologii do prokuratury. Jeśli do tego dojdzie, rozpęta się straszliwa afera. Blanka postanowiła, że po raz kolejny będzie nalegała, by ujawnić sprawę i zmusić Avera do wypłaty odszkodowań rodzinom otrutych pacjentów. Malinowiecki się wahał, żałując utraty tak znaczącego klienta. Na szali leżały zatem z jednej strony uczciwość i przyzwoitość, z drugiej pieniądze. Blanka wierzyła, że stary prezes w końcu stanie po stronie przyzwoitości.

Tak oddała się rozmyśleniom, że zapomniała o upływie czasu. Minęło już dwadzieścia minut i powinna wracać. Musiała jeszcze wziąć prysznic i się przebrać przed wyjściem do roboty. Zawróciła i przyspieszyła, by czym prędzej dotrzeć do domu.

Jacek czekał na nią już ubrany, zrobił nawet kanapki dla obojga na drugie śniadanie. Powinien łąda chwila wyjść na wykłady. Zapisał się bowiem na kurs doszkalaający i uczył do egzaminu oficerskiego. Twierdził w żartach, że chciałby w końcu wysadzić ze stołka komisarza Ledę. Wydział potrzebował fachowca na tym stanowisku.

– Wyobraź sobie, że przed chwilą przyszedł do nas kurier. Przyniósł paczuszkę dla ciebie – powiedział Jacek, wręczając jej pudełko z przyklejonym listem przewozowym.

– O tej godzinie? – zdziwiła się Blanka. – Co to takiego? Nie spodziewam się żadnej przesyłki.

Rozerwała papier i tekturę, odsłaniając ładne pudełko z czarnego egzotycznego drewna. Wewnątrz na aksamicie leżał błyszczący szlachetnymi metalami wisiołek ze złotym łańcuszkiem. Blanka wzięła go w dłoń i obejrzała ze zdumieniem. W tym czasie Jacek oglądał list przewozowy.

– Wyobraź sobie, że przesyłkę nadano za oceanem. To przyjechało do ciebie z Kolumbii – powiedział. – Co to właściwie jest?

Blanka pokazała mu położoną na dłoni ozdobę. Wyrób jubilerski błyszczał polerowanym metalem. Przedstawiał trzy złączone odwłokami muchy, jedna była poczerniona, druga lśniła złotem, a trzecia miedzią.

– Prezent od naszego wspólnego znajomego – powiedziała nieco zmieszana. – Zdaje się, że Patryk ma się dobrze i kontynuuje badania, o których marzył.

Jacek wzruszył ramionami.

– Niby nic nie czuje, ale najwyraźniej cię polubił. To miłe z jego strony, mam jednak nadzieję, że na zawsze zostanie w głębi dżungli i ograniczy działalność do badania owadów.

– Też mam taką nadzieję – odparła.

Muchy patrzyły na nich nieruchomymi metalowymi oczami.

Spis treści

[Rozdział 1](#)
[Rozdział 2](#)
[Rozdział 3](#)
[Rozdział 4](#)
[Rozdział 5](#)
[Rozdział 6](#)
[Rozdział 7](#)
[Rozdział 8](#)
[Rozdział 9](#)
[Rozdział 10](#)
[Rozdział 11](#)
[Rozdział 12](#)
[Rozdział 13](#)
[Rozdział 14](#)
[Rozdział 15](#)
[Rozdział 16](#)
[Rozdział 17](#)
[Rozdział 18](#)
[Rozdział 19](#)
[Rozdział 20](#)
[Rozdział 21](#)
[Rozdział 22](#)